

Maryam Rostampour,  
Marziyeh Amirizadeh  
oraz John Perry



# Więźniowie Iranu

Prawdziwa historia dwóch chrześcijanek



**Maryam Rostampour  
Marziyeh Amirizadeh  
oraz John Perry**

# **Więźniowie Iranu**

**Prawdziwa historia dwóch chrześcijanek**

Wydawnictwo Agape

Poznań 2013

*Pamięci drogiej przyjaciółki Szirin Alam Huli, której odwaga, dobroć i miłość wciąż żyją w sercach wszystkich jej przyjaciół; pięknym kobietom uwięzionym razem z nami w Ewin (niektóre zostały zwolnione); a także wszystkim kobietom znajdującym się obecnie w więzieniu Ewin w oczekiwaniu na sprawiedliwość, jaką może im zapewnić jedynie wolny naród.*

## Przedmowa

Dopiero wróciłam z podróży misyjnej do Indii, a już po 36 godzinach znów byłam w drodze. Tym razem celem moim były rekolekcje dla kobiet w odległości około półtorej godziny drogi z Atlanty (Georgia). Wieczorem przemawiałam, a następnego ranka organizator rekolekcji przysłała do mojego pokoju z dwiema Irankami, przekonana, że będę zainteresowana rozmową z nimi. Usłyszałam zachodnią wersję ich imion: Marcelina i Maria.

Rozmawiałyśmy przez chwilę, po czym, świadoma ich muzułmańskiego pochodzenia, zapytałam, jak to się stało, że zaufały Jezusowi Chrystusowi. Nie byłam przygotowana na to, jak przejmującym błogosławieństwem będzie dla mnie ich opowieść o osobistej drodze wiary. To nie było jedynie wyzwolenie z grzechów. To nie było zwyczajne przejście na chrześcijaństwo. Obydwie były zakochane w Jezusie! Przez kilka następnych godzin Iranki dzieliły się ze mną swoją miłością do Jezusa, która była naznaczona płomieniem bólu i przesładowań.

Pod koniec rozmowy, ze łzami biegnącymi po policzkach, te sympatyczne kobiety powiedziały coś, co mnie uderzyło szczególnie. Powiedziały, że dla nich o wiele łatwiej było doświadczać Bożego pokoju, obecności i mocy w więzieniu Ewin niż później w USA. Więzienie Ewin! Teherańskie więzienie cieszące się sławą gorszą niż amerykańskie więzienia Alcatraz czy Angola. Miejsce, którego sama nazwa przeraża nawet najmocniejszych. Jak to możliwe?

Ponieważ musiałam trzymać się planu rekolekcji, nie miałam czasu zapytać, dlaczego moje nowe znajome tak uważają, ani usłyszeć o ich przeżyciach w więzieniu Ewin czy o tym, jak spotkały tam Boga, jak ich wiara nie tylko przetrwała to straszne doświadczenie, ale dzięki niemu rozkwitła. Dlatego gdy po kilku tygodniach otrzymałam od nich list z pytaniem, czy mogą przesłać mi rękopis swojej książki z prośbą o napisanie przedmowy, od razu się zgodziłam. Z niecierpliwością oczekiwałam chwili, gdy będę mogła zagłębić się w ich historię. Nie zawiodłam się.

Czytałam, nie mogąc się oderwać, strona po stronie, rozdział po rozdziale. Ale największe wrażenie wywierały na mnie nie słowa, jakimi Iranki opisywały życie za murami więzienia, ale to, co odczytywałam między wierszami. Uderzał mnie hart ich ducha, ich moc i niezłomna wiara w Jezusa Syna Bożego, Zbawiciela świata, zmartwychwstałego Pana i Króla. Z miłością i odwagą świadczyły o Nim wobec złamanych współwięźniarek, które odpowiadały łzami desperacji; wobec kobiet próbujących je zmanipulować i wykorzystać do swoich celów; wobec wrogo nastawionych urzędników i strażników więziennych i nawet wobec sędziów mających władzę uwolnić je z więzienia, jeśli tylko wykażą chęć porzucenia wiary chrześcijańskiej.

Wśród piekielnego mroku więzienia Ewin Marcelina i Maria rozpały

światło! Swoją miłością do najgorszych, dobrocią dla złych, delikatnością dla najbardziej brutalnych, swoją gotowością służyć innym w największym wyobrażalnym brudzie złożyły one najwspanialsze świadectwo o Jezusie, którego kochały, udowadniając, że jest On obecny również w tym okropnym miejscu. On nie tylko jakoś przeprowadził je przez to doświadczenie – On przeprowadził je zwycięsko!

Zastanawiałam się... Czy Bóg przyprowadził je tutaj, do Stanów, by podzieliły się swoim doświadczeniem, aby przygotować swój lud na to, co ma niedługo nastąpić? By nauczyć nas, że Bóg jest wierny i godny zaufania, niezależnie od okoliczności, w jakich się znajdziemy? Przecież każdy z nas ma jakieś osobiste doświadczenie uwięzienia. Więzieniem może być ból fizyczny, klęska finansowa, rozbitcie emocjonalne, kłótnia małżeńska czy zdrada...

Książka *Uwięzione w Iranie* umocniła moją wiarę. Jestem przekonana, że po jej przeczytaniu również Twoja wiara zostanie umocniona!

***Anne Graham Lotz***

## ROZDZIAŁ 1

*Nie ma czym się przejmować*

Maria &

Wróciłam od dentysty do pustego mieszkania. Moja żuchwa nie dawała mi spokoju, więc nalałam wody do szklanki, by zażyć lek przeciwbólowy. Nagle zadzwonił telefon. To była moja siostra Szirin.

„Cieszę się, że zastałam cię w domu” – powiedziała strwożonym głosem. „W nocy miałam o tobie okropny sen. Śniło mi się, że zniknęłaś, a jakiś głos wyjaśnił, że znalazłaś się w przerażającym ciemnym miejscu i się bardzo boisz. Nagle nad twoją głową otworzyło się niebo i zostałaś za włosy wyciągnięta do góry i umieszczona w pięknym miejscu, pełnym zieleni. Wtedy głos powiedział: «To stanie się z twoją siostrą»”.

„Nie myśl o tym” – odpowiedziałam beztrzesko. „Niepotrzebnie przejmujesz się błahostkami. Wszystko jest dobrze. Marcelina i ja jedziemy na wakacje w te dwutygodniowe święta Nowego Roku. Gdy będziemy w drodze, będziemy mogli znowu porozmawiać”.

W rzeczywistości miałyśmy z Marceliną plany związane z podróżą, ale nie chodziło o wakacje. Mówiłyśmy tak krewnym i przyjaciółom dla ich własnego bezpieczeństwa. Tak naprawdę miałyśmy odwiedzić miasta Iranu, by rozdawać tam Nowy Testament.

Prawdę mówiąc, sen Szirin zmartwił mnie o wiele bardziej, niż mogłam się przyznać. Parę dni wcześniej sama miałam pełen trwogi sen. W moim śnie razem z Marceliną i innymi chłopcami i dziewczętami staliśmy na pagórku, a przed nami stał starszy mężczyzna, lśniący światłem, i wypowiadał prorocstwo o każdym z nas. Kiedy spojrzał na mnie i Marcelinę, powiedział: „Wy dwie zostaniecie zatrzymane”.

Biorąc pod uwagę planowaną podróż, te dwa sny były bardzo niepokojące.  
*Stanie się tak, jak Bóg zaplanował.*

\*\*\*

Drzemałam na tapczanie, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Usłyszałam głos Marceliny za drzwiami oraz inne głosy, których nie poznawałam.

Dziwne. Dlaczego po prostu nie wejdzie? Może zapomniała kluczy.

Wyjrzałam przez wizjer i zobaczyłam Marcelinę oraz inną dziewczynę w muzułmańskim ubiorze, a także dwóch młodych mężczyzn.

„Otwórz drzwi!” – rozkazała dziewczyna.

Bolały mnie zęby, a w dodatku umysł był niezupełnie jasny po zażytych leku przeciwbólowym. Przez chwilę się zastanawiałam.

„Proszę poczekać, muszę się ubrać” – powiedziałam przez zamknięte drzwi. Przed drzwiami stali mężczyźni nienależący do mojej rodziny – w tym przypadku prawo koraniczne wymagało ode mnie włożenia stroju zgodnego z przepisami religijnymi.

„Proszę się nie przejmować – odpowiedziała kobieta, – tylko ja wejdę do środka”.

Otworzyłam i w tej samej chwili do mieszkania zdecydowanym krokiem weszła młoda kobieta i skierowała się za mną do mojego pokoju, gdzie włożyłam odpowiednie ubrania. Kiedy wróciłyśmy do pokoju gościnnego, Marcelina siedziała na tapczanie z włosami starannie nakrytymi, a dwaj mężczyźni przetrząsali nasze mieszkanie. Przerazone patrzyłyśmy, jak szperają po zakamarkach każdego pokoju, wyrzucając wszystko z szuflad, półek i schowków, depcząc po naszych książkach i płytach CD. Przeryli nawet spiżarnię.

Oczywiście nie mieli oni żadnego dokumentu uprawniającego do przeszukiwania mieszkania. To byli *basidzi*, członkowie organizacji rewolucyjnej, którzy nie potrzebowali pozwolenia, by robić cokolwiek. Podobnie jak większość *basidzi*, ci mężczyźni, na oko około dwudziestoletni, zachowywali się arogancko i byli ubrani w sposób, podkreślający ich status – coś pomiędzy państwową milicją a pospolitymi zbirami. Nie nosili mundurów, a pragnąc nie wyróżniać się w tłumie, nie nakładali nawet *szafie* (chusty w czarno-białą kratkę symbolizującej wierność przywódcy Iranu ajatollahowi Alemu Chamenei). Ich ubrania były tak samo brudne, jak oni.

W ciągu ostatniego roku my z Marceliną mieszkaliśmy razem w tym niewielkim mieszkaniu w północnej części centralnego Teheranu. Znajdowało się ono w spokojnym miejscu na wzgórzu, miało kominek w pokoju gościnnym, białe ściany, ciemnoczerwone zasłony. Na nowoczesnych meblach w kolorze ciemnopomarańczowym leżały wielkie miękkie poduszki. Okna obu sypialni wychodziły na piękne góry Darke, popularne wśród amatorów górskich wspinaczek. Z balkonu w kuchni mogłyśmy widzieć ulicę na dole i potężny, wysoki mur więzienia naprzeciw.

To mieszkanie było naszym domem i schronieniem. Służyło też jako miejsce spotkań dla tajnych wyznawców Jezusa Chrystusa, którzy mogli być uwięzieni lub nawet zabici za swoją wiarę zgodnie z obowiązującym prawem. W każdej z naszych sypialni miałyśmy stos plastikowych krzeseł oraz chrześcijańskie wydania Nowego Testamentu i inne książki. Robiąc wypadki z naszego schronienia, po kryjomu głosiliśmy Ewangelię o Jezusie Chrystusie w tym rozległym, ponad siedmiomilionowym mieście. A teraz wdarli się tu bez uprzedzenia obcy ludzie i robią swoje porządki.

„Usiądź na tapczanie – rzucił jeden z *basidzi* – i nie rozmawiajcie ze sobą”.

Był chudy i nerwowy, wyglądał raczej jak chłopiec niż mężczyzna. Miał gęste brwi, czarne włosy, rzadką kędzierzawą bródkę. Pewny siebie i swojej władzy, nadanej mu przez prawo muzułmańskie (według prawa dziewczynki, które ukończyły dziewięć lat i jak się uważa, mogą już wychodzić za mąż, podlegają władzy mężczyzny), nie pozostawiał żadnych wątpliwości: lepiej, jeśli będziemy siedziały cicho i robiły, co on nam powie.

Drugi *basidzi*, starszy i wyższy, z jasną skórą i zielonymi oczami, wyglądał na przywódcę. Ten wybrał raczej pojednawcze podejście: „Nie przejmujcie się, panie” – powiedział. „Po prostu siedźcie sobie spokojnie”.

Mimo że obaj mężczyźni zajmowali ważne stanowiska, musieli przyjść w towarzystwie kobiety, ponieważ zgodnie z prawem islamu nie mogli wejść do naszego domu, nie będąc naszymi krewnymi. Młoda kobieta miała na sobie *czador* – długą, luźną, lekką suknię, którą muzułmańskie kobiety muszą nakładać, wychodząc w miejsca publiczne lub znajdując się w obecności mężczyzn niebędących ich krewnymi. Pod suknią było widać mundur. Prawdopodobnie była z policji.

Póki *basidzi* przeszukiwali mieszkanie, mnie i Marcelinie udało się, na szczęście, schować nasze telefony komórkowe. Listy adresów, teksty SMS-ów i fotografie mogły zdradzić naszych przyjaciół, sprowadzając na nich niebezpieczeństwo. W naszym komputerze były zdjęcia z wyjazdów misyjnych do Indii i Korei Południowej. Niestety, przed wdarciem się intruzów nie zdążyłam wyłączyć telewizora – miałyśmy nielegalne programy satelitarne, które stanowiły zagrożenie dla czystości religijnej tego muzułmańskiego kraju.

\*\*\*

Marcelina &

Minuty ciągnęły się jak godziny. Młoda policjantka uważnie nas obserwowała, a mężczyźni zaczęli wrzucać nasze rzeczy do skrzynek stojących na podłodze. Znaleźli setki płyt CD o tematyce chrześcijańskiej i egzemplarzy Nowego Testamentu w języku perskim, którego używamy w Iranie. Zauważyli też napisy chrześcijańskie na lodówce.

„Czy zostałyście chrześcijankami?” – zapytał Marię starszy *basidzi*, który, jak się dowiedziałam, miał na imię Mohammadi.

„Tak” – odpowiedziała twardym i pewnym głosem. „Jestem chrześcijanką od jedenastu lat”.

Zwrócił się do mnie.

„Dlaczego zostałam chrześcijanką? Co złego zrobił ci nasz imam Husejn?” –



zapytał, mając na myśli jednego z liderów muzułmańskich.

„Zostałam chrześcijanką, ponieważ spotkałam Jezusa” – wyjaśniłam. „Nie odwróciłam się od nikogo. Zwróciłam się do Jezusa, bo On zamieszkał w moim sercu i powołał mnie”.

„Spotkałaś Jezusa?” – sarkastycznie zapytał Mohammadi. „Jak on wyglądał? Był blondynem czy brunetem? Czy miał brodę?”

Nie odpowiedziałam. Patrząc na postępujące zniszczenie naszego mieszkania, przypominałam sobie, że kiedyś przyśniłam, iż miałam znaleźć się w więzieniu, walcząc o swoją wiarę. Powiedziałam tylko Marii i kilku przyjaciółom, że miałam wizję przyszłego uwięzienia. „Nie boisz się myśli o więzieniu?” – pytali mnie. „Nie boisz się, że będą cię torturować i gwałcić?”

Moja odpowiedź była zawsze taka sama: „Bóg jest moim Ojcem i On nie dopuści, by przydarzyły mi się te okropne rzeczy. A gdyby dopuścił, oznaczałoby to spełnienie Jego woli w sposób, którego ja nie jestem w stanie zrozumieć. To jest tajemnica, ale zawsze będę ufała Panu”.

Była godzina osiemnasta i *basidzi* plądrowali nasze mieszkanie już od ponad dwóch godzin. Prosząc o pozwolenie wstania z tapczanu, podałyśmy im płyty i egzemplarze Nowego Testamentu, których oni szukali, i nawet pomogłyśmy przeliczyć: 190 książek oraz 500 płyt.

Nie dając się zastraszyć, Maria powiedziała: „Musicie nam to wszystko później zwrócić”.

„Z pewnością otrzymacie to z powrotem” – niezbyt przekonującym tonem obiecał Mohammadi. Maria wzięła jeden Nowy Testament i podała mu ze słowami: „Powinieneś wziąć to i przeczytać”.

„Czytałem to – odparł – w wersji prawdziwej, a nie w takiej zafałszowanej, jak ta”.

Zapewne miał na myśli tak zwaną Ewangelię Barnaby, fałszywe Pismo, opublikowane w języku perskim w XVIII wieku, ukazujące Jezusa nie jako Syna Bożego i Zbawiciela świata, tylko jako mniejszego proroka, podobnie jak przedstawia Go Koran. Wielu muzułmanów uważa, że właśnie ta książka to chrześcijańska Ewangelia, ponieważ nigdy w życiu nie mieli możliwości przeczytania prawdziwej Ewangelii.

Mohammadi wziął do ręki inną książkę, *Wyznania św. Augustyna*.

„Na co ci ta książka?” – rzucił.

„Można ją kupić w każdym sklepie w kraju” – odparłam. „Myślałyśmy, że będzie ciekawa”.

Patrząc, jak Mohammadi przerzuca nasze książki, zastanawiałam się, czy on w ogóle potrafi czytać. Jeśli nawet posiadał tę umiejętność, miał co najwyżej powierzchowną wiedzę o książkach. Takich młodych ludzi o zamkniętych umysłach i niskim poziomie wykształcenia nasz rząd produkował na tysiące.

Mohammadi nie był w stanie odróżnić chrześcijańskich ksiązek od innych i nie widział różnicy między naszymi płytami a albumami muzyki popularnej.

„Wygląda na to, jakby Pan był obecny wszędzie w tym domu” – powiedział Mohammadi po chwili.

„Nie znajdziesz tu nic oprócz Pana – odparłam, – ponieważ żyjemy z Panem”.

Byłyśmy w niebezpieczeństwie. Ci ludzie przeszukiwali nasze mieszkanie bez nakazu władz. Najwyraźniej mieli zamiar nas aresztować, nie stawiając żadnych zarzutów. Teoretycznie prawo w Iranie nie zabrania być chrześcijaninem. Jednak w praktyce policjanci, Stróże Rewolucji, sędziowie i wszyscy, którzy trzymają władzę w tym kraju, interpretują prawo po swojemu i nie można na nich liczyć. Ci dwaj młodzieńcy i dziewczyna mogli oskarżyć nas o cokolwiek albo zatrzymać bez stawiania zarzutów. I chociaż bycie chrześcijaninem nie jest przestępstwem, przejście z islamu na inną wiarę oraz ewangelizacja innych muzułmanów są uważane za przestępstwo i karane śmiercią.

Wprawdzie Maria i ja byłyśmy wychowane w rodzinach muzułmańskich, jednak nie przyjęłyśmy islamu ani będąc dziećmi, ani już jako osoby dorosłe. Według nas nigdy nie „odeszłyśmy” od islamu, ponieważ nigdy nie byłyśmy prawdziwymi muzułmankami. Spotkałyśmy się na konferencji ewangelizacyjnej w Turcji i postanowiłyśmy pracować razem, po czym spędziłyśmy trzy ostatnie lata w Teheranie, po cichu ewangelizując każdego, kto był tym zainteresowany. Na mapie ściennej podzieliłyśmy miasto na duże sektory i przez dwa lata pomiędzygodziną dwudziestą a północą kolejno odwiedzałyśmy je. Rozdawałyśmy Nowy Testament ludziom w kawiarniach, taksówkarzom, zostawiałyśmy go w sklepach i podrzucałyśmy do skrzynek pocztowych. Po obejściu całego sektora zaznaczałyśmy go na naszej mapie krzyżem. W ciągu trzech lat rozprowadziłyśmy około 20 tysięcy egzemplarzy Nowego Testamentu.

Wyjeżdżałyśmy również poza Teheran, zawożąc Biblię do innych miast. Zostawiłyśmy nawet kilka egzemplarzy w Kom, najświętszym dla muzułmanów miejscu, do którego chrześcijanom nie wolno było nawet wchodzić. Ale czy istnieje lepsze miejsce, by podprowadzić ludzi do prawdy o Jezusie Chrystusie? Przez lata nauczyłyśmy się ostrożności i polegania na Bogu, który chronił nas, gdziekolwiek udawałyśmy się.

Mimo wszystko władze zaczęły nas podejrzewać. Nie miałyśmy zamiaru wyrzekać się naszej wiary ani ukrywać jej w żadnych okolicznościach. Ale od czasu, gdy władze miały nas na oku, było coraz trudniej zachowywać wierność Chrystusowi i kontynuować posługę tak, by nas nie schwytano.

Takie myśli i wspomnienia kotłowały się w mojej głowie, kiedy razem z Marią pomagałyśmy *basidzi* pakować wszystko, co chcieli zabrać: egzemplarze Nowego Testamentu, płyty CD, nasze czasopisma, rzeczy osobiste, dokumenty

tożsamości itp. Kazali nam iść ze sobą, jednak nie pozwolili zabrać żadnych dodatkowych ubrań lub rzeczy. Nie miałyśmy pojęcia, dokąd nas zabierają i kiedy będziemy mogły wrócić do domu.

„Czy mamy zabrać ze sobą letnie lub zimowe ubrania?” – zapytała Maria, próbując wyjaśnić sytuację. Odpowiedzi nie było.

Młoda kobieta zaprowadziła nas z Marią do małego, obskurnego białego samochodu i usiadła między nami na tylnym siedzeniu. Za nami szli obaj mężczyźni ze skrzynkami pełnymi naszych rzeczy. Robiło się ciemno, wiatr stawał się coraz chłodniejszy. Na ulicy przed naszym domem było cicho, ale jadąc przez osiedle, widziałyśmy, jak tłumy ludzi wchodziły do sklepów i wychodziły z zakupami, przygotowując się do świąt irańskiego Nowego Roku, który miał nastąpić za jakieś dwa tygodnie. Wzdłuż jezdni było pełno zaparkowanych samochodów, a na chodnikach – ludzi.

Nasz samochód minął mury więzienia widoczne z naszej kuchni. Było to sławetne więzienie Ewin, zbudowane w czasach szacha do przetrzymywania przeciwników jego reżimu. Po odsunięciu szacha od władzy w 1979 roku Ewin wykorzystywano jako więzienie polityczne. Byli tu zamykani w pojedynczych celach i torturowani ludzie, uznani za wrogów państwa muzułmańskiego. Przechodziłyśmy obok jego murów z czerwonej cegły prawie codziennie. Często zastanawiałyśmy się, jak wygląda życie za tymi murami i kto może tam się znajdować. Teraz wyglądało na to, że wkrótce o tym się dowiemy...

W końcu podjechaliśmy do posterunku policji w dzielnicy Gisza. Był to dwupiętrowy budynek z cegły, do którego codziennie przychodziło mnóstwo ludzi po dokumenty rejestracyjne swoich pojazdów. Jak zwykle, przy wejściu głównym był duży ruch. Jednak nie wprowadzono nas przez drzwi frontowe. *Basidzi* kazali nam wejść przez tylne wejście, przy którym stali ochroniarze. Było to wejście do Oddziału 2, który zajmowały służby bezpieczeństwa, prowadzące sprawy przestępstw przeciwko państwu.

\*\*\*

Początek naszej strasznej przygody miał miejsce wczesnym rankiem tego samego dnia, 5 marca 2009 roku. Kiedy razem z Marią przygotowywałyśmy się do wykonania swoich zadań, odebrałam dziwny telefon. Uprzejmy głos na drugim końcu linii poinformował mnie, że jest jakiś problem z rejestracją mojego samochodu i poprosił, bym przyszła dziś przed godziną drugą po południu na posterunek policji w Gisza w celu wyjaśnienia sprawy. Szybko zadzwoniłam do poprzedniego właściciela samochodu, by dowiedzieć się, czy on wie o jakimś problemie, ale on nie odebrał telefonu. Wtedy zadzwoniłam do znajomego prawnika, by zapytać, czy to może być coś poważnego.

„Nie – zapewniał mój przyjaciel, – nie ma się czym przejmować. Takie rzeczy się zdarzają co rusz”.

Mimo to nie mogłam przestać myśleć o tym, co się wydarzyło kilka dni wcześniej, kiedy składałam podanie o wymianę paszportu na nowy. W jednym z formularzy było pytanie o religię – w odpowiedzi zaznaczyłam „chrześcijanka”. Kiedy nadeszła moja kolej, urzędnik był oburzony.

„Jak to możliwe?” – dopytywał się. „Masz muzułmańskie imię, twoi rodzice są muzułmanami. Jak możesz być chrześcijanką?”

„U Pana wszystko jest możliwe” – odpowiedziałam.

Urzędnik spojrział na mnie przenikliwym wzrokiem, ale nic więcej nie powiedział.

Rozmyślałam o porannej rozmowie, wykonując moje zadanie. Kiedy o wpół do dwunastej przyszedłam na policję, przy wejściu zatrzymał mnie ochroniarz.

„Czego tu chcesz?” – zapytał.

„Dzwonili do mnie, że jest jakiś problem z rejestracją mojego samochodu” – wyjaśniłam.

„Nie powinnaś wchodzić ubrana w ten sposób”.

Miałam na sobie skromne ubrania, włosy były całkowicie zakryte, zgodnie z tym, co było wymagane w miejscach publicznych. Nie miałam jednak na sobie *czadoru*, ponieważ nie byłam muzułmanką.

„Ale moje ubrania zakrywają całe ciało” – odpowiedziałam.

„Powiedziałem to, co do mnie należy” – rzucił ochroniarz. „Reszta to twoja sprawa. Ale jeśli wejdiesz ubrana w ten sposób, nikt ci nie pomoże i zostaniesz zignorowana”.

Mając na uwadze konieczność wyjaśnienia tajemnicy dokumentów, wróciłam do domu, by się przebrać, a potem znowu przyszedłam na posterunek. W tym momencie rozpoczęła się przerwa obiadowa, w czasie której są odprawiane modły wymagane przez prawo islamskie.

Wy tłumaczyłam ochroniarzowi, że kazano mi przyjść nie później niż o godzinie czternastej. On powtarzał, że posterunek jest zamknięty i nikt nie zajmie się mną teraz. Po kilku minutach dyskusji przekonałam go, by mnie jednak wpuścił. Powtórzyłam urzędnikowi moją historię i treść dziwnej rozmowy telefonicznej.

„To niemożliwe” – odrzekł urzędnik. „Nie sądzę, byśmy do pani dzwoniли. Musiała pani się pomylić”.

Podał mi jakiś adres: „Proszę udać się do tego biura”.

W tym momencie obok przechodził gruby mężczyzna w średnim wieku ubrany w mundur policyjny. „Nazywam się Hagigat” – powiedział uprzejmie. W języku perskim wyraz *hagigat* oznacza „prawda”. Policjanci na wysokich stanowiskach, sędziowie i inni ludzie, sprawujący władzę w Iranie, nie używają

swoich prawdziwych imion, ale korzystają z pseudonimów. Jak wkrótce się okazało, imię mężczyzny niewiele miało wspólnego z rzeczywistością, którą on sobą reprezentował.

„Myślę, że mogę pani pomóc” – dodał. „Pani pozwoli za mną”.

Poszłam za nim po korytarzu, aż doszliśmy do pokoju, w którym było niewiele mebli. Przy biurku siedział krzepki mężczyzna z dużą kwadratową twarzą, pokrytą gęstym kilkudniowym zarostem. Jego ciemne, głęboko osadzone oczy wydawały się nieproporcjonalnie małe na jego twarzy, a krzaczaste brwi nadawały groźny wyraz spojrzeniu.

Ku mojemu zdziwieniu mężczyzna uśmiechnął się do mnie i powiedział: „Teraz pani dobrze trafiła. To ja dzwoniłem do pani dziś rano. Nazywam się Rasti (i ten wyraz też po persku znaczy „prawda”). Proszę usiąść”.

Pan Hagigat wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi i zostawiając nas sam na sam.

„Proszę mi pokazać pani dokumenty” – powiedział pan Rasti.

Podalam mu mój dowód osobisty, prawo jazdy i dowód rejestracyjny samochodu. Po dłuższym oglądaniu dokumentów pan Rasti zaczął zadawać pytania, nie podnosząc wzroku.

„Czy jest pani mężatką?”

„Nie”.

„Czy mieszka pani z rodzicami?”

„Nie, mieszkam razem z przyjaciółką”.

Zapytał mnie o adres i kilka szczegółów osobistych. Potem nastąpiła pauza.

„Czy jest pani chrześcijanką?”

Aha! Więc to o to cały czas chodziło! Samochód nie miał z tym nic wspólnego. Wezwali mnie z powodu mojego podania o nowy paszport.

„Tak, jestem chrześcijanką od jedenastu lat. A dlaczego pan o to pyta?”

„Czy zna pani Biblię?”

„Tak, oczywiście. Jestem chrześcijanką i znam Biblię. Mam własny egzemplarz. Czy to stanowi jakiś problem?”

Pan Rasti nie odpowiedział. Zamiast tego zapytał, czy byłam w pewnej restauracji któregoś konkretnego dnia. Chodziło o bardzo popularną restaurację, gdzie posiłki serwowano w sposób tradycyjny, na niskich stolikach, przy których leżało się na tapczanach. Dania i muzyka również były tradycyjne. To miejsce było zawsze pełne młodych ludzi i pracownicy służb bezpieczeństwa, ubrani po cywilnemu, zawsze je obserwowali.

„Nie pamiętam dokładnie” – odparłam. „Nie przypominam sobie nawet, co jadłam wczoraj. Ta restauracja jest mi znana, ale nie jestem pewna, czy akurat tego dnia tam byłam”.

Wreszcie pan Rasti podniósł oczy, wbijając we mnie wzrok.

„Nasi agenci bezpieczeństwa widzieli panią i pani przyjaciółkę w tej restauracji jakiś miesiąc temu. Rozdawałyście Biblie. Agenci zanotowali numer rejestracyjny samochodu i w ten sposób odnaleźliśmy panią. Czy rozdawała pani Biblie w restauracji?”

„Jestem chrześcijanką – odparłam – i wierzę w Biblię. Kiedy ktoś mnie pyta o Biblię, zawsze udzielam odpowiedzi. Jeśli ktoś prosi o egzemplarz Biblii, zawsze daję. Możliwe, że dałam komuś Nowy Testament w tej restauracji. Czy to stanowi jakiś problem?”

Wyraz twarzy pana Rastiego zupełnie się zmienił. W gniewie poderwał się ze swojego krzesła i krzyknął: „Ja ci pokażę, jaki to stanowi problem! Ochrona! Zawołać tu natychmiast dwie policjantki!”

Nagła zmiana tonu była szokująca i przez chwilę odczuwałam strach. Nagle przypomniałam sobie obietnicę, jaką złożyłam Panu już dawno temu: „Nigdy nie zaprę się Ciebie. Ufam, że zawsze będziesz ze mną i przewycięzysz mój strach”.

Do pokoju wbiegły dwie kobiety ubrane w *czadory* i długie welony. „Jest pani aresztowana” – oznajmił Rasti, kiedy jedna z policjantek skubała moje ręce kajdankami. Wyszedł z pokoju i po chwili wrócił w towarzystwie dwóch młodych mężczyzn: jeden był bardzo młody i szczupły, drugi – nieco starszy, o jasnej karnacji.

„Mamy nakaz przeszukania pani mieszkania” – ogłosił pan Rasti. „Musi pani pójść z tymi dwoma mężczyznami i umożliwić im rewizję. A gdzie jest teraz pani współlokatorka?”

„Poszła do dentysty” – odpowiedziałam.

„Do dentysty czy rozdawać Biblie?” – rzucił pan Rasti z głupim uśmiechem.

Wciąż w kajdankach, zostałam wepchnięta do małego białego samochodu policyjnego. Razem ze mną wsiedli obaj młodzi mężczyźni i jedna z policjantek o imieniu Zahra. Patrzyła na mnie z pogardą. W drodze pochyliłam się ku niej i wyszeptalam: „Jestem chrześcijanką. Poza moją wiarą nie ma żadnego powodu, dla którego zakuliście mnie w kajdanki. Doznałam zaszczytu służenia Jezusowi w ten sposób i chcę, żebyś wiedziała, iż nie mam ci za złe, że tak ze mną postępujesz”. Bezczelny uśmiech Zahry zniknął i do końca podróży ona na mnie już nie spojrzała.

\*\*\*

Maria &

Przed pójściem do dentysty spędziłam część poranka, robiąc zakupy na nadchodzące święta Nowego Roku. Z trudem przepychałam się przez zatłoczone

ulice, oglądając witryny sklepów wypełnione towarem. Niektóre rzeczy – na przykład pisanki – można było kupić tylko w okresie świątecznym.

Przedzierając się przez tłum, pomyślałam: „Po wizycie u dentysty muszę kupić parę tradycyjnych noworocznych rybek – czerwoną kupię dla Marceliny, a czarną dla siebie”.

Rano słyszałam, jak Marcelina rozmawiała przez telefon na temat problemów z dokumentami na samochód oraz jak potem dzwoniła do prawnika. Ta historia wydała mi się podejrzana i nieco się martwiłam. Ale wtedy przypomniałam sobie: „Zdarzyć się może tylko to, co Bóg zaplanował w naszym życiu w celu realizacji swoich planów. Żaden człowiek i żadna władza nie może tego zmienić”.

Spędziłam pół godziny w fotelu dentystycznym i umówiłam się na kolejną wizytę za kilka dni. Zaniepokojona z powodu dziwnego porannego telefonu, zadzwoniłam do Marceliny.

„Jestem w domu – powiedziała – ale tylko po to, by się przebrać, inaczej urzędnik na policji mi nie pomoże”.

„Poczekaj, aż przyjdę” – poprosiłam. „Coś tu jest nie tak. Omówmy to spokojnie i zastanówmy się, co dalej robić”.

„Masz rację, powinnyśmy uważać” – odpowiedziała Marcelina. „Ale chcę pójść na policję i wyjaśnić tę sprawę, by potem dokończyć moje zadanie. Zostawię ci adres na kartce”.

Nie mogłam wiedzieć, że Marcelina trafi prosto do pułapki i wróci do domu aresztowana. Nasze zaufanie Bogu miało być poddane próbie.

Zaledwie dwa dni wcześniej rozważyliśmy z Marceliną historię życia św. Łukasza, który został chrześcijaninem w bardzo trudnych czasach i wiernie towarzyszył św. Pawłowi aż do jego męczeńskiej śmierci. Czy byłibyśmy w stanie być tak wierni i tak silni? Stwierdziłyśmy, że tak. Pójdziemy za Chrystusem wszędzie – do Arabii Saudyjskiej, do Moskwy lub gdziekolwiek, gdzie istnieje zagrożenie dla wyznawców Chrystusa.

Ale czy naprawdę jesteśmy do tego zdolne? Czy rzeczywiście będziemy w stanie podążać za Jezusem wszędzie i spełniać Jego wolę? Wszystko wydawało się proste i jednoznaczne, kiedy rozmawiałyśmy o tym same w naszym mieszkaniu. Teraz znalazłyśmy się w rękach policji i czekały na nas poważne problemy. Patrząc na twarz Marceliny, zrozumiałam, że czuje się ona tak samo, jak ja: stara się zachować pewność i spokój na zewnątrz, a wewnątrz jest sparaliżowana strachem. Ścisnęło mi żołądek, w ustach czułam suchość jak na pustyni Daszt-e Lut, ale elektryzująca fala adrenaliny przepływała przez moje żyły.

Próbowałam zwalczyć paniczny strach, ale rozumiałam, że jesteśmy słabe i wcale nie odważne. Przecież nawet św. Piotr, najbliższy przyjaciel Jezusa, w obliczu niebezpieczeństwa zaparł się Pana. Czy możemy zaprzeczyć się Pana, by ratować życie? Jeśli nie damy rady i upadniemy jak św. Piotr, czy będziemy mogły

sobie przebaczyć? Modliłam się, by Pan dodał nam sił. Możemy być odważne i okazać sprzeciw tylko i wyłącznie przez Jego moc, nie naszą własną. Bez Chrystusa jesteśmy niczym. Z Nim mamy siłę i jesteśmy bezpieczne.

Pocieszałam się tymi myślami, gdy razem z Marceliną byłyśmy prowadzone przez ten sam zatłoczony komisariat policji, gdzie ona była kilka godzin wcześniej. Mężczyźni, którzy przeszukiwali nasze mieszkanie, zaprowadzili nas po schodach do niewielkiego pomieszczenia z gołymi ścianami, dużym biurkiem przy oknie i czterema krzesłami. Na biurku i na podłodze leżały różne rzeczy, najwyraźniej skonfiskowane. Usiadłyśmy i patrzyłyśmy, jak oni układali na biurku razem z innymi rzeczy zabrane z naszego mieszkania.

„Siedźcie cicho i nie rozmawiajcie ze sobą” – rozkazała policjantka.

Zrobiłyśmy, jak ona kazała. Po pewnym czasie usłyszałyśmy kroki na korytarzu.



## ROZDZIAŁ 2

*Winne*

Marcelina &

Do pokoju wszedł pan Rasti. Spojrzał na nas swoimi małymi ciemnymi oczami i zaczął przeglądać nasze rzeczy, wyłożone na biurku. Podniósł bliżej światła Nowy Testament, po czym zaczął grzebać w płytach CD. Nagle się skrzywił i zwrócił się surowo do Mohammadiego:

„Czy zabraliście wszystkie dowody?”

Mohammadi i jego kolega podnieśli swoje skrzynki i kiwnęli twierdząco.

„Czy one nie miały laptopa?”

Oczy Mohammadiego szeroko się otworzyły i przez chwilę patrzył jak baran. Następnie powiedział: „Przepraszam. Wydawało mi się, że go zabraliśmy. Chyba jednak został w ich mieszkaniu”.

„Weź jedną z tych winnych dziewczyn i natychmiast wracaj po niego”.

Byłyśmy zatrzymane zaledwie kilka minut temu, a już obwołano nas „winnymi dziewczynami”. Wciąż w kajdankach, Maria z Mohammadim i policjantką udała się po laptop. Jej zuchwa zaczynała drzeć z bólu, gdyż lek przestawał działać.

Zostałam pod strażą w tym pokoju, również w kajdankach. Od rana nic nie jadłam i drżałam z osłabienia. Poprosiłam o wodę, pragnąc pokazać, że jestem wyczerpana, ale nie przestraszona. Pan Rasti szybko wyszedł z pokoju, a kiedy wrócił, usiadł przy biurku, patrząc na mnie surowo.

„Od tego momentu będzie pani mówiła tylko prawdę” – rzucił.

„Cały czas mówię tylko prawdę” – odpowiedziałam ostro „Ale pan nie mówi prawdy! Dziś rano pan mnie okłamał z tym samochodem, by podstępnie mnie tutaj sprowadzić. Powiedziałam panu, że jestem chrześcijanką od jedenastu lat i że mogłam dać komuś Nowy Testament w tej restauracji. Mogłam wszystkiemu zaprzeczać, ale odpowiadałam uczciwie. A teraz pan mi każe mówić prawdę *od tego momentu?*”

Zauważyłam, że podnoszę głos.

„Byłem zmuszony okłamać panią” – zaczął tłumaczyć się pan Rasti.

„Przewróciliście do góry nogami moje mieszkanie, nie mając na to zezwolenia” – ciągnęłam dalej. „Nie mieliście do tego prawa. Czyż nie mam racji? Czy na tym polega praworządność?”

„Mamy nakaz przeszukania – odparł pan Rasti, – proszę”.

Rasti rzucił przez biurko jakiś papier. Ledwie zdążyłam na niego spojrzeć, ale zauważyłam, że ten dokument nie miał nic wspólnego z naszą sprawą. Tylko na marginesie było coś dopisane ręcznie na temat naszego mieszkania, z podpisem

i pieczętką.

„To nie jest prawdziwy nakaz rewizji” – powiedziałam. „Ten papier nie ma mocy prawnej. To jest fałszerstwo”.

Nieco zmieszany z powodu mojego oporu pan Rasti przez chwilę zbierał się z myślami. „W nagłych sytuacjach możemy otrzymać pozwolenie nawet przez telefon” – powiedział w końcu. „Nie mieliśmy czasu wypisywać go!” Najwyraźniej zdenerwowany, poderwał się z krzesła i wyszedł z pokoju.

Kiedy Maria wróciła w towarzystwie *basidzi* z laptopem, wyprowadzono nas przez piękny ogród wewnętrzny do innego pomieszczenia. Posadzono nas na krzesłach przy przeciwległych ścianach tak, byśmy nie mogły rozmawiać, i kazano czekać.

Trzy policjantki, które nas pilnowały, zaczęły gadać między sobą. „One zostały chrześcijankami!” – powiedziała jedna z nich. „Znaleźliśmy w ich mieszkaniu mnóstwo Biblii i innej chrześcijańskiej propagandy. Będą miały poważne kłopoty. A ponieważ są wciąż tutaj, pewnie nici będą z mojej popołudniowej drzemki!”

„Co zmusiło cię, byś została chrześcijanką?” – zapytała Marię jedna z policjantek ze złością w głosie. „Czy nie wiesz, że w ten sposób zaczęłaś należeć do *kafarów*?” – dodała, używając muzułmańskiego słowa, oznaczającego niewiernych.

Inna policjantka na głos czytała coś z Koranu. Podniosła oczy i powiedziała: „Chciałabym wiedzieć, dlaczego zostaliście chrześcijankami. Przecież my, muzułmanie, również wierzymy w Jezusa”.

Mimo że Maria była wyraźnie wyczerpana, z pewnością głodna i obolała, krótko wyjaśniła chrześcijańską wiarę w to, że Jezus jest Zbawicielem ludzkości. „On nie jest jedynie prorokiem, jak twierdzi Koran. On był wcielonym Bogiem, który wziął na siebie grzechy świata. Został ukrzyżowany, by zapłacić za nasze winy, za które my powinniśmy zapłacić. Na trzeci dzień po śmierci powstał z martwych i później wstąpił do nieba, by być z Bogiem Ojcem”.

Kobieta z Koranem rzuciła głośno: „Według Koranu, jesteś *kafarem*! Jezus nigdy nie był ukrzyżowany. On uciekł wcześniej. Był prorokiem, nie Zbawicielem; każdy, kto wierzy, że On jest Synem Bożym jest *kafarem* i będzie skazany na śmierć! Jest mi bardzo przykro z twojego powodu”.

Policjantki zaczęły mówić wszystkie na raz, wyśmiewając nasze słowa i śmiejąc się na myśl, że będziemy siedziały w więzieniu, dlatego że trzymamy się tak niedorzecznych wierzeń.

Weszła inna policjantka i wywołała moje imię. „Idź za mną” – rozkazała. Zostałam zaprowadzona z powrotem do biura pana Rastiego.

„Proszę usiąść” – powiedział pan Rasti. Usiadłam naprzeciwko jego biurka, na którym piętrzyły się nasze egzemplarze Nowego Testamentu i płyty. Moje

nadgarstki bolały z powodu kajdanków; byłam już bardzo głodna, ale odmówiłam po cichu krótką modlitwę i byłam zdeterminowana, by zachowywać spokój.

„Jak długo, mówi pani, jest pani chrześcijanką?” – zaczął.

„Jedenaście lat”.

„I jak pani przeszła na tę religię?”

„Duch Chrystusa zamieszkał w moim sercu, czytałam też Biblię i inne książki”.

„Czy jest pani związana z jakimiś Kościołami w Iranie?”

„Nie”.

„Ilu chrześcijan pani zna?”

Prawda była taka, że znałam wielu chrześcijan. Ale gdybym się do tego przyznała, ten człowiek domagałby się nazwisk i adresów. Ich bezpieczeństwo, wolność, rodziny i nawet życie byłoby zagrożone, ponieważ nie miałyśmy z Marią żadnej możliwości ostrzec kogokolwiek z nich. Nigdy bym nie kłamała w sprawie mojej wiary, ile by mnie to nie kosztowało. Ale czułam, że muszę uchronić innych ludzi przed tym, co najwyraźniej groziło nam z Marią.

„Nikogo poza Marią”.

„Gdzie zostałaś chrześcijanką?”

„W Turcji”.

Znowu nie było to do końca zgodne z prawdą. Zostałam ochrzczona w Turcji siedem lat po tym, jak nawróciłam się w Iranie. Jednak wiedziałam, że jeśli powiem o moim nawróceniu w Iranie, padnie mnóstwo pytań, które sprowadzą problemy na głowy wielu ludzi.

„Również w Turcji spotkałam Marię po raz pierwszy” – dodałam.

„Chodziła pani w Turcji do kościoła?”

„Mieszkałam tam przez rok i czasami chodziłam do kościoła”.

„Dlaczego chodziła pani do kościoła?”

„Żeby się modlić, a także by mieć kontakt z innymi Irańczykami w Turcji”.

„Ilu ludziom dała pani Biblię?”

„Dawałam ją moim przyjaciołom, którzy zadawali pytania. Poza tym każdemu, kto chciał wiedzieć coś o mojej wierze w Chrystusa”.

„Czy dawała pani Biblię innym ludziom w czasie podróży?”

„Zawsze mam przy sobie kilka egzemplarzy Nowego Testamentu i jeśli ludzie mnie proszą, zawsze im daję”.

Pytania sypały się i sypały: „Dlaczego nie mieszkam z rodzicami? Ile zarabiam? Jak sprowadzam Nowy Testament do Iranu? Kim są ludzie na zdjęciach w naszym laptopie?”. W końcu pan Rasti przesunął do mnie stertę papierów.

„Proszę podpisać” – powiedział.

Nie miałam żadnej możliwości ich przeczytania i byłam zbyt zmęczona, by się sprzeciwiać. Kiedy podpisałam, policjantka zaprowadziła mnie z powrotem do

pokoju, gdzie siedziała Maria, i zabrała ją na przesłuchanie do pana Rastiego.

\*\*\*

Maria &

Kiedy usiadłam przed biurkiem pana Rastiego, usłyszałam tę samą litanię pytań, co Marcelina – jak się później dowiedziałam.

„Jak długo jest pani chrześcijanką?”

„Jedenaście lat”.

„Czy pani rodzice są też chrześcijanami?”

„Nie”.

„Dlaczego wierzy pani w Jezusa? Czy to oznacza, że pani już nie jest muzułmanką?”

„Wierzę w Jezusa, ponieważ Jego Duch wstąpił do mojego serca. Wiem, że On jest Synem Bożym i moim Zbawicielem” – wyjaśniłam.

„Kto namówił panią, by zostać chrześcijanką?”

„Nikt. Czytałam Biblię i Jezus sam odkrył mi prawdę”.

„Z jakimi jeszcze chrześcijanami utrzymuje pani kontakty, oprócz współlokatorki?”

„Z nikim więcej”.

„Kto dał pani te wszystkie egzemplarze Biblii i płyty CD, i inne materiały religijne?”

„Nikt. Są moją własnością. Sama przywiozłam je do Iranu”.

„Czy rozmawiała pani o Jezusie z kimkolwiek po swojej konwersji?”

„Tak. Z krewnymi, przyjaciółmi, z każdym, kto pytał”.

„Dawała im pani Biblię czy płyty?”

„Tak, jeśli o to prosili”.

„Pani Marcelina Amirzade zeznała, że dzisiaj we dwie jeździłyście samochodem w celu rozpowszechniania Biblii. Czy pani temu zaprzeczy?”

Co za wstrętny podstęp! Ta metoda jest często stosowana podczas przesłuchań: mówią ci, że inna osoba o czymś doniosła, w nadziei, że przyznasz się do czegoś, co miałaś zamiar ukryć, ponieważ zaczynasz myśleć, iż władze i tak wszystko wiedzą. Ale my z Marceliną zbyt dobrze znałyśmy się i zbyt mocno ufałyśmy sobie nawzajem, by taki numer się udał.

„Nie, nie rozdawałyśmy Biblii. Byłam rano u dentysty”.

„Pani przyjaciółka zeznała, że we dwie jeździłyście do różnych miast północnego Iranu w celu dystrybucji Biblii”.

„Tak powiedziała?”

„Tak” – potwierdził pan Rasti czerwieniąc się. „Tutaj jest wszystko spisane”

– wskazał na jakieś papiery rozłożone przed nim.

„Nic takiego nie miało miejsca” – odpowiedziałam.

„Czy wie pani, że rozmawianie o Jezusie lub dawanie innym Biblii jest nielegalne?”

„Nie” – powiedziałam. „Nie wiedziałam, że mówienie o Bogu może kogoś skrzywdzić”.

„Z iloma ludźmi rozmawiała pani o Jezusie od czasu, kiedy została chrześcijanką?”

(„Chyba były ich tysiące” – pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno).

„Może dziesięć czy dwanaście osób w ciągu roku i mniej więcej tyle dałam im ksiąg Nowego Testamentu”.

Są pytania, na które mogłam odpowiadać zgodnie z prawdą, nie narażając nikogo na niebezpieczeństwo. Jednak to pytanie mogło wywołać całą lawinę kolejnych pytań i sprowadzić nieszczęście na innych ludzi. Tak więc, nie mogłyśmy kłamać na temat naszej osobistej wiary, ale też nie mogłyśmy zdradzić naszych przyjaciół. Podjęłam tę samą decyzję, co Marcelina w czasie jej przesłuchania, mimo że tego nie uzgadniałyśmy wcześniej.

„Dlaczego pani to robi?” – dopytywał się szorstko pan Rasti. „Dlaczego chce pani odebrać młodym ludziom ich wiarę i religię?”

„Nigdy nie miałam takiego celu” – odpowiedziałam. „Nigdy nie próbowałam odebrać komuś jego wiarę. Kiedy ludzie zadawali pytania, odpowiadałam. Jeśli chcieli wiedzieć więcej, dawałam im taką możliwość, ponieważ chciałam się dzielić prawdą o miłości Pana i o Jezusie, który ich zbawił”.

„Czy nie wierzy pani w proroka islamu, w przywództwo imamów i w to, że islam jest religią najpełniejszą?”

„Nie, nie wierzę. Biblia mówi, że Jezus Chrystus jest pierwszym i ostatnim Zbawicielem ludzkości. Jezus mówi: «Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie» (J 14,6)”.

„Jest pani w błędzie!” – zmarszczył się pan Rasti. „W prawdziwej Biblii nie ma takich słów. Jezus obiecał, że po nim nadejdzie ostatni prorok, i nadszedł Mahomet. Przeprano pani mózg za pomocą jakiejś sfalszowanej wersji Biblii! Powinna pani przeczytać prawdziwą wersję, dostępną w sprzedaży w każdym sklepie w Iranie”.

„Panie Rasti – odpowiedziałam, – uwierzyłam w Jezusa nie dlatego, że przeczytałam jakąś książkę, usłyszałam czyjąś opinię, jakąś zachętę lub wykonałam jakieś badania. Jezus przemówił do mnie w moim sercu. Doświadczyłam Go, czuję Go, moja dusza dotyka Go i wie, że On żyje. Zanim uwierzyłam, zanim postawiłam moją nogę w kościele, usłyszałam Jego głos, wzywający mnie, i odpowiedziałam”.

Pan Rasti wziął do ręki stertę notatek, które robił w czasie przesłuchania. Pytania były na czerwono, odpowiedzi na czarno.

„Proszę postawić swój podpis i odcisk palca obok każdej odpowiedzi” – poinstruował.

„Ale nie przeczytałam żadnej z nich” – zaprotestowałam.

Pan Rasti zdenerwował się.

„Nie mam zamiaru narażać moje życie po śmierci z powodu jakichś kłamstw na tym papierze! Zapewniam panią, jestem uczciwym człowiekiem”.

Było już po dwudziestej trzeciej. Przesłuchiowano mnie ponad dwie godziny. Byłam na policji od popołudnia i czułam się zbyt zmęczona i obolała po wizycie u dentysty, by dyskutować. Zrobiłam, jak mi powiedział, po czym zaprowadzono mnie do pokoju, gdzie czekała Marcelina. Nie pozwolono nam rozmawiać, ale znałyśmy się na tyle dobrze, że mogłyśmy się porozumieć bez słów.

„Wszystko w porządku?” – zapytała oczami Marcelina.

„Tak” – zapewniłam ją.

Około północy przyszedł inny ochroniarz i oznajmił: „Pozostaniecie pod strażą. Zaprowadzę was do aresztu”.

Więźniów nie przetrzymywano na posterunku policji. Musiałyśmy wyjść na miasto, by mogli nas zamknąć. Zabrano nas do biura w celu przygotowania niezbędnych dokumentów. Siedział tam znudzony, senny żołnierz.

„O co was oskarżono?” – zapytał, sięgając po druki.

„O chrześcijaństwo” – odpowiedziałyśmy razem.

„Reklamowanie i promowanie chrześcijaństwa” – dodała eskortująca nas policjantka, która właśnie złączyła nas kajdankami.

Kiedy zobaczyłyśmy z Marceliną, że kajdanki nas łączą, wybuchłyśmy śmiechem. Marcelina podniosła nasze złączone ręce i ogłosiła: „Jesteśmy dumne z tych kajdanków, ponieważ nosimy je z powodu naszej wiary w Jezusa Chrystusa!”.

„Ja też wierzę w Jezusa – powiedział żołnierz – ale nigdy nie próbuję przekonywać kogokolwiek do mojej wiary. Jesteście pod strażą nie dlatego, że wierzycie w Jezusa, tylko dlatego, że narzucacie innym swoją wiarę”.

Wsadzono nas do innego brudnego białego samochodu i odwieziono do aresztu Wozara. Tam oficer zapytał naszego ochroniarza, jakie nam postawiono zarzuty. „Reklama i promocja chrześcijaństwa w Iranie” – padła odpowiedź.

Oficer nie mógł powstrzymać uśmiechu: „Naprawdę są podstawy prawne do stawiania takich zarzutów?”. Nasz ochroniarz nic nie powiedział. Inny oficer, gruby i nieuprzejmy, wyglądający na naczelnika, po przeczytaniu naszych papierów zaczął zadawać nam te same pytania, na które dzisiaj odpowiadałyśmy cały dzień: „Od jak dawna jesteście chrześcijankami? Czy jesteście mężatkami?”. I tak dalej.

„Czy wyznawanie Chrystusa jest przestępstwem?” – zapytałam.

„O to nas oskarżają” – dodała Marcelina.

„Nie” – odparł naczelnik. „Nie oskarżono was o to, że jesteście chrześcijankami. Najprawdopodobniej chodzi o sprawę polityczną. Jeśli sąd udowodni, że promując chrześcijaństwo, otrzymywałyście pomoc z zewnątrz, zostaniecie oskarżone o szpiegostwo”.

Długimi schodami odprowadzono nas na dół do piwnicy. Po ominięciu kilku stalowych drzwi znalazłyśmy się w małym pokoju z czerwoną wykładziną i grzejnikiem olejowym. Na podłodze wszędzie wały się resztki jedzenia. „Mamy tu zostać?” – zapytałam Marcelinę. Po raz pierwszy w życiu byłyśmy w więzieniu. Nie miałyśmy pojęcia, że pokój, który właśnie oglądałyśmy, był pokojem wypoczynku dla ochrony i zupełnie nie przypominał celi, w jakiej mieszkali więźniowie.

Odprowadzono nas do pokoju, gdzie czekały dwie zaspane, niezadowolone policjantki. „Oddajcie wszystkie swoje rzeczy” – rozkazała jedna z nich. Oddałyśmy im swoje zegarki i inne rzeczy, które miałyśmy ze sobą. „Teraz zdejmijcie wszystkie ubrania. Bieliznę również”. Zostałyśmy poddane poniżającej kontroli osobistej. Policjantki powiedziały, że to się robi w celu niedopuszczenia przemytu narkotyków do więzienia. Pozwolono nam się ubrać, ale nie zwrócono nam pończoch, szalików i butów, byśmy nie miały na czym się powiesić. Nie miałyśmy ciepłych ubrań i nieprzyjemny nocny chłód przenikał nasze ciała. Betonowa posadzka była jak lód pod naszymi bosymi stopami.

Przeszłyśmy przez kolejne metalowe drzwi i znalazłyśmy się w korytarzu, po obu stronach którego były wejścia do pomieszczeń. „Weźcie sobie koc ze sterty i poszukajcie jakiegoś miejsca” – powiedziała policjantka, zatrzymując za nami drzwi. W słabym świetle mogłyśmy zobaczyć leżących na podłodze ludzi nakrytych kocami. Większość kobiet spała o tej późnej godzinie, ale kilka par oczu obserwowało, jak chodzimy po korytarzu, zastanawiając się, do którego pomieszczenia wejść. Nie potrzebowałyśmy światła, by przekonać się, jak okropnie brudne jest to miejsce – nasze nosy mówiły nam wszystko. Smród potu, wymiocin i odchodów przenikał wszystko. Musiałyśmy mocno się powstrzymywać, by nie wymiotować – w tej sytuacji nasze puste żołądki okazały się błogosławieństwem. Podłoga w toalecie była zalana brudami przelewającymi się z przepełnionych sedesów; koszy na śmieci nie było widać spod wznoszących się stert brudnego papieru i podpasek.

Kiedy znalazłyśmy pomieszczenie, które wydawało się mniej zatłoczone, wróciłyśmy do wejścia po koce. Były ohydne – aż sztywne od brudu i mocno śmierdzące moczem, a niektóre nawet mokre. Prawie wszystkie koce były w takim samym stanie, ale było na tyle zimno, że musiałyśmy czymś się nakryć. Zabrałyśmy kilka z tych, co wydawały się najbardziej suche, i poszłyśmy do upatrzonego pomieszczenia. Zawinęłyśmy się w koce, jak tylko się dało, i położyłyśmy się na lodowatej podłodze, tuląc się do siebie nawzajem, by się

trochę ogrzać.

Odczucia, które mnie przepelniały, wykraczały poza wszystko, czego dotychczas doświadczyłam: przemęczona, poniżona, głodna, spragniona, w obrzydliwym smrodzie. Jak nasze siostry i chrześcijańscy przyjaciele dowiedzą się, co się stało? Czy zostaniemy tutaj cały dzień? A może rok? Czy nasze życie jest w niebezpieczeństwie? Byłyśmy zbyt zmęczone, by się bać – te doświadczenia były zupełnie dla nas nowe – ale nawet nie wiedziałyśmy, co myśleć o naszej przyszłości. To przekraczało nasze możliwości rozumowania. Jedyne, co mogłyśmy zrobić, to powierzyć wszystko Panu.

Opowiedziałyśmy sobie o przebiegu przesłuchania u pana Rastiego, pomodliłyśmy się, by Jezus nas chronił, i zapadłyśmy w ciężki, głęboki sen. To była nasza pierwsza z ponad 250 nocy spędzonych za kratami...



## ROZDZIAŁ 3

### *Droga do Wozary*

Marcelina &

...NA BOGA, CZY KTOŚ DA MI PRZEKŁĘTEGO PAPIEROSA?!

Głos, który wytrącił nas ze snu, był na pół wrzaskiem, na pół zwierzęcym wyciem, połączonym z brzęczącym hałasem krat, szarpanych u drzwi naszej wspólnej celi na końcu korytarza.

„Dajcie mi papierosa! Wiem, że wy macie. Miejcie litość!”

Słowa przechodziły w głośne zawodzenie i dźwięki, przypominające płacz dwóch kobiet.

Obudziłam się zdezorientowana, cała sztywna i obolała od spania na zimnej posadzce. Nie zdawałam sobie sprawy, gdzie jestem. Przez dłuższą chwilę przypominałam sobie, że razem z Marią zostałyśmy zatrzymane i zamknięte w tym więzieniu. Niestety, nie był to jakiś koszmarny sen, tylko najprawdziwsza rzeczywistość. Schowałyśmy głowy pod koce, by się ogrzać, i naszą świadomość przeszywał ten krzyk połączony ze smrodem koców cuchnących moczem. Jednak wszystko przebijał odór przepelnionych toalet.

„Dajcie! Mi! Papierosa!!!”

Cały czas słyszałyśmy błaganie przechodzące w skowyt, któremu towarzyszył brzęk szarpanych krat. Zaczęłyśmy z Marią cicho rozmawiać, przypominając sobie wydarzenia poprzedniego dnia i zdumiewając się, że w ogóle byłyśmy w stanie spać w takich warunkach.

Wtedy poczułyśmy kopnięcie. Wyjrzałyśmy spod koca i zobaczyłyśmy dziko wyglądającą kobietę, stojącą przed nami. Znów nas kopnęła. „Czy możecie mi dać papierosa?” Bez wątplenia, to był ten sam głos, który nas obudził. Teraz kobieta nas zauważyła i z nas uczyniła adresatów swoich żądań.

Była to całkiem młoda kobieta, ale wyglądała przerażająco. Jej brudne ubrania były do połowy rozpięte, odsłaniając jedną pierś, a czarne długie włosy, posklejane od brudu, zwisały dookoła jej twarzy. Miała czarne zęby, niektóre złamane, niektórych całkiem brakowało. Wyglądała jak wiedźma z jakiegoś dreszczowca. Powiedziałyśmy jej, że nie mamy papierosów – wtedy odwróciła się i poszła.

Nasze więzienie znajdowało się jakieś dwadzieścia stopni schodów poniżej poziomu ulicy. Ściany były wyłożone dużymi, ciemnymi i brudnymi blokami z kamienia. Cella, w której znajdowałyśmy się, była jedną z dziesięciu, połączonych wąskim korytarzem. Na końcu korytarza widziałyśmy drzwi z kratami, przez które weszłyśmy. Te drzwi prowadziły do niewielkiego pomieszczenia, mającego na drugim końcu inne drzwi z kratami w kierunku długiego korytarza. Po jego lewej

stronie znajdowało się wejście ze schodami wiodącymi w górę, po prawej stronie było biuro czy pomieszczenie, gdzie mogli odpoczywać ochroniarze. W tym czasie drzwi do celi były otwarte. Potem dowiedziałyśmy się, że kiedy cele są przepełnione, drzwi są zamykane na noc. Wyjaśniało to tajemnicę zasikanych koców. Jeśli w nocy kobieta chciała i nie mogła wyjść do toalety, musiała załatwiać się pod siebie.

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się z trzaskiem i weszły dwie policjantki w maseczkach chroniących je przed okropnym smrodem. Rozkazały nam poskładać koce i ułożyć je na stercie przy wejściu. Zobaczyłyśmy, że w naszym pomieszczeniu było około piętnastu kobiet w wieku od nastoletniego do średniego. Niektóre były dobrze ubrane, inne miały na sobie łachmany. W ciągu następnych kilku dni widziałyśmy niezliczoną liczbę kobiet, które były zamykane i potem zabierane, jak gdyby przekazywane do innego więzienia lub wypuszczane na wolność po krótkim zatrzymaniu.

W więzieniu nie podawali śniadania, o czym oczywiście nas nikt nie uprzedził. Na szczęście jedna z uwięzionych podzieliła się z nami biszkoptami. Kiedy zjadłyśmy, nadeszła nasza kolej korzystania z toalety. Były tu cztery sedesy, dwa z nich zepsute i przepełnione odchodami. Nie było ani mydła, ani ręczników, ani bieżącej wody do spłukiwania. Podłogi były tak zapaskudzone, że odpływ wody został zatkany, co doprowadzało toalety do stanu, którego nie musimy opisywać. A przecież cały czas pozostawałyśmy boso...

Mając za sobą te niezapomniane doświadczenia, postanowiłyśmy poznać inne więźniarki i dowiedzieć się więcej o tym miejscu. Zobaczyłyśmy kobietę, która tak okropnie wrzeszczała od rana i kopała nas. Teraz siedziała na środku korytarza, paląc papierosa otrzymanego od straży. Obok niej była piękna młoda dziewczyna. Obie płakały i krzyczały, co jakiś czas wzywając imion mużłmańskich proroków i prosząc ich o pomoc.

Usiadłyśmy obok, nic nie mówiąc. To wprowadziło kobiety w zdumienie. Więzienie Wozara nie było miejscem, gdzie ludzie przyjaźnie witali nieznajomych, zwłaszcza takich, co każdego ranka budzili całą celę wrzaskami, domagając się papierosów. Przedstawiłyśmy się i zapytałyśmy je, dlaczego tu siedzą. Kobieta, która rano krzyczała, opowiedziała nam swoją historię, pierwszą z wielu poruszających historii, pełnych okrucieństwa i desperacji, które usłyszałyśmy za kratami.

Miała na imię Leila. Została zaarrestowana dwa dni temu za to, że próbowała kupić na ulicy narkotyki. Była mężatką i miała syna. Krótko po ślubie dowiedziała się, że jej mąż jest uzależniony od opium. Zmuszał ją, by zażywała narkotyki razem z nim, i wkrótce ona również się uzależniła. On wtedy przestał brać narkotyki i zażądał, by ona również przestała, grożąc jej rozwodem. Niestety ona nie potrafiła poradzić sobie ze swoim uzależnieniem i pogrążyła się w nie coraz

bardziej; sięgała też po kokainę i heroinę. Żeby zdobyć pieniądze na narkotyki, rzuciła rodzinę i została prostytutką. Zarabiała za każdym razem około 4 tysięcy tomanów (około dwóch dolarów), mieszkała w parku miejskim, spała w kartonowych pudłach.

„Modliłam się do Allaha o pomoc – skarżyła się, – ale on nie odpowiedział na moje prośby”.

Znowu zaczęła płakać.

Siedząca obok Leili dziewczyna, Sefida, miała dziewiętnaście lat. Jej oczy błyszczały, a jasne włosy przypominały złoto. Rodzice Sefidy rozwiedli się, matka zniknęła, a ojciec zapominał o niej, spędzając czas z przyjaciółmi. Odeszła z domu z chłopakiem, który nauczył ją brać kokainę i opium. Została zatrzymana już po raz drugi, kiedy próbowała kupić narkotyki w parku.

Leila i Sefida zapytały, z jakiego powodu my znalazłyśmy się w więzieniu.

„Za wiarę w Jezusa Chrystusa”.

Zdziwiły się, że chrześcijaństwo jest uważane za zbrodnię, i poprosiły, byśmy opowiedziały im o Jezusie. Usłyszawszy nasze świadectwa, Sefida zapytała, czy Chrystus może jej pomóc. Ze łzami w pięknych oczach błagała: „Proszę, módlcie się o moje uwolnienie. Jeśli mnie wypuszczą, przestanę brać narkotyki, wrócę do szkoły i poszukam dobrej pracy”.

Przez następne pół godziny modliłyśmy się razem z Leilą i Sefidą. Popłakiwały, kiedy wypowiadałyśmy słowa modlitwy wstawienniczej za nie, i uściskały nas po zakończeniu modlitwy. „Jesteście aniołami Pana” – powiedziała Leila z wdzięcznością. Wyglądało, że szczerze doceniały to, co dla nich zrobiłyśmy, i zachowywały się o wiele spokojniej. My z Marią również prosiłyśmy je o modlitwę za nas.

To doświadczenie podsunęło nam myśl, że inne kobiety w celi mogą również pozwolić nam modlić się za nie. Pożegnaliśmy się z naszymi nowymi przyjaciółkami i poszłyśmy wzdłuż korytarza.

Weszłyśmy do celi, w której było ciemno, a na podłodze leżały dwie postacie zawinięte w koce. Słyszając nasze kroki, usiadły. Były to dwie dziewczyny w wieku około dwudziestu lat – jedna z długimi czarnymi włosami, a druga z krótko ściętymi rozjaśnionymi włosami. Przywitałyśmy się z nimi i przedstawiłyśmy. Zdziwiły się, widząc nasze przyjazne nastawienie, i zapytały, dlaczego tu jesteśmy. Znowu podzieliłyśmy się swoim świadectwem, które przyniosło dziewczynom ulgę i wzbudziło zaufanie do nas. Okazało się, że są tu zamknięte od trzech dni i inne więźniarki znęcają się nad nimi.

Dziewczyna z rozjaśnionymi włosami opowiedziała, że szła na randkę z nowym przyjacielem i zabrała ze sobą koleżankę Sarę, ponieważ nie chciała spotykać się z nim sam na sam. Gdy dziewczyny przyszły po niego do jego mieszkania, chłopak powiedział, że nie jest jeszcze gotowy, poprosił, by weszły

i poczekały na niego. Kiedy czekały, do mieszkania wdarli się *basidzi* i aresztowali je. Okazało się, że chłopak spotykał się w swoim mieszkaniu z różnymi dziewczynami, i to wywołało podejrzenia właściciela domu, który zawołał *basidzi*. Wszyscy zostali zatrzymani za utrzymywanie niewłaściwych dla muzułmanów kontaktów pomiędzy niespokrewnionymi osobami płci przeciwnej. Dziewczynom nie pozwolono nawet zadzwonić do rodziców, dlatego ich rodziny w ogóle nie wiedziały, co się z nimi dzieje. Były przerażone na myśl, co mogą im zrobić władze i co pomyślą krewni, kiedy się wszystkiego dowiedzą.

Wzięłyśmy je za ręce i modliłyśmy się razem z nimi. Zaproponowałyśmy dziewczynom, by zaufały Jezusowi, i to je nieco uspokoiło. One mogły nie widzieć wyjścia z zaistniałej sytuacji, ale On widział. Opowiedziałyśmy im, że Jezus kocha je bezwarunkowo i zawsze jest przy nich obecny. Dziewczyny zapytały, czy mogą pozostać z nami, i zanim zdążyłyśmy odpowiedzieć, zabrały swoje koce i poszły do naszej celi.

Weszłyśmy do kolejnej celi, największej w naszym oddziale. Było tam sześć czy siedem kobiet w średnim wieku – siedziały przytulone do siebie. Były dobrze ubrane i zupełnie nie pasowały do tego miejsca. Maria przywitała się i zapytała, dlaczego zostały aresztowane. Wyglądały na wystraszone i nie chciały z nami rozmawiać. Wołały usłyszeć naszą historię. Kiedy wytłumaczyłyśmy, dlaczego tu jesteśmy, ich milczenie zamieniło się w potok pytań.

„Czy naprawdę chrześcijaństwo to przestępstwo?”

„Od jak dawna jesteście chrześcijankami?”

„Jak oni się o tym dowiedzieli?”

„Co teraz z wami będzie?”

Kobiety były żywo zainteresowane religią, którą tak ostro potępiają władze. W miarę jak odpowiadałyśmy, ich nieufność zniknęła; w końcu jedna z pań opowiedziała ich historię. One wszystkie razem robiły zakupy w piekarni, kiedy nagle zebrał się tłum protestujących przeciwko wysokim cenom chleba. Protest zorganizowała grupa „Jesteśmy”, której członkowie zazwyczaj nie znają się nawzajem, czekają tylko na informację przekazywaną drogą internetową, gdzie i kiedy organizowana jest demonstracja. Wówczas ci ludzie pojawiają się w wyznaczonym czasie i miejscu, wykrzykują swoje żądania, klaskają w dłonie, wyrażając protest, po czym nagle znikają w tłumie.

Kiedy na miejsce demonstracji przybyli *basidzi*, schwytali każdego, kto im się trafił pod rękę, włącznie z kobietami robiącymi zakupy. Niewinne panie całą noc spędziły zamknięte w policyjnym samochodzie, w wielkim ścisku, zanim przywieziono je do więzienia Wozara. Jedną z nich dotkliwie pobił nastoletni *basidzi*, ale w ciągu trzech dni pobytu w więzieniu nie otrzymała ona żadnej pomocy medycznej. Wszystkie najbardziej się bały, co pomyślą o nich rodziny. Pomodliłyśmy się razem z nimi o rychłe zwolnienie i o to, by krewni zrozumieli, że

one są niewinne.

W połowie dnia ochrona otworzyła drzwi i wsunęła do środka dużą patelnię z jedzeniem. To był obiad.

Wiele kobiet, z Leilą i Sefidą na czele, rzuciło się do patelni, nabierając pełne garście ryżu i fasoli lub zanurzając twarze w jedzeniu, jak robią to psy. Maria i ja stałyśmy zmrożone, patrząc na to „przedstawienie”. Leila spojrzała na nas. Na jej twarzy i włosach były resztki jedzenia. „Tak nas tu karmią” – wyjaśniła połykając stawę. „Żadnych talerzy, żadnych łyżek”. Widząc, że wciąż stoimy nieruchome, dodała: „Jeśli nie będziecie jeść w ten sposób, nie będziecie jeść wcale”.

Popatrzyłam na Marię i powiedziałam samymi oczami: „No to nie będziemy jadły. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Jeszcze nie jesteśmy na tyle zdesperowane, by zreć jak zwierzęta w zoo”. Ten sposób podawania posiłków wyrażał stosunek władz więzienia do przetrzymywanych w nim ludzi: jesteście gorszym gatunkiem, odartym z godności, zamkniętym w brudnych klatkach, zepchniętym do poziomu zwierząt.

Nagle moją uwagę przykuł ruch na końcu korytarza. Dwie dziewczyny, zatrzymane za wizytę u młodego człowieka, waliły pięściami w drzwi celi, wołając straż. Jedna z nich desperacko potrzebowała podpaski, jej ubrania były zakrwawione. Po dłuższym czasie podeszła straż. Kiedy dziewczyna wytłumaczyła, że potrzebuje podpaski, policjantka odpowiedziała: „Weź jeden z koców”.

„Ależ proszę!” – błagała dziewczyna. „Ja krwawię!”

„No to zdychaj” – odparła policjantka. „To nie jest mój problem”.

„Proszę mi pomóc!”

„Zamknij się! Zamknij się! Zamknij się! Zamknij się!” – zawrzeszczała policjantka, po czym odwróciła się i poszła.

Godzinę później pojawiła się, niosąc jedną jedyną podpaskę. Rzuciła ją przez kraty: „Masz. I przestań się skarżyć”.

Tego wieczoru miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie. Do naszej celi przyprowadzili piętnaście młodych dziewcząt, ładnych i pięknie ubranych, zatrzymanych przez *basidzi* w czasie rodzinnego przyjęcia za niezdrowe i niezgodne z normami islamu relacje z mężczyznami. Mimo że były Irankami, rozmawiały między sobą po angielsku, by się chronić przed innymi. Po kilku minutach niektóre z tych dziewcząt podeszły do Marii, ponieważ, jak wyjaśniły, wyglądałyśmy i zachowywałyśmy się inaczej niż inne więźniarki. Kiedy opowiedziałyśmy im, za co nas zamknięto, dziewczyny poprosiły nas o modlitwę, zwłaszcza za jedną z nich, która była w ciąży. Nie mogły się zmieścić wszystkie w małej celi, więc tłoczyły się w przejściu, póki modliłyśmy się o ich szybkie zwolnienie oraz o to, by ich rodziny nie doznały wstydu i szykan z powodu tego zajścia.

W ciągu całego dnia przyprowadzano nowych więźniów, a niektórych wyprowadzano. Pod koniec dnia za kratami było znacznie więcej kobiet niż rano. Przeszliśmy do nieco większej celi, by można było wyciągnąć się na podłodze razem z naszymi dwiema nowymi przyjaciółkami. Straż dzienna odeszła, a na jej miejsce przysłała straż nocna. Mimo że strażnicy spali prawie całą noc, musieli być na miejscu, kiedy przybywali nowi więźniowie lub kiedy coś się działo. Światła zgaszono i pozostałyśmy same z naszymi myślami, pośród dźwięków nocnego więzienia.

Zasypiając słyszałam tu i ówdzie w ciemnościach rozmowy, przekleństwa, kaszel i płacz. Przez chwilę nad całym tym hałasem uniósł się jeden głos. Poznałam, że to Leila, ale tym razem ona nie wrzeszczała, tylko śpiewała – pięknie. Miała miękki, poruszający głos, a jej śpiew był pełen słodczy z domieszką bólu. Z trudem mogłam sobie wyobrazić, że ten głos wydobywa się z ust z poniszczonymi zębami na strasznej twarzy Leili. Zapewne doszła do głosu głęboko ukryta część jej jaźni, która pozostała czysta i nietknięta przez wszystkie tragedie jej życia.

Co za dzień! Dla kogoś z zewnątrz nasza sytuacja wyglądała jak totalna klęska, ale z drugiej strony była ogromnym błogosławieństwem. W pewnym sensie byliśmy przygotowywane do tego dnia od dłuższego czasu. Najpierw każda osobno, a potem razem, przez lata uczyliśmy się dzielić prawdą o Jezusie z innymi w kraju, gdzie ewangelizacja muzułmanów karana jest śmiercią.

\*\*\*

Maria &

Tak naprawdę sam fakt, że dowiedziałyśmy się prawdy o chrześcijaństwie, mieszkając w Iranie, już jest cudem. Dorastałyśmy w kraju, gdzie dzieciom narzuca się religię państwową od najwcześniejszego wieku, kiedy są najbardziej wrażliwe. Jak wszystkie irańskie dzieci, uczyliśmy się, że islam jest jedyną spełnioną i prawdziwą religią. Nauczyciele mówili nam, że Jezus był jednym z wielu proroków, który nauczał miłości i pokoju, ale nic poza tym. Przed zajęciami w szkole każdego ranka ustawiano nas do słuchania Koranu w języku arabskim, czytanego przez kogoś ze starszych uczniów, po czym wykrzykiwaliśmy: „Śmierć Ameryce! Śmierć Izraelowi!”. Nie mieliśmy zielonego pojęcia, co to jest ta „Ameryka” i ten „Izrael”. Wiedzieliśmy tylko, że te słowa oznaczają coś bardzo złego.

Każdego roku w dniu obalenia szacha i powrotu ajatollaha Chomeiniego uczniowie brali udział w demonstracjach w całym kraju. Nasza klasa też chodziła na te demonstracje, ponieważ władze zamykały szkoły i zmuszały każdego do

udziału w nich. Gdybyśmy nie odprawiali codziennych modłów, przepisanych przez prawo koraniczne, nie otrzymalibyśmy dobrych ocen.

Dziewczynki musiały mieć włosy całkowicie zakryte. Jeśli nauczycielka zauważała pasemko włosów sterczące spod chusty, ostro szarpała dziewczynkę za włosy.

Obie z Marceliną urodziłyśmy się w Iranie w rodzinach muzułmańskich i obie od dziecka pragnęłyśmy poznawać Boga. Pan zadziałał w zdumiewający sposób, powołując nas do nawrócenia, a potem pozwalając nam się spotkać.

Kiedy dorastałam, w mojej głowie kotłowało się mnóstwo pytań. Co to jest prawda? Kim jest Bóg<sup>[1]</sup> i jak mogę nawiązać bliskie relacje z Nim? Dlaczego muszę rozmawiać z Bogiem w języku, którego nie znam, i modlić się słowami, których nie rozumiem? Miałam też wiele pytań dotyczących islamu i jego reguł, które mnie frustrowały.

Bardzo chciałam znaleźć prawdę, więc zaczęłam na własną rękę poznawać inne religie. Przeczytałam tłumaczenie Koranu na język perski, a także inne książki. Nie czytałam jednak Biblii, ponieważ nie mogłam jej znaleźć. Czasami modliłam się według przepisów muzułmańskich i przychodziłam na spotkania wyznawców innych religii. Jednak nic z tych rzeczy nie zaspokajało mojego pragnienia.

W wieku siedemnastu lat byłam zupełnie zdezorientowana i doszłam do wniosku, że lepiej jest nie wyznawać żadnej religii. Byłam zmęczona bezsensownymi regułami i przepisami religijnymi, jak również odległym i obcym Bogiem, którego głosu nigdy nie słyszałam. Zawsze pragnęłam dialogu z Nim, ale nigdy nie doświadczyłam nic podobnego.

W końcu przerwałam moje poszukiwania. Ale również wtedy, zwłaszcza w nocy, gdy czułam się szczególnie samotna, spoglądałam w niebo i prosiłam, by Bóg objawił mi siebie i przemówił do mnie. Czasami mówiłam do Niego w moim ojczystym języku przez godzinę lub dwie. Takie rozmowy przynosiły mi dużo radości.

Pewnego dnia moja siostra Szirin dała mi książeczkę zatytułowaną Jego imię jest wspaniałe. To był fragment Ewangelii Łukasza. Wyjaśniła, że otrzymała książeczkę od jakiegoś człowieka w kościele, znajdującym się niedaleko uniwersytetu. Szirin wiedziała o moich poszukiwaniach i o tym, że chętnie czytam wszystko na temat Boga i relacji z Nim. „Ale nie czytaj ostatniej strony” – ostrzegła. „Tam jest modlitwa dla tych, którzy chcą zostać chrześcijanami”.

Wzięłam książeczkę i udałam się prosto do swego pokoju. Zamknęłam drzwi, zaczęłam czytać. Już po przeczytaniu pierwszej strony moje serce zostało głęboko poruszone. Zaczęłam płakać, bo odczuwałam obecność Chrystusa w moim pokoju, tuż obok mnie. Czytając dalej, czułam się tak, jak gdybym to wszystko już wiedziała, jak gdybym słyszała już te wszystkie słowa, i nagle odnalazła to, czego

szukałam przez wiele lat: miłość Chrystusa.

Siedząc wtedy w swoim pokoju, nagle zrozumiałam, dlaczego całe życie odczuwałam barierę między mną a Bogiem. Czytając o miłości Chrystusa, o Jego śmierci na krzyżu za moje grzechy, powiedziałam sobie: „Właśnie tego szukałam przez te wszystkie lata – miłości bezwarunkowej”. Nic z tych rzeczy, o których czytałam, nawet to, że Jezus jest Synem Bożym, nie wydawało mi się dziwne. Zawsze mówię ludziom, że Jezus Chrystus sam przyniósł mi Dobrą Nowinę o zbawieniu, zanim jeszcze z kimkolwiek porozmawiałam o Nim lub przyszedłam do kościoła. On sam objawił mi swoją Prawdę i przygotował moje serce do jej przyjęcia. Po kilku godzinach wiedziałam, że znalazłam to, czego szukałam przez całe moje życie. Czułam się, jakbym znała Jezusa już od wielu lat. Kiedy doczytałam do ostatniej strony, odmówiłam wydrukowaną na niej modlitwę, oddając swoje serce Jezusowi bez jakichkolwiek wątpliwości i bez zastanawiania się.

Przez następne dwa lata uczęszczałam raz w tygodniu na spotkania biblijne w domu pewnej kobiety w Teheranie. Taksówką z mojego domu w miejscowości Karadż musiałam tam jechać przez godzinę. Pewnego dnia rozważaliśmy fragment z Dziejów Apostolskich, w którym jest mowa o zesłaniu Ducha Świętego i mówieniu w językach. Prowadząca opowiedziała o swoim własnym doświadczeniu. Byłam poruszona na myśl, że Bóg daje ludziom dary i nadzwyczajne duchowe doświadczenia. Zapragnęłam otrzymać taki dar.

Tego samego dnia, będąc już w domu, otrzymałam ten dar i zaczęłam mówić w obcych językach. Byłam zdumiona i przepełniona radością. Nigdy przedtem nie doświadczyłam nic podobnego. Kiedy modliłam się, wiedziałam, co mówię, i wiedziałam, że Bóg rozumie moje słowa.

Pojęłam, że nie każdy chrześcijanin ma takie doświadczenie. Biblia opisuje wiele darów duchowych, a otrzymałam tylko ten jeden. Wierzyłam, że Bóg w swojej mądrości różnymi sposobami krzewi Ewangelię w ludzkich sercach.

Chciałam przyjąć chrzest w tym kościele w Teheranie, do którego uczęszczałam, ale reżim bacznie obserwował wspólnotę i nieprzychylnie patrzył na chrzty. Dlatego w roku 2002 zostałam ochrzczona potajemnie w piwnicy innego niewielkiego kościoła. Mimo że miałam zaledwie dziewiętnaście lat, pastor poprosił mnie, bym posługiwała we wspólnocie, nauczając nowych wierzących i pracując z grupą starszych pań. Stwierdził, że mam wielkie pragnienie ewangelizacji, ale kiedy otwarcie mówiłam o Jezusie Chrystusie w metrze czy taksówce, powtarzał mi z niepokojem: „Zostaw te rozmowy na czas, kiedy będziesz w kościele!”.

Mniej więcej po półtora roku pracy we wspólnocie pastor wprowadził mnie do grupy Elam. Właśnie na kursach teologicznych, prowadzonych przez Elam w Turcji w 2005 roku, poznałam Marcelinę.



\*\*\*

Marcelina &

Już od wczesnego dzieciństwa kochałam Boga i chciałam jak najwięcej dowiedzieć się o Jego prawdzie. Robiłam wszystko, by przybliżyć się do Niego. Pochodzę z rodziny muzułmańskiej i dlatego poznawać Boga mogłam jedynie przez islamskie nauczanie religijne i przez to, czego uczono w szkole. Jednak zawsze nurtowało mnie wiele pytań o Bogu, na które teologia muzułmańska ani prawo szariatu nie dawały odpowiedzi.

Myślałam o Bogu jako dobrym Ojcu, który jest nam bliższy niż najbliższa rodzina. Byłam przekonana, że Bóg, który stworzył moje ciało, jest bliżej mojego serca niż moje własne ciało i krew. Nauczano mnie tego, w co wierzą muzułmanie, i dużo dyskutowałam o tym z nauczycielami i kolegami w szkole. Nie mogłam zaakceptować nauczania Koranu, ponieważ nie wydawało mi się prawdziwe. Nie mogłam przyjąć obrazu Boga, który funkcjonuje w świadomości wielu muzułmanów – surowy władca, który zsyła srogie kary na ludzi za najmniejsze przewinienie. Taki obraz Boga jest przerażający.

Byłam przekonana, że codzienna modlitwa muzułmańska – *namaz* – powtarzana kilkakrotnie w ciągu dnia przed Bogiem, który przecież mieszka w moim sercu, nie ma żadnego sensu. Nie mogłam jej zaakceptować. Poza tym chciałam wiedzieć, dlaczego odmawiając przepisane modlitwy, muszę zwracać się do Boga w języku arabskim, a nie w moim ojczystym, perskim. Czy Bóg nie zna języka mojej matki, którego mnie nauczyła? Dlaczego muszę się do Niego zwracać, jakby był obcym władcą nade mną? Dlaczego nie mogę do Niego przemawiać w moim własnym języku? Te pytania cały czas zajmowały mój umysł. Odpowiedzi, jakich udzielano mi w szkole, nie przekonywały mnie.

Pomimo swoich obiekcji wobec religii starałam się jak najlepiej spełniać wynikające z niej obowiązki. Powiedziałam sobie, że mogę przecież się mylić, a prawda kiedyś wyjdzie na jaw. Odmawiałam przepisane modły *namaz* przez dwa lata bez zarzutu. Regularnie czytałam Koran i nawet budziłam się o północy, by się modlić. Jednak te modlitwy nie dawały mi poczucia bliskości Boga. Odwrotnie, stwarzały dodatkową przeszkodę, przekształcając się z czasem w rutynę. Czułam się zmuszona do spełniania obowiązków religijnych i nie miałam wewnętrznego pragnienia, by to robić.

Zanim jeszcze znalazłam Chrystusa, byłam pewna, że Bóg przemawia do mnie we śnie. Pewnego razu śniłam, że modłę się zwróconatwarzą ku niebu. Nagle niebo się otworzyło i na ziemię zstąpił biały koń, który powiedział: „Siadaj na mnie”. Posłusznie wsiadłam na konia i on zabrał mnie do jakiegoś miasta.

Widziałam tam, jak muzułmanie wchodzą do meczetu, by odprawić ceremonie Aszura i Tasua, połączone z zawodzeniem i samobiczowaniem. Na początku nie widzieli ani mnie, ani konia. Lecz nagle zamienili się w dzikie zwierzęta o strasznym wyglądzie, już nie przypominali ludzi. Gdy to zobaczyłam, oni też zauważyli mnie i próbowali mnie zabić. Koń popędził jak wiatr, ratując mnie. Mocno przytuliłam się do jego szyi i poczułam, jak jego miłość wypełnia mnie z mocą i czystością, jakiej dotąd nie znałam. Uciekliśmy naszym prześladowcom i dotarliśmy do rozwidlenia dróg. Jedna z nich prowadziła do nieba. Kiedy zmęczony koń zaczął wchodzić na tę drogę, obudziłam się.

Przez cały następny tydzień mogłam myśleć tylko o tej głębokiej miłości, jakiej doświadczyłam we śnie. Nigdy potem na tym świecie nie przeżyłam nic podobnego. Boże, dlaczego sprawiłeś, że się obudziłam? Chciałabym zostać w tym śnie na zawsze! Muszę dodać, że później, co kilka lat, ten sam koń pojawiał się w moich snach, przynosząc jakieś przesłanie.

Po wielu przemyśleniach doszłam do wniosku, że najważniejsza część mojej wiary skupia się w sercu, i postanowiłam porzucić religię. Zaczęłam rozmawiać z Bogiem w moim sercu, jak dziecko rozmawia z ojcem. Pewnego razu mój przyjaciel, który nawrócił się na chrześcijaństwo, powiedział mi, że chrześcijanie wyznają, iż Jezus Chrystus jest Synem Bożym i Zbawicielem ludzkości, który przyszedł na świat, by wybawić ludzi od grzechów. Zainteresowało mnie to; nigdy wcześniej nie słyszałam o Jezusie nic podobnego. Myślałam, że jest po prostu jednym z wielu proroków, jak o Nim pisały nasze podręczniki szkolne. Pomyślałam: „Jak się dowiem prawdy o Nim?”

Po postanowieniu poznać różne religie w poszukiwaniu prawdy i zaczęłam czytać Biblię. Wkrótce do mnie dotarło, że nie jestem w stanie poświęcić wielu lat na zgłębianie wszystkich religii świata i że na pewno niektórych z nich nie poznam w całości. Dlatego padłam na kolana, prosząc Boga, by ukazał mi prawdziwą ścieżkę prowadzącą do Niego. Powiedziałam: „Jeśli Jezus jest Prawdą, musisz poprowadzić mnie tą ścieżką tak, bym nie musiała błądzić i poznała prawdę”.

I wtedy zdarzył się prawdziwy cud. Mniej więcej w tym czasie znajoma zaprosiła mnie do kościoła. Tego samego dnia byłam umówiona u lekarza. Wizyta w kościele była czymś niesamowitym: ludzie wielbili Boga, modląc się, jak kto chciał. Nagle usłyszałam w swoim sercu głos: „Marcelino, jesteś uzdrowiona”. Nie zwróciłam nań zbytnej uwagi, ale kiedy powiedziałem o tym swojej przyjaciółce, ona stwierdziła, że to Jezus pragnie mnie uzdrowić.

Poszłam do lekarza, miałam już otrzymać receptę. Lekarz wziął długopis, ale po chwili wahania powiedział: „Nie wiem, co się dzieje, ale nie mogę wypisać dla pani tej recepty. Proszę przyjść innym razem”. Poczułam, że Bóg przypomina mi to, co usłyszałam w kościele, i zachęca, bym Mu zaufała.

Symptomy choroby natychmiast ustąpiły. Ale nawet po uzdrowieniu nie

zaufałam Jezusowi całkowicie. Dla mnie uzdrowienie nie było jeszcze powodem, by przejść na chrześcijaństwo, więc poprosiłam Boga o jakieś inne dowody. W głębi serca zaczynałam wierzyć w Jezusa, wciąż jednak miałam wątpliwości. Czytałam też o Duchu Świętym, ale nie wszystko rozumiałam.

Czytałam w Biblii o nadnaturalnym zjawisku, kiedy apostołowie mówili obcymi językami; słyszałam o tym też od koleżanki, która przyprowadziła mnie do Chrystusa. W tym czasie nie mogłam tego zrozumieć. Niekiedy, podczas wspólnych modlitw z przyjaciółmi, słyszałam, jak oni modlą się w językach. Najpierw pomyślałam, że zwariowali albo że próbują naśladować modlitwy znajomych chrześcijan narodowości ormiańskiej, którzy modlą się w swoim języku. Później mnie to zainteresowało, ale myślałam, że nigdy tego nie doświadczę.

Nigdy nie modliłam się głośno w obecności innych ludzi. Pewnego razu przyjaciele zaprosili mnie do wspólnej modlitwy. Prowadzący zapytał, czy nie chcę wypowiedzieć się na głos, ale się wstydziłam. Modliłam się w swoim sercu, prosząc Boga, bym mogła uwielbiać Go głośno. Nagle zstąpił na mnie Duch Święty i zaczęłam modlić się w językach, a wszyscy to słyszeli. Nie znałam znaczenia wymawianych przeze mnie słów, ale w pełni rozumiałam, co mówię do Boga. Po raz pierwszy czułam się tak blisko Boga, że zdawało mi się, iż mogę Go dotknąć.

W czasie modlitwy przez kilka sekund widziałam Jezusa. Stał przed tronem pokrytym lśniącym złotem. W tym momencie nie byłam na ziemi. Poczułam gorąco na czole, jakby ktoś przypalił mi je ogniem. Wszystkie moje wątpliwości nagle pierzchły i odniosłam wrażenie, że Bóg zdjął zasłonę z moich oczu. Teraz mogłam jasno zobaczyć prawdę. Nie byłam w stanie opanować mojego języka, kontynuowałam uwielbianie Boga.

Kiedy wróciłam do domu, chciałam podziękować Bogu za ten niesamowity dar. Ku mojemu zdumieniu znowu zstąpił na mnie Duch Święty i zaczęłam się modlić i śpiewać pieśni uwielbienia. To trwało całą noc, aż do rana. Bolała mnie żuchwa, ale nie chciałam, by to doświadczenie się skończyło. Odczucie Bożej miłości było tak mocne, a moje przeżycie tak niesamowite, że nie jestem w stanie tego opisać.

Nikt mnie do niczego nie zmuszał, nie zostałam poddana żadnej hipnozie. Nikt nie rzucał na mnie zaklęć. Jedyne logiczne wyjaśnienie tego, co zaszło, prowadziło do konkluzji, że spotkałam Boga przez Jego Syna Jezusa Chrystusa. Od tego momentu na zawsze poświęciłam swoje życie Jezusowi. Zawsze odczuwałam Jego obecność i widziałam mnóstwo cudów, dokonanych przez Niego. Objawiał mi się w snach.

Jezus jest jedyną osobą, która jest przy mnie codziennie. Nawet kiedy było mi bardzo ciężko, kiedy czułam się niezwykle samotna, Jezus szedł obok

i prowadził mnie przez życie. Nigdy nie wyrzeknę się miłości Boga i nie zrezygnuję z życia, do którego On mnie powołał. Gdybym się Go zaparła, zaparłabym się własnego istnienia.

W tym czasie uzyskałam uprawnienia do szkolenia fryzjerów. Pracując z ludźmi, codziennie miałam okazję do dzielenia się Dobrą Nowiną o Jezusie Chrystusie. Wiele kobiet chciało usłyszeć więcej i chętnie brało ode mnie Biblię. Znajomi zachęcali, bym otworzyła własny salon fryzjerski, ale to mnie nie interesowało. Moje powołanie dotyczyło ludzkich serc, a nie włosów.

Mimo, że osiągałam sukces i poczucie bezpieczeństwa w życiu zawodowym, czułam, że Pan pragnie, bym służyła Mu całym swoim czasem. Przez wszystkie lata w Teheranie marzyłam o własnym biznesie i finansowej niezależności. Właśnie teraz przede mną otwierała się taka możliwość, lecz była ona dla mnie niczym w porównaniu z możliwością głoszenia Jezusa całemu światu.

Gdy znajomy pastor zaproponował, bym zaczęła studiować teologię, zostawiłam moją pracę i zamieniłam pewną przyszłość na nieznaną. Zaczęłam w Teheranie od zera i osiągnęłam pewien znaczący sukces. Teraz miałam znowu zacząć od zera.

Planowałam studia teologiczne w Londynie, ale nie uzyskałam wizy. Zamiast tego udałam się do Turcji na kursy zorganizowane przez grupę Elam. Tam poznałam Marię.

\*\*\*

Maria &

Bóg połączył nas w zespół i sprowadził z powrotem do Teheranu, gdzie spędziłyśmy trzy pracowite, trudne lata. Rozdawałyśmy tu i ówdzie współczesne, dokładne tłumaczenie Nowego Testamentu na język perski. Chciałyśmy, by zastąpił on dostępną w Iranie wersję Pisma, zredagowaną w celu poparcia twierdzeń koranicznych. Zawsze szukałyśmy sposobności do dzielenia się Ewangelią.

Bóg prowadził nas i chronił każdego dnia. Pewnego razu znajomy pomagał nam dostarczyć egzemplarze Nowego Testamentu do naszego mieszkania. Załadowaliśmy do jego minibusu trzy tysiące książek i jechaliśmy w nocy, myśląc, że tak będzie bezpieczniej. Przy wjeździe na most, przez który musieliśmy przejechać, stała policja, zatrzymując i przeszukując każdy samochód. Zanim zorientowaliśmy się, co się dzieje, zostaliśmy uwięzieni między samochodami i nie mogliśmy ani zjechać, ani zawrócić. Pozostało nam tylko się modlić, by Bóg nas ochronił. Nagle, kilka samochodów przed nami, jeden z kierowców wszczął bójkę z policjantami. Policja na chwilę przestała zatrzymywać samochody, by załagodzić

sytuację, i mogliśmy bezpiecznie przejechać. Gorąco dziękowaliśmy Bogu za ocalenie z niebezpieczeństwa.

Kiedykolwiek ja lub Marcelina szłyśmy na miasto, zawsze zabierałyśmy kilkanaście egzemplarzy Nowego Testamentu w plecaku na wypadek, gdyby się nadarzyła okazja do dzielenia się. Pewnego razu w księgarni usłyszałam, jak klient się pyta o Biblię. Sprzedawca powiedział, że w sklepie jej nie ma, a ja wyszłam za tym klientem na zewnątrz i dałam mu jedną. Mężczyzna powiedział, że widział we śnie Jezusa, który nakazał mu wziąć Biblię i udać się w góry, gdzie w samotności On przemówi do tego człowieka. Miał przy sobie plecak i właśnie szedł w góry, by spotkać się z Jezusem.

Często bywałyśmy w miejscu, gdzie lubiła spacerować teherańska młodzież. Pewnego razu Marcelina dała Biblię młodemu człowiekowi, który powiedział, że szuka prawdy. Po jakimś czasie w tym samym miejscu znowu spotkałyśmy tego młodzieńca. Z wdzięczności za otrzymaną Biblię dał Marcelinie krzyż, który przez lata przechowywał – piękny, drewniany, udekorowany podobizną Jezusa i czterech apostołów. Teraz pisząc tę książkę, mamy ten krzyż przed sobą.

W Teheranie są dwa rodzaje taksówek. Droższe przyjadą na wezwanie i zawiozą klienta do wskazanego miejsca. Tańsze zabierają i wysadzają pasażerów jak autobusy, tak że zazwyczaj klient nie ma całej taksówki tylko dla siebie. Kierowca stara się, by wszystkie cztery miejsca były zajęte. Tacy taksówkarze dobrze nas znali, ponieważ często jeździliśmy z nimi i rozdawałyśmy pasażerom Nowy Testament. Pewnego razu jechałam z *seidem*, człowiekiem, uważającym się za potomka samego proroka Mahometa. Miał on też przydomek *hadzi*, który oznacza osobę, która odbyła pielgrzymkę do Mekki. Ci pielgrzymi uważają chrześcijan za śmieci, zwłaszcza nawróconych na chrześcijaństwo z islamu. Zazwyczaj nie dotykają chrześcijan i nawet nie biorą nic z ich ręki. Ku mojemu zdziwieniu ten człowiek zadawał dużo pytań na temat chrześcijaństwa, a w końcu zaprosił mnie do odwiedzenia muzułmańskiej organizacji charytatywnej, bym przechodząc z pokoju do pokoju, pobłogosławiła to miejsce chrześcijańską modlitwą.

Jednak bez względu na nasze pełne oddanie i poświęcenie, na kilka miesięcy przed zatrzymaniem w sposób niewytłumaczalny nie mogłyśmy prawie nikogo zewangelizować. Nie mogłyśmy, jak wcześniej, przemierzać miasto, miałyśmy mniej spotkań, nie udawało się nam rozdać ksiąg Nowego Testamentu. Coś jakby powstrzymywało nas. Teraz, otoczone ciemnymi, brudnymi ścianami więzienia Wozara, rozumiałyśmy, że to Pan chronił nas i naszych przyjaciół. Nie wiedziałyśmy, że *basidzi* nas śledzą, ale ich obserwacje zaczęły się właśnie wtedy, gdy nasza ewangelizacja nie przynosiła żadnych efektów. Gdybyśmy osiągały taki sam sukces jak przedtem, mając na ogonie policję, razem z nami zatrzymano by wiele osób, zarówno za rozmowy z nami, jak i przyjęcie Nowego Testamentu. Bóg

uchronił tych wszystkich ludzi przed okropnym doświadczeniem, przez które teraz przechodziłyśmy.

Jednak najbardziej zdumiewające było to, że znalazłyśmy się w miejscu, które najlepiej ze wszystkich nadawało się do świadczenia o Jezusie ludziom spragnionym Ewangelii. Poświęcałyśmy mnóstwo czasu i środków na to, by podróżować po całym kraju z Dobrą Nowiną o zbawieniu, zawsze świadome niebezpieczeństwa, jeśli nieodpowiednia osoba usłyszy, o czym rozmawiamy z ludźmi. Teraz sterczałyśmy w tym więzieniu, gdzie Bóg dosłownie zalewał nas falami ludzi, poszukujących prawdy. Warunki życia były złe, ale nie musiałyśmy podróżować! Poza tym mogłyśmy mówić naszym współwięźniom o Jezusie otwarcie, ponieważ nikt nie wszedłby do tej szczurzej nory, by nas podsłuchiwać.

Długo i wytrwale modliłyśmy się o nowe możliwości dzielenia się naszą wiarą. Pan odpowiadał na te prośby, przekraczając nasze najśmielsze oczekiwania, choć w zupełnie inny sposób, niż to sobie wyobrażałyśmy. Wszystko było nowe i dziwne, niepodobne do czegokolwiek, co nas przedtem w życiu spotkało. Nie wiedziałyśmy, czego się spodziewać. Jak należy tutaj się zachowywać? Jakie są zasady? Co sprowadzi na nas kłopoty, a co pomoże ustrzec się przed niebezpieczeństwem? Czułyśmy się tak, jak człowiek rzucony w obce środowisko bez jakichkolwiek wskazówek lub ostrzeżeń. Jedynym naszym drogowskazem był Jezus. Jakie błogosławieństwo, jakie okazje przyniesie On jutro?

<sup>[1]</sup> Bóg (po persku *Choda* خدا ) we wszystkich krajach i kulturach islamu nazywany jest po arabsku „Allah”, co może rodzić uprawnione pytanie, czy Bóg i Allah to ta sama osoba. Trzeba odnotować, że w tej książce Autorki nie używają wyrazów „Bóg” i „Allah” zamiennie (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ 4

### *Wielki zaszczyt*

Maria &

Zamknięto nas w więzieniu Wozara wieczorem w czwartek, kiedy było już zbyt późno, by udać się do sądu. Piątek w krajach muzułmańskich jest dniem wolnym i sądy są zamknięte. Tak więc, sobota była pierwszym dniem, kiedy nasza sprawa mogła trafić przed sędziów. Znowu obudziłyśmy się od krzyku Leili błagającej o papierosy, odwiedziłyśmy toaletę i otrzymałyśmy trochę biszkoptów od tej samej dobrej kobiety. Nie jadłyśmy również kolacji ze wspólnej patelni, więc do rana byliśmy bardzo głodne.

Zgodnie z porannym porządkiem stróże wykrzykiwali imiona kobiet, które miały tego dnia udać się do sędziów. Więźniarki zbierały się przed drzwiami naszego bloku celi, gdy słyszały swoje nazwiska, a potem grupami miały być zabierane do odpowiednich sędziów. Po wyprowadzeniu na parter małe grupy wsadzano do taksówki lub innego samochodu i odwożono do sądu. Dla większych grup sprowadzano minibusy. Wszyscy w Wozarze trafiali do więzienia bezpośrednio po zatrzymaniu, dlatego nikt nie miał żadnych bagaży lub rzeczy osobistych, które mógłby tutaj zostawić. Więźniowie wszystko zabierali ze sobą do sądu na wypadek, gdyby zostali zwolnieni.

W sądzie podejmowano decyzję, czy dana osoba ma być zwolniona, czy ma wrócić do celi i zostać zatrzymana do czasu rozprawy. Zakładano, że areszt tymczasowy nie powinien trwać dłużej niż trzy dni. Nas zamknięto w czwartek wieczorem, toteż z punktu widzenia prawa byliśmy w więzieniu już trzeci dzień, choć był to dopiero nasz drugi poranek w Wozarze. Oczekiwałyśmy, że zostaniemy wezwane, naszą sprawę rozpatrzą i będziemy zwolnione. Eleganckie młode dziewczyny z przyjęcia, które rozmawiały po angielsku, zostały wezwane wszystkie, podobnie kobiety aresztowane w piekarni. Wychodząc, wiele z nich prosiło nas o modlitwę. Zapewniałyśmy, że Bóg ich nie zostawi, że On może przemienić ich życie tak samo, jak przemienił nasze.

Po chwili cela została pusta. Nie wezwano tylko Leilę, Sefidę, Marcelinę i mnie. Chodziłyśmy tam i z powrotem po korytarzu, by się trochę rozruszać, kiedy w drzwiach stanęły dwie policjantki z narzędziami do sprzątanania. Dały nam dwie szczotki, mop i wiadro i kazały wysprzątać cele. Moją natychmiastową reakcją było oburzenie. Jak mamy posprzątać ten okropny brud wokół nas? Ale nagle pomyślałam: „Co za okazja! Sprzątanie nie tylko zajmie nam czas, ale pozwoli uczłowieczyć to miejsce, uczynić je bardziej przydatnym do życia”. Poprosiłyśmy policjantki o mydło w płynie, a one tak się zdziwiły, że je nam dały. Razem z Marceliną umyłyśmy i wytarłyśmy podłogi w celach i w korytarzu, włącznie

z przejściem do pokoju ochroniarzy, a potem zabrałyśmy się za toalety. Po kilku godzinach wyczyściłyśmy wszystko i smród, choć nie zniknął, był już o wiele znośniejszy. Jedynym problemem, związanym z wykonaną pracą, było to, że zrobiłyśmy się jeszcze bardziej głodne. Poza tym chciało nam się pić – nie piłyśmy nic od chwili naszego zatrzymania, czyli już trzeci dzień.

Kiedy położyłyśmy się zdrzemnąć, znowu usłyszałyśmy śpiew Leili. Jej piękny głos odbijał się echem w pustych celach. Zaczęła tańczyć i gracia jej ruchów była tak samo zadziwiająca, jak czystość głosu. Lecz wkrótce znów obudziły nas wrzaski Leili i Sefidy, domagających się papierosów.

Dzień mijał i zaczęły wracać z sądu nasze współtowarzyszki. Panie z piekarni zostały postawione przed Trybunałem Rewolucyjnym, rozstrzygającym sprawy polityczne, ale sędzia nie rozpatrzył ich sprawy, więc wróciły za kratki na kolejny dzień. Niektóre płakały z załamania, martwiąc się o dzieci i marząc o jakimś sposobie poinformowania rodzin o miejscu swego pobytu. Dowiedziałyśmy się, że dziewczyny zatrzymane na imprezie zostały zwolnione, a zarzuty przeciwko nim anulowane. Ale wróciły do celi dwie dziewczyny z długimi pięknymi włosami, zatrzymane dzień wcześniej za nieodpowiedni ubiór. Jedna z nich przyznała się, że ma chłopaka. Jej rodzice byli na sali sądowej w czasie przesłuchania. Matka wiedziała o chłopaku, ojciec nie wiedział. Jego spojrzenie pełne wstydu i osądu załamało dziewczynę. Teraz musiała się wypłakać. Próbowałam ją pocieszyć, lecz nie mogłam przebić się przez jej rozpacz.

Pojawiły się kolejne zatrzymane, wśród których była atrakcyjna dziewczyna w wieku szesnastu czy siedemnastu lat, krótko ścięta, jak chłopak. Miała na imię Sahar i wyglądała na energiczną, szczęśliwą i pełną życia. Wszystkie starsze panie chciały jej matkować. Okazało się, że dziewczyna uciekła z domu i żyła na ulicy, trudniąc się prostytutką. Została zaarrestowana, ponieważ ogoliła włosy na głowie. Kiedy opowiadała o swoich doświadczeniach seksualnych, robiła wrażenie czterdziestoletniej kobiety.

Inną nowoprzybyłą była wysoka kobieta o męskiej posturze, okropnie brudna i śmierdząca. Wyglądała tak odrażająco, że nikt nie chciał do niej się zbliżyć. Razem z Marceliną podeszłyśmy i usiadłyśmy obok niej. Miała na imię Saja.

„O co was oskarżono?” – zapytała nas.

„My wierzymy w Jezusa” – wytłumaczyłam.

Roześmiała się głośno, pokazując swoje pożółkłe zęby. Dotarła do nas fala wstrętnego smrodu z jej ust.

„A ciebie?” – spytałam.

„Mnie oskarżają o to, że jestem samotna i bezdomna i nie mam do kogo pójść. Aresztowali mnie za to, że spałam w parku. Policja mówi, że powinnam zarejestrować się w służbach socjalnych”.



Państwowa organizacja pomocy społecznej, nazywana Behzisti, jest znana z aroganckiego traktowania ludzi, którzy zwracają się o pomoc. Nie dziwiłam się, że kobieta wołała tam nie iść.

„Chciałabym mieć wygodne miejsce do spania – powiedziała Saja – lub kogoś, kto by mi pomógł. Ktokolwiek”.

„Przecież jest Bóg, który zawsze i wszędzie jest z tobą” – odpowiedziałam. „Czy kiedykolwiek prosiłaś Go o pomoc?”

„Nigdy nie otrzymałam żadnej pomocy od boga muzułmanów. Może wasz Bóg mi pomoże. Pomódlcie się za mnie, proszę”.

Kiedy się modliłam, oczy Sai napełniły się łzami. Potem uważnie wysłuchała tego, co mówiłam o Jezusie i Jego planie jej zbawienia. Zapytała mnie o moją wiarę, a potem poprosiła o adres kościoła. Podałam jej, a ona powiedziała: „Jeśli kiedykolwiek zostanę wypuszczona na wolność i wymknę się ze szponów Behzisti, pójdę do kościoła”. Mimo potwornego wyglądu miała wrażliwe i otwarte serce. I dzięki Opatrzności Bożej w danym momencie my z Marceliną znalazłyśmy się tutaj, by podzielić się z nią miłością Chrystusa, kiedy była na nią najbardziej otwarta.

\*\*\*

Maria &

Następnego ranka po zwykłej pobudce, urządzonej przez Leilę, Maria i ja odwiedziłyśmy o wiele przyjaźniejszą toaletę, po czym słuchałyśmy wywoływanych nazwisk. Patrzyłyśmy, jak kobiety jedna po drugiej wychodzą z celi. Po pewnym czasie tylko my dwie zostałyśmy za kratami. Przed chwilą było tu pełno ludzi, ruchu i rozmów; teraz nastąpiła nieprzyjemna cisza. Miałyśmy już wrócić do celi, by odpocząć, kiedy policjantka wykrzyknęła nasze nazwiska.

„Maria Rostampur i Marcelina Amirizade!”

„Tak?”

„Wychodźcie do sądu”.

Wyprowadzono nas do pokoju przeszukiwań, gdzie czekała Saja. Policjantka nałożyła nam kajdanki tak, że zostałyśmy we trzy połączone razem; Saja była pośrodku. Zaprowadzono nas po schodach w górę. Światło słoneczne oślepiło nas, kiedy szłyśmy do samochodu policyjnego. Od czasu zatrzymania nie widziałyśmy słońca. Było piękne i przyjemnie ogrzewało nasze twarze. Jaki wypoczynek od okropności więzienia! Nie mogłyśmy nacieszyć się świeżym powietrzem. Co za błogosławieństwo wyjść na światło dzienne, niechby nawet tylko na chwilę!

Usłyszałyśmy swoje imiona i obejrzałyśmy się. Biegła do nas moja siostra Elena i siostra Marii Szirin. Co za radość znowu je zobaczyć! Ochrona kazała nam

iść dalej i nie zwracać na nie uwagi; zignorowałyśmy ochronę i rzuciłyśmy się w objęcia sióstr, mocno ściskając je pomimo kajdanków i płacząc z radości i wzruszenia. One były przerażone, widząc, jak blade, głodne i brudne jesteśmy. „Czy was torturowano? Czy was torturowano?” – pytały się wciąż. Zapewniałyśmy, że nie. Szeptem powiedziałyśmy im o egzemplarzach Nowego Testamentu, niezalezionych przez policję, i prosiłyśmy, by je schowały. Siostry obiecały to zrobić, a potem podały nam trochę czekolady i soków owocowych. Co za wspaniały widok i zapach!

„Nie wolno wam tego brać!” – warknęła prowadząca nas policjantka. „Nie wolno!”

Byłyśmy tak głodne, że prawie odczuwałyśmy smak przez skórę rąk.

„Do samochodu!” – rozkazała policjantka.

Musiałśmy oddać jedzenie naszym siostram, ostatni raz uściskałyśmy je i razem z Sają wcisnęłyśmy się na tylne siedzenie. Policjantka usiadła z przodu obok żołnierza, który prowadził samochód. Całą drogę zatykali sobie nos.

Zostawiłyśmy Saję w budynku Sądu Rodzinnego, po czym zabrano nas do Trybunału Rewolucyjnego. Mieścił się on w dużym ceglany budynku, znanym w całym Teheranie.

Wprowadzono nas przez tylne drzwi, przeznaczone dla więźniów, by ich nie widzieli ludzie. W małym pokoju przeszukała nas ochrona. Następnie poprowadzono nas przez podwórze i jeszcze jedne drzwi. Trybunał Rewolucyjny jest labiryntem pokoi, długich korytarzy i wind. Wciąż zakute w kajdanki weszłyśmy po schodach do poczekalni sądu Engelab, Oddział 2, należącego do służb bezpieczeństwa. Znajdowały się tu panie zatrzymane w piekarni z powodu akcji „Jesteśmy” i ich rodziny. Widząc nas, bardzo się ucieszyły. Chciały przedstawić nas swoim dzieciom i krewnym. Ochrona jednak rozkazała nam siedzieć cicho.

„Tu jest pełno kamer wideo” – powiedziała policjantka. „Jeśli będziecie rozmawiać, będziecie miały problemy”.

Wymieniłyśmy się pozdrowieniami z naszymi znajomymi i usiadłyśmy.

Obok nas siedzieli dwaj młodzi, przystojni mężczyźni w garniturach. Słyszeli oni, jak rozmawiałyśmy z prawnikami na temat naszego zatrzymania i postawionych nam zarzutów, i zaczęli nas wypytywać.

„Dlaczego was zatrzymano?”

„Bo jesteście chrześcijankami” – wyjaśniłam.

„Naprawdę?” – zawołał jeden z nich. „Co za oskarżenie! Nie mają litości dla nikogo. Jak oni poznali, że jesteście chrześcijankami? Byłyście zaangażowane w jakieś działania w kościele?”

W tym momencie policjantka, która eskortowała nas z Wozary, kazała młodemu człowiekowi, zadającemu pytania, wstać i zajęła jego miejsce obok

Marii. Potem schyliła się do nas i powiedziała cicho: „To jest przebrany agent tajnej policji, *basidzi*. On próbuje zebrać dowody przeciwko wam”. Ta kobieta najwyraźniej współczuła nam i chciała nas uratować.

Wprowadzono grupę mężczyzn, niektórzy z nich szli z trudem. Byli zatrzymani w tej samej piekarni, co nasze znajome panie, i mocno pobici przez *basidzi*. Tymi, którzy ich tak dotkliwie bili, byli ci sami przystojni panowie w garniturach.

Do pokoju weszły zatrzymane kobiety, oznajmiły, że są niewinne i że chcą wnieść skargę na *basidzi*. Sędzia odrzekł, że jeśli nie wniosą skargi, mogą być zwolnione po wpłaceniu kaucji. Jeśli natomiast nalegają na rozpatrzeniu skargi, muszą pozostać pod strażą. Panie tak bardzo ucieszyły się z możliwości wyjścia na wolność, że zgodziły się na taki układ. Jednak, jak często się to dzieje w irańskich sądach, nie zostały oficjalnie zwolnione z postawionych zarzutów. Po wpłaceniu kaucji mogły wrócić do domu, ale wysunięte przeciw nim oskarżenia pozostały w ewidencji. W każdej chwili władze mogły wywierać presję na nie.

Każdy sędzia w Trybunale Rewolucyjnym ma duże biuro. Wezwano nas do biura grubego, nadętego mężczyzny z ciemną brodą. Nazywał się Sobhani i to jemu przekazał naszą sprawę pan Rasti z posterunku policji. Na jego czole widniała czerwona plama, którą miewają pobożni muzułmanie po długich modłach z czołem przyciśniętym do specjalnego kamienia. Jestem przekonana, że podobnie jak inni nasi znajomi, ten człowiek celowo rozgrzewał kamień, by został widoczny ślad na czole. W ten sposób wszyscy widzieli jego pobożność, a on nie musiał spędzać godzin na modlitwie. Pan Sobhani miał też duży pierścień z wypisanymi na nim wersetami z Koranu. Na ścianach w jego biurze wisiały zdjęcia irańskich żołnierzy, walczących i ginących. Niektórzy z nich cali byli we krwi. Wisiały tu też zdjęcia ajatollaha Chomeiniego, który przejął władzę po obaleniu szacha w 1979 roku, oraz ajatollaha Chamenei, obecnego przywódcy Iranu. Na niektórych zdjęciach był sam Sobhani. Pomieszczenie wyglądało jak muzeum męczenników islamu.

Sędzia napisał na kartkach pytania, na które każda z nas miała odpowiedzieć pisemnie, nie porozumiewając się z drugą osobą. Były to te same pytania, na jakie odpowiadałyśmy już wielokrotnie, i nasze odpowiedzi były praktycznie jednakowe:

Czy przyjmujesz zarzut działalności promocyjnej skierowanej przeciwko panującej władzy politycznej i obrażającej władze religijne? *Nie*.

Czy przyjmujesz zarzut promowania chrześcijaństwa w Iranie? *Nie*.

Czy przyjmujesz zarzut dystrybucji Biblii i ewangelizowania ludzi w teherańskiej restauracji? *Nie. Dawaliśmy Nowy Testament w prezencie tylko ludziom, którzy o niego prosili. Nie wszczynaliśmy z nikim rozmów o Jezusie w tej restauracji.*

Do jakiego uczęszczasz kościoła? *Nie uczęszczamy do żadnego kościoła w Iranie.*

W jakim Kościele zostałaś ochrzczona? *Zgromadzenia Bożego (Maria). Zielonoświątkowym (ja).*

Tak doszliśmy do końca, potwierdzając swoje odpowiedzi podpisami i odciskami palców.

W samochodzie pomyślałam, że jedziemy z powrotem do więzienia. Zamiast tego przywieziono nas na posterunek policji w Gisz, gdzie stanęliśmy twarzą w twarz z naszym starym znajomym – panem Rastim.

„Mam nadzieję, że dokładnie przemyślałyście sprawę” – powiedział do nas, odgryzając kawałek chleba.

Zastanawiałam się, czy on wie, że jesteśmy bardzo głodne, czy po prostu ma zwyczaj jeść w obecności więźniów.

„Co miałyśmy przemyśleć?” – spytała Maria.

„To, by opowiedzieć nam wszystko o swojej działalności i o ludziach, z którymi pracowałyście. Mamy też inne sposoby, by zmusić więźniów do mówienia. Powiedzcie nam to, co chcemy wiedzieć, inaczej będziecie pobite. Możecie powiedzieć wszystko teraz i uratować siebie”.

Wszedł Mohammadi, który przeszukiwał nasze mieszkanie; przyniósł małe tabliczki i aparat fotograficzny. Miałyśmy zawiesić tabliczki z napisami na szyi, by on zrobił nam zdjęcia. Na tabliczkach było napisane: „Marcelina Amirizade oskarżona o propagowanie chrześcijaństwa w Iranie” oraz „Maria Rostampur oskarżona o propagowanie chrześcijaństwa w Iranie”. Pomyślałyśmy, że doznajemy wielkiego zaszczytu dzięki takiej identyfikacji, dlatego obie szeroko uśmiechałyśmy się do zdjęcia. Pana Rastiego to zdenerwowało. Myślał, że będziemy wystraszone, a tu nic.

„Przejrzałem wasz laptop i zebrałem wszystkie dowody przeciwko wam” – powiedział surowo. „Musicie wszystko opowiedzieć o ludziach, z którymi się spotykałyście, i o organizacjach, z którymi współpracujecie. Inaczej zakujemy wasze ręce i nogi w kajdanki i będziemy bić, aż umrzecie. Pomyślcie o tym, przygotowując się do przesłuchania”.

Szybkim ruchem pan Rasti wstał zza biurka i wyszedł, zostawiając nas w pokoju z „panem Prawdą”, pierwszym policjantem, którego spotkałyśmy na tym posterunku w dniu naszego zatrzymania.

Pan Hagigat zaprowadził nas do piwnicy, gdzie miałyśmy czekać na przesłuchanie. To było ciemne, wilgotne i obrzydliwie brudne pomieszczenie, w którym unosił się bardzo znajomy smród uszkodzonej kanalizacji. Potem dowiedziałyśmy się, że tam w ogóle nie było żadnej kanalizacji – toaletą była dziura w podłodze. Dookoła dziury i po ścianach łąziło wstrętne robactwo. Było zimno, więc wzięłyśmy kilka brudnych koców i zwinęłyśmy się w nie na podłodze, tuląc się do siebie. Kto by mógł pomyśleć, że w takim wielkim, wspaniałym budynku są takie ohydne pomieszczenia? Ze wszystkich miejsc,

w których miałyśmy być więzione w nadchodzących miesiącach, to było najgorsze.

Mimo naszej wcześniejszej brawury bardzo bałyśmy się. Wiedziałyśmy, że mógł to być nasz ostatni dzień na tym świecie. Trzymając się za ręce, modliłyśmy się do Pana, by wlał w nasze serca pokój. Najbardziej bałyśmy się, że się złamiemy i powiemy coś niezgodnego z wolą Boga. Modliłyśmy się o siłę. Chciałyśmy, by nasi oprawcy zobaczyli, że jesteśmy mocne w duchu i odważne. Jeśli będą nas torturować, Boże, daj nam siłę wytrwać!

Modlitwa pomogła nam poczuć się lepiej. Wyczerpane i głodne, zasnęłyśmy, spodziewając się w każdej chwili nadejścia śmierci.

Obudził mnie zgrzyt klucza w zamku. Tuliłyśmy się w milczeniu, słuchając zbliżających się kroków. Jednak wbrew naszym oczekiwaniom to policjantka przyprowadziła dwie płaczące dziewczyny, dwie siostry, aresztowane za korzystanie ze strony internetowej GoldQuest, zabronionej w Iranie. Po tym jak razem pomodliłyśmy się, dziewczyny zapytały: „Jak wam się udaje zachować taki spokój i siłę ducha? Jesteście jak aniołowie w tym strasznym miejscu”.

„To nie jest nasza moc” – wyjaśniłam. „Tylko Pan jest na tyle mocny, by przeprowadzić nas przez ten koszmar”.

Przez godzinę lub dwie rozmawiałyśmy jak stare przyjaciółki. Potem modliłyśmy się razem, trzymając się za ręce. Kiedy skończyłyśmy, siostry chciały modlić się dalej.

Nagle usłyszałyśmy zgrzyt klucza i bardzo znajomy głos. Leila! Widok naszej znajomej, wrzeszczącej i szarpiącej się z ochroną, przestraszył siostry. Powiedziałam im, że nie muszą się bać.

„Znamy ją” – powiedziałam. „Ona wygląda nieprzyjemnie, ale ma czułe serce. Opowiadała nam o swoim mężu i synu”.

Leila niesamowicie się ucieszyła, widząc nas. W jakiś sposób udało jej się przemyścić ze sobą całą skrzynkę mandarynek. Podzieliła się nimi z naszą czwórką. Po kilku minutach wszystko było połknięte.

„Myślałyśmy, że cię zwolnili” – powiedziałam. Mówiła nam o zwolnieniu, kiedy ją zabierano do sądu dziś rano. Jej mąż miał wpłacić kaucję i zabrać ją.

„Ja też tak myślałam” – odpowiedziała. „Ale ci złodzieje nie wypuszczą mnie, póki mąż nie pokaże im zaświadczenia o zawarciu małżeństwa lub innego dokumentu potwierdzającego, że on jest za mnie odpowiedzialny. Powiedział, że nie może znaleźć dokumentów, i miał przynieść je dziś wieczorem. Nie przyszedł, więc niech zdechnie!”

„Macie jakiegoś papierosa?” – krzyknęła w kierunku drzwi. Odpowiedzi nie było, więc krzyknęła znowu.

W końcu pojawiła się ochrona i powiedziała: „Zamknij się! Twój mąż przyjdzie i cię zabierze”. Leila, jako mężatka, zgodnie z prawem mogła wyjść na wolność tylko wtedy, gdy odbierze ją mąż.

„Idź do diabła!” – zawołała Leila. „Bądź przeklęta razem ze swoją muzułmańską religią! Zgiń razem z tym reżimem!”

Policjantka wyszła, nic nie mówiąc.

Później w ciągu dnia Leili powiedziano, że jeśli zapłaci kaucję w wysokości 30 tysięcy tomanów (15 USD), zostanie wypuszczona. Miała trochę pieniędzy, dlatego kiedy zaproponowałam, że dam jej resztę, zawołała straż, by ją wypuścili. Okazało się jednak, że to był okrutny żart. W rzeczywistości nie było propozycji wypuszczenia za kaucją, ochrona po prostu znęcała się nad biedną kobietą. Później powiedziano jej, że mąż już po nią wyjechał, i Leila płakała z radości. Ale to również był żart. W końcu na jej prośbę ochrona zadzwoniła do męża. Słyszałyśmy, jak się kłóca, zanim Leila klnąc rzuciła słuchawkę.

Całkowicie wyczerpana zasnęła z głową na moich kolanach. Razem z Marią głaskałyśmy jej włosy, jakby była dzieckiem. Nikt nie wie, ile czasu minęło od dnia, kiedy ktoś dotykał ją z miłością. Zdziwione siostry patrzyły na śpiącą. Zbyt wielki był kontrast pomiędzy dzikim zachowaniem tej strasznie wyglądającej kobiety o ciętym języku a tym, jak spokojnie spała.

Gdy nadszedł wieczór i ochrona zamierzała iść do domu, postanowiono odwieźć nas do Wozary – inaczej ochroniarze musieliby zostać z nami tak długo, póki tu byłśmy. Zakuto nas wszystkie razem w kajdanki, przez co wszystkie poprzewracałyśmy się, kiedy jedna z nas się potknęła. Leila puściła wiązanek przekleństw. Była prawie północ, więc nasz samochód więzienny szybko mknął przez miasto, ścinając zakręty. Przewalałyśmy się z tyłu, jak worki z warzywami.

Pomimo późnej godziny Elena i Szirin czekały na nas przy więzieniu Wozara z nową porcją czekolady i soków. Tym razem udało nam się schować żywność pod ubraniami na później. Wiedziałyśmy już, że inni wiedzą o naszym zatrzymaniu i starają się pomóc. W nadchodzących dniach nasze siostry były naszą jedyną łącznością ze światem. Kiedy nasza sprawa nabrała rozgłosu, miałyśmy nadzieję, że wiadomość o chrześcijankach zagrożonych torturami i śmiercią ze strony reżimu muzułmańskiego zachęci wiernych do modlitwy za nas i do działania zmierzającego do naszego uwolnienia. Wierzyłyśmy, że dzięki temu szybko będziemy zwolnione.

W więzieniu Wozara znowu musiałyśmy odpowiadać na stały zestaw pytań, tym razem zadawanych przez miejscowe władze, zanim odprowadzono nas do celi. Czy urodziłyśmy się jako chrześcijanki, czy też zmieniłyśmy religię? Dlaczego porzuciłyśmy islam? Dlaczego rozdawałyśmy Biblię?

W końcu naczelnik zawołał:

„Kim jesteście?”

„Ja jestem córką Boga” – odpowiedziała Maria.

„W takim razie ja muszę być Jego synem, nie?” – rzucił sarkastycznie naczelnik.

„Słusznie!” – powiedziała triumfująco Maria.

Policjant podskoczył, pałając gniewem.

„To jest bluźnierstwo! Natychmiast przestańcie bluźnić przeciwko islamowi! Stop! Stop!”

Jedna z ochroniarek przestraszyła się krzyków naczelnika i poprosiła Marię, by przestała z nim dyskutować.

„To są niebezpieczni ludzie” – szepnęła. „Nic nie wskórasz, doprowadzając ich do gniewu”.

„Sąd podejmie decyzję” – kontynuował naczelnik. „Wtedy zobaczycie, co jest czym”.

Zostałyśmy odprowadzone do znajomej celi, wzięłyśmy parę śmierdzących koców i zawięłyśmy się w nie na podłodze. Byłyśmy zbyt wyczerpane, by myśleć. Obrazy i doświadczenia minionego dnia wirowały w moim umyśle jak szalony kalejdoskop. Ale przetrwałyśmy aż do tego momentu! Bez łóżka, bez jedzenia, bez odrobiny sprawiedliwości wytrzymałyśmy dzięki miłosierdziu Bożemu. Nie miałam pojęcia, co Pan zaplanował dla nas na następny dzień. Wiedziałam tylko, że cokolwiek się zdarzy, Jego łaska nam wystarczy.

## ROZDZIAŁ 5

### *Nowi przyjaciele, stare pytania*

Marcelina &

Poniedziałek 9 marca rozpoczął się od zwykłych wrzasków Leili. Tym razem jednak hałas ten mniej nam przeszkadzał. Byłyśmy już do niego przyzwyczajone, a poza tym byłyśmy wyczerpane, wygłodzone i osłabione z powodu braku ruchu. Strażniczki zaczęły wykrzykiwać imiona kobiet, mających udać się do sędziów. Wezwano siostry od serwisu GoldQuest oraz Saję, która była tak samo rozczochrana i brudna. Poprosiła nas o modlitwę, by mogła udać się do pomocy socjalnej i znalazła sobie czyste miejsce do spania. Leilę również wezwano. Powiedziano jej, że skoro jej mąż po nią nie przyszedł, zostanie przeniesiona do więzienia Ewin. Na tę wiadomość Leila wpadła we wściekłość. Więzienie Ewin było znane z tego, że przetrzymywano tam ludzi, którzy popełnili przestępstwa przeciwko islamowi – a tym samym przeciwko panującemu reżimowi. Uwięzienie mogło trwać w nieskończoność i łączyło się z torturami, czasami więźnia zabijano. Przenoszono Leilę tam tylko dlatego, że była pod strażą już trzy dni. Teraz w jej dokumentach na zawsze pojawi się wpis o odbyciu kary w więzieniu. Wychodząc, na chwilę przestała wykrzykiwać obelgi i przekleństwa i mogłyśmy się z nią pożegnać i życzyć jej wszystkiego dobrego.

Nasze trzy dni aresztu też już minęły. Skoro Leilę przeniesiono do więzienia Ewin, mogło to spotkać i nas. Jednak nie miałyśmy żadnych wiadomości, nie wiedziałyśmy, co teraz nastąpi.

W celi została garstka ludzi. Wśród nich była Sahar, atrakcyjna uciekinierka z krótko ściętymi włosami, a także nowa zatrzymana o imieniu Masoma. Była to niewysoka, piękna kobieta, patrzyła przyjaźnie, ale jej pojawienie się wywołało w nas niepokój. Póki inne kobiety rozmawiały, zaczęłyśmy z Marią sprzątać w celach i w toalecie. Traktowałyśmy sprzątanie jako nasz codzienny obowiązek. Zapytałyśmy straż, czy możemy posprzątać również ich pokój dzienny. Policjantki były w szoku, jednak chętnie się zgodziły. Oznaczało to, że nie będą musiały sprzątać po sobie same.

Ochrona mogła korzystać z wody pitnej w kuchni, która była poza zasięgiem uwięzionych. Poprosiłyśmy o pozwolenie pójścia tam i napicia się wody. Zgodziły się, co sprawiło nam wielką radość. Piłyśmy prosto z kranu, ponieważ nie miałyśmy kubków. Mogłyśmy się napić po raz pierwszy od czterech dni i każda z nas wypijała co najmniej cały dzban wody!

„Wy dwie jesteście inne niż reszta zatrzymanych” – powiedziała do nas jedna z policjantek. „Jak się tu znalazłyście? Jakie zarzuty wam postawiono?”

Kiedy wszystko opowiedziałyśmy, stwierdziła: „Jesteście zbyt dobre jak na



to miejsce. To wstyd, że zamykają niewinne osoby, takie jak wy. Mam nadzieję, że wkrótce puszcza was wolno”.

Podeszła inna policjantka, która słyszała tylko część naszej rozmowy. „Za co są tutaj?” – spytała. Kiedy pierwsza policjantka wytłumaczyła, ona się zdenerwowała, chwyciła nas i z krzykiem „Słusznie je zamknięto!” pociągnęła do celi. Z nieoczekiwaną siłą wepchnęła nas do środka i zatrzasnęła drzwi.

Po jakimś czasie zabrano nas z celi do biura, gdzie siedziało dwóch mężczyzn inspektorów i dwie kobiety z ochrony.

„O co zostaliście oskarżone?” – zapytał jeden z mężczyzn.

„O chrześcijaństwo”.

Popatrzył na nas z niedowierzaniem.

„Chrześcijaństwo nie jest przestępstwem”.

„Nie urodziłyśmy się jako chrześcijanki. Nawróciłyśmy się jedenaście lat temu”.

„A, zmieniliście religię! Czy również promowałyście chrześcijaństwo?”

„Tak, mówiłyśmy o Jezusie krewnym i przyjaciołom, którzy chcieli wiedzieć o Nim więcej”.

Posypały się kolejne, znane już nam pytania, na które odpowiadałyśmy wielokrotnie. Mężczyzna powiedział, że chciałby więcej się dowiedzieć o Jezusie i o Biblii, ponieważ chciałby się nawrócić.

„Czy zna pan Jezusa?” – zapytała Maria.

„Tak, to jest jeden z proroków”.

„Wierzymy, że Jezus jest Synem Bożym i Zbawicielem ludzkości, a nie zwykłym prorokiem. On oddał życie za nasze grzechy i powstał z martwych”.

„Zatem nie wierzy pani w Mahometa i innych proroków?”

„Nie wierzę, ale szanuję poglądy innych”.

Ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłam w oczach mężczyzny łzy. Patrząc w papiery rozłożone przed nim, powiedział cicho: „Niech pani nikomu więcej nie mówi tego, co pani powiedziała mi. To ściągnie na panią problemy”. Następnie zapytał nas o wizytę w Trybunale Rewolucyjnym i o warunki w celi więziennej Wozary. Opowiedziałyśmy mu, jak fatalny jest stan rzeczy.

„Ale gdziekolwiek jesteśmy z woli Pana, jest to zawsze najlepsze miejsce dla nas, nawet to tutaj” – dodałam.

„Mocno trzymajcie się swojej wiary” – wyszeptał inspektor. „Mam nadzieję, że niedługo będziecie na wolności”.

W celi po raz kolejny opowiedziałyśmy o sobie niektórym nowym zatrzymanym. Jedną z nich była niewysoka, pyzata kobieta, zatrzymana za oszustwa z czekami. Kiedy podzieliłyśmy się z nią naszą historią, zaczęła płakać. „Ja też wierzę w Jezusa” – powiedziała cicho, by nikt nie słyszał. „Kilka lat temu w Szwecji chodziłam do kościoła i zostałam ochrzczona. Wiem o Jezusie i znam

Jego nauczanie, ale nigdy nie czytałam Biblii”.

Poprosiła nas, byśmy modliły się za nią, co z radością uczyniliśmy.

Masoma, która na pierwszy rzut oka wyglądała na przyjazną i życzliwą, okazała się niemiłą, zarozumiałą osobą. To niesamowite, jak bardzo mylące może być pierwsze wrażenie. Przypomnialiśmy sobie, że nie można poznać człowieka, patrząc tylko na jego twarz. Z jej wyglądu wywnioskowałyśmy, jaki może mieć charakter, i zaufałyśmy jej, ale kiedy poznałyśmy ją lepiej, zobaczyłyśmy prawdziwy obraz. Masoma opowiedziała, że jej ojciec zginął na wojnie z Irakiem. Nie lubiła swojego ojczyma i opuściła dom, by zamieszkać samodzielnie, korzystając z tego, co zostawił jej ojciec. Zaangażowała się w stosunki lesbijskie z dwiema kobietami, które chętnie korzystały z jej pieniędzy i majątku, a potem zostawiły ją z rozbitym sercem. Następnie weszła w związek z mężczyzną, którego obsypywała prezentami, wśród których były meble i samochód. Pewnej nocy policja wdarła się do mieszkania i zastała ich razem. Później dowiedziałyśmy się, że to ona chciała, by ich przyłapano – to zmusiłoby bogatego mężczyznę, by związał się z nią na stałe. Poinformowała policję o miejscu i czasie, kiedy będą we dwoje, i dzięki swojej pozycji córki bohatera przekonała sędziego, by zmusił mężczyznę do ożenku z nią. Kiedy ten człowiek pojawił się po południu w sądzie, widać było, że po zatrzymaniu go ubiczowano.

Zachęcona historią Masomy również Sahar otworzyła się i zaczęła opowiadać o sobie. Miała szesnaście lat i przyjaźniła się z chłopakiem, który werbował prostytutki do pracy w Dubaju. Ona też chciała tam pojechać, ale kiedy jej brat o tym się dowiedział, mocno ją pobił i ogolił jej głowę. Dziewczyna uciekła z domu, po czym została aresztowana. Planowała, że po zwolnieniu natychmiast powróci do swego chłopaka i pojedzie do pracy w Dubaju. Próbowaliśmy ją odwieść od tego zamiaru, ale ona była przekonana, że tylko w taki sposób zazna prawdziwej wolności i niezależności finansowej.

W więzieniu bardzo często rozmawiano o seksie. Nie dało się rozróżnić, co z usłyszanych rzeczy było prawdą, a co wymysłem. Do naszej celi przyprawiono inną dziewczynę, szesnastoletnią Tannaz, która pochodziła z miasta Meshed. Miała na sobie obcisłe džinsy i czarną koszulkę, odsłaniającą ramiona. Została zatrzymana, kiedy uprawiała seks w parku. Przechwalała się, że notatki o niej są w komisariatach policji w całym kraju. Kiedy usłyszała naszą historię, oznajmiła, że powinnyśmy być stracone jako niewierne. „Moje grzechy będą przebaczone – powiedziała ostro, – ale wy zgrzeszyliście przeciwko Allahowi w taki sposób, że nigdy nie dostąpicie przebaczenia”.

Okolo południa jedna z policjantek, mniej więcej dwudziestopięcioletnia, zawołała nas do drzwi, by porozmawiać przez kraty. Nie nazywała nas po imieniu, tylko mówiła do nas „chrześcijańskie dziewczyny”. Traktowała nas łagodniej niż inne kobiety z ochrony. Wyglądała na przestraszoną i cały czas oglądała się,

rozmawiając z nami.

„Niektóre z zatrzymanych mówiły, że modlicie się za nie i że niektóre wasze prośby zostały wysłuchane” – zaczęła. „W moim życiu wydarzyło się coś złego. Czy mogłybyście się pomodlić za mnie?” Maria odpowiedziała, że to byłby dla nas zaszczyt, gdybyśmy mogły się pomodlić w jej intencji. Trzymając ją za rękę przez kraty, zaczęłyśmy na głos się modlić. Policjantka cicho płakała, a kiedy skończyłyśmy modlitwę, przyłączyła się do niej, mówiąc „Amen”. Powiedziałyśmy jej kilka zdań o Jezusie, ale ona bała się pozostawać przy nas dłużej. „Jeśli wasz Bóg wysłucha mnie, pójdę do kościoła i przeczytam Biblię” – obiecała. „Nie lubię tej pracy – dodała, – ale muszę jakoś zarabiać. Też znajduję się w więzieniu, tylko na trochę inny sposób. Aresztowane przychodzą i odchodzą, a ja tu tkwię dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, w tej okropnej podziemnej dziurze...”

Wróciła do swojego biura, po chwili znowu jednak przysłała, niosąc talerz z makaronem i dwie łyżki. „Wiem, że wy nic nie jadłyście” – powiedziała. „To dla was”. Z wdzięcznością zjadłyśmy posiłek. Po chwili podała nam przez kraty butelkę wody. Co za cudowne odczucie! Po raz pierwszy od kilku dni nie byliśmy głodne ani spragnione.

Nadchodził wieczór i więźniarki zaczęły wracać z sądów. Dowiedziałyśmy się, że siostry od serwisu GoldQuest zostały zwolnione za kaucją, a Saję przekazano służbom socjalnym. Niektóre z naszych współtowarzyszek wróciły, o innych już nigdy nie słyszałyśmy. Poza tym cały czas przybywały nowe osoby.

Równie cudowny, jak niespodziewany obiad, otrzymaliśmy wielki prezent na kolację. Kiedy ochrona przyniosła zwykłą patelnię z ryżem i fasolą, zamiast popchnięcia jej na środek korytarza, gdzie głodne więźniarki gotowe były zanurzyć w jedzeniu ręce i twarze, policjantka krzyknęła, by wszystkie się odsunęły.

„Nikt nie może dotykać jedzenia, oprócz Marceliny!” – warknęła. „Tylko ona ma czyste ręce, dlatego Marcelina poda jedzenie całej reszcie”.

To było coś niezwykłego: „nieczysta” chrześcijanka została wyznaczona do podawania wszystkim jedzenia! Jednak szybko doszłam do siebie, wystąpiłam do przodu i zrobiłam, jak kazała ochrona. Trzymając kawałek chleba jak talerz i nabierając porcję innym kawałkiem chleba, podawałam jedzenie po kolei każdej kobiecie, aż wszystkie zostały obsłużone. Po kolacji Maria umyła patelnię i byliśmy pewne, że jutro otrzymamy jedzenie na czystej patelni. Nie było łatwo, ale okazało się, że nawet tutaj, w tej piekielnej dziurze, można utworzyć małą wyspę człowieczeństwa.

\*\*\*

Maria &

Kulinarne niespodzianki na tym się nie skończyły. Rano ochrona przyniosła do celi śniadanie: woreczki z kanapkami z serem, po jednym woreczku na dwie osoby. Nigdy nie dowiedziałyśmy się, dlaczego zmieniły się reguły związane z posiłkami. Mam nadzieję, że tak się stało, ponieważ ochrona dostrzegła w nas istoty ludzkie. Nie zaczęłyśmy się zachowywać jak zwierzęta, więc zaczęto nas traktować po ludzku.

Po śniadaniu imię Marceliny i moje wywołano w pierwszej kolejności. Myślałyśmy, że zabiorą nas do Trybunału Rewolucyjnego, ale zamiast tego odwieziono nas znowu na posterunek w dzielnicy Gisza. Tam nas rozdzielono a Marcelina czekała, póki mnie zabrano na przesłuchanie do pana Rastiego. W pokoju była również młoda policjantka.

Pan Rasti powitał mnie z uśmiechem i poprosił, bym usiadła. Czy to jest ten sam człowiek, który ostatnio był tak okrutny, który nam groził? Czy to nie on odesłał nas w kajdankach do Trybunału Rewolucyjnego?

„Mam nadzieję, że czuje się pani dobrze” – zwrócił się do mnie przyjaznym tonem. „Czy były jakieś problemy w ostatnich dniach?”

„Nie – odpowiedziałam, – wszystko było w porządku. Nie mam żadnych skarg”.

Pan Rasti próbował ukryć zdziwienie i kontynuował rozmowę.

„To wstyd, że jest pani zamknięta w więzieniu takim, jak Wozara. Tam trzymamy złych ludzi, którzy stwarzają mnóstwo kłopotów”.

„To mi nie przeszkadza” – odparłam. „Oni też są ludźmi i nie zawsze stwarzali kłopoty. Musimy przyjrzeć się ich przeszłości i zrozumieć, co ich zepsuło”.

Pan Rasti uśmiechnął się.

„Reklamuje pani chrześcijaństwo również tam?”

„Oczywiście! Rozmawiamy z każdą osobą, którą do nas przysyłacie, zwłaszcza z młodymi dziewczynami. One desperacko potrzebują pomocy, więc pomagamy im, modląc się za nie”.

„Domyślam się, że w sumie nie jest wam tam tak źle” – powiedział pan Rasti. Pogrzebał trochę w korytku z papierami, wybrał jedną kartkę i podniósł ją do oczu. Zauważyłam, że to były moje notatki.

„Czy to jest lista osób, z którymi pani współpracowała?” – spytał. „Jak pani je poznała?”

„Ci ludzie potrzebowali codziennej modlitwy za nich. Zrobiłam listę, by nikogo nie pominąć. Większości z nich nie widziałam na oczy”.

„Tu jest odnotowane «w szpitalu». Czy odwiedzała pani tę osobę w szpitalu?”

Odwiedzałam, ale nie miałam zamiaru do tego się przyznawać.

Pytania sypały się dalej.

„Czy odbyła pani podróż do wszystkich miast z tej listy?”

„Nie. Zrobiliśmy listę, by się modlić za te miasta”.

„Czy przygotowywałyście ludzi do przejścia na chrześcijaństwo?”

„Kiedy zadawano nam pytania, odpowiadałyśmy. Jako chrześcijanki pragniemy dzielić się prawdą z każdym, kto tylko zechce ją poznać”.

Potok tych samych pytań lał się na mnie i zaczęłam się rozpraszać. Przyglądałam się pięknemu widokowi w oknie za plecami pana Rastiego. W tym czasie on wziął do ręki notes.

„W tym notesie jest mnóstwo nazwisk, adresów i telefonów. Czy to są chrześcijanie?”

Tak było, ale nie chciałam nikogo z nich narażać na niebezpieczeństwo, dlatego powiedziałam: „Nie, to są nasi przyjaciele, większość z nich to muzułmanie. Może pan sprawdzić, jeśli pan chce”.

„Czy wasze mieszkanie służyło jako miejsce nabożeństw? Czy chrześcijanie korzystali z niego jako swojej bazy?”

„Chciałbyś wiedzieć” – pomyślałam. Razem z Marceliną i naszymi przyjaciółmi spędziliśmy w nim setki godzin, modląc się i czytając Biblię. Gościliśmy u nas dwa kościoły domowe: jeden młodzieżowy, a drugi dla prostytutek. Spotkania odbywały się nawet dwa razy dziennie. Oprócz stawy duchowej przygotowywałyśmy dobry poczęstunek i w czasie wspólnej kolacji opowiadałyśmy o Jezusie i Jego działaniu w naszym życiu. W tym niepozornym małym mieszkanku mnóstwo ludzi oddało swe serca Jezusowi. Gdyby tylko ten reżim mógł poznać, jak bardzo spragnieni Jezusa są młodzi Irańczycy! Wielu z nich chciałoby uciec od narzuconych im siłą muzułmańskich reguł, ale większość nie widziała wyjścia. Niektórzy z tych młodych ludzi, spotykając się z nami po raz pierwszy, nie byli w stanie wyobrazić sobie Pana w postaci człowieka, który złożył swoje życie w ofierze za nich, Zbawiciela, który kocha ich bezwarunkowo. Kiedy o tym dowiadawali się, przepelniała ich radość i wdzięczność. Zaczynali kochać Jezusa, ponieważ On pokochał ich pierwszy. Chętnie wybierali chrześcijaństwo, porzucając islam. Jednak nie wolno im było wybrać nowej religii. Przejście z islamu na chrześcijaństwo oznaczało tortury i śmierć.

„Nie – odpowiedziałam pewnym głosem, – nasze mieszkanie nigdy nie było używane jako kościół”.

„Czy nie wydaje się pani, że pani zabierała tym młodym ludziom islam?”

„Nie. Nie chcę nikogo przekonywać, by zmieniał zdanie o własnej religii. Nie chcę nikomu zabierać islamu. Chcę tylko dać młodym ludziom szansę, by mogli wybrać religię sami. Czy to stanowi jakiś problem?”

Pan Rasti zignorował moje pytanie i zadawał swoje własne.

\*\*\*

Marcelina &

Póki przesłuchiwali Marię, czekałam w innym pokoju. Modliłam się, a moje ręce były w kajdankach. Jeden ochroniarz zagadnął mnie niepewnym głosem.

„Wiem, dlaczego tu jesteś” – zaczął. „Powiedz mi, dlaczego zostałam chrześcijanką?”

Poznałam go. To był policjant, którego spotkałam w dniu mojego zatrzymania. Wtedy powiedział mi, że prawdopodobnie zaszła jakaś pomyłka i że nie ma żadnych problemów z rejestracją mojego samochodu. Najwyraźniej nie był wtajemniczony w oszustwo, które miało nas sprowadzić na policję. Podzieliłam się z nim moim świadectwem. Słuchał uważnie.

„Recytuję modlitwy muzułmańskie codziennie” – szepnął. „Wierzę w Pana i w Chrystusa, ale nie tak, jak ty”.

„Pan Jezus z pewnością chce się panu objawić” – powiedziałam. „Jeśli pan Go poprosi, On pomoże panu zrozumieć”.

„Naprawdę?”

„Tak. Jezus powiedział: «Szukajcie, a znajdziecie; pukajcie, a otworzą wam» (Mt 7,7). Jeśli całym sercem zapragnie pan poznać prawdę, Pan Jezus ją panu objawi”.

Drugi ochroniarz podszedł do nas.

„Słyszałem wszystko, o czym mówiliście. Jeśli odpowiesz na moje pytania, uwierzę w Jezusa. Jak to jest możliwe, żeby człowiek był Synem Bożym? Jak może istota ludzka być Panem?”

Wyjaśniłam mu chrześcijańskie rozumienie tajemnicy Wcielenia, ale on pozostał sceptyczny i pytał dalej.

„Czy wierzy pan, że Bóg może uczynić wszystko, co zechce?” – spytałam w końcu.

„Tak, wierzę w to”.

„W takim razie niech pan prosi Go, by to panu wytłumaczył, ponieważ moje słowa nie oddają całej głębi tej prawdy. To są rzeczy, które tylko sam Bóg może objawić człowiekowi w głębi jego serca. To nie jest kwestia, którą można rozstrzygnąć w dyskusji lub poprzez czytanie książek. Jeśli pan naprawdę chce znać odpowiedzi na swoje pytania, niech się pan modli od serca w swoim własnym języku – nie ma potrzeby modlić się tylko po arabsku – prosząc, by Bóg pozwolił panu poznać Prawdę”.

Pierwszy ochroniarz bardzo ucieszył się z tej mojej rady, ale jego kolega wyglądał na nieprzekonanego. Powiedziałam mu: „Jeśli pan szczerze pragnie poznać prawdę i będzie się o to modlił, Bóg objawi ją panu. Ale jeśli pan chce tylko się spierać, traci pan czas swój własny i mój”.

W tym momencie do pokoju wszedł pan Hagigat i rozmowa się urwała.

Minęły ponad dwie godziny. Przyszedł po mnie inny ochroniarz i zabrał mnie na rozmowę. Na schodach minęłyśmy się z Marią.

„Dziwna sprawa” – pomyślałam. „Jednym z problemów mojego życia jest to, że nie mogę kłamać nawet wtedy, kiedy muszę”.

Pan Rasti poprosił mnie, bym usiadła.

„Przykro mi, że muszę panią znowu narażać na tę samą nieprzyjemność” – powiedział jakby się tłumacząc. „Ale niestety, takie są przepisy”.

Nie wierzyłam własnym uszom. Co się stało z nieuprzejmym, surowym panem Rastim, którego znałam?

„Na waszym laptopie znaleźliśmy zdjęcia zrobione w Korei” – zaczął pan Rasti. „Jakie są wasze stosunki z Kościołem koreańskim?”

„Byłyśmy w Korei, by odwiedzić przyjaciół. Poszłyśmy też na festiwal dla kobiet, organizowany przez wspólnotę”.

„Chodziłyście tam do kościoła?”

„Dla chrześcijan to normalne, że odwiedzają kościoły w czasie podróży”.

„My wiemy, że prowadziłyście kościół domowy. Znaleźliśmy u was notatki do kazań”.

„To są moje notatki z osobistego studium Biblii” – odpowiedziałam. „Może pan przeczytać, pisałam o wątpliwościach i trudnościach, i wyzwaniach związanych z zaufaniem Panu w trudnych sytuacjach. Doszłam do wniosku, że wiara jest kluczem do sukcesu. Czy coś w tym jest niesłusznego?”

Pan Rasti zignorował moje pytanie i wciąż zadawał swoje – o zdjęcia, o imiona, o wszystko, co go zaniepokoiło w moich prywatnych rzeczach.

Na szczęście nikt nie znalazł innych informacji o naszym wyjeździe do Korei Południowej, gdzie chrześcijaństwo doznaje rozkwitu. Poprzez łańcuch przyjaciół zostałyśmy zaproszone na konferencję liderów w tym kraju, w której brali udział przywódcy chrześcijańscy, żony pastorów itp. Byłyśmy jedynymi chrześcijankami z Iranu – nasz pobyt tam był prawdziwym cudem.

Południowa Korea robiła wrażenie czystego, prosperującego kraju, a liderzy chrześcijańscy tryskali entuzjazmem i potrafili współczuć. Ich wiara była widoczna nie tylko w słowach, ale też w czynach. Tu było zupełnie inaczej niż w Indiach, gdzie chodziłyśmy ewangelizować prostytutki i uczyłyśmy się im posługiwać. Całe szczęście, że irańskie władze również nie dowiedziały się o tym. Idąc do dzielnicy czerwonych latarni, gdzie mieszkwały prostytutki, musiałyśmy brać ze sobą ochroniarzy. Było to brudne, niebezpieczne miejsce. Wiele osób chorowało tam na AIDS. Niektóre prostytutki prosiły, byśmy się za nie modliły w kościele, co czyniłyśmy z wielką chęcią. Przemawiałyśmy do wspólnot chrześcijańskich w Indiach i rozdawałyśmy w sklepach Nowy Testament w języku hindi.

Po moim przesłuchaniu znowu byłyśmy z Marią razem. Porównywałyśmy

przebieg naszych przesłuchań i zastanawialiśmy się, dlaczego pan Rasti zachowywał się dzisiaj zupełnie inaczej niż poprzednio. Odprowadzono nas do brudnej, ciemnej celi pod schodami i pozostawiono same.

Nieco później dołączyła do nas niewysoka, piękna, młoda kobieta. Kiedy opowiedziałyśmy jej, za co nas tu trzymają, poprosiła o modlitwę. Dowiedziałyśmy się, że pół roku temu wyszła za męża. Kiedy nie chciała współżyć z mężem, ten wiązał jej ręce i nogi i gwałcił ją. Nie wytrzymała tego i uciekła do swoich rodziców, następnie złożyła wniosek o rozwód. Prawo islamu stanowi jednak, że tylko mąż może wnosić o rozwód. Z punktu widzenia prawa nie mogła uzyskać rozwodu bez zgody męża, a jednak pozostała w domu rodziców i znalazła sobie pracę.

Pewnego dnia nasza rozmówczyni zgodziła się, by kolega podwiózł ją do pracy. Mąż, który ją cały czas śledził, wezwał *basidzi* i oskarżył ją o zdradę. Mimo że mąż nie miał żadnych dowodów, kobieta została aresztowana. W sądach muzułmańskich słowo mężczyzny ma dwa razy większą wagę niż świadectwo kobiety. Pozostanie ona w więzieniu, póki nie zgodzi się wrócić do męża (jeśli on zechce ją przyjąć) lub póki on nie zgodzi się na rozwód.

Przyprowadzono nową zatrzymaną – zgrabną dziewczynę z krótko ściętymi włosami. Miała na imię Szerara. Została zatrzymana za to, że piła i tańczyła z chłopakami w wesołym miasteczku. Na jej ciele były rany – *basidzi* pobili ją. W samochodzie jeden z *basidzi* nisko trzymał jej głowę, by przechodnie nie mogli jej zauważyć. Inny trzymał jej ręce i nogi. „Masz takie piękne ciało” – mówili do niej „Po co się wyrывasz i zmuszasz nas, byśmy cię bili? Wyluzuj się, przytul się do mnie, ja zaśpiwam ci kołysankę i spokojnie sobie zaśniesz”. Prawo zabraniało jej flirtowania z chłopakami w wesołym miasteczku, ale *basidzi*, którzy ją aresztowali, widocznie mieli prawo flirtować z nią – nawet bijąc ją przy tym.

\*\*\*

Maria &

Okolo północy strażniczka o nazwisku Nadzimi zabrała nas z powrotem do więzienia Wozara. Ta pani pilnowała mnie, kiedy Marcelina była przesłuchiwana. Tak bardzo się o nią martwiłam, że zaczęłam się modlić na głos w jej intencji. Pani Nadzimi usłyszała, że się modłę, i wbiegła do pokoju z krzykiem: „Zamknij się! Żeby już nie słyszała twojego głosu! Jeśli jeszcze raz cię usłyszę, uduszę własnoręcznie!”. Zmęczona i zdenerwowana, rozplakałam się. Nie byłam w stanie się sprzeciwić.

Kiedy jednak zobaczyła mnie w tym stanie, zapytała: „Mario, jak się czujesz?”.



Zapewniłam ją, że wszystko w porządku.

„Wracamy do Wozary – mówiła pani Nadżimi, – ale nie spiesz się, kochanie. I niczym się nie przejmuj”.

Tak samo, jak w przypadku pana Rastiego, stosunek pani Nadżimi do nas zupełnie się zmienił. Postępowała zgodnie z przepisami, ale traktowała nas miękko i ze współczuciem. Nałożyła nam z Marceliną kajdanki i zabrała nas do samochodu. Kiedy jechałyśmy, zapytała, za co zostałyśmy aresztowane.

„Za to, że jesteśmy chrześcijankami”.

„Ale co w tym złego, kochanie?”

„Musi pani zapytać pana Rastiego”.

„Dziś wieczorem przydarzyło mi się coś naprawdę złego” – powiedziała wahając się. „Pokłóciłam się z szefem i on mnie poniżył. Resztę dnia przepłakałam”.

Chwilę pomilczała, potem znowu zwróciła się do mnie: „Kochanie, proszę, wybac mi to, jak ciebie potraktowałam. Skrzywdziłam cię dzisiaj, choć wcale nie chciałam”. Zaczęła pytać nas o naszą wiarę; odpowiadałyśmy jej, aż dotarliśmy do bram więzienia.

Po raz kolejny przekonałam się, że nawet ci, którzy służą reżimowi irańskiemu – żołnierze, policjanci, sędziowie – mają w swoim sercu pragnienie poznania Jezusa Chrystusa, ale boją się o Niego pytać, ponieważ surowa kara czeka każdego, kto odważy się szukać prawdy.

Okazało się jednak, że więzienie nie może nas przyjąć, ponieważ ochrona zapomniała zabrać jakieś dokumenty. Kiedy kierowca po nie pojechał, pani Nadżimi pozostała z nami. Opowiedziała nam, że mieszka w biednej dzielnicy Teheranu i musi codziennie godzinami dojeżdżać do pracy. Bardzo nie lubi zawodu, który wykonuje, ale jej ojciec choruje na raka i nie może znaleźć innego sposobu na zarobienie wystarczającej kwoty pieniędzy, by dbać o niego. Poprosiła nas o modlitwę za nią i za jej ojca. „Mam nadzieję, że wkrótce was wypuszczą i że osiągniecie w życiu wielki sukces” – powiedziała i mocno mnie uściskała.

Kiedy kierowca wrócił z dokumentami, odprowadzono nas do celi, gdzie wszyscy czekali na nas, pragnąc dowiedzieć się, co się z nami stało: Masoma, córka bohatera; Sahar, dziewczyna z krótkimi włosami; Tannaz, młoda flirtująca dziewczyna z Meszhedu i inne. Było z nimi kilka nowych osób, między innymi Koreanka, której się skończył termin wizy pobytowej. Ona nie знаła języka perskiego, ale trochę mówiła po angielsku i trochę po turecku, podobnie jak my, więc mogłyśmy się z nią porozumieć. Była chrześcijanką i kiedy dowiedziała się o naszej wierze, jej twarz rozpromieniła się ze szczęścia. Poprosiła nas o to, by mogła spać w tej samej celi, co my, mimo że była ona już przepelniona. Inne kobiety, włącznie z Masomą i Sahar, chciały być z nami, niczym przestraszone małe dziewczynki, które chcą być z mamą. Zrobiłyśmy miejsce dla naszej nowej

przyjaciółki i zaprosiłyśmy ją do nas.

## ROZDZIAŁ 6

### *Triumf wiary*

Maria &

Przez następne dwa dni, czwartek i piątek, sądy były nieczynne. Oznaczało to, że do więzienia Wozara będą przybywać nowe osoby, a nikt nie zostanie wypuszczony lub przeniesiony. Pierwszą nową więźniarką była elegancko ubrana dziewczyna, która wyglądała, jakby się bała wszystkiego i wszystkich. Jej pierwszym doświadczeniem za kratkami był widok Leili (która szybko wróciła z więzienia Ewin) z jej porannym rytuałem wrzasków i błagań o papierosy. Nic dziwnego, że była wystraszona. Kiedy ktoś próbował ją zagadnąć, odwracała się i milczała. Podeszliśmy z Marceliną do niej i opowiedziałyśmy, dlaczego tu jesteśmy.

„Co za pocieszenie!” – zawołała kobieta. „Nigdy bym nie pomyślała, że spotkam w więzieniu kogoś takiego, jak wy”.

Była studentką prawa, dorabiała na pokrycie kosztów studiów, prowadząc salon piękności. Właściciel pomieszczenia, które wynajmowała, zaczął domagać się od niej seksu. Gdy odmówiła, mężczyzna udał się do banku, by zrealizować przedwcześnie czek, podpisany przez nią z późniejszą datą. Bank odrzucił czek i właściciel zażądał jej aresztowania. Dziewczyna była zaręczona i bardzo doceniała, że jej narzeczony i jego rodzina wspierali ją i starali się o jej zwolnienie. Mimo to była przestraszona i zmieszana, nie wiedziała, co teraz może się wydarzyć. Zaczęłyśmy się za nią modlić. Inne więźniarki były już przyzwyczajone do tego, że się za kogoś modlimy, ale tym razem wszystkie zamilkły jedna po drugiej. Wszystkie nasłuchiwały, jak słowa naszej modlitwy echem odbijają się od ponurych murów celi. Kiedy zakończyłyśmy modlitwę słowem „amen”, wszystkie również powtórzyły: „Amen”.

Więzienie Wozara zamieniło się w kościół.

Tylko Tannaz trzymała się od nas z daleka. To ona mówiła, że Bóg może z łatwością wybaczyć grzech nieuporządkowanego seksu, ale nigdy nie wybaczy, jeśli ktoś oddaje cześć Jezusowi. Zazwyczaj widziałam, jak w czasie naszej modlitwy Tannaz patrzy na nas, z kimś rozmawiając. Teraz dziewczyna po raz pierwszy podeszła do nas. Była zapłakana.

„Co się stało?” – dopytywała się jedna z więźniarek, kiedy ona się zbliżyła. „Czyż nie mówiłaś zawsze, że ich modlitwy są nic nie warte?”

Nie mówiąc ani słowa Tannaz usiadła przed nami.

„Czy chcesz, byśmy się za ciebie pomodliły?” – zapytałam.

„Tak, poproszę” – odpowiedziała. „Pomódlcie się, by mnie stąd szybko wypuścili i bym mogła rozpocząć dobre życie”.

Wzięłam jej wyciągnięte ręce w swoje i modliłam się za nią aż do obiadu. Ochrona przyniosła nasze wielkie naczynie z jedzeniem i wszystkie cierpliwie czekały, aż Marcelina poda każdej posiłek w talerzu z chleba.

Zauważyłam, że Koreanka siedzi w kącie płacząc, i zapytałam, czy mogę jej jakoś pomóc. Zmagając się z barierą językową, kobieta wytłumaczyła, że niedawno urodziła dziecko i jej piersi są pełne mleka. Nie mogła karmić swojego dziecka, dlatego jej piersi nabrzmiały i bardzo bolały. Ten ból budził w niej tęsknotę za dzieckiem i uświadamiał, jak bardzo musi ono być głodne. Poza tym przyznała się, że jest wciąż też bardzo głodna. Marcelina jeszcze nie jadła, więc oddała jej swoją porcję.

Trudno nazwać wymiarem sprawiedliwości ten nieludzki system prawny, który uzależnia bezpieczeństwo narodowe od tego, by matka została zabrana dzieciątku z powodu przekroczenia terminu wizy. Reżim, który boi się takich ludzi, stoi na bardzo chwiejnym gruncie.

Około północy obudziłam się, bo przyprowadzono ładną, wysportowaną dziewczynę. Ochrona umieściła ją w naszej celi, żeby się tak nie bała. Była na nartach ze swoim chłopakiem, kiedy *basidzi* zatrzymali ją, twierdząc, że jej włosy nie były nakryte zgodnie z prawem islamskim. Chłopak próbował ją bronić i oboje zostali zatrzymani. Ona uderzyła jednego z *basidzi*, a on złożył na nią skargę jako dodatek do wszystkich innych zarzutów.

Z nadejściem dnia zaczął się większy ruch – ludzie przychodzili i odchodzili. Pojawił się mąż Leili, zamierzał ją zabrać, co wywołało okrzyki radości nieszczęśliwej kobiety. Myślałam, że ona dosłownie pofrunie do drzwi. Kiedy wychodziła na wolność, przypomnialiśmy jej, że obiecała pójść do kościoła.

Weszła grupa około sześciu kobiet, ubranych bardzo prowokacyjnie, mocno wymalowanych. Były to „damy”, które namawiały na ulicy klientów do odwiedzenia ich dziewczyn. Jedna z nich była bardzo agresywną lesbijką i natychmiast zwróciła uwagę na Marcelinę. Przyglądała się, jak ta przechadza się po korytarzu, by mieć odrobinę ruchu.

„Ach, sostro!” – zawołała. „Co za kawałek mięsa! Dziś w nocy prześpię się z tobą!” Marcelina próbowała ją zignorować, ale kobieta zaczęła wykonywać sugestywne ruchy, jakby tańcząc przed nią.

Na szczęście dla nas żadna z tych kobiet nie znalazła się w naszej celi. W nocy budziłam się kilkakrotnie z powodu odgłosów, jakie wydawały dwie pogrążone w namiętnościach kobiety. Ci ludzie desperacko potrzebowali Boga.

Niestety większość rozwiedzionych lub owdowiałych kobiet w Iranie czeka okropna przyszłość. Nie mają żadnych praw, nie należą już do swych rodzin, nie otrzymują żadnej pomocy ani zachęty od rządu. Te „damy” przypomniły mi naszą posługę wśród prostytutek w Indiach, gdzie hinduizm też czyni z kobiet niewolnice. Jeden z dwóch naszych kościołów domowych w Teheranie

(nazywaliśmy go wspólnotą Marii Magdaleny) składał się z biednych kobiet po rozwodzie lub owdowiałych, które prostytutką próbowały zapewnić sobie możliwość przetrwania. Życie było wobec nich okrutne, ponieważ wiele z nich miało małe dzieci i prawie żadnych możliwości zatrudnienia. Zamiast pomóc kobietom w trudnej sytuacji, rząd zmusza je do wyjścia za męża za kogoś, kogo one wcale nie kochają. Kobiety są zmuszone pozostawać w tych związkach pomimo wykorzystywania i poniżania, nie mając możliwości uwolnienia. Rząd używa fasadowej religijności, żeby usprawiedliwić traktowanie kobiet jako zabawki lub towaru. Przykładowo, oficjalnie usankcjonowane są małżeństwa tymczasowe, nazywane po persku *sighe*<sup>[2]</sup>, które mogą trwać zaledwie jedną godzinę.

\*\*\*

W sobotę, jak zwykle, większość uwięzionych została zabrana do sądów. Narciarka została wypuszczona po wpłaceniu kaucji. Szerara i Tannaz wyszły i nigdy nie wróciły. Dwie z „dam” od prostytutek zostały zwolnione, a reszta została z nami. W miarę jak trochę je poznałyśmy, dowiedziałyśmy się, że niektóre z nich zajęły się seks-biznesem dla przyjemności, inne w nadziei, że uzbierają trochę pieniędzy i będą mogły później z tym zerwać, a jeszcze inne miały swoje niezwykle historie. Agresywna lesbijka okazała się transseksualistą, który urodził się chłopakiem i uprawiał seks dla pieniędzy, by uzbierać na operację zmiany płci. Wydawało się, że jest bardzo zadowolony z bycia kobietą. Inna osoba z tej grupy opowiedziała, że została zgwałcona w wieku kilkunastu lat w domu, gdzie pracowała jako służąca. Kiedy odkryła, że może uprawiać seks za pieniądze, spodobało jej się to bardzo, ale po krótkim czasie znienawidziła samą siebie.

„Ale jakim sposobem mam przeżyć w tym kraju?” – płakała. „Jestem tak zmęczona!”

Jedyne, co mogłyśmy dla niej zrobić, to pomodlić się za nią.

Kiedy Masoma i transseksualista wrócili z sądu, rozgorzała między nimi głośna kłótnia. Okazało się, że nie znamy całej prawdy o Masomie, córce bohatera, która wydała swojego kochanka w ręce *basidzi* na ubiczowanie. Kłótnia dotyczyła jej relacji z mężczyzną, o którym mówiła, że tak bardzo go kocha. Transseksualista zapytał, czy mieszkanie, gdzie ich przyłapano, znajduje się pod takim a takim adresem. Masoma potwierdziła.

„Pół roku temu twój kochanek był moim klientem!” – zawołał transseksualista. „Byliśmy w tym mieszkaniu i on zapłacił mi 100 tysięcy tomanów za seks!”

Masoma opowiadała, że kupowała temu mężczyźnie drogie prezenty. Teraz prawda wychodziła na jaw. Kobieta zbladła, jej twarz była zupełnie biała.

„On mówił mi, że wszystko to należy do niego, również samochód – nie były

to prezenty od ciebie!” – kontynuował transseksualista. „Nie byłaś ani bogata, ani hojna. To on był bogaty, a ty wydałaś go, by go aresztowano, żebyś zawładnęła wszystkim!”

Zawsze pewna siebie i wygadana, Masoma oniemiała, kiedy jej przeszłość została ujawniona. „Muszę do toalety” – powiedziała i wyszła. Później dowiedzieliśmy się, że miała ona stosunki seksualne z sędzią. On wiedział, że to kobieta jest winna uwięzienia swego kochanka, ale w zamian za seks zmusił go do poślubienia jej. Następnie świeżo upieczony mąż Masomy pozostał w więzieniu, a ona mogła przejąć jego majątek i dalej uprawiać seks z sędzią. Takie sytuacje się zdarzają i nie należą do rzadkości. Inny sędzia z kolei zaproponował jednej z naszych „dam”, że zwolni ją za kaucją pod warunkiem, że otrzyma od niej jej numer telefonu.

\*\*\*

## Marcelina &

Mycie podłóg i toalety stało się naszym codziennym obowiązkiem. Polepszenie higieny i sposobu podawania posiłków było niewielkim, lecz ważnym czynnikiem, dzięki któremu nasz nowy „dom” był znacznie wygodniejszy. Pewnego dnia udało mi się uprosić ochronę, by kupiła za moje pieniądze dla wszystkich trochę ciasteczek i soku. Był to jedyny odpoczynek od chleba z serem, który jedliśmy na śniadanie, i ryżu z fasolą podawanych na pozostałe posiłki.

Co rano myśliśmy korytarz przed pokojem ochrony. Pewnego razu w czasie sprzątania do naszej celi przyszła miła pani w średnim wieku. Zapytała nas, dlaczego tu siedzimy.

„Jesteśmy w więzieniu za wiarę w Chrystusa” – wytłumaczyłam.

Okazało się, że kobieta była zatrudniona do sprzątania całego budynku. Przyznała się, iż do tego momentu nigdy nie była w naszych celach. Być może mając poczucie winy, kilka razy pociągnęła szczotką po podłodze, po czym powiedziała: „Słyszałam, że modlicie się tutaj za wszystkich. Czy mogłybyście pomodlić się również za mnie?”

„Ale czy nie masz nic przeciwko temu, w jaki sposób się modlimy?” – upewniła się Maria.

„A jak się modlicie?”

„Jesteśmy chrześcijankami. Modlimy się do Jezusa, naszego Pana i Zbawiciela”.

„Nie przeszkadza mi, że jesteście chrześcijankami” – odpowiedziała. „Jaka różnica? Ja uznaję Jezusa. Po prostu módlcie się za mnie”.

Obiecałyśmy, że będziemy się modlić.

Późno w nocy przyprowadzono bardzo chudą dziewczynę, uzależnioną od kokainy. Była chora albo ranna, okropnie płakała z bólu. Mimo że było po północy, poszłam do jej celi.

„Dlaczego tu jesteś?” – zapytała dziewczyna. „Dlaczego nie śpisz?”

„Ponieważ chcę teraz побыć z tobą” – odpowiedziałam. Usiadłam obok, położyłam głowę dziewczyny na moje kolana i zaczęłam głaskać jej włosy. Była młodsza od mojej siostry Eleny. Modliłam się po cichu, aż dziewczyna zasnęła. Długo siedziałam tak z nią, by jej nie obudzić.

Następnego ranka dziewczyna odszukała mnie i zapytała: „Co to była za modlitwa, jaką modliłaś się nade mną w nocy?” Powiedziałam jej, że modliłam się, by Jezus ją uzdrowił.

„Zrobiło mi się tak spokojnie – powiedziała – i ból znacznie się zmniejszył”.

Razem z Marią opowiedziałyśmy jej, że jeśli zaufa Jezusowi i postara się zmienić swoje życie, Pan zawsze będzie chciał jej pomagać.

Pojawiła się kobieta w wieku około czterdziestu lat. Jej mąż był pilotem wojskowym. Mieszkali w bazie wojskowej i rząd kontrolował dosłownie wszystkie dziedziny ich życia: telefony, SMS-y, kontakty – wszystko. Władze wiedziały o nich więcej niż oni o sobie samych. Jej ojciec, człowiek w podeszłym wieku, miał problemy zdrowotne, dlatego pił co jakiś czas trochę wina, mimo że alkohol jest surowo zabroniony przez prawo islamskie. W związku z tym, że cała rodzina była pod ścisłą kontrolą, potajemne kupienie wina było niemożliwe, dlatego hodowali oni winogrona i robili wino sami. Sąsiad przez okno zauważył wino u nich na stole i doniósł władzom. Kiedy *basidzi* aresztowali pilota i jego rodzinę, sąsiad zamierzał zająć jego stanowisko. Kobieta bardzo martwiła się o męża i dwoje małych dzieci. Po usłyszeniu naszej historii poprosiła nas o modlitwę.

\*\*\*

Kiedy ochrona następnego ranka wywołała nas z Marią, stwierdziłyśmy, że zawiozą nas znowu na posterunek policji lub do Trybunału Rewolucyjnego. Wyprowadzono nas w kajdankach na zewnątrz, ale zamiast samochodu policyjnego lub busa dla zatrzymanych czekała na nas taksówka. Obok niej stał mężczyzna, który przedstawił się jako pan Jazdani. Nie znałyśmy go, ale miałyśmy nadzieję, że przysyłają go nasze siostry. Miał w rękach teczkę i wyglądał tak, jakby wiedział coś więcej o nas i naszej sprawie. Powiedział do nas: „Zobaczymy, co się da zrobić, byście zostały zwolnione przed Nowym Rokiem”. Brzmiało to bardzo budująco!

Po drodze do Trybunału Rewolucyjnego pan Jazdani zapytał, dlaczego nie uznajemy jednocześnie Jezusa i Mahometa. „Ja osobiście właśnie tak czynię” – powiedział jako coś naturalnego. „Wstyd, że dziewczyny, takie jak wy, znalazły się

w takiej sytuacji”.

Kiedy dojechaliśmy do budynku sądu, taksówkarz podał kwotę do zapłaty. Twierdził, że policja mu nie zapłaciła. Zapłaciłam.

Razem z Marią czekałyśmy w pokoju zewnętrznym, póki pan Jazdani wyjaśniał coś w biurze z naszym sędzią, panem Sobhanim. Rozmawiałyśmy sobie i w końcu wybuchłyśmy śmiechem. Młoda policjantka weszła zobaczyć, z czego się śmiejemy. A nas opanowała jakaś głupawka i nie mogłyśmy przestać się śmiać. Policjantka zaczęła chichotać razem z nami i wkrótce była cała czerwona od śmiechu, tak jak my. W pewnym momencie drzwi biura się otworzyły i stanął przed nami sędzia Sobhani. Spoglądał surowo.

„Te dziewczyny są waszymi przyjaciółkami czy więźniami?” – warknął do policjantki. Ta szybko przestała się śmiać i pospiesznie usiadła na krzesło po drugiej stronie pokoju. Sędzia zniknął za drzwiami biura i policjantka wróciła do rozmowy z nami. Okazało się, że jest studentką uniwersytetu i bardzo interesuje się chrześcijaństwem. Życzyła nam powodzenia i obiecała zdobyć i poczytać Biblię.

Drzwi znowu się otworzyły, z biura wyszedł pan Jazdani. Wyglądał na zawiedzionego. „Pan Sobhani nie chce was dzisiaj widzieć” – oznajmił. Sędzia nie był umówiony z nikim innym, ale poczuł się dotknięty naszym śmiechem. Zazwyczaj życzliwiej postępował z więźniami, którzy podkreślali swoją zależność od niego czy błagali o miłosierdzie. My natomiast za każdym razem zachowywałyśmy się uprzejmie, ale pewnie. To go denerwowało, dlatego tym razem odmówił spotkania z nami.

Wróciłyśmy do Wozary około północy. Przed wejściem do naszej celi leżała nowa zatrzymana – nastolatka uzależniona od narkotyków. Przeżywała głód narkotykowy, była prawie nieprzytomna, nie mogła wstać. Jedna z policjantek kopała ją.

„Wstawaj! Wstawaj!” – krzyczała. „Idź do swojej celi, ty śmieciu!”

Dziewczyna była absolutnie bezradna. Policjantka wepchnęła ją do celi jak worek ze szmatami.

\*\*\*

Następnego ranka obudziłam się z potwornym bólem w podbrzuszu. Miałam problemy z nerkami, które teraz ujawniły się z nową siłą z powodu stresu, kiepskiego odżywiania i zimnych podłóg. Wołałam ochroniarki, by otworzyły drzwi od naszej celi i umożliwiły mi pójście do toalety, ale nie było żadnej odpowiedzi. Zanim ktoś nadszedł i otworzył drzwi, zmoczyłam się. Wystraszyłam się, że już nie będę mogła utrzymać moczu, miałam tylko nadzieję, że ten problem nie pozostanie na zawsze. Kiedy w końcu drzwi otworzono, wyprałam w zlewie moje ubrania i czekając aż wyschną, nałożyłam płaszcz.



Nadchodziły święta noworoczne. Tego ranka większość więźniarek wezwano i wypuszczono na wolność. Zostało kilka „dam”, nastoletnia narkomanka i my z Marią. Dziewczyna nadal była otepiała i półprzytomna, ale wyglądała lepiej niż wtedy, kiedy ją przyprowadzono. Gdy zapytałyśmy, czy możemy jej jakoś pomóc, zaczęła coś mówić i wybuchła płaczem. Miała słaby, zachrypnięty głos. Pocięliśmy ją, aż się uspokoiła i opowiedziała o sobie.

Była tak uzależniona od metamfetaminy, że zażyła większą jej ilość. To uszkodziło jej oskrzela i struny głosowe. Rodzina starała się jej pomóc i na jakiś czas udało się odstawić narkotyki, ale niedawno znowu popadła w nałóg. Chodziła po Teheranie, szukając centrum odwykowego, póki jakiś dobry człowiek nie pomógł jej, dając trochę pieniędzy i odwożąc do szpitala. W szpitalu powiedzieli jej, że nie mają oddziału detoksykacji, i wystawili za drzwi. Idąc ulicą, dziewczyna zwróciła się o pomoc do policjantów, którzy ją pobili i odwieźli do Wozary.

„Nikt na świecie nie może mi pomóc!” – mówiła przez łzy.

„Pan ci pomoże” – zapewniałam ją. „On nie odpowie na twoje wołanie kopnięciami i biciem”.

Opowiedziałyśmy z Marią trochę o swoim życiu i trwaniu w Chrystusie.

„Zaufaj Bogu. Kiedy wyjdiesz stąd, pójdź do kościoła, tam ci pomogą”.

Na twarzy dziewczyny wyraz desperacji ustąpił miejsca nadziei.

„Pójdę do kościoła i już nigdy nie dotknę narkotyków” – powiedziała z przekonaniem. Przytuliłam ją płaczącą, potem dałam jej trochę pieniędzy i życzyłam Bożego błogosławieństwa.

Do końca dnia wszystkie więźniarki oprócz nas dwóch zostały wezwane do sądów. Wszystkie wypuszczono po wpłaceniu kaucji, z wyjątkiem żony lotnika, którą skierowano do więzienia. Pozostałyśmy w Wozarze zupełnie same.

Chodziłyśmy po korytarzu, wchodząc do każdej celi i wspominając kobiety, które tutaj spotkałyśmy. Zgodnie z prawem zatrzymani nie mogli przebywać dłużej niż trzy dni w areszcie Wozara, a my byłyśmy tu już dwa tygodnie. W tym czasie spotkałyśmy dziesiątki kobiet, których nigdy nie poznałybyśmy, gdyby władze trzymały się zasad i reguł prawa. To był wielki cud, że mogłyśmy zobaczyć tak wiele kobiet i dodać im otuchy. Coś, co ludzie uznają za zło, Bóg wykorzystał dla dobra i na swoją chwałę. Władze aresztowały nas, myśląc, że będziemy cierpieć w tych nędznych warunkach, ale w rzeczywistości mogłyśmy dzielić się Ewangelią za kratkami bardziej otwarcie, niż kiedykolwiek czyniłyśmy to na wolności. Nawet dwie policjantki z ochrony, które obchodziły się z nami wyjątkowo szorstko, tego dnia przepraszały nas za swoje zachowanie i prosiły o modlitwę.

Teraz wchodząc do każdej celi, modliłyśmy się za wszystkich ludzi, którzy byli tutaj zamknięci. Miałyśmy nadzieję, że wszyscy odzyskali wolność, że byłyśmy dla nich wiarygodnymi świadkami, że oni nadal będą słuchać Ducha Chrystusa, który poruszy ich serca. Potem zaczęłyśmy myśleć o kobietach, które tu

trafią później, kiedy nas już w Wozarze nie będzie. Jak do nich dotrzeć?

Zauważyliśmy, że w niektórych miejscach, gdzie ściany były wilgotne, kawałki tynku się wykruszyły. Tymi kawałkami jak kredą zaczęliśmy pisać wersety z Biblii i chrześcijańskie przesłania na wszystkich ścianach i na suficie. Uwięzieni będą mogli czytać to zasypiając. Modliłyśmy się głośno i śpiewałyśmy pieśni do późnej nocy. Same w podziemnej celi więziennej radośnie przeżywałyśmy triumf naszej wiary.

\*\*\*

Następny dzień, 18 marca 2009, był znany w świecie muzułmańskim jako 28 dzień miesiąca *esfand*, jeden z ostatnich dni roku 1387. Odwieziono nas z Marią do Trybunału Rewolucyjnego, gdzie znowu czekałyśmy w pokoju przed biurem, podczas gdy pan Jazdani był w środku i rozmawiał z panem Sobhanim. Tym razem sąd przygotował dla nas propozycję zwolnienia, wiedząc, że nie będziemy w stanie z niej skorzystać. Gdybyśmy wpłaciły po 200 milionów tomanów (około 100 tysięcy dolarów) do godziny siedemnastej, wypuszczono by nas do czasu rozprawy sądowej. W razie odmowy miałyśmy być natychmiast przeniesione do więzienia Ewin. Przed przeniesieniem więźniów do Ewin sąd jest zobowiązany do umożliwienia im zwolnienia za kaucją, dlatego otrzymałyśmy taką propozycję, mimo że nie byłyśmy w stanie uzbierać takiej kwoty w tak krótkim czasie.

Nasze rodziny posiadały nieruchomości, które mogły być wykorzystane jako zastaw do uzyskania tak dużej sumy pieniędzy. Jednak w przeddzień wielkiego święta wszystkie banki były zamknięte i nasze siostry nie zdążyłyby uzbierać potrzebnych dokumentów. Poza tym wiedziałyśmy, że nawet jeśli zostaniemy zwolnione i oczyszczone z wszelkich zarzutów, nieruchomości odzyskać już się nie da. W sytuacjach, takich jak nasza, chrześcijan się zazwyczaj wywłaszcza ze wszystkiego.

Dwie nasze wierne siostry, Elena i Szirin, codziennie przychodziły do aresztu, czekając, czy nas nie wyprowadzą. Jechały za nami do sądu albo na posterunek policji, by zamienić z nami parę słów i wcisnąć nam do ręki jakieś jedzenie lub picie, kiedy prowadzono nas z samochodu do budynku. Kiedy dzisiaj jechały za nami, nasz kierowca spowodował stłuczkę. Podczas oczekiwania na policję miałyśmy dobrą godzinę na rozmowę z nimi. To była najdłuższa konwersacja z siostrami od czasu naszego zatrzymania. Miałyśmy też małą przyjemność – mogłyśmy po raz pierwszy od dwóch tygodni obciąć sobie paznokcie!

Zawieziono nas na policję po jakieś papiery. Tam dowiedziałyśmy się, że kierują nas do więzienia Ewin. Byłyśmy w szoku. Trudno było uwierzyć, że za chwilę trafimy do najbardziej znanego na świecie więzienia tylko za to, że

wierzymy w Boga!

Elena i Szirin czekały przy wejściu do więzienia, by pożegnać się z nami i życzyć nam wszystkiego dobrego. Uściskałyśmy się, rozplakałyśmy się, i obiecałyśmy się modlić za siebie nawzajem. Następnie weszłyśmy przez wysoką, przerażającą bramę wejściową z napisem „Więzienie Ewin” na samej górze. Z wiosennego słońca wchodziłyśmy do innego świata...

<sup>[2]</sup> W islamie szyickim w krajach arabskich tego typu „małżeństwa” nazywa się *mut'a*. Jest to de facto zalegalizowana forma prostytucji (przyp. red.).

## ROZDZIAŁ 7

### *Ewin naszym kościołem*

Maria &

Wejście do więzienia Ewin znajdowało się na wzgórzu. Kilku ochroniarzy pilnowało, by w pobliżu nie gromadzili się ludzie. W odróżnieniu od ogromnej bramy wejściowej następne drzwi były małe. Pierwszy niewielki pokój w środku prowadził do dwóch recepcji – jedna była przeznaczona dla mężczyzn, druga – dla kobiet. Weszłyśmy do części kobiecej i znalazłyśmy się w malutkim biurze ze zniszczonymi meblami i pudłem, w którym zwalono brudne, cuchnące *czadory*.

Pyzata kobieta w okularach siedziała przy małym metalowym biurku.

„O co jesteście oskarżone?” – zapytała.

„O chrześcijaństwo” – odpowiedziałyśmy.

Jej brwi uniosły się z niedowierzaniem.

„Nigdy nie słyszałam, by kogoś zamykali w Ewin za chrześcijaństwo” – powiedziała podejrzliwie. „Pewnie zrobiłyście coś więcej. Zapewne reklamowałyście i promowałyście waszą wiarę”.

„To prawda” – powiedziałam. „Mówiłyśmy o niej ludziom”.

„Wiedziałam!” – w głosie kobiety zabrzmiała nutka triumfu. „Jesteście oskarżone o udział w antyrządowych działaniach politycznych”.

Pozostawiłyśmy to bez odpowiedzi. Wyglądało na to, że za każdym razem postawione nam zarzuty formułowano inaczej. My nigdy nie widziałyśmy dokumentu z oficjalnymi zarzutami, nie miałyśmy też możliwości rozmowy z adwokatem. Potem dowiedziałyśmy się, że na mocy prawa postawiono nam zarzuty o „działania przeciwko bezpieczeństwu państwa” oraz o „udział w nielegalnych zgromadzeniach”. Nie mogli aresztować nas tylko za to, że jesteśmy chrześcijankami, ponieważ artykuł 23. Konstytucji Iranu stanowi: „Nie wolno sprawdzać, jaką wiarę wyznaje obywatel, i nikt nie może być dręczony lub pociągnięty do odpowiedzialności za wyznawaną wiarę”. Informacja o tym konstytucyjnym zapisie byłaby szokująca dla wielu policjantów i urzędników reprezentujących prawo, nie mówiąc już o obywatelach tego kraju.

Oddałyśmy kobiecie przy biurku wszystkie należące do nas rzeczy. Przeszukała nas i kazała nam wybrać z pudła i nałożyć brudne *czadory*. Na szczęście zdążyłyśmy już przyzwyczać się do takich okropnych smrodów w Wozarze, więc jakoś to zniosłyśmy. Kobieta poprowadziła nas przez piękny wewnętrzny ogródek z drzewami i kwiatami. Z pewnością było to miejsce wypoczynku dla personelu – wyglądało raczej jak park niż część więzienia. Niewątpliwie każdy odwiedzający to miejsce był pod wrażeniem. Weszłyśmy do innego biura, gdzie po kilku minutach urzędnik w czarnych bawełnianych

rękawiczkach pobrał nasze odciski palców. Z punktu widzenia islamskiego prawa popełniłby grzech – *haram* – gdyby dotknął skóry kobiety, której nie zna. (Długa lista wykroczeń *haram* zawiera wszystko: od morderstwa i seksu przedmałżeńskiego poczynając a na jedzeniu wieprzowiny i tatuażu kończąc.) Znowu zrobiono nam zdjęcia, a nasze ręce pozostawały czarne od atramentu. Ktoś wprowadził nasze nazwiska i informacje o naszych „przestępstwach” do komputera, po czym wydrukował dla każdej z nas identyfikator. Teraz byliśmy oficjalnie więźniami Islamskiej Republiki Iranu.

Przez tylne drzwi ochrona wyprowadziła nas do głównego podwórza więziennego. Była to ogromna przestrzeń z tak dużą liczbą budynków z czerwonej cegły, że podwórze wyglądało jak miasto. Szliśmy około dziesięciu minut, zanim znalazłyśmy się u wejścia do kobiecego bloku więziennego. Ochrona zadzwoniła do drzwi, podała nasze karty kobiecie, która otworzyła, i zostawiła nas. Pojedynczo wzywano nas do niewielkiego pokoju, gdzie musiałyśmy się rozebrać do naga i poddać się poniżającej kontroli osobistej. Kazano nam zrobić trzy przysiady. Kiedy Marcelina wykonała to polecenie, kazano jej zrobić jeszcze sześć przysiadów. Kobiety, które nas przeszukiwały, zachowywały się jak ochrona, ale w rzeczywistości były to więźniarki. Wkrótce dowiedziałyśmy się, że więźniowie robili w Ewin większość prac, co czyniło łatwiejszym życie personelu, a niektórym więźniom dawało szansę zdobycia pewnych przywilejów.

Gdy ubrałyśmy się, odprowadzono nas długimi schodami do biura, które było na zewnątrz bloku celi. Więźniarki wchodziły i wychodziły cały czas. Niektóre miały przy sobie bagaż i wychodziły na przepustkę, mając pozwolenie na spędzenie Nowego Roku w gronie rodziny. Inne zostały zwolnione, ściszały się i żegnały się z koleżankami. Urzędniczka wyczytała nasze imiona i zatrzymała nasze dwie karty.

„Co zrobiłyście?” – zapytała.

„Jesteśmy chrześcijankami, promowałyśmy naszą wiarę, więc zostałyśmy aresztowane za działalność antyrządową”.

„Po co to sobie zrobiłyście?” – powiedziała nieprzyjemnym głosem.

Inna strażniczka odprowadziła nas do Oddziału 2. Otworzyła drzwi, machnęła ręką wskazując, byśmy szły tym korytarzem, i poinstruowała: „Pytajcie o panią Mahdżub. Ona powie wam, co dalej robić” – i zatrzasknęła za nami drzwi.

Pani Mahdżub była dobrze ubrana, miała małe oczy i prosty makijaż. Była więźniarką odpowiedzialną za Oddział 2, musiała pilnować porządku między więźniarkami i służyć jako osoba kontaktowa z personelem. Oddział 1 był przeznaczony dla osadzonych za przestępstwa związane z narkotykami. W Oddziale 3 przebywali więźniowie z problemami psychicznymi – właśnie ten oddział jako najnowszy i najczystszy był pokazywany inspektorom i innym odwiedzającym. Oddział 2 był dla wszystkich pozostałych, podzielono go na dwie

części: kobiety oskarżone o zabójstwo lub prostytutkę były na dolnym piętrze, te zaś, na których ciążyły zarzuty o przestępstwa finansowe lub działalność antypaństwową, przebywały na górnym.

„O co zostałyście oskarżone?” – zapytała pani Mahdżub.

„O wiarę w Jezusa” – odparłam.

„Wejdźcie do góry; potem zadecyduję, gdzie was umieścić”.

Na górnym piętrze Oddziału 2 było sześć celi. Pani Mahdżub zaprowadziła nas do pomieszczenia, które było już przepełnione na tyle, że nie było miejsca, gdzie usiąść. Mierzyło jakieś cztery i pół metra na sześć i było gęsto zastawione pryczami – osiem dwupiętrowych pryczy. Kobiety, które nie miały na nich miejsca do spania, spały na podłodze. Pod pryczami stały kosze wiklinowe; na każdą osobę przypadało po jednym. Były to pojemniki na rzeczy osobiste więźniów.

Rozmowy prowadzone przez tak wiele kobiet w małym pomieszczeniu stwarzały wrażenie wielkiego hałasu. Niektóre coś szyły, inne rozmawiały lub drzemały. Kilka osób z wielkim wysiłkiem wchodziło lub schodziło z najwyższych pięter swoich łóżek – nie było tu drabinek, które by ułatwiały wchodzenie. Jeszcze inne szły lub wracały ze „sklepu”. Było to małe okienko na końcu korytarza, gdzie więźniarki mogły kupić jakieś jedzenie lub słodczy z zaopatrzenia więziennego. Sklep miał być zamknięty przez cały okres noworoczny, dlatego kobiety spieszyły się, by zdążyć coś kupić przed jego zamknięciem.

Jako nowoprzybyłe zostałyśmy zasypane pytaniami o nasze życie i oskarżenia wysunięte przeciwko nam.

„Jesteście odstępczyniami od wiary” – powiedziała szorstko jedna kobieta, kiedy usłyszała o naszej sprawie. „To jest niebezpieczne”.

Ktoś z głębi pokoju zawołał: „Popatrzcie na nie! One nie płaczą! Nowe zawsze płaczą z godzinę, zanim się usadowią”.

Inny głos odparł: „Polityczne więźniarki nie płaczą, bo my wiemy, że nie zrobiłyśmy nic złego!”.

„Nie ma o czym mówić – powiedziała pierwsza kobieta – w tej celi my wszyscy jesteśmy więźniami politycznymi”. Przedstawiła się. Nazywała się Tahera. Została zaarrestowana razem z innymi osiemnastoma kobietami w drodze, kiedy chciały odwiedzić swoich synów w Iraku. Ich dzieci (a wydaje się, że i matki również) były członkami luźno zorganizowanych grup *mudżahedinów*. Grupy te we współpracy z amerykańskim CIA wyrzuciły radzieckie wojska z Afganistanu, a teraz walczyły o autonomię etniczną w Iranie. Dzieci więzionych kobiet mieszkały w mieście Aszraf pod Bagdadem, które służyło jako obóz dla uchodźców, gdzie przeważnie przebywali członkowie ugrupowań *mudżahedinów*. Obóz znajdował się pod kontrolą USA, ale niedawno został przekazany władzom Iraku. Kobiety nie widziały swoich dzieci od lat, dlatego postanowiły wybrać się do Iraku razem, jako grupa. Zostały jednak zatrzymane na lotnisku a następnie

wtrącone do więzienia.

Póki Tahera opowiadała, jedna z jej przyjaciółek zaproponowała nam po kubku herbaty. Smakowała wyśmienicie! Po raz pierwszy od dnia zatrzymania piłyśmy herbatę. Kobiety „od *mudżahedinów*” okazały się najbardziej miłymi i dobrymi ze wszystkich uwięzionych, z którymi zetknęłyśmy się tego dnia.

„Pewnie chciałybyście wziąć prysznic” – zasugerowała Tahera dyplomatycznie. „Chodźcie, zaprowadzę was”.

O tak! Nie myłyśmy się i nawet nie szczotkowałyśmy zębów już od czternastu dni! Inne kobiety dały nam szampon, ręczniki, grzebienie i jedna z nich, Sepida, zaprowadziła nas do łazienki, gdzie kilka innych kobiet myło naczynia w zlewie. Znajdowało się tu sześć niesamowicie brudnych kabin prysznicowych; włosy i brudy kleiły się do naszych stóp. Woda była lodowata. Ale po raz pierwszy od dwóch tygodni czułyśmy się w miarę czyste.

Kiedy wróciłyśmy do naszej celi, zobaczyłyśmy tam panią Mahdżub. „Możecie tu zostać – poinformowała nas – wszystkie inne pomieszczenia są przepełnione”.

Znalazłyśmy trochę miejsca na podłodze, gdzie mogłyśmy usiąść, naprzeciwko plastikowej półki na buty, ustawionej przy ścianie. Niektóre kobiety, które spały na dole, pozwalały swoim przyjaciółkom usiąść na swoim łóżku; pozostałe musiały znaleźć sobie miejsce gdziekolwiek. Drzwi wejściowe do Oddziału 2 były zamknięte na klucz, ale uwięzione kobiety mogły swobodnie przemieszczać się pomiędzy sześcioma celami, łazienką i małym pokojem z czterema telefonami i malutkim okienkiem, w którym można było coś kupić. Niestety nie miałyśmy za co zrobić zakupów, a bardzo chciałyśmy. Kiedy podczas przeszukania ochrona zabrała nasze pieniądze, miałyśmy dostać w zamian specjalne *vouchery*. Dotychczas ich nam nie przekazano, więc do końca świąt mogłyśmy liczyć tylko na to, co nam da więzienie, oraz na pomoc oferowaną przez współwięźniarki.

Głośniki zaskrzeczały, wywołując imiona kilku kobiet, które poderwały się i pobiegły zameldować w biurze. Czy zostaną zwolnione? Czy będą przesłuchane? A może zabrane do sądu? Czy na egzekucję? Każdy tutaj jednocześnie pragnął i lękał się usłyszeć swoje nazwisko w głośnikach – pragnął, mając nadzieję na zwolnienie z więzienia Ewin, i lękał się, ponieważ mogło to oznaczać katastrofalną wiadomość. Tym razem wszystkie wywołane kobiety dowiedziały się, że wyjdą na wolność. Krzyczały i skakały z radości, przyjmując gratulacje od innych. Potem pozbierały swoje rzeczy i zniknęły w drzwiach.

Obok mnie siedziała kobieta, coś szyła i przyglądała mi się. „Dlaczego przeszłaś na chrześcijaństwo?” – zapytała. „Moja matka jest chrześcijanką, a ojciec muzułmaninem. Wyznamę obie religie i należę do kościoła. Porzucając islam, popełniłaś wielki błąd”. Zaczęłam opowiadać moją historię, ale ona nie podnosiła

oczu od swojego szcicia, dlatego nie mogłam zobaczyć ich wyrazu. „Popełniłaś błąd” – to wszystko, co mogła powiedzieć.

Usłyszałam, jak dwie kobiety rozmawiają o nas.

„Jakie popełniły przestępstwo?”

„Przeszły na chrześcijaństwo”.

„To nie jest przestępstwo! Musiały zrobić coś jeszcze. Każdy, kto trafia do tego więzienia, mówi: «Nie zrobiłem nic złego». Gdyby nie zrobiły nic złego, nie znalazłyby się tutaj”.

Mówiąca wydawała się bardzo zdenerwowana i wkrótce zrozumiałam, dlaczego. Była wdową i pracowała w przedszkolu, by utrzymać dwoje dzieci. Siedziała za kratami od dwóch lat, ponieważ jej brat źle wypisał dla niej czek, debetujący konto. Kiedy czek odrzucono, została aresztowana. Brat codziennie obiecywał, że postara się o jej zwolnienie, ale w rzeczywistości nie robił nic. Kobieta tęskniła za dziećmi i miała nadzieję, że z okazji Nowego Roku będzie mogła je zobaczyć, ale jej wniosek odrzucono. Nienawidziła brata za to, że zniszczył jej życie.

Zaczęła płakać: „Nie odmawiam teraz żadnych modlitw! Jestem zła na tego Boga, który nie dba o sprawiedliwość. Nie wierzę w tego Boga!”. W miarę, jak mówiła, szlochała coraz głośniej.

Zapytałam, czy możemy z Marceliną pomodlić się za nią. Wyraz jej rozszalonej twarzy zmienił się w szeroki uśmiech. „Tak, oczywiście” – powiedziała z wdzięcznością. Modliłyśmy się o pokój w jej sercu, a łzy płynęły po jej policzkach. Kiedy skończyłyśmy modlitwę, kobieta podziękowała nam z ulgą.

Usłyszałam dźwięk naczyń i okrzyki: „Obiad! Obiad!”. Wniesiono garnek z jedzeniem, a kobiety przygotowywały się do posiłku. Oprócz pani Mahdżub, która odpowiadała za cały Oddział 2, w każdej celi była „liderka”. Do jej zadań należało: wyznaczanie miejsc do spania, uciszanie kłótni, zgłaszanie problemów ochronie, a także podawanie posiłków. U nas taką osobą była pani Pari, gruba kobieta w średnim wieku, z wyjątkowo krzykliwym makijażem. Miała czarne włosy i niezwykle akcent. Najbardziej rzucały się w oczy jej ogromne, czarne, namalowane brwi z epoki szacha Rezy lub filmów hollywoodzkich z lat 40.-50. XX wieku.

„Wreszcie nam się udało!” – ogłosiła pani Pari, wnosząc jedzenie. „Tyle prosiłyśmy pana Sedagata o jajka i ziemniaki i oto one!” Okrzyk radości odbił się o ściany więzienia. Pan Sedagat był naczelnikiem więzienia. Prawdopodobnie z okazji świąt wysłuchał on prośb więźniarek. Pani Pari popatrzyła na nas z Marceliną. „To wy przyniosłyście pomyślność” – orzekła. „Czekałyśmy na to kilka miesięcy”.

Każda kobieta miała własny talerz, przechowywany w wiklinowym koszu. Na ten moment wszystkie miały talerze w rękach i ustawiły się w kolejce po



wyjatkowe jedzenie. Zaczęłyśmy z Marceliną kombinować, by z kartek papieru zrobić sobie jakieś namiastki talerzy. Wtedy odezwała się starsza pani, która obserwowała nas od chwili naszego pojawienia się w więzieniu: „Mam w koszu kilka dodatkowych talerzy. Proszę, możecie z nich skorzystać. Usiądźcie tutaj, naprzeciw mojego łóżka”.

Na jedną osobę przypadło jedno jajko i jeden ziemniak. Dostałyśmy najmniejsze ziemniaki ze wszystkich. „Jesteście nowe i jeszcze nie tak długo, jak my, pozbawione dobrego jedzenia” – wyjaśniła pani Pari. Gdyby tylko wiedziała! Ale wzięłyśmy swoją porcję bez narzekania.

Kobieta, która dała nam talerze, później opowiedziała, że chciała razem z synami sprzedać kawałek ziemi. Jednak jakiś człowiek zgłosił roszczenie, że ta ziemia należy do niego, więc kobietę oskarżono o próbę sprzedania cudzej nieruchomości i wtrącono do więzienia. Nazwała nas swoimi córkami i kazała mówić do siebie: „Mamusiu”. Po kolacji krótko opowiedziała nam o wszystkich mieszkankach naszego pokoju. Była po części historykiem, a po części plotkarką.

Marcelina i ja wyszłyśmy na przechadzkę po korytarzu, by oswoić się z naszym nowym otoczeniem. Musiałyśmy się przebić przez tłum oczekujących w kolejce do telefonu i przeszłyśmy do spokojniejszej części holu. „Cześć!” – usłyszałyśmy jakiś głos. Odwróciłyśmy się i zobaczyłyśmy kobietę w wieku około trzydziestu lat z długimi, przedwcześnie siwymi włosami. „Nazywam się Silwa Harotonian. Przyjaciółki powiedziały mi, że wśród nas pojawiły się dwie chrześcijanki. Miło mi was poznać. Ja też jestem chrześcijanką”.

Jej szczerość i otwartość wzbudziła w nas podejrzenia. Czy ona nie jest podesłana przez władze, czy nie chce wyciągnąć od nas więcej informacji? Czy nie nasłano ją, by dowiedziała się imion naszych przyjaciół chrześcijan? W Oddziale 2 wszędzie pod sufitami były zamontowane kamery, również w toaletach. Byłyśmy ciągle obserwowane, dlatego musiałyśmy uważać na każdego, kto zachowywał się zbyt przyjaźnie. Przyznałyśmy, że trafiłyśmy do więzienia za wiarę w Jezusa Chrystusa.

„Nie mogę w to uwierzyć” – powiedziała. „Jak można wsadzić kogoś do więzienia z powodu wiary?”

Nie wdając się w szczegóły, wyjaśniłam, że oskarżono nas o działalność przeciwko reżimowi. Wyczuwając moją niepewność, Silwa opowiedziała o sobie.

„Jestem Iranką, ale pochodzę z ormiańskiej rodziny. Mniej więcej rok temu pojechałam do Armenii, żeby pracować w organizacji dobroczynnej Międzynarodowe Badania i Wymiana (IREX). Pomagałam irańskim specjalistom, zajmującym się problemami opieki nad matką i dzieckiem, w załatwianiu wyjazdów do USA, gdzie oni spotykali się i dyskutowali z kolegami po fachu. Często przyjeżdżałam do Iranu, by odbyć rozmowy z irańskimi aplikantami. Poznałam doktorów Arasza i Kamiara Alaei, znanych z ich międzynarodowych

osiągnąć w dziedzinie AIDS i ochrony zdrowia. Moja ostatnia wizyta przedłużyła się. W czerwcu 2008 roku służby bezpieczeństwa zabrały mnie z mojego mieszkania w Teheranie do hotelu, gdzie mnie przesłuchano. Powiedziano mi, że jestem od kilku miesięcy obserwowana i wszystkie moje ruchy są zarejestrowane za pomocą ukrytej kamery. Nie myślę, by chodziło o moją pracę. Przecież to właśnie irański rząd kilka lat temu zaprosił organizację IREX do pracy w Iranie. Co prawda, było to w czasach prezydenta reformatora Chatamiego. Resztę dnia spędziłam, odpowiadając na pytania policji. Zapytałam, czy wieczorem mogę pójść na ślub moich przyjaciół. «Przez jakiś czas nigdzie pani nie pójdzie» – odpowiedzieli. Tego wieczoru zamiast na wesele trafiłam do więzienia Ewin”.

Nasza nowa znajoma opowiadała dalej, jak przez pierwszych kilka dni była intensywnie przesłuchiwana i przetrzymywana w pojedynczej celi. „Domagano się, bym złożyła fałszywe zeznania. Na przykład chcieli, bym potwierdziła, że bracia Alaei kierowali programem, który prowadziłam w IREX. Ale to nie była prawda, więc odmówiłam”.

Trzy tygodnie temu przeniesiono ją do Oddziału 2 i teraz cieszyła się, że może spotkać tutaj dwie chrześcijanki. Jej opowiadanie brzmiało przekonująco i uwierzyłyśmy jej.

W ciągu wieczoru ogłaszano nazwiska kolejnych osób, które miały być zwolnione. Około w pół do jedenastej łóżko nad Mamusią zrobiło się wolne. Wiedząc, że Marcelina ma problemy z nerkami, wybrałam miejsce na podłodze, by ona mogła położyć się na łóżku. Nieco później zgaszono światła. W każdej celi pozostawiono tylko małe zapalone lampki, a drzwi między pokojami pozostawały otwarte.

Po północy wypuszczono na wolność grupę kobiet od *mudżahedinów*. W naszym pokoju pojawiły się kolejne wolne miejsca do spania.

„Masz szczęście” – powiedziała jedna z kobiet, kiedy wchodziłam na swoje nowe łóżko. „Większość ludzi musi spać na podłodze przez pierwszy tydzień i nawet dłużej”.

Po dwóch tygodniach spania na podłodze w areszcie Wozara nawet cienki i brudny materac w Ewin wydawał się miękkim i wygodnym...

\*\*\*

Obudziły mnie czyjeś krzyki. W jednej chwili przypomniały mi się nasze pierwsze dni w Wozarze, kiedy Leila witała każdy poranek wrzaskami, domagając się papierosów. Teraz jednak była to pani Imani – młoda, szczupła, wysportowana kobieta, która godzinami czytała Koran i przebierała palcami paciorki – teraz błagała, by jej pozwolono skorzystać z telefonu. Każdej więźniarce wolno było zadzwonić raz dziennie. Tym, które przebywały w więzieniu dłużej, pozwalano

wykorzystywać więcej minut niż nowoprzybyłym, a osoby z dłuższymi wyrokami miały prawo do dłuższego korzystania z telefonu niż pozostałe. Każda mogła odsprzedać innym należny sobie czas; zazwyczaj wymieniano go na jakieś przekąski ze sklepu. Pani Imani spędzała przy telefonie każdą możliwą chwilę; czasem wyhandlowała sobie dodatkowy czas, a kiedy indziej wyblągała. Gdy tylko widziała, że telefon jest wolny, natychmiast dzwoniła.

Marcelina i ja zjadłyśmy śniadanie razem z Mamusią. Zauważyłyśmy, że inne kobiety jej unikają, i większość czasu spędza sama. Było nam przykro z tego powodu. Miała trudności z chodzeniem, dlatego pozmywałyśmy jej naczynia i pomogłyśmy dojść do toalety. Ponad sto kobiet mogło korzystać tylko z sześciu toalet i zlewów, więc oczekiwanie było zazwyczaj długie i uciążliwe, zwłaszcza dla starszej osoby, która z trudem stała.

Tego ranka miałyśmy długą rozmowę z Sanaz, kobietą, która trafiła do więzienia z powodu złego czeku, wystawionego przez jej brata. Ciężko przeżywała to, że spędzi święta, oderwana od dzieci.

„Nie mogę zrozumieć, dlaczego Bóg nie rozwiąże mojego problemu” – mówiła zrozpaczona.

„Może Bóg chce wykorzystać to doświadczenie, by przygotować cię do czegoś lepszego” – powiedziała Marcelina. „Zamiast narzekać, pomódl się o mądrość, by zrozumieć, czego Bóg pragnie cię nauczyć. Zostaw Mu swoje problemy. Możliwe, że Bóg chce dać ci wspaniały prezent, ale musiałaś znaleźć się tutaj, ponieważ tylko tym sposobem On mógł spowodować, że zwrócisz na Niego uwagę”.

Sanaz przez chwilę się zastanawiała.

„Może masz rację. Zawsze modlę się, tylko prosząc Boga, by rozwiązywał moje problemy, a nigdy nie oddaję Mu chwały. Od tej pory zacznę prosić Go, by ukazał mi prawdę. Dziękuję”.

Od tego momentu nasza przyjaźń z Sanaz umacniała się każdego dnia.

Zbliżał się czas obchodów Nowego Roku, więc wróciłyśmy do celi, gdzie tłum zebrał się przed małym ekranem telewizora w oczekiwaniu na początek celebracji. Wiosenna równonoc, przypadająca na 20 lub 21 marca zależnie od roku, jest pierwszym dniem Nouruz, perskiego Nowego Roku. Chwila rozpoczęcia obchodów odpowiada przejściu Słońca przez równik. Kiedy w telewizji ogłoszono, że zaczął się Nowy Rok, wydałyśmy radosny okrzyk i zaczęłyśmy składać życzenia sobie nawzajem. Dla wielu kobiet moment radości miał gorzki smak: więźniarki ze łzami w oczach tuliły do serca zdjęcia swoich dzieci i rodzin. Nie jest łatwo świętować, kiedy mury więzienia oddzielają człowieka od jego bliskich.

Wiele kobiet postarało się zachować noworoczną tradycję haft sin, kiedy to na świątecznym stole powinno znaleźć się siedem rzeczy, których nazwy w języku perskim zaczynają się na literę „s”. Mają one symbolizować poszczególne etapy

stworzenia świata: lustro symbolizuje niebo, jabłko – ziemię, świece oznaczają światło, woda różana – wodę, kiełki – świat roślin, złota rybka – świat zwierząt, a pomalowane jajka symbolizują ludzkość i płodność. Oczywiście nikt nie miał wszystkich potrzebnych rzeczy, braki zastępowano jakimiś zamiennikami. Przykładowo, zamiast ziarna była spinka do włosów, wygięta tak, by przypominała źdźbło z kłosem, albo zamiast prawdziwej rybki użyto wycięte z gazety zdjęcie. Więźniarki ułożyły swoje haft sin po jednym w każdej celi, na podłodze lub na łóżku. W ten sposób pragnęły podtrzymać łączność ze światem za murami więzienia i przypomnieć lepsze czasy.

Kiedy radość związana z nadejściem Nouruz wygasła, zauważyłam panią Mahdżub cicho płaczącą na swoim łóżku. Nie wiedziałam, co ją gryzie, dlatego zapytałam: „Czy możemy pomodlić się o to, by w pani sercu zapanował pokój?”.

„Tak, poproszę”.

Pani Mahdżub płakała, a my modliłyśmy się – nie za głośno, ale też nie kryjąc się. Stopniowo kobiety wokół nas przestawały rozmawiać i zaczynały słuchać. Kiedy skończyłyśmy, prawie cały pokój milczał. Ktoś powiedział: „Wasze serca są czyste, Bóg na pewno wysłucha was. Czy możecie pomodlić się też za mnie?”.

Więzienie Ewin, okropna, piekielna dziura w Teheranie, symbol opresji radykalnego islamu, przekształciło się w nasz kościół.

Więc modliłyśmy się dalej.

## ROZDZIAŁ 8

### *Dzieci Boże*

Marcelina &

Z sześciu celi na naszym piętrze jedna, numer 3, była pomieszczeniem prywatnym. Opowieści Mamusi o przykrym charakterze mieszkającej w nim osoby tylko umocniły nasze wrażenie, że starsza kobiecina jest plotkarką. Chętnie opowiadała ciekawostki z życia osobistego każdej więźniarki, ale rozmowa o mieszkance „trójki” wywołała jej niezwykle reakcję.

Widzieliśmy tę kobietę w czasie obchodów Nouruz, kiedy wszystkie chodziłyśmy z pomieszczenia do pomieszczenia, składając sobie noworoczne życzenia. Była bardzo gruba, ważyła chyba z dwieście kilogramów i z tego powodu ledwo chodziła.

Mamusia powiedziała, że kobieta ma na imię Soraja. Mając taką tuszę, nie mogła korzystać z toalety, dlatego wypróżniała się pod prysznicem. Jeden z sześciu pryszniców był do jej wyłącznej dyspozycji; on był oznaczony, by nikt nie odważył się wtargnąć na jej teren prywatny. Soraja miała mnóstwo schorzeń i codziennie zjadała sporą garść tabletek. Pozwalano jej brać w kuchni dodatkowe jedzenie; zjadała je, głośno mlaskając, gdy pozostałe więźniarki musiały zadowalać się swoimi nędznymi porcjami.

Tuż przed obiadem w dniu Nowego Roku pani Mahdżub weszła do naszego pomieszczenia, trzymając na rękach prześlicznego małego chłopczyka. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom: dziecko w tym brudnym, przepełnionym więzieniu! Na początku pomyślałam, że dziecko należy do kogoś z ochrony lub pracowników biura więziennego. Jednak pani Mahdżub wytłumaczyła, że w Oddziale 2 wyodrębniono celę numer 4 dla uwięzionych matek z dziećmi.

Chłopczyk miał na imię Armin, miał około dwóch lat. Jego skóra była piękna i gładka. Maria i ja poszłyśmy razem z panią Mahdżub do celi numer 4, by zobaczyć jego matkę. Była to wysoka, zgrabna Afganka, wtrącona do więzienia za handel narkotykami. Muszę przyznać, że naprawdę bardzo się starała być dobrą matką nawet za kratami, ponieważ i dziecko, i jego ubranka były bardzo czyste. Utrzymać czystość tutaj, w więzieniu, graniczyło z cudem, dlatego wygląd dziecka był dla mnie dowodem na to, jak wiele wysiłku wkładała matka, by zrobić lepszym życie swojego synka. Powiedziała, że ma jeszcze sześcioro dzieci, które muszą same sobie radzić bez niej w Teheranie. Najstarsza szesnastoletnia córka opiekowała się pozostałymi.

W celi numer 4 poznaliśmy inne matki i dzieci. Jeden chłopiec miał na imię Abubakr. Jego oczy były największe, jakie tylko można sobie wyobrazić, a włosy jasne i gęste. Jego matka również była Afganką, oskarżoną o powiązania

narkotykowe. Kobieta była załamana, ponieważ dziecko w krótkim czasie mieli jej zabrać. Dzieci mogły mieszkać z matkami w więzieniu tylko do ukończenia trzeciego roku życia, następnie, jeśli nikt z rodziny nie chciał się nimi zaopiekować, władze je zabierały i przekazywały do sierocińca.

Hamid był dzieckiem, które matka poczęła, zdradzając swego męża. Kiedy mąż się dowiedział o ciąży, zaczął ją bić. Broniąc się, kobieta uderzyła męża nożem i zabiła go. Dlatego znalazła się w więzieniu.

Była tu też dziewczynka Hapal, piękna, ale blada i zawsze brudna. Jej przetłuszczone włosy były rozczochrane, twarz umorusana, a ubranka poplamione. Dziewczynka urodziła się w więzieniu. Mimo że miała co najmniej dwa lata, matka wciąż karmiła ją piersią, a jednocześnie paliła papierosy. Matka była tak samo brudna, jak Hapal; w jej ustach zostało zaledwie kilka pożółkłych i szerniałych zębów. Była uzależniona od narkotyków. Podobnie jak kilka innych kobiet, czyściła toalety w Oddziale 2, by zarobić trochę kieszonkowych pieniędzy.

Ulubieńcem wszystkich kobiet był prześliczny Armin, ale naszą z Marią uwagę przyciągnęła Hapal, która w niedługim czasie stała się naszym pupilkiem. Dziewczynka cieszyła się, że zwracamy na nią uwagę, i wkrótce rzucała się nam w objęcia, gdy tylko nas widziała. Wydawało się, iż matka jest wdzięczna, że interesujemy się jej córką.

Podobnie jak wszystkie więzienne reguły w Ewin, zasady dotyczące matek z dziećmi mieszkających w celi numer 4 nie były ściśle przestrzegane. Mieszkała w nim kędzierzawa dziewczynka o imieniu Kasra, której matka przebywała na dolnym piętrze, gdzie cele były brudniejsze i gorzej oświetlone, a powietrze – aż gęste od dymu papierosów. Kasra była ulubieńcem naczelniczki więzienia, pani Rezei, która nikogo więcej nie darzyła sympatią.

Matka Kasry była piękną kobietą, zadeklarowaną lesbijką, a jej młoda „kochanka” miała na imię Wida. Ta ostatnia była nazywana „dzieckiem więzienia”, ponieważ urodziła się za kratami i za kratami właśnie spędzała większość swojego życia. Wida nie miała żadnej rodziny na wolności, więc za każdym razem, jak ją wypuszczano, popełniała jakieś przestępstwo, by wrócić do swojego jedyne domu. Miała czarne włosy i ciemną karnację. Jej twarz, piersi, ramiona były pokryte bliznami – śladami bójek ulicznych z użyciem noży.

Te dwie kobiety były znane jako postrachy całego Oddziału 2. Otwarcie mówiły o swoich relacjach i regularnie uprawiały seks w swojej celi, nie zważając na kamery. Zanim zainstalowano te kamery, dzień w dzień zdarzały się napastowania seksualne i nawet gwałty lesbijskie, dlatego większość kobiet cieszyła się z ich umieszczenia we wszystkich celach, pomimo pewnych niedogodności i świadomości, że się jest stale obserwowanym.

\*\*\*

Otwarta przemoc została wypleniona w więzieniu Ewin, ale stosunki homoseksualne pozostały wszechobecne i znacząco wpływały na życie więźniarek. Już od pierwszego dnia w areszcie Wozara codziennie obserwowaliśmy zachowania lesbijskie w tej lub innej formie i odczuwaliśmy, jakie napięcie wywołują one w celi, pełnej zamkniętych razem kobiet. W więzieniu Ewin sytuacja była jeszcze gorsza: aluzje słowne, sugestywne ruchy i otwarte zachęcanie do fizycznych kontaktów homoseksualnych były tak powszechne, że traktowano je jako coś normalnego.

Inną, wszystkim znaną parą, były Reza i Arasz, dziewczyny o chłopięcym wyglądzie. Miały krótko ścięte włosy, by wyglądem pasować do swoich męskich ksywek. Siedziały w więzieniu od dwóch lat, oskarżone o udział w handlu narkotykami, i mieszkały na dolnym piętrze. W czasie świąt razem z Marią schodziłyśmy na dół, by trochę się poruszać po niewielkim więziennym podwórku, i tam spotykałyśmy się z kobietami z dolnego piętra. Podwórze było wyłożone nieociosanymi kamieniami i otoczone wysokimi murami tak, że było widać tylko kwadratowy kawałek nieba. W kącie stało na pokaz kilka popsutych urządzeń do ćwiczeń gimnastycznych. Całą scenerię nieco ożywiało samotne drzewo, które później na rozkaz ochrony zostało ścięte.

Jedna z więźniarek, która miała długi wyrok, pożyczyła odtwarzacz CD i miałyśmy muzykę do tańca. Niektóre kobiety wspaniale tańczyły, zwłaszcza Reza i Arasz – wyglądały jak profesjonalistki i traktowały taniec poważnie, jakby to były jakieś zawody. Obie były nieokrzesane, na ich twarzach widniały ślady ran zadanych nożem i złamania nosa, na rękach zaś było tak dużo blizn, że wyglądały jak skóra zebry.

Na początku podczas spacerów obawiałyśmy się rozmów z nieznanymi, ponieważ nie wiedziałyśmy, czy ktoś tu nie jest donosicielem, czy nie będzie chciał nas skrzywdzić. Było nam trudno przyzwyczaić się do towarzystwa kobiet z dolnego piętra, gdyż spotykałyśmy je tylko na podwórku. Jednak po kilku dniach trochę się oswoiłyśmy z nimi i zaczęłyśmy wypatrywać możliwości porozmawiania z Rezą albo Arasz.

Pewnego dnia zobaczyłyśmy Arasz piorącą w zlewie jakieś ubrania. Jedną ręką trzymała węża, a drugą papieros.

„Może ci pomóc?” – zaproponowała Maria.

„Tak, ślicznotko” – odpowiedziała Arasz z nietypowym akcentem. Z bliska mogłyśmy zobaczyć, że ma bardzo niewiele zębów, a jej twarz i szyja są pokryte bliznami. Maria pottrzymała węża, by ona mogła pracować. Zapytałyśmy, jak ma na imię.

„Moje prawdziwe imię to Maria” – powiedziała Arasz.

„Ja też noszę to imię!” – powiedziała Maria ze zdziwieniem. „Razem

z przyjaciółką jesteśmy w więzieniu za wiarę w Jezusa. Jestem chrześcijanką od jedenastu lat”.

Arasz spojrzała na nią, odrywając się od prania.

„To znaczy, że jesteś odstępczynią i zostaniesz skazana na śmierć. Dlaczego to zrobiłaś?”

Maria opowiedziała, jak poznała Jezusa i przeczytała Biblię, jak zrozumiała, że Jezus jest Zbawicielem świata i został ukrzyżowany za nasze grzechy.

Arasz wyglądała na zdziwioną.

„Co znaczy – umarł za nasze grzechy? Czy z tego wynika, że już nie jesteśmy grzesznikami?”

„Jeśli uwierzysz, że Jezus umarł na krzyżu dla twojego zbawienia, to w oczach Boga twoje grzechy są przebaczone ze względu na Jego krew” – odpowiedziałam.

Oczy Arasz zrobiły się wielkie ze zdumienia.

„W takim razie On uczynił coś niesamowitego!” – zawołała. „Zawsze lubiłam chrześcijan. Nigdy nie widziałam żadnego pożytku w islamie. W wieku dwudziestu lat wyszłam za mąż za narkomana, który mnie bił. Zrobił narkomankę i ze mnie, i z naszej córki. Ma jedenaście lat. Tak bardzo za nią tęsknię!”

Kobiety, które widziały, jak rozmawiamy z Arasz, powiedziały nam później, że lepiej trzymać się od niej z daleka. Każdą, która rozmawia z nią, zaczynają podejrzewać o skłonności lesbijskie. Najwyraźniej miałyśmy się jeszcze wiele nauczyć.

Najbardziej stałą parą w więzieniu Ewin były Samana i Sima, oskarżone o morderstwo. Po raz pierwszy zobaczyłam Simę na podwórku, kiedy tańczyła. Wyglądała zupełnie inaczej niż ktokolwiek przebywający za kratami. Miała aksamitną białą skórę i proste jasne włosy, długie do pasa. Nosiła drogie markowe ubrania i buty na bardzo wysokich obcasach. Tańczyła wspaniale, jej włosy fruwały, a spódnica się unosiła, odsłaniając piękne nogi.

Jej przestępstwo było znane, było o nim głośno w telewizji i w gazetach osiem lat temu. Bardzo dobrze to pamiętałam. Czy mogłam kiedyś pomyśleć, że spotkam się z nią w więzieniu? Była przepiękną młodą osobą, która zakochała się w bardzo znanym irańskim sportowcu. Rozpoczął się romans, mimo że mężczyzna był żonaty i miał dzieci. Kochankowie zawarli związek sighe, tymczasowe małżeństwo, dozwolone przez prawo islamu, co dawało im możliwość legalnego uprawiania seksu, gdyż islam zezwala na posiadanie nawet czterech żon. Sighe może trwać zaledwie jedną godzinę i w zasadzie pozwala na uprawianie prostytucji w majestacie prawa muzułmańskiego oraz na nadanie romansowi statusu legalnego małżeństwa. Oczywiście żona nie ma nic do gadania.

Wokół tego związku wytworzyło się dużo szumu. Według oficjalnej wersji, Sima zabiła żonę swojego kochanka pod jego nieobecność. Mówiono, że dostała



się do ich domu za pomocą klucza otrzymanego od niego, poczekała w piwnicy, aż dzieci pójdą do szkoły, a potem nożem zabiła kobietę. Sima zaprzeczała wszystkiemu i wciąż walczyła, udowadniając swoją niewinność nawet po ośmiu latach spędzonych w więzieniu. W tym czasie jej sława i osobowość spowodowały, że posiadała wielką władzę szefa nad szefami w kobiecym więzieniu Ewin. Po latach stała się osobą, która nie liczyła się z niczym i nikim dla zaspokojenia swoich potrzeb i pozostawała w dobrych układach z władzami więzienia. Została jawną, agresywną lesbijką. Inne więźniarki nienawidziły jej za to, że je tak źle traktowała, że donosiła na nie z powodu każdego naruszenia regulaminu, ażeby poprawić swoje relacje z władzami. Nie mogły się doczekać, kiedy zostanie stracona.

Kiedy Sima miała dyżur i przeszukiwała inne osoby, czy nie próbują przemycić do więzienia narkotyków, mówiono, że dochodziła do skrajności: kazała nawet kobietom wypróżniać się na jej oczach, by upewnić się, czy narkotyki nie są schowane w najbardziej intymnych miejscach. A jeśli już coś znalazła, zawsze donosiła o tym władzom więzienia. Co najmniej dwie kobiety zostały stracone po jej donosach. Z tego powodu była oczkiem w głowie naczelniczki więzienia, a to dawało jej nadzieję na odroczenie kary śmierci. Z wielkim smutkiem obserwowałyśmy, jak więzienne życie zmusiło ją, by za wszelką cenę przetrwać, nawet powodując śmierć innych osób. My z Marią, odwrotnie, starałyśmy się doprowadzić te uwięzione kobiety do prawdziwego życia.

Zawsze myślałam o mordercach jako o strasznych potworach bez serca, z twarzami demonów. Sima miała piękną twarz, nawet po ośmiu latach spędzonych za kratami. Była biedną piękną dziewczyną, nagle wciągniętą w życie bogatego, znanego człowieka sukcesu, który miał żonę i dzieci. W ramach prawa islamskiego on mógł legalnie zaspokajać z nią swoje pożądanie. Jeśli zamordowała jego żonę, z pewnością popełniła okrutne przestępstwo. Lecz co ją do tego doprowadziło? Prawo, które zezwala mężczyźnie na nieograniczone realizowanie swoich fantazji seksualnych z kobietą, sprowadzoną do roli zabawki.

Oprócz kilku osób o twardym sercu, podobnych do Simy, znajdowało się tu wiele kobiet, które były dla nas dobre i życzliwe. Areza była wdową z dwójką dzieci, oskarżoną (jak twierdziła, fałszywie) o kradzież biżuterii. Zaproponowano jej zwolnienie za kaucją, ale jedynym sposobem zdobycia pieniędzy była pożyczka pod zastaw mieszkania, na co ona się nie zgadzała. Areza była w więzieniu od dwóch lat. Jej najlepszą przyjaciółką była Rozita, bardzo młodo wyglądająca kobieta, matka trojga dzieci. Rozita była za kratami od trzech miesięcy. Powiedziała, że podpisała czeki dla firmy produkującej stal, w której pracowała, nie wiedząc, że są one bezwartościowe. Została oskarżona o udział w sieci wyludzającej pieniądze i wtrącona do więzienia Ewin.

\*\*\*

Maria &

Sepida, jedna z kobiet od *mudżahedinów*, które były dla nas tak dobre od samego początku, niedługo została naszą zaufaną przyjaciółką. Była osobą wykształconą, dziennikarką i komentatorem wydarzeń politycznych, a członkowie jej rodziny byli uważani przez reżim za aktywistów. Jej mąż mieszkał w obozie dla *mudżahedinów* Aszraf w Iraku; brat był więziony w Ewin i poddawany intensywnym przesłuchaniom w Oddziale 209. Sepida też tam była, mieszkała w celi z Silwą, miłą chrześcijanką, którą poznałyśmy w Nowy Rok. Razem z nimi w Oddziale 209 przebywała Szirin Alam Huli, członkini kurdyjskiego ugrupowania opozycyjnego PJAK<sup>[3]</sup>.

„Szirin to najsilniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek spotkałam” – mówiła Sepida. Im więcej o niej rozmawiałyśmy, tym bardziej pragnęłam ją poznać. Silwa i Szirin mieszkały w celi numer 2, obok nas.

Na początku ja i Marcelina spałyśmy w różnych częściach naszego pomieszczenia i nie mogłyśmy porozmawiać po wyłączeniu światła. Moje łóżko stało obok łóżka Sepidy, więc w ciągu świąt dużo z nią rozmawiałam dzięki temu, że ochrona poluzowała obowiązujące zasady przestrzegania ciszy nocnej. Sepida była bardzo zainteresowana chrześcijaństwem i chciała wiedzieć, dlaczego uwierzyłam w Jezusa. Opowiedziałam jej o tym, jak Chrystus zamieszkał w moim sercu i przemienił mnie od wewnątrz, a także o Jego miłości i ofierze złożonej za ludzkość. Ze łzami w oczach Sepida wyszeptowała: „Nigdy nie myślałam, że chrześcijaństwo tak bardzo mnie poruszy. Teraz patrzę na wasze życie i na drogę, którą wybrałyście, z większym szacunkiem niż kiedykolwiek. Chciałabym, by ze mną stało się podobnie. Chciałabym spotkać Jezusa Chrystusa. Czy to jest możliwe?”

„Tak, na pewno” – zapewniłam ją.

Tak rozmawiałyśmy każdej nocy aż do czasu, kiedy zwolniło się miejsce obok Marceliny i przeniosłam się do niej.

Mniej więcej po tygodniu spędzonym w Ewin zobaczyłam Szirin Alam Huli, zgrabną młodą kobietę z włosami do ramion. Była sama na podwórku. Obie pragnęłyśmy porozmawiać ze sobą, ale żadna nie chciała zacząć. Po chwili, kiedy nasze oczy się spotkały, uśmiechnęłyśmy się do siebie i przedstawiłyśmy. Szirin słyszała o „chrześcijańskich dziewczynach” z celi numer 1 i miała dużo pytań, na które starałam się odpowiedzieć najlepiej, jak umiałam.

„Nie wyznaję żadnej religii – oznajmiła Szirin, – ale szanuję tych, co wierzą. Każdy człowiek powinien być wolny i mieć prawo wyboru wiary. Nikt nie ma prawa nakazywać nam, w co mamy wierzyć”.

Kiedy Szirin zapytała, czy dzieliłam się moją wiarą z innymi, coś w jej otwartości i pewności siebie spowodowało, że zaufałam jej.

„Tak” – odpowiedziałam. „Mówiłam o chrześcijaństwie i broniłam go, zwłaszcza w rozmowach z młodzieżą”.

Przechadzając się po podwórku, Szirin opowiedziała mi swoją historię. Zaangażowała się w działalność nacjonalistycznej Kurdyjskiej Partii Wolnego Życia (PJAK), która dąży do zdobycia praw politycznych dla Kurdów oraz do utworzenia niezależnego państwa kurdyjskiego. Pochodziła ze wsi Deim Geszlag, która znajduje się niedaleko miasta Maku w irańskiej prowincji Zachodni Azerbejdżan. Jeden z przyjaciół zaprosił ją do obozu ćwiczeniowego PJAK na terenie Turcji, a później do podobnego miejsca w Iraku. W roku 2008 oddziały specjalne „Sepa” aresztowały ją w zachodniej dzielnicy Teheranu, Szahrak-e Garb. Szirin postawiono zarzuty przechowywania materiałów wybuchowych i członkostwa w PJAK.

Oddziały „Sepa” należą do najbardziej bezwzględnych jednostek Straży Rewolucji. Ich skład stanowią okrutni mordercy, którym powierzono ochronę islamskiego systemu państwowego w Iranie przed wrogami wewnętrznymi (żeby nikt nie miał wątpliwości co do ich intencji lub sposobu działania, umieścili na swoim godle wzniesioną rękę z karabinem maszynowym).

Szirin została umieszczona w Oddziale 240, gdzie więźniowie polityczni są przesłuchiwani w szczególny sposób. Przez miesiąc wyciągano z niej zeznania, mimo że ona znała tylko język kurdyjski, a pytania zadawano jej po persku<sup>[4]</sup>. Dopiero później, będąc w więzieniu, Szirin nauczyła się perskiego. Prawdę mówiąc, bariera językowa okazała się dla niej pomocna, ponieważ dzięki niej dziewczyna mogła nie odpowiadać na niewygodne pytania.

Przez dwadzieścia dni Szirin nie powiedziała nic, nie podała nawet swojego nazwiska, powodując wściekłość swoich prześladowców. Kopali ją w brzuch, aż zaczynała wymiotować krwią, i bili po twarzy. Chłostali jej stopy skórzanymi pasami. Podwieszali za nogi, głową w dół. Chwyтали za włosy i bili głową o ścianę. Głośno krzyczeli jej prosto w uszy, tak że myślała, iż pękną jej błony bębenkowe. Przykładali do skroni lufę pistoletu i grozili, że ją zastrzelą.

Jeden z katów, zanim zaczynał tortury, zawsze dokonywał ablucji rytualnych, jakby obmywał ręce przed modlitwą. Mówił, że to, co zacznie teraz robić, jest świętym aktem służenia Bogu. Wznosił oczy ku niebu i modlił się: „Mój Boże, przyjmij, proszę, tę ofiarę mojej służby”. Następnie godzinami bił Szirin, aż nadchodził czas kolejnej modlitwy muzułmańskiej. Wówczas przerywał tortury i klękał do modlitwy. Po zakończeniu znowu zabierał się za bicie.

Pewnego razu, po szczególnie dotkliwym pobiciu, Szirin przez trzy dni była nieprzytomna. W tym czasie przeniesiono ją do Oddziału 209. Kiedy się ocknęła, przesłuchania kontynuowano, ale nie były one już tak okrutne.

Chodziłyśmy powoli w kółko po więziennym podwórku, trzymając się za ręce, i Szirin opowiadała o skrajnej nędzy i surowych ograniczeniach, nakładanych na kurdyjskie dziewczęta. Mówiła, że jej największym marzeniem jest to, by jakoś im pomóc. Nie miała jeszcze trzydziestu lat, ale na jej twarzy widziałam cierpienie i smutek osoby w podeszłym wieku. Mimo to w jej oczach, zapadłych z powodu niedożywienia, widać było blask heroicznej walki. Skórę miała suchą, a z wycieńczenia wypadały jej włosy.

Później przedstawiłam Szirin Marcelinie i zostałyśmy bliskimi, zaufanymi przyjaciółkami. Kiedy Marcelina dowiedziała się o tym, przez co przeszła Szirin, powiedziała do mnie: „Musimy uczyć się od niej, jak walczyć o sprawiedliwość. Skoro była gotowa znieść to wszystko dla swoich przekonań narodowych i politycznych, to tym bardziej powinnyśmy być gotowe na podobne cierpienie dla naszej wiary w Boga”.

Historia Szirin była dla nas natchnieniem. Przeżyła wiele okropnych rzeczy, ale nigdy nie była skąpa i nie obgadywała nikogo za plecami. Była jak twierdza, odważna i zdecydowana. Dzielnie zachowywała dla siebie swoje myśli, choć czasami słyszałam w nocy, jak płacze okryta kocem. Bardzo kochała dzieci z celi numer 4. Kiedy jedna z nas brała na ręce maleństwo, Szirin żartobliwie wołała: „Daj to dziecko tutaj, zanim je zmiażdżysz! Ja potrafię obchodzić się z dziećmi, bo wychowałam całe moje rodzeństwo”. Nie do zniesienia było patrzeć, jak z miłością i cierpliwością bawi się z dzieckiem, i jednocześnie wiedzieć, że torturowano ją całymi dniami za „zbrodnię”, nazywaną po persku *moharebe* (zwalczanie Boga).

\*\*\*

Od czasu do czasu Marcelina, Szirin i ja chodziłyśmy po podwórku, by porozmawiać z kobietami, mieszkającymi na dolnym piętrze. Szirin przysłuchiwała się temu, co mówimy. Pewnego razu, gdy byłyśmy sam na sam, zapytała mnie: „Myślisz, że to, co powiedziałaś tym ludziom, będzie miało na nich jakiś wpływ? Myślisz, że oni kiedyś się zmienią?”.

„Być może” – odparłam. „My musimy zrobić swoje, a reszta należy do Boga”.

Szirin się roześmiała: „Pewnie, że mieli poważne powody, by cię wsadzić do więzienia! Przecież ty nawracasz ludzi!”.

Żartobliwie popchnęła mnie, a ja w odpowiedzi popchnęłam ją. Tak chichotałyśmy i popychałyśmy się, aż zaczęłyśmy się głośno śmiać.

W miarę jak zaczynałyśmy się przyjaźnić z innymi kobietami, Mamusia robiła się coraz bardziej zazdrosna. Kiedy widziała, że rozmawiamy z kimś innym, zwłaszcza jeśli kogoś pocieszałyśmy lub przytulałyśmy, dąsała się i wołała nas, byśmy usiadły przy niej. Od początku robiłyśmy dla niej różne rzeczy,

pomagałyśmy jej chodzić do toalety i na korytarz, kiedy przychodziła pielęgniarka, by dać jej zastrzyk insuliny (mimo że ochrona krzyczała na nas, iż nie powinniśmy tam być, skoro same nie potrzebujemy opieki medycznej). Podawałyśmy jej jedzenie ze współczucia i uprzejmości, ale teraz ona domagała się naszej uwagi. Zaczęła myśleć, że należy się jej nasza uwaga i drobne przysługi, i powoli robiła z nas swoje służące. Wprawdzie nie chcieliśmy jej urazić lub zdenerwować, zwłaszcza że musiałyśmy mieszkać z nią w tej samej zatłoczonej celi, jednak nasze relacje musiały ulec zmianie. Zaczęłyśmy szukać pretekstu, by mieć jakieś inne zajęcie w czasie posiłków.

Jedzenie w więzieniu Ewin było ohydne. Podstawowym posiłkiem była zupa składająca się przeważnie z wody i tłuszczu, w której pływało kilka kawałków nieobranej marchwi i ziemniaków. Warzyw przed gotowaniem nie myto, dlatego w zupie było mnóstwo brudu, tak że przypominała ona błoto. Innym typowym daniem w ciągu tygodnia był odsączony ryż bez smaku, bez dodatku oliwy lub przypraw oraz kilka ziemniaków i przecier pomidorowy, często zepsuty. Podawano nam również geime, zupę z grochem i ziemniakami, z niewielką ilością tłuszczu. Raz w tygodniu były parówki, okropne w smaku i za każdym razem wywołujące u wielu więźniarek biegunkę. Marcelina i ja jadłyśmy tylko chleb z serem, podawany na śniadanie, i raz w tygodniu gotowane ziemniaki i jajko. Reszty nie byłam w stanie przełknąć. Do każdego dania dodawano dużo środków chemicznych, by zdławić popęd seksualny więźniarek. Z tego powodu jedzenie śmierdziało i smakowało jeszcze gorzej. Można było nim się zatruć, a poza tym było szkodliwe dla zdrowia narządów rozrodczych kobiet.

Dwa razy w tygodniu więzienna kuchnia piekła coś, co wyglądało jak żytni chleb razowy. Początkowo cieszyłyśmy się na widok czegoś innego niż zwykła porcja białego chleba z dodatkami. Jednak szybko zauważyłyśmy, że więzienny chleb obowiązkowo zawiera muchy, włosy, kawałki plastiku, a czasami nawet zęby.

Byłyśmy w związku z tym cały czas głodne, żywiąc się jednym nędznym posiłkiem dziennie przez sześć dni w tygodniu, ale dzięki temu udało się nam uniknąć większości chorób, jakie często wywoływało więzienne jedzenie. Niestety nie dawało to możliwości zachowania zdrowia. Bardzo szybko się przekonaliśmy, że opieka medyczna w Ewin jest tak samo beznadziejna, jak kuchnia.

<sup>[3]</sup> Partiya Jiyana Azad a Kurdistanê – Kurdyjska Partia Wolnego Życia (przyp. tłum.).

<sup>[4]</sup> Języki, czy raczej dialekty kurdyjskie są blisko spokrewnione z perskim należąc do tej samej podrodziny języków irańskich (przyp. red.).

## ROZDZIAŁ 9

### *Głodnych nakarmić*

Maria &

Zanim przeniesiono nas do więzienia, spędziłyśmy dwa tygodnie w areszcie Wozara bez pełnowartościowych posiłków i bez mycia. Natychmiast po przybyciu do Ewin Marcelina rozchorowała się z powodu lodowatej wody w prysznicach. Najpierw zaczęło ją boleć gardło, a potem rozwinęła się poważna choroba. Miała dreszcze, wysoką gorączkę, bóle w całym ciele. Nie mogła utrzymać równowagi. Powiedziałam pani Mahdżub, więźniarce odpowiedzialnej za Oddział 2, że Marcelina potrzebuje pomocy lekarza, ale usłyszałam w odpowiedzi, że lekarz ma wolne do końca świąt Nouruz. Pani Mahdżub przyniosła Marcelinie jakiś przeterminowany antybiotyk i powiedziała, że nic więcej dla niej zrobić nie może. Marcelina spędziła w łóżku ponad tydzień, wygłodzona i wycieńczona; mogła tylko pić herbatę i soki, jakimi co jakiś czas częstowały ją inne kobiety. Parę razy otrzymała przemycone leki przeciwbólowe. Nie mogłam nic dla niej zrobić, mogłam tylko się modlić.

Choroba Marceliny spowodowała, że nasiliły się u niej bóle pleców. Sprężyny w materacach były całkowicie zużyte i większość więźniarek używała zamiast materacy kilku koców, a jednym się nakrywała. Marcelina myślała, że być może lepiej byłoby spać na podłodze na kocach, ale gdyby ktoś zauważył niezajęte łóżko, natychmiast by je zajął. Potem trzeba byłoby czekać tygodniami, aż coś się zwolni. A ponieważ łóżko stanowiło jedyną prywatną przestrzeń w tym więzieniu, Marcelina nie chciała z niego rezygnować. Naciskałam na biuro więzienne, by zapewniono jej opiekę medyczną, ale zawsze padała ta sama odpowiedź: „Lekarz ma wolne do końca świąt. Nic nie możemy zrobić”.

\*\*\*

Ze swoją ciasnotą, problemami lesbijskimi, ciągłymi drobnymi kłótniami i wrzaskami pani Imani, Oddział 2 był bardzo hałaśliwym miejscem, gdzie chora nie mogła liczyć na spokój i wypoczynek. Więźniarki polityczne były zawsze najspokojniejszymi i najbardziej grzecznymi osobami w Oddziale. Wiele z nich spędzało czas szyjąc – tylko ta użyteczna działalność była dozwolona. Niektóre panie doszły w szyciu do wielkiej wprawy: szyły piękne szale i ubrania na sprzedaż, by mieć kieszonkowe. Nasza nowa przyjaciółka Szirin Alam Huli była mistrzynią i nauczyła mnie szyć, póki Marcelina leżała z gorączką. Tygodnie ciągnęły się powoli, a my spędzałyśmy ze sobą wiele godzin, szyjąc i rozmawiając.

Sądy były wciąż zamknięte z powodu świąt noworocznych, w związku

z czym do więzienia Ewin przybywało mało nowych osób i mało je opuszczało. Przez tydzień nie było nowoprzybyłych, aż przyprowadzono około dziesięciu kobiet. Należały do ruchu „Milion Podpisów”, który walczył o prawa człowieka w Iranie, w sposób szczególny stając w obronie kobiet. Jedną z liderek była pani Mahdie, bardzo szczupła kobieta z ciemnymi kręconymi włosami. Siedziała w więzieniu już kilkakrotnie i uważała, że jest to przydatne jako jeden ze sposobów poznawania sytuacji kobiet i ich traktowania przez reżim. Tutaj mogła też spotkać inne działaczki. Nasza przyjaciółka pani Azam, dobra kobieta w wieku około sześćdziesięciu lat, szybko nawiązała kontakt z panią Mahdie i jej towarzyszkami. Pani Azam przebywała w więzieniu już trzy lata. Była oskarżona o działania przeciw bezpieczeństwu narodowemu, ponieważ brała udział w akcji na rzecz praw kobiet.

Panią Mahdie bardzo interesowało, jak są traktowane kobiety w więzieniu. Zaczęła rozmowę ze mną, by poznać, co przeżyłyśmy. Opowiedziałam jej o naszym zatrzymaniu, przebywaniu w areszcie Wozara i przybyciu do Ewin. Gdy pani Mahdie usłyszała, że jesteśmy chrześcijankami, zapytała, dlaczego wybrałam Jezusa. Po krótkiej wymianie zdań zrozumiałam, że pani Mahdie ma całkowicie skrzywiony obraz chrześcijaństwa, wynikający z kłamstw, które słyszała i o których przeczytała w tzw. Biblii Barnaby, powszechnie sprzedawanej w Iranie i zawierającej fałszywe wiadomości o Jezusie, dopasowane do islamskiej ideologii. W Iranie nawet wykształceni ludzie nie mają pojęcia, o czym jest mowa w Biblii, ponieważ nigdy w życiu jej nie czytali.

„To w takim razie gdzie jest prawdziwa Biblia?” – zdziwiła się pani Mahdie.  
„Gdzie mogę taką znaleźć?”

Podaliśmy jej adres kościoła.

„Kiedy pani wyjdzie na wolność, niech pani tam się uda” – powiedziałam.  
„Tam pani otrzyma egzemplarz prawdziwej Biblii i odpowiedzi na wszystkie dotyczące jej pytania”.

Pani Mahdie stwierdziła, że chce więcej dowiedzieć się o chrześcijaństwie i na pewno tym się zainteresuje.

W rozmowie telefonicznej z matką pani Mahdie wspomniała, że spotkała chrześcijanki. Matka natychmiast poprosiła, byśmy się modliły za nią, gdyż jest chora i przebywa w szpitalu. Ciekawe – ta kobieta była przekonana, że nasze modlitwy mają moc, a przecież z nią nawet nie rozmawialiśmy!

Od czasu naszego przybycia do Ewin nie mogliśmy skorzystać z telefonu. Teraz, po dwóch tygodniach, pojawiła się możliwość, by porozmawiać z naszymi siostrami Szirin i Eleną. Za przydział czasu rozmów odpowiadała więźniarka o imieniu Emma. Od niej dowiedziałyśmy się, że miałyśmy prawo korzystania z telefonu od samego początku, ale inne kobiety przejęły nasz przydział i nie miały zamiaru z niego rezygnować. Władze więzienia nie wtrącały się do tego, jak się

wykorzystuje telefoniczny czas, i więźniarki z dłuższym stażem przejmowały nad tym kontrolę.

Mimo że zaczęłyśmy się dystansować od Mamusi z powodu jej zachowania i intencji wobec nas, nadal uważałyśmy ją za podstawowe źródło informacji o regułach i relacjach panujących w więzieniu. Zapytałyśmy, jakie zasady obowiązują podczas korzystania z telefonu. Nie zdążyłyśmy skończyć rozmowy, jak Mamusia wstała, poszła do celi numer 2 i coś wyszeptała na ucho potężnej kobiecie, która szła szalik. Kobieta się poderwała i zaczęła histerycznie wrzeszczeć, przeklinając mnie i Marcelinę.

„Wy, głupie polityczne!” – grzmiała. „Idiotki! Bezmyślne zwierzęta! Raz mówicie, że nie potrzebujecie czasu telefonicznego, a drugi raz skarżycie się, że macie go za mało! Kim jesteście, by mnie oskarżać o oszustwo i pogwałcenie waszych praw?”

Próbowałyśmy ją uciszyć i dowiedzieć się, co powiedziała jej Mamusia, ale bezskutecznie. Była zbyt rozzłoszczona, by słuchać. Podałyśmy się i poszłyśmy do siebie, wciąż słysząc jej krzyki. Kiedy wróciła Mamusia, poprosiłyśmy ją, by nie wtrącała się we wszystkie nasze sprawy, tylko pozwoliła nam różne kwestie załatwiać samodzielnie. Musiałyśmy ciężko pracować, by zbudować dobre relacje z innymi więźniarkami; często kosztowało to nas utratę małych przywilejów, np. dobrego miejsca w kolejce do okienka sklepowego lub większej porcji ziemniaków i jajek (jedynego naszego posiłku w ciągu tygodnia). Obawiałyśmy się, że brak taktu ze strony Mamusi zburzy naszą reputację i zaszkodzi nam w przyszłości.

Nasza przyjaciółka Silwa wyjaśniła, że krzykliwa kobieta ma na imię Szamsi. Siedzi w więzieniu od ośmiu lat, oskarżona o nadużycia finansowe, i nie zostanie wypuszczona, póki nie spłaci długów. Jej zadłużenia były tak ogromne, że nie mogła ich spłacić, znajdując się w więzieniu. Oznaczało to, że najprawdopodobniej spędzi tu resztę życia. Była znana z uszczypliwości, zwłaszcza w stosunku do nowoprzybyłych – w ten sposób demonstrowała swoją wyższość. Później Szamsi przeproszała za wybuch gniewu, tłumacząc, że myślała, iż oskarżamy ją o kradzież naszej własności. Ta rozmowa dała początek kolejnej wspaniałej przyjaźni.

\*\*\*

Marcelina &

Nasze przyjaciółki Silwa i Szirin mieszkały w celi numer 2, dlatego spędzałyśmy tam sporo czasu, poznając inne osoby. Na przykład Mardżana była zawsze uśmiechnięta, opowiadała dowcipy i starała się, by każdy przy niej czuł się szczęśliwy. Kiedy po raz pierwszy nas zobaczyła, z poważnym wyrazem twarzy



powiedziała: „O Boże, kolejne chrześcijanki w naszym Oddziale? Najpierw Silwa, a teraz wy! Nie wytrzymam tego!”. Mardzana opowiadała, że siedzi już dwa lata, ponieważ jej były przyjaciel ukradł z biura czek z jej podpisem, wpisał większą kwotę pieniędzy i chciał je wypłacić. Czek został odrzucony, wtedy przyjaciel zrzucił winę na Mardzanę i wtrącił ją do więzienia.

„Nie jestem pewna, czy lubię was tak bardzo, jak wy lubicie mnie” – stwierdziła Mardzana. „Nawet nie próbujcie zmusić mnie, bym was polubiła – nic z tego nie wyjdzie!” Od tego momentu została jedną z naszych najlepszych przyjaciółek.

Siedziała tu również Nasim, kobieta, która tak ostro potraktowała mnie, kiedy przybyłyśmy do Ewin. Była oskarżona o zabójstwo teściowej, ale poznałyśmy ją jako dobrą i miłą osobę.

„Droga Nasim – zapytałam, – dlaczego przeszukiwałaś mnie tak srogo, kiedy tu przybyłam? Czemu kazałaś mi robić sześć przysiadów? Czy myślałaś, że mogę znieść jajko jak kura?”

To pytanie wywołało śmiech u wszystkich kobiet, które słuchały naszej rozmowy.

„To nie było nic osobistego” – przeproszającym tonem odpowiedziała Nasim. „Musiałam tylko wykonywać rozkazy”.

Najlepsza okazja do spotkania nowoprzybyłych i osób z niższego piętra nadarzała się w czasie, kiedy wszystkim pozwalano wyjść na podwórko. Pewnego razu do Marii podeszła piękna kobieta w ciąży. Nazywała się Puna. Przebywała w więzieniu od ośmiu miesięcy oskarżona o morderstwo, mimo że to jej mąż popełnił tę zbrodnię. Włamał się do mieszkania bogatej starszej kobiety, by ukraść pieniądze, ale kobieta rzuciła się na niego i po krótkiej walce on ją zabił. W panice zadzwonił do żony, a kiedy ta przybyła, przyjechała policja i aresztowała ich oboje. Gdyby oskarżenie dotyczyło tylko męża Puna, zostałby stracony. Oskarżeni we dwoje mogli liczyć na dożywocie. Kobieta postanowiła przyjąć oskarżenie, by uratować życie męża.

„Dopiero w więzieniu dowiedziałam się, że jestem w ciąży” – powiedziała. „Mąż o tym nie wie. Dzieciatko urodzi się za kilka tygodni”.

Jej głos zadrżał, oczy napęłniły się łzami i kobieta wybuchła płaczem.

„Proszę, ze względu na Boga, w imię Jezusa Chrystusa i świętej Maryi, módlcie się za mnie! Nie mam nikogo, kto by o mnie zadbał. Jestem absolutnie sama! Nie mogę nawet wynająć prawnika, który broniłby mnie w sądzie. Jak mogę spędzić resztę mojego życia w więzieniu z dzieckiem?”

Na tym nasze spotkanie się zakończyło. Widziałyśmy, jak zalana łzami Puna wraca do celi razem z innymi „morderczyniami”. Gdy dziecko się urodzi, zostanie przeniesiona na nasze piętro do pokoju, gdzie mieszkają inne matki z dziećmi. Będziemy mogli częściej się widywać.

Poznałyśmy tam też inną kobietę, Manę, która miała zaledwie dwadzieścia trzy lata, czego jednak nie dało się stwierdzić z powodu tak grubej warstwy makijażu na jej twarzy, że wyglądała jak klaun. Malowanie się w więzieniu było zabronione, ale Mana i niektóre inne więźniarki nakładały makijaż w nocy, po kolacji, kiedy ochrona nie zaglądała do celi. Była naiwną dziewczyną, choć czasami zdolną do głębokich refleksji. Staraliśmy się w sposób łagodny odwieść ją od tego okropnego malowania się; mówiłyśmy, że można jeszcze zrozumieć starsze kobiety, które muszą jaskrawo się malować, a ona przecież tego nie potrzebuje. Wysłuchiła uważnie, ale następnego dnia była znowu okropnie umalowana.

Mana była jedną z osób, odpowiedzialnych za przydział czasu telefonicznego w Oddziale 2. Niestety, inne kobiety korzystały z jej naiwności i nadużywały swojej pozycji. Gdy Mana odkrywała, że ją oszukano, rzucała rejestr rozmów na podłogę, krzycząc, iż już nie będzie tym się zajmować i niech biuro wyznaczy kogoś innego. Wkrótce jednak się uspokajała i wracała do swoich obowiązków.

Na jednym ze spacerów Mana powiedziała, że chciałaby więcej dowiedzieć się o chrześcijaństwie. Już wcześniej zamierzała zadać nam kilka pytań, ale zbyt pochłaniały ją sprawy związane z telefonami.

„Nie jestem osobą uduchowioną – wyznała, – ale bardzo interesuje mnie Jezus i chrześcijaństwo. Chciałabym dowiedzieć się więcej. Od wielu lat nie wierzę w Boga. Parę lat temu nawet podarłam Koran i wrzuciłam do ognia”. (To jest okropny grzech z punktu widzenia prawa muzułmańskiego. Wierni nie mogą w żaden sposób znieważać Koranu. Powinni nawet obmyć ręce, zanim go dotkną.)

Następnie kontynuowała: „Myślę, że z tego powodu Bóg już mnie nie kocha. Zostałam ukarana za mój brak wiary. Urodziłam się w bogatej rodzinie. Mój ojciec sam doszedł do wszystkiego, ale zaangażował się w politykę, o czym nikt w rodzinie nie wiedział. Został zabity w podejrzanych okolicznościach. Władze wydały jego ciało bez wyjaśnienia, co było przyczyną śmierci. Byłam wtedy bardzo młoda i śmierć ojca była dla mnie ciężkim ciosem. Straciliśmy pieniądze i naszą pozycję w społeczeństwie. Właśnie wtedy porzuciłam wiarę i spaliłam Koran”.

„Jest mi bardzo przykro z powodu twojego ojca” – powiedziałam. „Ale musisz wiedzieć, że Bóg nie odrzucił ciebie. On nadal cię kocha, tak jak zawsze. Straciłaś wprawdzie swojego ziemskiego ojca, ale prawdziwym Ojcem dla nas wszystkich jest nasz Pan, który cię nigdy nie opuści. Wydaje ci się, że Bóg odrzucił ciebie z powodu spalenia Koranu, ale w rzeczywistości to ty rzucasz na siebie przekleństwo i odrzucasz Boga”.

Mana wytłumaczyła, że razem z mężem są w więzieniu od trzech lat za kradzież państwowych pieniędzy. Planują wyjść wcześniej za dobre sprawowanie, zabrać ukryte ukradzione pieniądze i wyjechać z kraju. Mana uważała, że w ten

sposób pomści śmierć ojca.

„Jak ty i twój mąż chcecie zbudować szczęście na takiej podstawie?” – oburzyłam się. „Nie wierzę, że tą drogą można dojść do dobrobytu. Nie chcę wtrącać się w wasze życie prywatne, ale błagam: zacznij naprawiać swoje zniszczone relacje z Panem. Zacznij od rozmowy z Nim dziś w nocy. Módl się za siebie i swojego męża, byście szukali prawdy i przeszli przez to trudne doświadczenie. On na pewno odpowie na twoje modlitwy”.

„Myślisz, że Bóg kiedykolwiek będzie w stanie mi wybaczyć i przyjmie mnie z powrotem?”

„Oczywiście! On już zapłacił cenę za ciebie. Poza tym nie sędzę, byście z mężem kiedykolwiek mogli zrobić dobry użytek z tych pieniędzy. Nie da się za nie kupić szczęścia. Pieniądze należące do kogoś innego nie doprowadzą do lepszego życia. Bez miłości Boga wszystkie pieniądze świata nie dadzą wam szczęścia”.

Mana poprosiła o modlitwę za nią, jej męża i całą rodzinę. Gdy się modliłam, Mana mocno mnie przytuliła i zaczęła płakać.

„Czuję się taka odprężona i pełna pokoju!” – powiedziała. „Może to uwolni mnie od koszmarów nocnych. Z trudem zasypiam, a kiedy już zasnę, dręczą mnie koszmarne sny”.

Tej nocy modliłam się kilka godzin, by Bóg dał Manie pocieszenie, spokój ducha, by prowadził ją swoimi ścieżkami.

Następnego dnia przed południem Mana wpadła do naszego pokoju szczęśliwa i podekscytowana. „Zobacz!” – powiedziała, wyciągając do mnie otwartą dłoń, w której leżał piękny drewniany krzyżyk. „Nie mogę uwierzyć! Dziś w nocy po raz pierwszy modliłam się, prosząc Boga, by objawił mi prawdę o Jezusie Chrystusie. A kiedy rano jeszcze leżałam w łóżku, pewna przyjaciółka, która nic nie wiedziała o mojej modlitwie, dała mi ten krzyżyk ze słowami: «Mano, zrobiłam to na warsztatach i chcę ci to dzisiaj dać w prezencie». Nie mogę uwierzyć, że Bóg odpowiedział tak szybko na moją modlitwę tak pięknym podarunkiem! Wiem, że to jest znak i że wszystko, co mówiłaś o Jego miłości, jest prawdą!”

Mana przychodziła prawie każdego ranka ze zdumiewającymi wiadomościami, jakie znaki daje jej Bóg na potwierdzenie tego, że ją wysłuchał. Zaczęła mówić, że bardzo chciałaby poczytać Biblię. Powiedziała mi: „Uwierzyłam w to, co mi mówiłaś o znalezieniu nowej drogi życia. Chcę mieć swoją Biblię i czytać słowa Boga z pierwszej ręki”.

Nie miałam żadnej możliwości, aby dać jej Biblię, ale jej prośba po raz kolejny uświadomiła mi, jak łatwo jest świadczyć o Jezusie za kratami w porównaniu do pracy misyjnej na wolności. Nie musiałyśmy tutaj czekać na jakąś okazję czy podrzucać Nowy Testament do skrzynek pocztowych. Mogłyśmy

rozmawiać z każdym otwarcie, nie chowając się w piwnicy lub za zamkniętymi drzwiami. Uwięzione z nami kobiety były spragnione prawdy. Desperacko jej poszukiwały. Winnych przytłaczał ciężar grzechu; były one przekonane, że islam skazuje je na śmierć za popełnione przestępstwo. Nie miały żadnej nadziei, póki nie usłyszały o prawdziwym Bogu. Dla kogoś z zewnątrz więzienie wyglądało jak koniec wszystkiego, ale prawda Jezusa i Jego miłość do grzeszników, i Jego przebaczenie stawały się cudem dla tych uwięzionych. Były balsamem kojącym najstarsze i najboleśniejsze rany w ich duszach. Większość z tych kobiet utraciła wszelką nadzieję zbawienia, ponieważ islam ukazuje Boga jako boga zemsty, który stawia wymagania niemożliwe do spełnienia i nie ma litości wobec tego, kto nie może im sprostać. Zrozumienie, że Bóg jest ich Ojcem i kocha bezwarunkowo takimi, jakimi są, jest dla nich odkryciem przemieniającym życie. A ponieważ i tak już siedziałyśmy w więzieniu za głoszenie chrześcijaństwa, uznałyśmy z Marią, że możemy równie dobrze rozgłaszać Dobrą Nowinę o Jezusie Chrystusie pod tym dachem.

\*\*\*

Krótko potem myłam podłogę pod łóżkiem Mamusi i znalazłam jakieś stare pudło, zapomniane przez wszystkich, które wyglądało jak kosz na śmieci. Spytałam panią Mahdżub, czy wie, do kogo ono należy. Odpowiedziała, że zapewne ktoś, wychodząc na wolność, zapomniał o swoich rzeczach i mam je po prostu wyrzucić. Niosąc pudło na śmietnik, zajrzałam do środka – tak, na wszelki wypadek. W więzieniu nawet śmieci mogą mieć wartość. Ku mojemu zaskoczeniu wśród podartych i pogniecionych papierów znalazłam kieszonkową Ewangelię według Łukasza.

Szybko schowałam książeczkę pod kocem na moim łóżku. Nie mogłam doczekać się nadejścia nocy, by zacząć czytać. Kiedy zgaszono główne światła, wyciągnęłam ją i otworzyłam. Na stronie tytułowej znajdował się tekst podpisany przez arcybiskupa Ramseya, byłego arcybiskupa Canterbury i przywódcy Kościoła anglikańskiego na całym świecie. Najwyraźniej to on dał tę Ewangelię komuś w prezencie. Co za skarb! Jakim wielkim cudem było jego znalezienie!

Trudno opisać moje uczucia, kiedy po tak długiej przerwie mogłam znowu czytać Pismo Święte. Każda strona, każde słowo, każda litera była błogosławieństwem. Prawdziwa uczta dla wygłodzonej duszy! Razem z Marią postanowiłyśmy podzielić się tym odkryciem z osobami, które mogą być zainteresowane. Najpierw pożyczłyśmy książeczkę pani Mahdżub. Kiedy ją przeczytała i oddała, zaniósłszy ją do Many. Oczy Many szeroko się otworzyły ze zdumienia na widok Ewangelii.

„Bóg odpowiedział na twoje modlitwy” – oznajmiłam, podając jej Pismo.

„Teraz możesz przeczytać księgę z autentycznej Biblii, tak jak chciałaś”.

Wieść szybko się rozniosła i wiele więźniarek chciało przeczytać naszą książeczkę. Po krótkim czasie kilkadziesiąt osób zapoznało się z prawdziwą Księgą chrześcijan, czytając malutką Ewangelię, podpisaną przez jednego z najważniejszych przywódców Kościoła, który zmarł ponad dwadzieścia lat temu, zostawiając nam ten skarb, znaleziony w cudowny sposób w kobiecym więzieniu w środku muzułmańskiego Iranu.

Dwutygodniowy okres świąteczny dobiegał końca. Wkrótce sądy zostaną otwarte i nasza mała wolność, jakiej doznałyśmy w więzieniu, zostanie ukrócona. Wiezorami razem z Marią, Szirin i Silwą spacerowałyśmy po więziennym podwórku lub wzdłuż korytarza. W jeden z ostatnich świątecznych dni patrzyłyśmy w niebo w czasie zachodu słońca. Widok kawałka nieba nad murami więziennymi jest jak kamień na sercu. Czując na twarzach powiew wiatru, wyobrażałyśmy sobie, że jesteśmy ptakami fruującymi wysoko, wolnymi i niezależnymi. Patrząc przez jedyne okienko na korytarzu na oddalone wzgórze, zastanawiałyśmy się, jak to jest – przejść się bosą po kamieniach.

Szirin zapytała: „Jak myślicie, czy Bóg na nas patrzy? Czy On w ogóle może nas widzieć?”.

„Tak” – odpowiedziała Maria. „Myślę, że On nas widzi”.

„To dlaczego On nic nie robi? Dlaczego pozostaje milczący wobec tak wielkiej niesprawiedliwości? Czy On bardziej lubi prześladowców niż nas?”

„Nie wiem, dlaczego On nic nie robi” – powiedziała Maria. „Możliwe, że On coś robi, ale my tego nie widzimy. Nie wiem, dlaczego On zachowuje milczenie. Ale nie wierzę, że On będzie milczał zawsze. Czasami Bóg milczy, a czasami przemawia”.

„Nie rozumiem tego waszego Boga” – stwierdziła Szirin. „Co to za Bóg, który widząc przez te wszystkie lata nędzę i cierpienie, nic nie robi, by nam pomóc? Czy On czeka, aż wszyscy młodzi ludzie w Iranie zostaną zamordowani i dopiero wówczas coś zrobi?”

„Mam dużo podobnych pytań” – przyznała Maria. „Ale na razie Bóg nie odpowiedział mi na wszystkie. Mimo to jestem pewna, że Bóg kocha wszystkie swoje dzieci bardziej niż ja i ty”.

Czasami we czwórkę siadałyśmy przed tym jedynym oknem w korytarzu i patrząc na wzgórze, niebo i ptaki, śpiewałyśmy hymny uwielbienia. Zazdrościłyśmy ptakom ich wolności, tego, że mogą widzieć całe niebo, a nie tylko mały jego kwadratowy kawałek. Tak przyglądając się niebu, zaczynałyśmy śpiewać. Szirin śpiewała piękne, ale smutne kurdyjskie pieśni. Zawsze prosiła nas o zaśpiewanie pieśni, w której były słowa: „Moje serce jest w Twoich rękach. Moje życie jest pełne Twojej miłości. Ty jesteś moim Zbawicielem”. Ludzie przechodzący korytarzem zatrzymywali się, by posłuchać, jak śpiewamy. Teraz,

pod koniec okresu świątecznego, znowu odprawialiśmy ten nasz mały rytuał.

Gdy pieśni się skończyły, jeszcze przez jakiś czas rozmawialiśmy, patrząc na jasne wiosenne niebo, beztroskie ptaki, dalekie góry i kłębiące się obłoki. Myśleliśmy o obecności jedyne prawdziwego i wszytkowiedzącego Pana Jezusa Chrystusa, który nas widział, słyszał i kochał.

## ROZDZIAŁ 10

### *Zepsuta reputacja*

Maria &

W trzynastym, ostatnim dniu Nouruz, nazywanym *Sizdah Bedar*, więźniarkom pozwolono spędzić cały dzień na podwórku. Mogły odwiedzać się nawzajem, tańczyć, pić herbatę i cieszyć się z ostatnich godzin przed ponownym wprowadzeniem normalnego więziennego trybu życia. Ktoś znowu pożyczył w biurze odtwarzacz CD i muzyka rozbrzmiewała na podwórku przez cały dzień. Niektóre pary tańczyły ze sobą jak dwie kobiety, inne – jak dwaj mężczyźni, jeszcze inne – jak kobieta i mężczyzna. Jedne więźniarki tańczyły przepięknie, ich ruchy były pełne wdzięku i artyzmu, podczas gdy inne podrygiwały i podskakiwały w rytm pulsującej muzyki hiphopowej. Lesbijki bacznie pilnowały swoje partnerki. Flirtowały i żartowały, opowiadały sprośne kawały i całowały się namiętnie, nie zważając na nikogo.

W pierwszym dniu po świętach wytrącił nas ze snu o piątej rano skrzeczący dźwięk *azanu* – muzułmańskiego nawoływania do modlitwy. Był tak mocno nagłośniony, że drżały szyby. Każda, która chciała, by uważano ją za dobrą muzułmankę (czyli prawie wszystkie z wyjątkiem mnie i Marceliny) musiała wstać z łóżka i paść na twarz, kierując się w stronę Mekki. Pozostałyśmy w łóżkach, ale nie trwało to długo, gdyż już o wpół do siódmej głos ochroniarki, bardzo zniekształcony i okropnie donośny, zagrzmiął przez głośniki, rozkazując wszystkim wyjść na podwórko więzienne. „Apel! Apel!” Więźniowie mieli obowiązek stawić się na sprawdzanie obecności każdego ranka oraz wieczorem o dziewiętnastej. W czasie Nouruz nie było to wymagane, ale od teraz apel stał się częścią każdego naszego dnia. Niektórzy uprzedzeni ochroniarze zmuszali więźniów do odmawiania muzułmańskich modlitw *omaliadzib*<sup>[5]</sup>. „Przysięgnij na Boga, że Mahomet jest prorokiem Bożym” – rozkazywali. „Powtórz swoją modlitwę dziesięć razy i Bóg odpowie”. Stałyśmy na zimnym powietrzu, czekając, aż nas policzą. W końcu pojawiała się jedna policjantka z ochrony i pani Alipur (więźniarka, która pracowała na dolnym piętrze) i sprawdzały obecność.

Koniec okresu Nouruz oznaczał również, że więzienny sklepik znowu będzie otwarty. Siostry zasiliły nasze konto, tak że mogłyśmy kupić jakieś przekąski lub łakocie. Stałyśmy spokojnie w kolejce. W chwili otwarcia okienka zaczęła się szalona przepychanka – dziesiątki kobiet przedzierały się, by dosięgnąć okienka nieotwieranego przez dwa tygodnie. Kilka osób wcisnęło się przed nas, krzycząc i odpychając się nawzajem. Po chwili kobiety już targały jedną drugą za włosy, wrzeszczały i klęły. Cofałyśmy się ze słowami: „Proszę przejść”. Nie warto było walczyć o miejsce. Wołałyśmy poczekać do jutra. W końcu odwróciłyśmy się

i poszliśmy z powrotem do swojego oddziału.

Jedynym spokojnym miejscem była przestrzeń tuż przed okienkiem, prawie w całości zasłonięta przez potężne ciało Sorai. Ona stała pierwsza i żadna z przedzierających się do przodu kobiet nie odważyła się z nią zadzierać. Widząc, jak się wycofujemy, zawołała do nas: „Głupie dziewczyny, dlaczego pozwalacie, by inne wdzierały się przed wami?”.

Zanim zdążyliśmy odpowiedzieć, zgarnęła nas i pociągnęła przez tłum z powrotem do początku kolejki, podobna do statku rozdzielającego wzburzone wody. „Tu macie stać. Teraz róbcie zakupy, moje drogie dziewczyny”. Nikt nie śmiał z nią dyskutować, włącznie z nami.

Sklepik prowadziła młoda osoba, pracowniczka biura więziennego. Kiedy wyjrzała z okienka i zobaczyła nas – chrześcijanki! – nagle jej twarz nabrała gniewnego wyrazu. Krzyknęła nieuprzejmie: „Sklep zamknięty!” – i zatrzasnęła okienko przed naszym nosem. Stałyśmy godzinę, zanim ono znowu się otworzyło, i mogłyśmy złożyć zamówienie. Jednak dziewczyna nie podała nam towaru, tylko rzuciła przez okienko tak, że wszystko spadło na podłogę. Odruchowo chcieliśmy krzyknąć w odpowiedzi lub się poskarżyć, ale stwierdziłyśmy, że to drobne zajście jest niczym w porównaniu z tym, co Jezus wycierpiał z naszego powodu. Miałyśmy prawo wnieść skargę, jednak uznałyśmy, że to jest niepotrzebne. Wiedziałyśmy, że jesteśmy tutaj, wypełniając doskonały plan Boży, Jego wolę. To wydarzenie było dla nas próbą i przypomnieniem, jak ciężko jest naśladować Chrystusa i pozostawać spokojnym nawet w tak zwyczajnej sytuacji. Modliłyśmy się, by Bóg zawsze dawał nam moc przebaczenia i współczucia dla każdego, nawet dla tych, którzy nas krzywdzą.

\*\*\*

Biorąc pod uwagę czas i wysiłek, poświęcony na zdobycie jedzenia w sklepiku, stało się ono dla nas gorzkim rozczarowaniem. Metodą prób i błędów poznawałyśmy, jakie produkty warte są kupowania. Tuńczyk w puszkach i kurczaki były ohydne, a kosztowały masę pieniędzy. Dostawcą było organizacja mafijna, która kontrolowała większość zakładów karnych w Iranie. Inne przekąski były niewiele lepsze. Brakowało nabiału, a także świeżych produktów; w sumie, niewiele się to różniło od nędznego jedzenia więziennego. Dobre były chipsy ziemniaczane i czekolada. Zakupiłyśmy zapasy czekolady i najlepsze z produktów, by dawać najbiedniejszym więźniarkom, które nie mogły nic kupić. Dawałyśmy mnóstwo rzeczy dzieciom, które jeśli nie były karmione piersią, były skazane na wstrętne więzienne posiłki. Niektóre matki nigdy nie byłoby stać na zakup czegokolwiek dla swoich dzieci. Dzieciaki lubiły czekoladę, ciasteczka i inne drobiazgi, więc zawsze starałyśmy się mieć coś dla nich.



Znowu otwarto po świątecznej przerwie Centrum Kultury. W naszym oddziale wiele osób po porannym apelu wracało do łóżek na parę godzin, potem jadło śniadanie, a po śniadaniu szło tam. Niektóre brały ze sobą coś do jedzenia i zostawały przez cały dzień. Początkowo tam nie chodziłyśmy, wolałyśmy spędzać czas, szyjąc, rozmawiając, spacerując po podwórku lub ćwicząc. Jednak któraś z naszych przyjaciółek zaprosiła nas do Centrum Kultury i postanowiłyśmy pójść.

Było to najczystsze i najbardziej przestrzenne miejsce ze wszystkich, w których przebywałyśmy od chwili naszego zatrzymania. Znajdowała się tu niewielka sala sportowa ze stolikiem pingpongowym w kącie, biblioteczka z garścią kruchych i zniszczonych książek, mały warsztat garncarski i krawiecki oraz sala komputerowa z kilkoma wyłączonymi komputerami. Odbywały się zajęcia z Koranu oraz inne, ale część z nich była tylko na pokaz i istniała na papierze, w rzeczywistości nigdy ich nie prowadzono. Władze więzienia pokazywały Centrum Kultury zewnętrznemu światu jako swoje wielkie osiągnięcie: miejsce, gdzie więźniarki mogą ćwiczyć, dbać o zdrowie i kondycję, realizować się artystycznie i pogłębiać wiarę muzułmańską.

Rozejrzałyśmy się zastanawiając, na jakie zajęcia mogłybyśmy zapisać. Marcelina dobrze grała w ping-ponga, więc szybko znalazła kogoś do gry. Gdy osoba odpowiedzialna zobaczyła, jak gra, zaproponowała jej udział w zbliżających się zawodach. W tym czasie ja poszłam do warsztatu obróbki drewna i zaczęłam coś robić. Instruktorza zapytała mnie, co to będzie.

„Krzyż” – wyjaśniłam.

„A, to ty jesteś oskarżona o wiarę w Jezusa Chrystusa?” – zapytała instruktorka.

„Tak. My z przyjaciółką przeszłyśmy na chrześcijaństwo i oskarżono nas o działalność antypaństwową”.

„A co ci się nie podoba w islamie?”

Opowiedziałam jej historię mojego nawrócenia, po czym zapytałam, czy ona kiedykolwiek czytała Biblię.

„Nie” – przyznała. „Nigdzie nie mogę znaleźć nawet jednego egzemplarza. Czy jest w jakiejś księgarni?”

„Nie” – odpowiedziałam. „Ale można ją dostać w kościele”.

Zapisałam adres kościoła i podałam jej.

„Mam nadzieję, że zapiszesz się na te zajęcia” – powiedziała instruktorka. „Chętnie z tobą jeszcze porozmawiam”.

\*\*\*

Marcelina &

Następnego dnia poszłam zapisać nas z Marią na zajęcia. Jedna z pań w biurze zapytała, o co jesteśmy oskarżone.

„Oskarżono nas o to, że poszliśmy za Jezusem i promowałyśmy chrześcijaństwo” – odpowiedziałam.

Rozmowę usłyszała pani Ganbari, przełożona Centrum Kultury. „Co takiego?” – zapytała ze zdziwieniem. „Od kiedy to wiara w Jezusa Chrystusa jest przestępstwem?” Przez chwilę się zastanawiała. „Chyba powinnaś powiedzieć, że jesteście odstępczyniami! Wiara w Chrystusa to jedno, ale mówienie innym o Chrystusie to zupełnie co innego”. Jej głos nagle się zmienił: „Kto was w ogóle wpuścił do Centrum?”.

Jej nastawienie zszokowało mnie.

„Czy nie jest ono otwarte dla wszystkich więźniów, niezależnie od postawionych zarzutów?”

„Tak, ale nie dla tych, którzy wyparli się swojej religii. Tak naprawdę niewierni z piekła rodem, podobni do ciebie, powinni być straceni!”

„Nie zrobiłam nic złego” – oznajmiłam. „Nie mam powodu wstydzić się tego, o co mnie oskarżono. Odwrotnie, jestem z tego dumna”.

Odwróciłam się, by wyjść, i zobaczyłam na ścianie napis: „Błogosławieni ci, których odrzucają inni ludzie, ale nie ich Bóg”. Pan przemówił do mnie, przypominając o swojej miłości!

W więzieniu nie ma tajemnic. Wkrótce wszyscy wiedzieli, że nie dopuszczono nas do zajęć w Centrum Kultury. Wielu się nie podobało, że zostałyśmy potraktowane tak nieuczciwie. Nasza przyjaciółka Silwa chciała nam pomóc, ale spodziewała się wcześniejszego zwolnienia za dobre sprawowanie, dlatego namówiłyśmy ją, by nie narażała się władzom więzienia. Pani Pari, odpowiedzialna za naszą celę, poszła porozmawiać w naszej sprawie, ale pani Ganbari powiedziała jej ze złością: „Te dziewczyny są apostatkami. Powinny zostać stracone, ponieważ ich obecność gorszy innych. W skrajnym przypadku powinny siedzieć w izolatce”.

Słyszac słowo „stracone”, byłyśmy przerażone. Czy naprawdę czeka nas śmierć? Dotychczas nie widziałyśmy oficjalnego aktu oskarżenia. Po sześciu tygodniach w więzieniu nie miałyśmy możliwości, by porozmawiać z adwokatem. Od tego momentu słyszałyśmy, że na zajęciach z Koranu nauczycielka często mówi o nas, potępiając nas i naszą wiarę. Ale z drugiej strony wiele naszych przyjaciółek zaczęło otwarcie okazywać swoją sympatię dla nas. „Chodźcie do nas, zjemy razem posiłek” – wołały. „Czujemy się zgorszone i nieczyste dzisiaj!” – ironizowały i dodawały: „Niech Allah nam wybaczy, że dzielimy posiłek z tymi niedobrymi chrześcijankami”.

Później pani Pari wyjawiała nam swoją tajemnicę: jej córka była również chrześcijanką i uczęszczała do domowego kościoła. Córka powiedziała jej, że

nasza obecność w więzieniu jest znakiem od Boga, że ona też powinna się nawrócić. Jednak pani Pari bardziej się martwiła o to, co będzie, jeśli jej córka również zostanie zatrzymana.

„Czy moja córka nie powinna zastosować wybiegu, nazywanego *takijja*?” – pytała pani Pari. „Dlaczego wy tego nie zrobiliście, by pozostać na wolności?”

*Takijja* w tradycji muzułmańskiej jest przyzwoleniem na kłamstwo w sprawie wiary w sytuacji zagrożenia życia. Wprawdzie zdarzało się nam ukrywać prawdę, żeby ochronić naszych przyjaciół przed aresztem, jednak nigdy nie pozwoliłybyśmy sobie zaprzeczyć się wiary dla ratowania własnego życia.

„W chrześcijaństwie nie ma czegoś takiego” – powiedziałam. „Nie martwimy się o to, że mogą nas zabić, ponieważ nasza wiara jest najważniejsza w naszym życiu. Jest ważniejsza niż samo życie”.

Pani Pari odeszła bardzo zmartwiona.

\*\*\*

Od początku naszego uwięzienia myślałyśmy tylko o tym, jak się stąd wydostać. Teraz czułyśmy się dobrze w miejscu, do którego Bóg nas posłał. Przed południem szyłyśmy, ćwiczyłyśmy i rozmawiałyśmy. Po południu zapraszałyśmy całą celę numer 2 i inne przyjaciółki na herbatę i poczęstunek i spędzałyśmy czas na rozmowach. Najważniejszymi tematami były warunki w więzieniu i status poszczególnych osób. Ktoś, kto miał jakieś świeże wiadomości, dzielił się z pozostałymi. Sądy znowu działały i codziennie dołączały do nas nowe towarzyszki. Zawsze zapraszałyśmy je na nasze spotkania i starałyśmy się, by poczuły się mile widziane.

W czasie świąt nikt nie mógł odwiedzać więźniów w Ewin. Teraz wreszcie miałyśmy możliwość zobaczenia naszych sióstr po raz pierwszy od czasu, kiedy przybyłyśmy tu z Wozary. Dniem odwiedzin był wtorek. Regulamin przewidywał, że każdy więzień może mieć jedną wizytę bez możliwości kontaktu w tygodniu oraz jedną z możliwością kontaktu w miesiącu. W praktyce pani Rezea i inne pracownice więzienia rezerwowały wizyty z możliwością kontaktu tylko dla zaprzyjaźnionych więźniarek, a inne musiały dawać za to łapówki. Możliwość kontaktu była bardzo ważna – był to jedyny sposób na kontakt ze światem zewnętrznym. Poza tym stwarzał on okazję do przeszmuglowania jedzenia, czystych ubrań i innej kontrabandy.

Po apelu i śniadaniu ochrona wyczytywała imiona tych, które miały wizyty. Przez godzinę czekałyśmy na mały, brudny minibus, który wiozł nas przez cały kompleks budynków więziennych do miejsca, gdzie odbywały się spotkania. Ponieważ wychodziłyśmy na zewnątrz, musiałyśmy nakładać *czadory* i brudne więzienne papcie, które zawsze były o wiele za duże. Bus był tak mały, że

musiałam stać, opierając się głową o sufit. Byłyśmy ściśnięte, jak śledzie w beczce. Wzdłuż drogi do Centrum Wizyt rosły drzewa i kwiaty. Odwiedzający mają myśleć, że Ewin to piękne miejsce.

Weszłyśmy do budynku i po długich schodach zeszłyśmy do piwnicy. Znowu oczekiwanie i wreszcie zostałyśmy wezwane do małych kabin, przedzielonych szybą, za którą znajdowali się odwiedzający. Krewni już na nas czekali, więc więźniarki rzuciły się na poszukiwanie swoich bliskich – spotkanie miało trwać zaledwie 10 minut.

Nasze siostry Elena i Szirin czekały na nas. Jak wielkim błogosławieństwem było znowu zobaczyć je! Z całych sił starałyśmy się wyglądać na szczęśliwe i nie opowiadać o tym, jakie jest życie w więzieniu. Po raz pierwszy usłyszałyśmy, że nasze siostry poprosiły pana Soltaniego, by został naszym adwokatem. Był znany ze swojego sprzeciwu wobec naruszania praw człowieka, a jego obrona była bardzo skuteczna. Do reprezentowania nas potrzebował naszej pisemnej zgody. W tym celu już dwukrotnie przyjeżdżał do Ewin z dokumentami do podpisu, ale nie pozwolono mu się z nami spotkać. Próbując obejść urzędników, wysłał swoją asystentkę. Udało się jej dotrzeć do biura pana Sobhaniego, prokuratora. Prokurator odmówił jej możliwości spotkania z nami, a wtedy ona zażądała odmowy pisemnej. Pan Sobhani wyjaśnił, że taka odmowa nie jest zgodna z prawem, dlatego nie może jej dać na piśmie.

Pozostawała również sprawa kaucji, której wartość była ustalona na dwieście milionów tomanów (około 100 tysięcy dolarów). W cudowny sposób naszym siostrom udało się uzyskać pożyczkę pod zastaw naszych rodzinnych nieruchomości i dzięki temu starały się one o nasze zwolnienie przed procesem. Gdy tylko pan Sobhani dowiedział się, że siostry chcą wpłacić kaucję, oznajmił, że nigdy nie wyrażał zgody na żadną kaucję w naszej sprawie, i nie przyjął pieniędzy.

Po spotkaniu z siostrami porozmawiałyśmy z dwiema przyjaciółkami ze służby doradczej biura więziennego w sprawie pozwolenia na wizytę prawnika. Osoba odpowiedzialna, pani Sorusz, wyglądała na bardzo zainteresowaną nami i chrześcijaństwem. Pomyślałyśmy, że jeśli w ogóle ktokolwiek jest w stanie nam pomóc, to tylko ona. Ale kiedy pani Sorusz zapoznała się z naszymi teczkami, ze smutkiem powiedziała: „Jest mi bardzo przykro, ale w niczym nie mogę wam pomóc. W większości spraw politycznych oraz w niektórych nietypowych przypadkach, podobnych do waszego, nasze biuro nie ma prawa udzielania pomocy”. Miałyśmy wyraźne przypomnienie, że tylko Bóg panuje nad całą sytuacją. Jeśli w tym miejscu istnieją jakieś szalone zasady, to w naszym przypadku nie mają one zastosowania.

\*\*\*

Maria &

12 kwietnia była Wielkanoc i na cześć naszego Pana Jezusa Chrystusa i Jego dobroci postanowiłyśmy z Marceliną pościć od Wielkiego Piątku do niedzieli wielkanocnej. Silwa przyłączyła się do nas. Utworzyłyśmy „naszą wspólnotę”, składającą się z trzech osób. Każdego dnia spędzałyśmy poranek na modlitwie w intencji nas samych i naszych współtowarzyszek; prosiłyśmy również o wizję, jak lepiej służyć Bogu w czasie pobytu w więzieniu. Nasz post wywołał w Oddziale sensację. Zwłaszcza jedna kobieta, fanatyczna muzułmanka ze świętego miasta Kom, która ani razu się do nas nie odezwała, kiedy usłyszała o naszym poście, powiedziała: „Dobrze robicie, dziewczyny. Jesteście naprawdę czyste. Módlcie się za nas”. Wszyscy rozmawiali o naszym poście i modlitwie, wiele kobiet prosiło, byśmy się za nie modliły. W dniu Wielkanocy cały oddział nam gratulował. Niektóre koleżanki dawały w prezencie rzeczy, które same uszyły lub zrobiły.

Ale najcudowniejszy prezent przyniosła nam mama Silwy. W czasie wizyty z możliwością kontaktu przekazała ona Silwie kawałek chleba umoczonego w winie, który otrzymała w czasie wielkanocnej Komunii w kościele. Nie da się opisać w słowach odczucia, jakie towarzyszyło przyjęciu tej tajnej Komunii w irańskim więzieniu. Tego dnia nasza wspólnota doświadczyła niezwyklej jedności z Jezusem Chrystusem! Chyba już nigdy nie przeżyjemy Świąt Wielkanocnych tak pięknie i tak głęboko!

Post był wyrazem naszej bezgranicznej wiary, który inne kobiety rozumiały lepiej, niż rozumiałyby Pismo, teologię, czy zasady wiary. Osoby, które wahały się, czy powinny z nami nawiązywać kontakt, teraz przychodziły do nas.

Pewnego dnia na podwórku podeszła do mnie wysoka kobieta, która miała na imię Szahin. „Dawno chciałam z tobą porozmawiać, ale się bałam” – zaczęła. „Dziś zobaczyłam ciebie samą na podwórku i postanowiłam podejść”. Drżała ze strachu i cały czas oglądała się, czy ktoś nas nie podsłuchuje. „Muszę powiedzieć ci coś bardzo osobistego. Nikt nie może się o tym dowiedzieć”.

Obiecałam, że dotrzymam tajemnicy, i Szahin kontynuowała: „Ja też jestem chrześcijanką. Należę do domowego kościoła. Początkowo byłam tak zachwycona Jezusem, że powiedziałam o tym rodzinie. Rodzina zwróciła się przeciwko mnie i wtedy chodziłam do kościoła potajemnie. Znajduję się w więzieniu, ponieważ jesteśmy z mężem dłużni mojemu bratu pieniądze. On mógłby darować ten dług lub zapłacić za mnie kaucję. Wówczas mogłabym być z moimi dziećmi, ale brat chce zmusić mego męża, by spłacił cały dług. Przyjaciółka powiedziała mi o tobie i zasugerowała, bym prosiła cię o modlitwę za mnie”.

Tą przyjaciółką była Ziba, która mieszkała na dolnym piętrze, gdyż była oskarżona o prostytutkę. Znałyśmy ją, bo w ciągu dnia pracowała na naszym

piętrze. Ona nie żyła ze swoim mężem-narkomanem, ale bez jego zgody nie mogła otrzymać rozwodu. Zamieszkała ze swoją znajomą w wynajętym wspólnie mieszkaniu. Po jakimś czasie zauważyła, że znajomą odwiedzają różni mężczyźni, którzy twierdzą, że są jej krewnymi. Pewnego dnia pojawiła się policja i Ziba się dowiedziała, że właściciel mieszkania prowadził w nim „agencję towarzyską” i miał zamiar ją również wciągnąć do tego interesu. Przebywała w więzieniu od trzech miesięcy i nie miała możliwości uzbierania pieniędzy na kaucję. Jediną nadzieją dla niej był sąsiad jej siostry, starszy pan, który zaproponował, że wpłaci za nią kaucję w zamian za seks w ramach tymczasowego muzułmańskiego małżeństwa *sighe*. Jak dotąd Ziba się nie zgodziła, ale desperacko pragnęła zobaczyć swoją małą córkę.

„Proszę, pomódl się za mnie” – prosiła Ziba. „Jestem zupełnie bezradna”.

„Jeśli będziesz żałować za grzechy i wierzyć, Bóg pomoże ci w tej trudnej sytuacji” – zapewniła ją Marcelina. „To jest próba twojej wiary. Jeśli wybierzesz *sighe*, to znaczy, że nie polegasz na Bogu”.

„Ale przecież siedzę tu od trzech miesięcy” – powiedziała załamana. „Co może się zmienić, by mnie uratować?”

„Dzieła Boże są zadziwiające” – odpowiedziała Marcelina. „On może pomóc ci w sposób, jakiego nawet sobie nie wyobrażasz. Ale najpierw On chce ciebie sprawdzić. Myślę, że powinnaś modlić się o pomoc, ale również módl się za tego sąsiada twojej siostry, który złożył ci taką propozycję”.

„Myślisz, że on może zmienić zdanie?”

„U Boga nie ma rzeczy niemożliwych. Czuję, że w ciągu dwóch tygodni zostaniesz zwolniona”.

Ziba, choć pozostawała sceptyczna i nieprzekonana, zaczęła się modlić o możliwość przebaczenia sąsiadowi siostry oraz o przemianę jego serca. My też modliłyśmy się za nią. W końcu czas, wyznaczony przez Marcelinę, powoli mijał. Pewnego ranka Ziba przyszła do nas cała rozpromieniona.

„Właśnie dzwoniłam do siostry” – powiedziała. „Nie uwierzycie! Sąsiad przyszedł do niej i przeprosił za swoją propozycję *sighe*! Aby uzyskać przebaczenie Boga, zaproponował wpłacenie kaucji, tak że będę mogła wyjść na wolność i zobaczyć moje dziecko. Powiedział, że żałuje swojego wcześniejszego postępowania, ale nie może wytłumaczyć, dlaczego zmienił zdanie”.

„Myślę, że to się stało w wyniku twoich ufnych modlitw” – powiedziała Marcelina. „Nie zapomnij o tym, co obiecałaś Bogu. Nie zapomnij o zaufaniu Jemu”.

„Nigdy nie zapomnę!” – odrzekła Ziba. „Nigdy też nie zapomnę twojej dobroci i mam nadzieję, że pewnego dnia również wyjdziecie na wolność”.

„Nie martw się o nas” – powiedziała Marcelina. „Nasz czas nadejdzie”.

W ciągu najbliższych dni Ziba została zwolniona. Żegnała nas uściskami

i łzami. Nigdy więcej jej nie zobaczyłyśmy.

\*\*\*

Niedługo po Wielkanocy pani Imani, która zachowywała się jak szalona z powodu rozmów telefonicznych, dała nam potwierdzenie tego, co naprawdę myśli o islamie większość więźniarek. Była jedną z najbardziej gorliwych muzułmanek w więzieniu i gardziła nami z powodu naszej wiary. Przebierała paciorki modląc się i godzinami czytała Koran. Teraz pani Imani zaczęła przypuszczać, że jej wiedza o chrześcijaństwie była nieprawdziwa. Przyszła do nas, by zadać kilka poważnych pytań.

„Czy prawdą jest to, co mi mówiono, że Jezus wyznawał islam? Czy prawdą jest, że Jezus był prorokiem zapowiadającym nadejście spełnionej religii? Czy jest prawdą, że osoba wierząca w zasady islamu i odmawiająca muzułmańskie modlitwy pięć razy dziennie, może jednocześnie wierzyć w Chrystusa?”

„Nie” – odpowiedziałam. „Nic z tych rzeczy nie jest prawdą”.

Posiadała też zupełnie fałszywą wiedzę o chrzcie, Komunii i innych sprawach związanych z chrześcijaństwem. Wiele razy w naszej posłudze obserwowaliśmy, jak niektórzy irańscy przywódcy w desperackiej próbie powstrzymania szerzącego się chrześcijaństwa systematycznie kłamali, przeszkadzając ludziom w poznawaniu prawdy.

„Obawiałam się, że moje informacje mogą okazać się nieprawdą” – przyznała pani Imani. Ścisząc głos, dodała: „Mam dwoje dzieci, które uczą się na Ukrainie. Zostały chrześcijanami i czerpią ogromną radość z chrześcijańskiej modlitwy i uwielbienia. To, co opowiadają, nie przypomina tego, co mi mówiono o chrześcijaństwie”.

Przez kilka kolejnych nocy pani Imani zadawała dużo pytań o Jezusie i Jego Kościele. „Kocham Kościół” – powiedziała w końcu. „Myślę, że chrześcijanie są o wiele lepsi od muzułmanów. Jak tylko wyjdę z więzienia, pojedę na Ukrainę i pójdę do kościoła”.

Przy całej swojej nowoodkrytej miłości do Chrystusa nie zmieniła ona nic ze swoich zewnętrznych zachowań. Najwyraźniej więźniarki, które wyglądały na fanatyczne muzułmanki (gorliwie czytające Koran, modlące się i godzinami przebijające paciorki modlitewne), niekoniecznie zachowywały się tak z powodu swojej wiary, raczej robiły to, by zdobyć przychyłność władz więzienia. Wykonywanie czynności religijnych dawało im większe szanse na wizyty z możliwością kontaktu i inne przywileje. Wiele było kobiet, które widziały, że islam jest pusty i fałszywy, ale udawały, że są jego gorliwymi wyznawczyniami, by uczynić swoje życie nieco łatwiejszym i zmniejszyć naciski na krewnych i znajomych, a przy tym – zachować swój status społeczny na wolności. Ten rodzaj

zabawy w religię nie jest wyłącznie domeną więzienia Ewin. To jest część życia w Iranie.

Wiele więźniarek zachowywało muzułmańskie praktyki dlatego, że wydawało im się, iż nie mają wyboru. Jednak codziennie widziałyśmy, jak Chrystus działa w mocy, przyciągając te załamane, wystraszone, grzeszne istoty do siebie poprzez swoje przesłanie nadziei, miłości i przebaczenia. Co więcej, więźniarki również doświadczały jego mocy.

[5] Prawdopodobnie wyraz *omaliadzib* jest związany z arabskimi wyrazami ‘amal wadzib oznaczającym „zajęcie obowiązkowe” (przyp. tłum.).



## ROZDZIAŁ 11

### *Duch ochoczy, ale ciało słabe*

Marcelina &

Na dolnym piętrze mieszkała kobieta o imieniu Merceda. Wyglądała na osobę ordynarną; jej ręce były pokryte bliznami po ranach nożowych. Od chwili, gdy ujrzałam ją po raz pierwszy w dniu Sizdah Bedar na podwórku więziennym, czułam, że powinnam za nią się modlić. Pewnego dnia w czasie spaceru zobaczyłam, jak Merceda wygląda na podwórko przez okno swojego pokoju. Przedstawiłam się i powiedziałam, że modlę się za nią.

„Dlaczego to robisz?” – zapytała ostro.

„Nie wiem. Czasami Bóg nie daje mi poznać dlaczego, tylko czuję, że On chce, bym się za kogoś modliła. Siedzę od sześciu tygodni za to, że wierzę w Jezusa. Opowiedz mi coś o sobie”.

Merceda zaczęła opowiadać, że znajduje się w więzieniu już półtora roku. Oskarżono ją o uzbrojony napad rabunkowy. Nagle za Mercedą pojawiła się kobieta, która przerwała wołając: „Z kim rozmawiasz?”. Pochyliła się w stronę okna i ostro powiedziała do mnie: „Kto pozwolił ci rozmawiać z nią?” – po czym odepchnęła Mercedę i z hałasem zamknęła żaluzje.

Kilka dni później spotkałam na podwórku Setarę, przyjaciółkę Mercedy, i zapytałam, o co chodzi. Setara miała nieco ponad dwadzieścia lat, długie do pasa włosy i twarz, niegdyś atrakcyjną, a teraz zmizerowaną z powodu uzależnienia od narkotyków.

„Ta druga dziewczyna to Nazanin” – wyjaśniła Setara. „Jest do szaleństwa zakochana w Mercedzie i nikomu nie pozwala z nią rozmawiać – boi się, że ją straci. Merceda nigdy nie wychodzi, codziennie bierze dziesięć pigułek nasennych i cały dzień przesypia.

„Jako nastolatki byłyśmy przyjaciółkami – kontynuowała Setara, – ale potem przez kilka lat jej nie widziałam, aż spotkałyśmy się w więzieniu. Nazanin zmusza Mercedę do posłuszeństwa i całkowicie nad nią panuje, a Merceda na to się godzi, ponieważ uważa, że Nazanin o nią się troszczy. Pomogę ci. Na pewno będziesz miała okazję, by z nią porozmawiać”.

„A ty?” – zapytałam. „Dlaczego ty tu jesteś?”

„Ja i mój mąż jesteśmy narkomanami. Złapano nas, kiedy odkręcaliśmy części od samochodów, by zdobyć pieniądze na dragi”.

„Dlaczego nie zerwiesz z nałogiem i nie podejmiesz pracy?”

„Któż by zatrudnił narkomankę z przeszłością kryminalną, taką jak ja? Poza tym nigdy nie zarobię tyle, ile potrzebuję na narkotyki. Próbowałam z tym zerwać tysiące razy, ale nic z tego. Nie mogę doczekać się, kiedy stąd wyjdę i wezmę

porcję haszyszu. Na parę godzin człowiek odlatuje z tego brudnego świata z jego brudnymi problemami”.

„Setaro, jest dla ciebie inna możliwość, która polega na zaufaniu w Bożą pomoc”.

„Bóg? Jaki Bóg?” – odparła ze złością, podnosząc głos. „Kiedy to ostatni raz On usłyszał nasz głos – wołanie swojego nędznego ludu? Siedzimy po uszy w gnoju, cali w grzechach! Gdzie w tym wszystkim jest Bóg?”

„Droga Setaro, Bóg słyszy ciebie nawet teraz, w całej twojej nędzy. On nie zostawił ciebie; to ty porzuciłaś Go. Bóg cię kocha i nigdy nie zostawił cię”.

Setara zamilkła, a na jej twarzy malowało się zdziwienie.

„Chcesz powiedzieć, że Bóg może usłyszeć moje wołanie i pomóc mi w tej chwili?”

„Oczywiście, że może”.

Opowiedziałam jej historię mojej drogi wiary, przedstawiłam okoliczności, które zaprowadziły nas z Marią do więzienia Ewin. Następnie pomodliłam się, by Setara miała wspaniałą przyszłość. Ona jeszcze raz obiecała, że zapewni mi możliwość rozmowy z Mercedą.

Wobec tego, że Setara, Merceda i Nazanin nie miały przyjaciół na wolności, nie było nikogo, kto mógłby przekazać dla nich pieniądze. Dlatego następnego dnia poszłam i kupiłam jakieś smakołyki, które podałam Setarze przez kraty jej okna. Była zaskoczona i cały czas powtarzała: „Nie powinnaś tego robić! Nie powinnaś tego robić!”.

\*\*\*

Zanim znowu spotkałam Mercedę, dowiedziałam się o niej więcej. Była oskarżona o napad i rabunek, a poszkodowany zażądał odszkodowania w wysokości 8 mln tomanów (około 4 tys. dolarów), którego ona nie była w stanie zapłacić. Zaproponował jej, że wycofa swoje oskarżenie, jeśli zostanie jego partnerką seksualną. Odmówiła i teraz będzie siedziała w więzieniu tak długo, dopóki się nie zgodzi.

Gdy Merceda po raz pierwszy pojawiła się na podwórku i zaczęła ze mną rozmawiać, natychmiast przyleciała Nazanin i zabrała ją. Maria poszła do Nazanin i długo przekonywała ją, że wobec Mercedy nie przejawiam żadnego zainteresowania seksualnego, tylko chcę lepiej poznać tę dziewczynę. W końcu Nazanin zgodziła się, że spotkamy się z nią, Marią, Mercedą i Setarą na podwórku i ona pozwoli mi przez kilka minut porozmawiać z Mercedą.

Choć Merceda miała zaledwie dwadzieścia lat, cała jej świeżość zniknęła. Twarz pokrywały blizny. Większość zębów usunięto lub połamano, a te, które pozostały, były żółte lub czarne. Powiedziała, że zęby wybili jej w czasie

przesłuchania, kiedy po raz pierwszy trafiła do więzienia. Była okrutnie torturowana. Podniosła nogawki swoich spodni, pokazując głębokie blizny po uderzeniach stalowymi drutami. Na rękach miała blizny od niedopałków, które policjanci gasili na jej skórze.

Jej zatrzymanie zrobiło sensację. Gazety publikowały artykuły z tytułami w rodzaju: „Dziewczyna, która zrabowała wiele milionów tomanów, zatrzymana”. Przedtem, by zapłacić za haszysz, razem z koleżanką ubierały się w prowokujące stroje i stawały na ludnym skrzyżowaniu, zatrzymując luksusowe samochody. Gdy zabierał je jakiś mężczyzna, proponowały mu seks u niego w domu. Następnie dosypywały do drinku proszek, a kiedy mężczyzna był już nieprzytomny, uciekały, zabierając wszystkie kosztowności, jakie znajdowały w jego mieszkaniu. Jeśli czasami proszki nie zadziały wystarczająco mocno i mężczyzna nie tracił świadomości, dziewczyny udawały, że podcinają sobie żyły – wówczas wystraszona ofiara płaciła im, byleby sobie poszły. Po złapaniu Mercedę torturowano, by podała nazwiska mężczyzn obrabowanych w ten sposób.

Stopniowo Merceda i Setara zaczęły traktować nas przyjaźnie, ale Nazanin wciąż się opierała. Po wyjściu na wolność planowała ona wejść w produkcję haszyszu i chciała, by Merceda jej w tym pomogła. Nasze rozmowy i modlitwy stwarzały zagrożenie dla tych planów. Nazanin namawiała Mercedę, by razem z nią weszła w ten interes, ale my nalegałyśmy, by się nie zgadzała, tylko z Bożą pomocą rozpoczęła nowe życie.

Razem z Marią chciałyśmy dać Mercedzie jakiś prezent, który byłby znakiem naszej miłości i przypominał jej, że Bóg zawsze jest przy niej. Nie wolno nam było mieć spotkań z możliwością kontaktu, dlatego załatwiłyśmy, że jedna z naszych sióstr kupi złoty łańcuszek z krzyżykiem, a inne osoby w czasie spotkania przemycą go. Kilka dni po tym, jak wszystko było uzgodnione, lecz przed otrzymaniem łańcuszka, Merceda podeszła do nas na podwórku i powiedziała, że miała sen, w którym ktoś dał jej złoty krzyżyk na łańcuszku. Gdy po jakimś czasie otrzymała ten prezent, zaniemówiła z radości i zaskoczenia. Powiedziała, że dokładnie taki krzyżyk widziała wtedy we śnie.

Piękno krzyżyka na szyi Mercedy ostro kontrastowało z jej smutną, zniekształconą twarzą. Ten kontrast przypominał, że czysty i piękny Jezus Chrystus zstąpił z nieba na ziemię i wycierpiał okropne poniżenie i mękę, by zbawić grzeszników. Nie zważając na nasze grzechy, On nie dopuścił, byśmy zginęli; On prowadzi nas z ciemności do jaśniejszego światła zbawienia.

\*\*\*

Wprawdzie byliśmy mocne duchem, ale fizycznie cierpiałymy tak samo, jak reszta współwięźniarek. Brud, kiepskie jedzenie, zła opieka medyczna, brak

ruchu i świeżego powietrza – to wszystko sprawiało, że pozostawanie w dobrym zdrowiu nie było możliwe. Kobiety zauważały, że ich włosy stawały się rzadkie i kruche z niedożywienia, tak jak u Szirin Alam Huli; ich skóra, powieki, mięśnie, sen – wszystko – było w coraz gorszej kondycji. I biada tej, której się zdarzyło na coś zachorować: fatalna pomoc medyczna mogła raczej zaszkodzić niż wyleczyć.

I Maria, i ja w czasie pobytu w Ewin przez większość czasu czułyśmy się chore. Od samego początku męczył mnie ból gardła, a także bóle głowy, pleców i problemy z nerkami. Kilka razy byłam w szpitalu znajdującym się w budynku naprzeciwko. Był to czteropiętrowy budynek, dla kobiet przeznaczone było drugie piętro. Tutaj po raz pierwszy zobaczyłam narkomanki z Oddziału 1 – kobiety w przerażającym stanie, bez zębów, wychudzone jak szkielety. W więzieniu miały ułatwiony dostęp do narkotyków; sprzedawały je służby więzienne, a dostarczała ta sama organizacja mafijna, która prowadziła więzienny sklepik.

Lekarz dla kobiet, pani doktor Awesta, miała uprzedzenia wobec chrześcijan, podobnie jak wiele osób z ochrony. Za każdym razem zapisywała mi antybiotyki, choć nigdy mnie nie zbadała. W jej gabinecie prawie nie było narzędzi medycznych. Leki kupowałam w aptece na dole, ale w ogóle mi nie pomagały. Doznawałam nagłych ataków bólu głowy i musiałam się położyć. Codziennie ćwiczyłam, by złagodzić ból w plecach. Czasami był on tak silny, że nie mogłam się powstrzymać od płaczu, a moja twarz robiła się sina.

Przez wiele lat miałam bardzo realistyczne sny, przez które, jak sądzę, Bóg chciał mi coś przekazać. Pewnej nocy, gdy bardzo cierpiałam, śniło mi się, moje ręce są przebijane gwoźdźmi, podobnie jak ręce Chrystusa. Widziałam we śnie dziurę od gwoździa na mojej prawej ręce i słyszałam głos Jezusa: „Pozwoliłem ci spróbować trochę mojego cierpienia”. Gdy obudziłam się, dziękowałam Bogu za moc pozwalającą przetrwać mi w tym więzieniu, mimo że widziałam, jaka jestem słaba i bezradna. Moje cierpienie było niczym w porównaniu z tym, co wycierpiał Jezus dla mojego zbawienia.

W czasie, gdy poczułam się lepiej (dzięki naturalnym siłom ludzkiego organizmu, a nie dzięki opiece medycznej, jaką zapewnił nam rząd Iranu), poważnie zachorowała Maria. To się zaczęło, kiedy niebezpieczny wirus zaatakował cały Oddział 2. Złapała go Mamusia, miała gorączkę, dreszcze i skażenie oczu. Nikt jej nie lubił i nie chciał narażać się na ryzyko zakażenia, pomagając jej. Ja byłam zbyt chora, by nią się opiekować, ale Maria pielęgnowała Mamusię, mimo że postanowiłyśmy trzymać się od niej z dala z powodu jej plotek.

Mamusia miała mocną pozycję i układy z ochroną, dlatego otrzymywała mnóstwo świeżych owoców i wzmacniające gorące zupy. Po tygodniu była już zdrowa, ale do tego czasu Maria zaraziła się tym wirusem. Zaczęło się jak przeziębienie i ból gardła, a potem przeszło w zapalenie uszu. Było coraz gorzej. Po kilku dniach ból uszu był tak silny, że musiała cały czas leżeć, otulając głowę

w nadziei uśmierzenia bólu. Nie mogła spać, miała zawroty głowy. Pewnego ranka obudziłam się i zobaczyłam, że Maria leży bez ruchu, nakryta kocem, a jej twarz jest niesamowicie blada. Zaczęłam potrząsać ją za ramię, aż otworzyła oczy, ale gdy do niej mówiłam, nic nie słyszała. Całkowicie ogłuchła.

Problem był poważny, szybko zgłosiłam go ochronie, próbując załatwić dla Marii możliwość leczenia. Ale jedna z policjantek popatrzyła na nią i orzekła: „Według mnie wygląda dobrze. Nic jej nie jest”. Błagałam ochronę przez kilka godzin, zanim w końcu udało mi się coś wskórać – policjantki najwyraźniej chciały uciszyć mnie i inne kobiety, które zaczęły klócić się z nimi w obronie Marii.

Kiedy przyszła policjantka, by odprowadzić Marię do szpitala, powiedziała szorstko: „Mogłaś poczekać kilka dni. Nie zmarłabyś”. Zaprowadziła ją do innej więźniarki, pracownicy biura, której kazała iść z Marią do szpitala. Kobieta była bardzo zła, bo działo się to w czasie obiadu, dlatego zostawiła Marię w korytarzu na pół godziny, a sama poszła jeść.

Jak zwykle, w szpitalu było mnóstwo narkomanek z Oddziału 1. Wyglądały jak ofiary głodu w Afryce – wycieńczone przez narkotyki i bez pieniędzy na jakieś dodatkowe jedzenie. Przez chwilę Maria czekała, siedząc na ławce, zanim weszła do gabinetu pani doktor Awesty. Lekarka zmierzyła jej ciśnienie, ale zanim zadała jakiegokolwiek pytanie z zakresu medycyny, zapytała: „O co jesteś oskarżona?”. Maria trochę słyszała i mogła się domyśleć, o co ją pytają.

„Jestem tu, ponieważ wierzę w Jezusa Chrystusa”.

„Czy to jest przestępstwo? Czy byłaś zaangażowana w jakąś działalność?”

„Nawróciłam się na chrześcijaństwo. Nawrócenie jest przestępstwem”.

„O tak, i to bardzo niebezpiecznym” – doktor Awesta potrząsnęła głową. „Skoro jesteś apostatką, otrzymasz surowy wyrok”.

Maria opisała swoje symptomy i pani doktor dała jej trochę erytromycyny, antybiotyku zupełnie nieprzydatnego w zakażeniach wirusowych. Żaden myślący lekarz w tej sytuacji nie przepisałby takiego leku. Maria zaczęła go brać, łykała też tabletki przeciwbólowe, otrzymane od innych więźniarek. Jednak jej stan wciąż się pogarszał, a infekcja przeniosła się na oczy, wywołując ból i ropną wydzielinę; przez to Maria przestała dobrze widzieć. Po dwóch dniach zaczął ją boleć brzuch i głowa, dręczyły mdłości. Zaprowadzałam ją do toalety, gdzie klękała na podłodze i godzinami wymiotowała. Inne współwięźniarki wzywały ochronę, która patrzyła na Marię przez kraty, nie otwierając nawet drzwi.

„Jest bardzo chora – tłumaczyłam, – ma zakażenie oczu i nie może widzieć”.

Jedna z ochroniarek popatrzyła na czerwone, zaropiałe oczy Marii i powiedziała: „Ona po prostu za dużo ryczała, dlatego ma czerwone oczy. Uspokój się. To przejdzie”. I poszła sobie.

Wykończona torsjami Maria była za słaba, by wejść na swoje łóżko. Szirin Alam Huli razem ze mną i kilkoma innymi osobami zawinęłyśmy Marię w koce

i ułożyłyśmy na podłodze. Szirin masowała jej głowę, starając się choć trochę uśmierzyć ból. Kilka dni później, kiedy Maria sama z siebie poczuła się trochę lepiej, razem z przyjaciółkami przekonaliśmy ochronę, by znowu zaprowadziła Marię do pani doktor Awesty. Maria opowiedziała lekarce o swojej chorobie, na co ta odrzekła: „To nieważne. Prawdopodobnie leki, które ci podałam, zatrwały cię. Ale nie przejmuj się. Twoje bębenki uszne wyzdrowieją same”. Potem Marię odprowadzono z powrotem do celi. Z czasem jej organizm rzeczywiście zwalczył chorobę. Byłyśmy wtedy w więzieniu już prawie czterdzieści dni.

Gdy tylko poczułyśmy się zdrowsze, wznowiłyśmy modlitwy za inne więźniarki. Odwiedzały nas nowe osoby, których nie znałyśmy. Mówiły: „Słyszałyśmy, że jesteście chrześcijankami i że Bóg odpowiada na wasze modlitwy. Pomódlcie się też za nas, prosimy”.

„Oczywiście – odpowiadałyśmy – pomodlimy się za was z radością. Ale my nie możemy obiecać, że zostaniecie wypuszczone na wolność. Jeśli Bóg chce was uwolnić, będziecie wkrótce na wolności. Ale możecie też same za siebie się modlić. Bóg was wysłucha”.

\*\*\*

Maria &

Dwie nowe były młodymi dziewczynami, przerażonymi z powodu tego, że trafiły do więzienia. Poprosiły, byśmy z Marceliną modliły się za nie, i były rozczarowane, kiedy następnego dnia nie wypuszczono ich z więzienia. Prosiły, byśmy się znowu pomodliły. Zamiast tego zaczęłyśmy z nimi spacerować i opowiadać, jak one same mogą wzywać Jezusa, by je zbawił. Dziewczyny myślały, że chrześcijaństwo polega na chodzeniu do kościoła i spełnianiu jakichś obrzędów.

„To nie na tym polega” – wytłumaczyłam. „Chrześcijaństwo to nie rytuały i nie chodzenie do kościoła. Chodzi o to, by całym sercem wierzyć w Jezusa Chrystusa, a wiara daje przebaczenie grzechów”. Obie obiecały, że porozmawiają z Jezusem, kiedy będą na osobności, i będą się modlić, by On im siebie objawił.

Dwa dni później podekscytowane opowiedziały nam, że tego dnia zostaną zwolnione. „Naprawdę wierzymy w Chrystusa!” – oznajmiły. „On nas wysłuchał!” Chciały wiedzieć, gdzie znajduje się kościół. Nie miałyśmy papieru, więc napisałyśmy adres na ich dłoniach. Jeszcze pisałam, kiedy w głośnikach wywołano nazwiska tych dziewczyn. Były wolne.

Przyjaciółki ostrzegły, że ochrona wie, iż modlimy się za wszystkich, i musimy uważać. „Modlitwa nie jest przestępstwem” – odpowiedziałam. „Za nikogo nie modlimy się na siłę. Wiele muzułmanek tutaj modli się tyle samo lub

nawet więcej niż my, ale ludzie wolą nas prosić o modlitwę w imieniu Jezusa. To jest ich wybór”.

Razem z Marceliną często modliłyśmy się za Szahin, chrześcijankę, która się nie ujawniała i która znalazła się w więzieniu z powodu długu wobec brata. Mówiłyśmy jej, że powinna przebaczyć bratu, który ją oskarżył, tak samo jak Chrystus przebaczył jej grzechy. Ona wiernie modliła się, by Jezus pomógł jej w tym, ale była to trudna walka. W końcu Szahin podjęła decyzję, że zadzwoni do brata i powie mu o swoim przebaczeniu. Po kilku godzinach zadzwoniła do męża, który miał niesamowitą wiadomość. „Twój brat darował nam dług!” – krzychał. Brat obiecał wpłacić kaucję za Szahin, jeśli jej mąż da słowo, że zwróci dług. Poza tym brat przeproszał za to, co zrobił, i przyznał się, że do tego zmusiła go żona. Sytuacja, która wydawała się beznadziejna, zmieniła się w ciągu jednego dnia.

Zazwyczaj więźniowie się cieszyli, słysząc swoje imię w głośnikach. Zazwyczaj oznaczało to, że będą zwolnieni lub – przynajmniej – że ich sprawa posuwa się do przodu. Ale mogło to też oznaczać, że muszą udać się do sądu, by usłyszeć wyrok skazujący. Po sześciu tygodniach od zatrzymania usłyszałyśmy w głośnikach więzienia Ewin nasze nazwiska. Poczuliśmy niepokój o przyszłość, a nasze przyjaciółki były zaniepokojone nawet jeszcze bardziej niż my. Szirin i Silwa od razu przyszły do naszego pokoju zapytać, czy wiemy, po co nas wzywają do biura więziennego. Nie miałyśmy pojęcia.

Nałożyłyśmy wymagane *czadory* i poszłyśmy do biura. Kobieta za biurkiem powiedziała: „Jesteście przeniesione do Oddziału 209. Zejdźcie na dół i poczekajcie na ochronę, która was odprowadzi”.

Właśnie tak – żadnego ostrzeżenia, żadnego wyjaśnienia. Nie widziałyśmy jeszcze pisemnego oskarżenia przeciwko nam, nie rozmawiałyśmy z naszym prawnikiem, a przenoszą nas do strasznego Oddziału 209, gdzie Silwa siedziała w pojedynczej celi przez osiem miesięcy, a Szirin katowali do utraty świadomości, wybijając jej zęby.

Wróciłyśmy do swojego Oddziału, by szybko pożegnać się z Silwą, Szirin i innymi, których zdążyłyśmy tak bardzo pokochać. Wiadomość o naszym przeniesieniu obudziła w nich wspomnienia o własnych okropnych przeżyciach w Oddziale 209. Były przerażone. Dałyśmy Silwie i Szirin telefony do naszych sióstr i prosiłyśmy, by pozostawały z nimi w kontakcie, gdybyśmy miały nie wrócić. Potem uściskałyśmy wszystkich i poszłyśmy na dół. Po pół godzinie pojawił się okrągły, gruby ochroniarz z brodą i warknął: „Nałóżcie odpowiednio swoje *hidżaby* i idźcie za mną”. *Hidżab* to muzułmańska chusta, która ma zakrywać wszystkie włosy kobiety, kiedy pokazuje się ona publicznie. Nałożone one były prawidłowo, ale strażnik chciał zademonstrować w ten sposób swoją władzę.

Szłyśmy za nim około stu metrów, po czym znalazłyśmy się przed białymi drzwiami, prowadzącymi do budynku z czerwonej cegły. Kazał nam czekać, nie

rozmawiać ze sobą i zniknął w środku.

Po chwili wrócił, trzymając w rękach dwie przepaski na oczy. „Nałóżcie to” – rozkazał. Zawiązałyśmy sobie oczy. „Teraz idźcie za mną” – powiedział szorstko. „Patrzcie spod przepasek na moje nogi”.

Wkroczyłyśmy do środka i słyszałyśmy, jak za nami zatrzasnęły się drzwi.



## ROZDZIAŁ 12

### *Uczciwość i integralność*

Marcelina &

Szliśmy za ochroniarzem wąskim korytarzem, aż w pewnym momencie kazał nam się zatrzymać i stanąć twarzą do ściany. „Nie rozmawiajcie ze sobą” – rozkazał. Czekaliśmy ponad pół godziny. Bezczyenne stanie spowodowało, że nasilił się mój ból w plecach. Próbując go złagodzić, zaczęłam przenosić ciężar ciała z jednej nogi na drugą. W końcu szepnęłam do Marii: „Już nie mogę dłużej stać”.

„Kto wam pozwolił rozmawiać?” – odezwał się strażnik. Żadna z nas nie powiedziała ani słowa. W odróżnieniu od hałaśliwego Oddziału 2 tutaj panowała złowroga cisza. Nikt nie rozmawiał, nie było słyhać nawet kroków. Zastanawialiśmy się, czy ochrona nosi jakieś specjalne buty.

Usłyszałyśmy inny głos mówiący do nas: „Idźcie za mną. Patrzcie spod przepasek na moje buty. Uważajcie, by się nie przewrócić”. Ten męski głos był łagodniejszy niż poprzedni. Poszliśmy za nim długimi schodami w górę, a potem wzdłuż wąskiego korytarza. Nie słyszałyśmy żadnego dźwięku, a widzieć mogłyśmy tylko buty strażnika.

Ochroniarz zaprowadził nas do dwóch osobnych pomieszczeń o powierzchni mniej więcej dwa na dwa metry. Drzwi między nimi pozostawały otwarte, więc mogłyśmy się nawzajem słyszeć.

Nowy głos należał do pana Mosawata (kolejny pseudonim: mosawat po persku oznacza „uczciwość”). Urzędnicy doprawdy mieli niezłe poczucie humoru w nadawaniu sobie oficjalnych imion. Razem z nim w pokoju znajdował się pan Sedagat (po persku „pan Integralność”), urzędnik o tym samym nazwisku, co naczelnik publicznej części więzienia Ewin. Pan Mosawat mówił spokojnym, przyjaznym tonem. Podał nam kartki z pytaniami, na które miałyśmy odpowiedzieć pisemnie, i chodził tam i z powrotem między naszymi pomieszczeniami, zadając kolejne pytania.

Zaczął ode mnie.

„Tak więc, pani Amirizade, jak się dzisiaj czujecie?”

„Wygląda na to, że wiecie wszystko, więc powinniście wiedzieć i to” – odparłam. „Czujemy się dobrze”.

Pan Mosawat zachował dystans.

„Przebywałyście w areszcie Wozara 14 dni, potem półtora miesiąca tutaj, w Ewin. Na pewno musiało to dać się wam we znaki”.

Milczałam.

„Tak naprawdę to właśnie dlatego dzisiaj tu jesteście. Albo przez pomyłkę,

albo w wyniku niekorzystnego zbiegu okoliczności zostałyście aresztowane przez ugrupowanie ekstremistyczne. Współpracuję z Ministerstwem Wywiadu i zazwyczaj prowadzę sprawy więźniów chrześcijan. Niestety wasze dokumenty cały czas są w rękach tego ugrupowania. Podjęliśmy pewne działania, starając się wyklócić, by dokumenty trafiły do nas. Jesteśmy tutaj, by zapewnić was, że będziecie zwolnione i traficie do domu tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Przy okazji spytam, jak sobie radzicie z warunkami w Ewin? Mam nadzieję, że nie miałyście żadnych problemów”.

Co za obłudny lis!

„Myślę, że pan wie, jakie problemy i warunki panują w Ewin” – odpowiedziałam. „Nie ma potrzeby, bym panu o tym przypominała”.

„Oczywiście macie rację” – powiedział pan Mosawat. „Ja tylko się martwię, że ktoś taki, jak wy, znajduje się w tak nieodpowiednim miejscu. Dlatego staram się o przeniesienie was do Oddziału 209, by zamknąć waszą sprawę i wypuścić was”.

„Co pan ma na myśli, mówiąc «nieodpowiednie»?” – zapytałam.

„W tej części więzienia jest sporo kryminalistów; dla ludzi takich, jak wy, nie jest właściwe przebywanie z nimi”.

„Ci kryminaliści też są ludźmi” – powiedziałam. „Dla nas nie jest problemem przebywanie z nimi. Odwrotnie, podoba nam się bycie z nimi”.

„Przypuszczam, że rozmawiałyście z nimi o Jezusie” – kontynuował pan Mosawat.

„Oczywiście, że rozmawialiśmy. I wcale nie musiałyśmy same zaczynać rozmów. Przecież oskarżenie przeciwko nam jest tak niecodzienne, że z ciekawości wszyscy nas o wszystko wypytyją. Chcą wiedzieć, w co takiego wierzymy, za co warto pójść do więzienia. Wtedy opowiadamy im o chrześcijaństwie i o Jezusie. Zatem to pan przyczynia się do szerzenia chrześcijaństwa, bo trzymając nas tutaj, wzbudza pan w ludziach ciekawość tego, kim jesteśmy i w co wierzymy”.

Cały spokój pana Mosawata nagle odparował.

„Nie!” – krzyknął ze złością. „To, co robicie, nie jest w ogóle słuszne! Zmuszacie naszą młodzież do odrzucenia własnej tożsamości i odejścia od islamu!”

„Czy to, co islam daje młodzieży pańskiego kraju, nazywa pan tożsamością?” – odbiłam piłeczkę. „Co to za tożsamość, która zabiera kobietom resztkę nadziei? Żadnego wyboru? Która czyni je własnością ich mężów, nawet najokrutniejszych? Która promuje małżeństwa zawierane na jedną godzinę? Która niszczy życie młodych dziewczyn, zmuszając je do prostytucji i narkomanii? Która nie daje im możliwości kontaktu z prawnikiem, kiedy już się znajdują w tym więzieniu?”

„Wydaje się, że wiele się nauczyłyście w czasie pobytu tutaj” – zauważył

pan Mosawat.

„Pewnie, że tak! Niech pan nie myśli, że jestem nieszczęśliwa z tego powodu, że tu jestem. Tak, warunki są ciężkie. Ale w więzieniu Ewin dowiedziałam się o Iranie i islamie więcej, niż mogłabym się nauczyć na uniwersytecie. Pobyt tutaj przemienił mnie. Jestem inną osobą niż przedtem”.

Pan Mosawat spróbował zacząć od drugiej strony.

„Oczywiście dyskutujemy nie tylko o waszej wierze. Uważam, że każda religia powinna być respektowana”.

Słyszając tak bezwstydną kłamstwo, nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu.

„Problem polega na tym, że wy głosicie swoją wiarę. Nie macie prawa mówić naszym ludziom o Jezusie. Przez wiele lat prowadziłem sprawy dotyczące chrześcijan i przeczytałem całą Biblię. Wasza Biblia mówi, że powinniście podlegać prawu kraju, w którym mieszkacie”.

„Nie sądzę, by pan przeczytał Biblię prawidłowo. Jezus powiedział swoim uczniom, by głosili wszystkim Jego Dobrą Nowinę. Gdy ludzkie prawo różni się od prawa Chrystusa, ja idę za Chrystusem”.

„Ale, pani Amirizade, nie ma pani prawa nawracać swoich współobywateli na obcą wiarę. W muzułmańskim państwie jest to przestępstwo kryminalne”.

„Władze podstępem i kłamstwem ściągnęły nas do komisariatu policji. *Basidzi* przeryli nasze mieszkanie i zabrali nasze rzeczy, nie mając nakazu przeszukania. To są nielegalne czynności, właściwe dyktaturom”.

„Pani Amirizade – powiedział pan Mosawat lodowatym tonem, – musicie zrozumieć: ja jestem prawem. I nikt nie może temu zaprzeczyć”.

„Gdyby dzisiaj Bóg ukazał panu swoje oblicze i nakazał mówić swojemu narodowi prawdę, czy poszedłby pan za Jego rozkazem, czy za prawem Iranu?” – zapytałam.

„To jest niemożliwe!” – oświadczył pan Mosawat. „Bóg nigdy nie wyda rozkazu, który spowodowałby zamieszanie lub chaos wśród Jego ludu. W każdym razie, jeśli będziecie kontynuować swoją działalność tutaj, będziecie mieć poważne problemy”.

„Może pan robić, co chce” – odpowiedziałam. „Będę nadal zaspokajać głód ludzi, głosząc im prawdę o Jezusie, chyba że odetniecie mi język. Ale nawet wtedy będę głosiła Ewangelię językiem migowym!”

Pan Mosawat z trudem powstrzymywał złość, w jego głosie wyczuwało się napięcie: „Rozumiem zatem, że nie chcecie wyjść na wolność”.

„Nikt nie chciałby pozostawać w tym miejscu” – odparłam. „Ale uznaję wolę Boga ponad moją wolą i myślę, że to On sprawił, bym się znalazła w tym więzieniu i zobaczyła całe to cierpienie i niesprawiedliwość. Nie walczy pan ze mną, walczy pan z wolą Boga. Ale w końcu Jego prawda zwycięży”.

„Muszę na tydzień wyjechać” – powiedział pan Mosawat. „Radzę wam dokładnie przemyśleć swoją sytuację przed moim powrotem. Leży to w waszym interesie”.

„Pomyślę o tym” – powiedziałam. „Ale pan niech też pomyśli o tym, co powiedziałam. Skoro pan tak dobrze zna się na chrześcijaństwie i wszystko wie o Biblii, powinien pan znać historię Pawła. Zna pan?”

„Jakiego Pawła?”

„Skoro nie wie pan, o jakim Pawle mówię, oznacza to, że nie czytał pan nigdy Biblii. Paweł chwycił i torturował chrześcijan, służąc przywódcom swojego narodu. Pewnego dnia w drodze do Damaszku Pan objawił mu się w postaci oślepiającego światła i powstrzymał jego brutalne represje. Po tym wydarzeniu Paweł został najbardziej gorliwym głosicielem Jezusa i w końcu oddał życie za Ewangelię. Niech pan pomyśli o latach, w ciągu których prześladował pan chrześcijan jak Paweł. Może pewnego dnia, również jak Paweł, zobaczy pan światło”.

„Pomyślę o tym” – powiedział pan Mosawat. „A wy pomyślcie, dlaczego większość chrześcijan wychodzi z więzienia po tygodniu lub dwóch, a wy wciąż tu jesteście”.

\*\*\*

Maria &

Póki pan Mosawat rozpytywał Marcelinę, siedziałam sama w malutkim pokoiku, słuchając ich rozmowy. Z zawiązanymi oczami, z twarzą zwróconą do ściany, myślałam o wszystkich kobietach, które kiedykolwiek siedziały na tym krześle. Czy również Szirin i Silwa były w tym pomieszczeniu? Możliwe, że właśnie tutaj Szirin siedziała z zawiązanymi oczami, zanim ją pobito do nieprzytomności.

Czekając odpowiadałam na długą listę spisanych pytań, zaczynając od tego, kto i w jaki sposób mnie aresztował. Widziałam kartkę papieru spod przepaski.

Usłyszałam za plecami, że do pokoju weszły dwie osoby. Jedna z nich wzięła ode mnie wypełniony kwestionariusz.

„Pani Rostampur” – zaczął pan Mosawat zachęcającym tonem. „Jestem tutaj, by wam pomóc. Niestety ludzie, którzy was aresztowali, są fanatykami, dlatego zajęło nam tak dużo czasu, by przejąć waszą sprawę. To jest sprawa wywiadu, nie bezpieczeństwa. Prosimy tylko o współpracę, byśmy mogli zamknąć waszą sprawę i wypuścić was razem z przyjaciółką jak najszybciej. Pani Rostampur, już wcześniej widziałem te pytania i analizowałem wasze wcześniejsze odpowiedzi. Wyznałyście, że posiadałyście dużą liczbę egzemplarzy Biblii i aktywnie

rozpowszechniałyście chrześcijańską literaturę propagandową”.

„Miałyśmy trochę egzemplarzy Nowego Testamentu wśród naszych rzeczy osobistych” – odpowiedziałam. „I w ogóle, czy ma pan pewność, że tamte odpowiedzi były moje?”

„Co pani ma na myśli? Czy pani nie odpowiadała na pytania? Chrześcijanie nie kłamią!”

„Pan Rasti w komisariacie policji odczytywał mi pytania i sam zapisywał odpowiedzi” – wyjaśniłam. „Nie pozwolono mi ich przeczytać przed podpisaniem kwestionariusza. Dlatego nie przyznaję się do niczego, co tam jest napisane, bo przecież nie wiem, co on napisał”.

Pan Mosawat i mężczyzna, który z nim był, w zamieszaniu przez chwilę milczeli. Następnie zaczęli ze złością rozmawiać między sobą o tym, jak głupi jest pan Rasti. Upozorowany spokój pana Mosawata na moment zniknął, ale szybko się opanował.

„Jeśli to jest prawda – powiedział spokojnym tonem, – będziemy musieli znowu zadać wszystkie te pytania, a wy napiszecie odpowiedzi własną ręką i już ich się nie wyprzecie”.

„W porządku”.

Jednak tym razem pojawiły się też nowe pytania:

„Dlaczego twoja siostra udzieliła wywiadu dla Głosu Ameryki?”

„Czy mówiła prawdę?”

„Czy byłaś naprawdę chora?”

Starłam się ukryć moje zaskoczenie i podekscytowanie. Po raz pierwszy uświadomiłyśmy sobie z Marceliną, jak wnikliwie ci obcy ludzie, niebędący ani naszymi krewnymi, ani przyjaciółmi, analizowali nasze prywatne życie. Głos Ameryki jest ogólnosięciową rozgłośnią informacyjną, rząd Iranu nie obejmuje jej cenzurą i mnóstwo ludzi w całym Iranie słucha jej i ogląda.

„Tak” – odpowiedziałam. „Dotychczas mam jeszcze objawy zakażenia, a słuch nadal nie powrócił do normy. Gdyby moja siostra była tutaj, a ja na jej miejscu, wywiad dla telewizji byłby ostatnią rzeczą, na jaką bym wpadła”.

„Czy wiecie, że rozmowa z zagranicznymi reporterami jest przestępstwem?” – ostro spytał pan Mosawat. „Możemy ją za to wtrącić do więzienia. Ale my rozumiemy, że zrobiła to w trosce o was. Wiemy, że należy do Kościoła i jest ochrzczona. Z pewnością dawno byśmy ją zatrzymali, gdyby to było naszym zamiarem”. W jego głosie zabrzmiała troska: „Jeśli wciąż czuje się pani chora, może pani pójść do doktora tutaj, w Oddziale 209”.

„Nie, dziękuję. Otrzymałam już pełną więzienną obsługę lekarską w Oddziale 2”.

„Wygląda na to, że się denerwujecie. Co wam tam zrobili? Powiedzcie nam, a my zajmiemy się sprawą”.

„Przecież wiecie wszystko o sytuacji tutaj i w areszcie Wozara – o niedożywieniu i złym traktowaniu. Dlaczego pan udaje niewiedzę? Zdrowie i życie więźniów jest dla pana bez znaczenia...”

„To są oskarżeni – przerwał mi pan Mosawat – i należy im się takie traktowanie! Ale wy dwie – to co innego. Jesteście porządnymi kobietami i nie powinnyście przebywać w takim towarzystwie. Gdybyśmy wiedzieli, że jesteście w Wozarze, od razu przenieśliśmy was tutaj”.

„Nie chcę nic wiedzieć o innych więźniach” – kontynuował. „Czy was osobiście ktoś źle traktował? Czy chcecie nas o czymś zawiadomić?”

„Przede wszystkim ci «inni więźniowie» są istotami ludzkimi” – odpowiedziałam. „I nie wszystkie z nich są winne. Wydaje się, że pan osądził je już w swoim umyśle, ale większość z tych osób nie powinna tu się w ogóle znaleźć. Ta dyskryminująca kultura traktuje je jako kryminalistki za to, że żądają prawa do myślenia tak, jak chcą – a przecież to jest podstawowe prawo człowieka. Przełożona Centrum Kultury krzyczała na nas, że jesteśmy apostatkami i powinnyśmy być stracone. Razem z przyjaciółką byłyśmy chore i nie udzielono nam pomocy medycznej. Nawet wtedy, gdy zatruto mnie lekarstwami, nikt mi nie pomógł”.

„To niemożliwe!” – zawołał pan Mosawat. „Jak można nie przenieść do szpitala kogoś z zatruciem?”

„Osiemdziesiąt osób było tego świadkami, one mogą to potwierdzić”.

„Z pewnością zbadamy sprawę”.

Pan Mosawat przez chwilę milczał, po czym powiedział: „Jednak Jezus Chrystus uczy was, że trzeba przebaczać, więc zapomnijmy o tym. Nie wiem, dlaczego wasza sprawa ciągnie się tak długo. Osoby o wiele ważniejsze od was – księża i biskupi – trafiały tutaj, ale nikt nie pozostawał dłużej niż tydzień. Przeniesiemy was obie do Oddziału 209 już w przyszłym tygodniu. Ale jeśli jest wam źle w Oddziale 2, możemy to zrobić nawet dziś”.

„Dziękuję, ale wolę pozostać tam razem z «kryminalistkami». To są moje przyjaciółki i jest mi z nimi dobrze”.

„W porządku. Przejrzę waszą teczkę. Dopiero dziś rano otrzymałem ją z policji. Tak bardzo przejęliśmy się waszą sytuacją, że nie mogłem zasnąć całą noc, myśląc o tym”.

Stłumiłam śmiech, ale pod przepaską widać było, że się uśmiecham.

„Rozumiem, że w to nie wierzycie” – kontynuował pan Mosawat. „Traktowano was tutaj tak źle, że straciłyście do nas zaufanie. Ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy, byście wyszły stąd na wolność jak najszybciej”.

Po chwili dodał: „W ciągu tego tygodnia przeznaczą trochę czasu na przemyślenie swojej sytuacji”.

\*\*\*

Marcelina &

Nasze przesłuchanie trwało trzy czy cztery godziny. Gdy wyszliśmy na zewnątrz i zdjęliśmy przepaski, było już ciemno. Szliśmy przez podwórze za ochroniarzem w kierunku więzienia dla kobiet i Oddziału 2. Tam ochroniarz kazał umieścić nas w osobnych pomieszczeniach, tak byśmy nie mogły rozmawiać nawet w przerwach. W ten sposób pan Mosawat chciał ukarać nas za to, że w czasie przesłuchania postawiłyśmy na swoim. Zatem jedna z nas miała zamieszkać w brudnej, zadymionej celi na dolnym piętrze. Byłyśmy całkowicie wyczerpane, w dodatku żadna z nas nie czuła się do końca zdrowa. Każda z nas chciała dać drugiej możliwość pozostania na górnym piętrze z przyjaciółkami. W końcu moje argumenty okazały się mocniejsze, dlatego to ja poszłam na dolne piętro, by zamieszkać z prostytutkami. Była to, oczywiście, okazja do dawania świadectwa. To, co pan Mosawat uważał za karę, otworzyło drzwi dla Ewangelii Chrystusa, którą mogłam teraz głosić zupełnie nowym ludziom.

Maria była z radością powitana wśród przyjaciółek z Silwą i Szirin na czele, a ja musiałam przyzwyczaić się do nowego otoczenia na dolnym piętrze. Wszystkie nasze naczynia i przekąski zostały na górze, więc nasza przyjaciółka Areza przyniosła mi na dół kilka koców, jedzenie i parę innych rzeczy. Pogadała też z kierowniczką dolnego piętra, panią Niromand.

„Marcelina jest z naszej paczki tam, na górze. Od czasu do czasu będziemy musiały przyjść i zobaczyć ją. Ona musi tu przez jakiś czas pomieszkać, ale uważaj, jeśli jej coś się stanie; dowiemy się, kto jest winny”.

Po dwóch latach, spędzonych w więzieniu, Areza nie wstydziła się stawać w obronie innych, zwłaszcza wobec przełożonych, które same były więźniarkami.

„Nie martw się, kochanie” – odpowiedziała pani Niromand. „Zatroszczę się o nią”.

Jeszcze się nie usadowiłam na nowym miejscu, kiedy przyszły Merceda i Setara. Na mój widok krzyknęły z radości i podbiegły, by mnie uściskać. Setara poczęstowała mnie owocami, po części z wdzięczności za moje prezenty, jakie jej dawałam wcześniej.

Szybko zauważyłam, że kobiety na dole traktowały się nawzajem inaczej niż na górnym piętrze. Tam więźniarki na ogół znajdowały się w lepszej sytuacji materialnej, ale bardziej zabiegały o to, co posiadały. Na dole większość więźniarek była skrajnie biedna, jednak chętnie dzieliła się z innymi tym, co miała. Cele były ciemniejsze i bardziej ponure niż na górnym piętrze, kobiety rozmawiały tylko szeptem, lecz tu, na dole, czuło się o wiele więcej zaufania i przyjaźni, a atmosfera była o wiele cieplejsza; nie było plotek ani donosów, tylko wzajemne

wsparcie i pomoc.

Mimo to życie więzienne dawało się tutaj we znaki w niemiejszym stopniu. Już pierwszego wieczoru w czasie kolacji dwie więźniarki zaczęły się bić. Merceda chciała się wtrącić, jednak powstrzymałam ją. Pani Niromand rzuciła się do bijących się, rozdzieliła je i każdą z nich zdzieliła mocnym uderzeniem. Obie natychmiast się uspokoiły.

Po kolacji kilka kobiet odwróciło talerze do góry dnem i zaczęło wystukiwać na nich rytm jak na bębnach. Inne zaczęły tańczyć; nawet pani Niromand dołączyła do spontanicznej zabawy. Widok tańczących i bawiących się razem kobiet był dla mnie miłym zaskoczeniem i podniósł mnie na duchu. Znajdywały radość życia, mimo że ono było załamujące i beznadziejne.

Następnego dnia widziałam Marię, ale nie rozmawiałyśmy, ponieważ zabroniono nam. Zamiast tego nasze przyjaciółki przekazywały między nami wiadomości. Jednak już na trzeci dzień postanowiłyśmy, że będziemy ze sobą rozmawiać, nie zważając na zakaz. Nikt nie próbował nam przeszkodzić. Nawet jadłyśmy razem, siadając na podwórku na rozłożonych gazetach. Dołączały do nas Silwa, Szirin i inne kobiety. Po obiedzie wracałyśmy do budynku i rozkładałyśmy nasze gazety na korytarzu. Każdego dnia coraz więcej kobiet przychodziło do nas, aż w końcu co wieczór zbierało się ponad piętnaście osób, przynosząc ze sobą jedzenie i herbatę jak na piknik. Miałyśmy długie i natchnione rozmowy, odpowiadając na niekończące się pytania o postawione nam zarzuty i osobistą drogę wiary. To już nie były nawet pikniki – były to raczej zgromadzenia duchowe. Zatłoczony korytarz więzienny przekształcił się w nasz kościół.

Mieszkając na dolnym piętrze, miałam sporo czasu na rozmowy z Mercedą, Setarą i Nazanin. W końcu udało mi się namówić Nazanin, by porozmawiała z Marią o swoich relacjach z Mercedą.

\*\*\*

Maria &

Parę dni później, kiedy Marcelina rozmawiała z Mercedą, miałam okazję zaczepić Nazanin.

„Dlaczego jesteś tak zaborcza względem Mercedy?” – zaczęłam.

„Nie mogę patrzeć, jak ktoś inny z nią rozmawia” – odpowiedziała Nazanin.

„Macie stosunki homoseksualne?”

„Nie. Wcześniej miałyśmy, ale Merceda już tego nie chce. Od czasu, kiedy ją torturowano, nie robiłyśmy tego. Ale tak bardzo ją kocham!”

„Myślisz, że Bogu się podoba, kiedy dwoje ludzi tej samej płci mają romans?”



„Nie wiem. Ale czy wy z Marceliną nie jesteście kochankami? Czy ona nie byłaby zazdrosna, gdybym wzięła cię za rękę?”

„My z Marceliną mieszkamy razem i nawzajem darzymy się wielką miłością. Ale nie jest to miłość erotyczna. Nie odczuwamy żadnego pożądania wobec siebie. Pod wieloma względami się różnimy i pozwalamy, by druga osoba robiła to, co jej się podoba. Cały czas rozmawiamy z młodymi osobami, takimi jak Merceda, o Jezusie, ale nie po to, by uprawiać z nimi seks”.

W czasie rozmowy Nazanin ciągle obserwowała Mercedę – jak sokół.

„Jesteś zła, że Merceda rozmawia z Marceliną?” – zapytałam.

Nazanin zapaliła papierosa. W jej oczach pojawiły się łzy, aż w końcu się rozpląkała. Wzięłam ją za rękę.

„Bóg rozumie, co czujesz...”

„Nie! On nic nie rozumie!” – krzyknęła Nazanin. „On mnie nie kocha! Nigdy mi nie pomógł! Nienawidzę mężczyzn i tylko Merceda mi pozostała. Jeśli ją stracę, stracę ostatnią nadzieję, jaka mi została w życiu”.

„A dlaczego nienawidzisz mężczyzn?”

„Nie byłam zawsze homoseksualna. Miałam chłopaka, którego bardzokochałam. Wtedy mój ojciec mnie zgwałcił. Już nie mogłam zachować normalnych relacji z moim chłopakiem. Nienawidzę siebie. Nienawidzę mojego ojca. Nienawidzę wszystkich oprócz Mercedy i chcę ją zachować”.

Stałyśmy przez jakiś czas, trzymając się za ręce. Nazanin płakała i spoglądała na Mercedę. Moje serce było pełne myśli o moim ojcu, który mnie bardzo kochał, a ja tę miłość odwzajemniałam. Jak bardzo pragnęłam, by Nazanin w swojej przeszłości miała podobne doświadczenie pokoju i bezpieczeństwa! Modliłam się, by ona mogła odczuć czystą miłość Ojca Niebieskiego, a dobroć Chrystusa otoczyła ją. Nie wiem, czy moje przesłanie dotarło do niej.

\*\*\*

Na dolnym piętrze została umieszczona dziewczyna, której wcześniej nie widziałyśmy. Marcelina miała okazję spotkać ją już pierwszego wieczoru po jej przybyciu; następnego dnia w czasie przerwy zobaczyłyśmy ją razem. Miała trochę ponad dwadzieścia lat, była bardzo szczupła, cicha i uprzejma, niezwykle dbająca o swój wygląd i maniery. Wyglądała na samotną i odizolowaną. Areza opowiedziała nam jej tragiczną historię.

Nazywała się Zejnab Nazar-zade i pochodziła z prowincjonalnego miasteczka. Siedziała w więzieniu już trzy lata, oskarżona o zabójstwo. Była bardzo młoda, kiedy zmuszono ją do poślubienia jej kuzyna, który od początku małżeństwa bił ją i poniżał. Nikt nie miał zamiaru jej pomagać, a rozwód – trudny do uzyskania na prowincji w każdych okolicznościach – był niemożliwy bez zgody

jej męża. Pewnego dnia mąż zaatakował ją, bijąc i przeklinając, a ona rzuciła w niego młotek do kruszenia lodu. Młotek trafił męża w głowę, zabijając go. Ciotka wysunęła oskarżenie, domagając się kary śmierci za zabicie swojego syna.

W Iranie prawo należy do osób poszkodowanych. Mogą zwiększać zakres oskarżenia, mogą się zgodzić na rekompensatę lub przebaczyć krzywdzicielowi. Oznacza to brak spójności i obliczalności w egzekwowaniu prawa. Cały system prawny w Iranie jest skierowany ku zemście, nie sprawiedliwości. Ciotka domagała się życia Zejnab w zamian za życie swojego syna.

Modliłyśmy się z całych sił o to, by ciotka zmieniła zdanie lub ktoś stanął w obronie Zejnab. Ani razu w ciągu trzech lat więzienia nie spotkała się ona z prawnikiem. Nie było jej na to stać. Przez trzy lata nikt jej nie odwiedził. Tego wieczoru zauważyłyśmy, że inne kobiety poświęcają jej szczególną uwagę i starają się ją pocieszyć.

Następnego wieczoru o godzinie dziesiątej imię Zejnab zabrzmiało w głośnikach – musiała ona stawić się w biurze. Jej przyjaciółki były wystraszone. Kiedy bowiem zapadał wyrok śmierci, więźniów przenoszono na ostatnią noc do pojedynczej celi. Zazwyczaj był to pierwszy i jedyny sygnał, że dana osoba zostanie stracona.

Kilka godzin później usłyszałyśmy, że ciotka Zejnab przyjęła przeprosiny i przebaczyła. Nasza radość była wielka i świętowałyśmy do późna w nocy. Jednak była to fałszywa nadzieja. Następnego ranka obudził nas *azan* (wezwanie do muzułmańskiej modlitwy) i wtedy dowiedziałyśmy się, że krótko po północy Zejnab została powieszona. Ciotka wywalczyła dla siebie „zaszczyt” wyciągnięcia taboretu spod nóg powieszonej... Fałszywą wiadomość o ułaskawieniu Zejnab rozpowszechniły władze więzienia w obawie, by nie wybuchł bunt, gdyby więźniarki dowiedziały się, co naprawdę się dzieje.

Pani Niromand opowiedziała, że przed śmiercią Zejnab zdążyła powiedzieć jej, dlaczego nigdy w więzieniu nie odwiedziła jej matka. Po prostu w dniu jej uwięzienia zmarła ona na zawał serca. Pani Niromand mówiła nam, że Zejnab cieszyła się, że umrze, gdyż w ten sposób znowu spotka się z matką. Będąc w więzieniu trzy lata, na nic nie narzekała – do samego końca; nigdy nie prosiła o łaskę i nie błagała o życie. Nawet ochrona płakała.

Była to pierwsza egzekucja osoby, którą znałyśmy. Nie ma słów, by opisać ból i żal, jaki odczuwałyśmy. Była to niesprawiedliwość i zło, jakiego nie można wyrazić słowami. Zejnab uwięziono w małżeństwie, które było dla niej koszmarem. System prawny zmuszał ją do pozostawania w tym związku, ponieważ dla tego systemu seksualne uciechy mężczyzny są ważniejsze niż podstawowe prawa i godność kobiety. To jest prawo dzungli. Mąż zaatakował ją i w obawie o swoje życie ona go zabiła. Nie było żadnego śledztwa, nikt nie próbował zebrać i przeanalizować fakty, nikt nie uwzględnił przerażających okoliczności, które

zmusiły ją do przypadkowego popełnienia przestępstwa w obronie własnej.

To nie mąż Zejnab został zamordowany, tylko ona.

Dwa dni później więźniarki zorganizowały muzułmańskie uroczystości pogrzebowe na cześć Zejnab, stając wokół jej pustego łóżka i modląc się. Łzy płynęły obficie. W ramach aktu miłosierdzia w intencji Zejnab jej przyjaciółki rozdawały jedzenie najuboższym współwięźniarkom. Marcelina, Silwa i ja również byliśmy tam i kobiety wielokrotnie dziękowały nam za to, że przyłączyliśmy się do nich, mimo że jesteśmy chrześcijankami. Oczywiście, chcieliśmy uczestniczyć w tej ceremonii. Nasze serca przepelniał ból z powodu tego, jak tragiczna niesprawiedliwość doprowadziła do śmierci Zejnab. Smutne i samotne życie tej dziewczyny nie powinno było zakończyć się w ten sposób.

Barbarzyńska egzekucja Zejnab jak nigdy wcześniej ukazała nam cały horror radykalnego islamu, promowanego przez rząd Iranu. Jej historia, gorzka i zmuszająca do refleksji, jest symbolem życia milionów kobiet w irańskim totalitaryzmie religijnym. Jeśli ktokolwiek twierdzi, że islam jest religią pokoju i równości, niech spędzi przynajmniej tydzień z więźniami w Ewin. Biedna, bezbronna Zejnab! Wydana za mąż wbrew swojej woli w wieku zaledwie kilkunastu lat – zgodnie z tradycją muzułmańską. Bezkarnie bita i poniżana przez męża od samego początku pożycia – zgodnie z tradycją muzułmańską. Pozbawiona wszelkiej prawnej możliwości odejścia od niego i uniknięcia poniżenia – zgodnie z tradycją muzułmańską. Bez możliwości skorzystania z pomocy prawnika, jej życie w całości zależało od rozzłoszczonych krewnych jej męża, którzy najprawdopodobniej zaaranżowali to małżeństwo – zgodnie z tradycją muzułmańską.

Jak dzika jest kultura, której przetrwanie wymaga poniżania i zabijania bezbronych dziewcząt! Okrucieństwo, brak serca, brak współczucia – i wszystko w imię Allaha.

Nic dziwnego, że przywódcy Iranu boją się Jezusa. On ma bowiem nieskończenie większą władzę niż oni i oni o tym wiedzą! Dlatego rządzą przemocą i terrorem, za wszelką cenę powstrzymując prawdę i narzucając swoim poddanym religię, którą mogą w pełni kontrolować.

Niech będzie błogosławiona pamięć o Zejnab Nazar-zade. I niech Bóg wybawi lud Iranu!

## ROZDZIAŁ 13

### *Zawiązane oczy i błogosławieństwo w Oddziale 209*

Marcelina &

Tydzień pomieszkałyśmy na osobnych piętrach Oddziału 2, a potem znowu wezwano nas do Oddziału 209. Pierwsza nasza wyprawa trwała pół dnia, w ciągu których jedynie nas przesłuchiowano. Nie wiedziałyśmy, co będzie, kiedy zostaniemy tam przeniesione na stałe – czy będą nas traktować bez zmian, czy też dopiero wtedy zaczną torturować? Ze łzami żegnałyśmy się z przyjaciółkami, zwłaszcza tymi, które tam już były i wiedziały, co może nas spotkać. Zebrałyśmy nasze rzeczy do toreb i znowu poprowadzono nas przez podwórze do budynku z czerwonej cegły z małymi drzwiami. Nałożyłyśmy na oczy przepaski i weszłyśmy.

Znowu szłyśmy długim korytarzem, wpatrując się spod przepasek w podłogę, zanim wprowadzono nas do małego pomieszczenia o wymiarach klozetu. Ochrona kazała zdjąć przepaski i wszystkie ubrania, po czym podano nam męskie stroje więzienne, które wisały na nas jak worki. Patrząc na siebie, nie mogłyśmy się powstrzymać od śmiechu.

„Cisza!” – rozkazała ochroniarka. Była to wielka kobieta w okularach, mniej więcej czterdziestoletnia. „Bądźcie cicho. Takie są tutaj reguły. Jeśli rozmawiacie, to po cichu. Nie krzyczcie, wołając nas, i nie stukajcie w drzwi. Jeśli musicie wyjść do toalety, naciśnijcie ten przycisk i ktoś po was przyjdzie”. Po tych słowach zostawiła nas.

Rozejrzałyśmy się po naszym nowym „mieszkanie”, ale nie było niczego do oglądania. Pokryta warstwą brudu wykładzina na podłodze, kilka śmierdzących koców w rogu. Jedyнным meblem był mały metalowy zlew. Wysokie stalowe ściany, pomalowane na białe, nie miały okien. Światło dzienne i powietrze przedostawało się przez okno dachowe, zasłonięte ciężkim metalowym ekranem, który blokował dostęp i światła, i powietrza. Pod sufitem wisiała nieosłonięta żarówka, która, jak wkrótce przekonaliśmy się, świeciła dzień i noc.

Kilka godzin siedziałyśmy, cicho rozmawiając. Nie dochodziły do nas żadne dźwięki – co za zmiana w porównaniu do ciągłego hałasu i ruchu w Oddziale 2! Nie miałyśmy nic do szycia i nic do czytania. Szirin i Silwa mówiły nam, że można zapukać w ścianę i posłuchać, może ktoś z więźniów odpowie. Początkowo nie było odpowiedzi, ale w końcu usłyszałyśmy czyjeś pukanie.

Nagle drzwi celi się otworzyły. Za nimi stała młoda, masywna ochroniarka, która patrzyła na nas, nie mówiąc ani słowa. Przez chwilę patrzyłyśmy na nią, po czym wybuchłyśmy śmiechem. Nie miałyśmy zamiaru dopuścić, by więzienie odebrało nam poczucie humoru. Potrzebowałyśmy go, by przetrwać.

„A, teraz wiem, co robicie!” – powiedziała ochroniarka. „Nie róbcie tego więcej”.

I zatrzasnęła drzwi.

Nieco później wysoka, młoda ochroniarka, prawie dziewczynka, przyniosła plastikowe talerze z jedzeniem. Były to gorące mięsne klopsiki! Po raz pierwszy od chwili naszego zatrzymania miałyśmy dobre jedzenie na ciepło, podane w talerzach. Silwa mówiła, że w Oddziale 209 więźniów karmią lepiej, ponieważ są to więźniowie polityczni, i wiadomość o ich traktowaniu może łatwo wymknąć się na zewnątrz. Miało to tyle samo sensu, co cała reszta w irańskim wymiarze sprawiedliwości: skoro już mają człowieka torturować, musi on być przynajmniej dobrze odżywiony.

Gorące jedzenie i cisza wywołały w nas senność i wkrótce mocno spałyśmy. Kiedy obudziłyśmy się, musiałyśmy skorzystać z toalety. Zaczęłyśmy naciskać na guzik dzwonka, ale nic się nie działo. W końcu zaczęłyśmy walić w drzwi. Po minucie pojawiła się starsza ochroniarka w okularach i otworzyła drzwi.

„Czy wiecie, która jest godzina?” – rzuciła ze złością.

„Nie mamy pojęcia” – powiedziałam. „A jak mogłybyśmy się dowiedzieć, która jest godzina?”

„Jest trzecia nad ranem!”

„Przepraszam, nie wiedziałam. Ale dzwonek nie działał”.

„To nie jest żaden dzwonek” – powiedziała ochroniarka, tracąc cierpliwość. „Ten przycisk zapala lampkę i wtedy wiemy, że potrzebujecie wyjść. Tu są przepaski, nałóżcie je”. Zawiązałyśmy sobie oczy i poszłyśmy za nią wzdłuż korytarza.

Poza śniadaniem o siódmej rano i innymi posiłkami, a także wyjściami do toalety i pod prysznic jedyną naszą czynnością były rozmowy lub spanie. Dużo spałyśmy, po prostu żeby jakoś mijał czas. Raz na dwa lub trzy dni mogłyśmy wyjść na „spacer” w większym pomieszczeniu z otwartym niebem, ale odmówiłyśmy tego na znak protestu przeciwko zbyt małej celi bez okien, a także przeciwko brakowi książek lub jakiegokolwiek zajęcia. Na podstawie wrażenia, jakie wywarły na nas ochroniarki, wymyśliłyśmy dla nich przydomki: Mamuśka – starsza, dobra kobieta, przełożona ochroniarek, która zazwyczaj przynosiła nam jedzenie; Ciotka – niska, gruba kobieta o bardzo komicznym wyglądzie; Kuzynka – inna grubaśna ochroniarka; Żelazna Kobieta z metalowym aparatem na zębach; Maruda, która zawsze była w złym humorze; oraz Zjawa, która nigdy nie mówiła i nie wykonywała ruchów, jeśli nie było to konieczne.

\*\*\*

Po kilku dniach przeniesiono nas do innej małej celi o takich samych

wymiarach, gdzie ledwo mogliśmy się położyć. Miałyśmy tu mieszkać razem z inną kobietą, Munis, która przebywała w Oddziale 209 od trzech miesięcy. To ona razem z ówczesną współlokatorką Roksana Saberi odpowiedziała na nasze pukanie pierwszego dnia. Roksana była dziennikarką irańsko-amerykańską, która została fałszywie oskarżona o szpiegostwo i osądzona na osiem lat więzienia. Nasza przyjaciółka Silwa spotkała ją w Oddziale 209 i radziła, byśmy ją tam poszukali. Z powodu nacisków społeczności międzynarodowej, z amerykańskim prezydentem Barackiem Obamą włącznie, Roksana została niedawno zwolniona. Później napisała książkę o swoich przeżyciach, zatytułowaną *Między dwoma światami: moje życie i uwięzienie w Iranie*.

Munis była wydawczynią, a także przywódczynią ugrupowania ideologicznego Al-e Jassin, które wprowadzie bazowało na islamie, ale respektowało inne religie. Tego samego dnia dołączono do nas jeszcze jedną osobę, dziewczynę z długimi czarnymi włosami. Miała około szesnastu lat. Kiedy zobaczyły się z Munis, zawołały z wielkiej radości. Już spotkały się wcześniej, po czym umieszczono je w celach pojedynczych. Nowa dziewczyna miała na imię Mahtab, została aresztowana za przynależność do organizacji *mudżahedinów*. Zatrzymano ją, gdy spacerowała w parku ze swoim narzeczonym. Uważała, że w ten sposób reżim chciał uderzyć w jej ojca, który już od roku siedział w więzieniu Ewin, zostawiwszy jej matkę i dziesięcioletniego brata na pastwę losu. Ojciec znajdował się w publicznej części więzienia i Mahtab pozwolono zobaczyć go tylko raz.

Przebywając w pojedynczych celach o połowę mniejszych niż nasza, w których ledwo dało się siedzieć, Mahtab i Munis były poddawane intensywnym przesłuchaniom. Mężczyzna przesłuchujący Mahtab usiadł przed nią, rozstawił nogi i sugestywnie poruszał ciałem. Miała wystarczająco dużo odwagi, by kazać mu zostawić ją w spokoju. Była młoda, ale potrafiła walczyć o swoją godność.

„Słyszałyśmy, że w 209 trzymają niebezpiecznych przestępców politycznych wielkiego kalibru” – powiedziałam. „Kto by pomyślał, że ta nastolatka zagraża całemu systemowi bezpieczeństwa naszego kraju!”

Roześmiałyśmy się głośno, ale tym razem nikt nie przyszedł, by nas uciszać.

„Zanim mnie przenieśli do tej celi – powiedziała Mahtab, – przesłuchujący powiedział, że zamieszkać z dwiema dziewczynami, które uciekły z domu i zostały chrześcijankami. Powiedzieli mi, że mam spróbować przekonać was, byście wróciły do islamu”.

Znowu wybuchłyśmy śmiechem.

„Nie uciekałyśmy z domu i nie zostawiłyśmy naszych rodzin” – wyjaśniła Maria. „Twoi przesłuchujący chcieli wpłynąć na twoje postrzeżenie nas, zanim jeszcze spotkałyśmy się”. Przez krótki czas podejrzewałyśmy, że Mahtab została podesłana w celu szpiegowania nas, ale szybko przekonałyśmy się, że to jest

odważna i bardzo uczciwa dziewczyna, choć trochę naiwna. Podesłali ją do nas, by nas przekonała do islamu. W rzeczywistości to nasze świadectwo zmieniło ją. Później została chrześcijanką.

Dla czterech osób w tej celi praktycznie nie było miejsca, gdzie się położyć. Kiedy układałyśmy się, powietrze zrobiło się ciężkie i duszne. Rozmieściłyśmy jakoś nasze posłania jedno obok drugiego i wyczerpane zasnęłyśmy.

\*\*\*

Maria &

Następnego dnia zabrano mnie z zawiązanymi oczami do innej celi, rozdzielając nas z Marceliną ponownie. Moją nową współlokatorką była Fereszta, kobieta w średnim wieku, z krótko obciętymi włosami, wyglądająca jak chodzący szkielet. Miała duże, głęboko osadzone oczy, kontrastujące z uderzająco białą cerą. Jej czarne krwawiące dziąsła świadczyły o długim okresie niedożywienia. Całym jej ciałem wstrząsały drgawki i coś gwizdało w jej płucach przy każdym wdechu; była tak słaba, że jej głos był prawie niesłyszalny.

„Nie siadaj tutaj” – powiedziała Fereszta przestraszonym tonem, kiedy zrobiłam krok w jej kierunku w tej malutkiej celi. „Usiądź na swoim kocu w swoim kącie. Obserwują nas przez kamery i mogą nas słyszeć”.

„Nie przejmuj się” – odpowiedziałam starając się ją uspokoić. „Nie sądzę, by to dla kogoś miało znaczenie”.

„Nie znasz tych łajdaków! Jesteś tak naiwna”.

Usiadłam w swoim kącie, żeby nie denerwować Fereszty, i zaczęłyśmy cicho rozmawiać. Póki opowiadałam o moim zatrzymaniu za to, że jestem chrześcijanką, Fereszta ciągle ostrzegała, bym mówiła ciszej i zważała na słowa, inaczej zabierze mnie straż i ona znów zostanie sama. Gdy skończyłam, Fereszta uspokoiła się na tyle, by opowiedzieć własną historię.

„Siedzę tutaj, w pojedynczej celi, już od trzech miesięcy” – zaczęła słabym, miękkim głosem. „Do wczoraj przesłuchiowano mnie codziennie. Przez miesiąc prowadziłam strajk głodowy, jadłam tylko daktyle i piłam herbatę, by protestować przeciw temu, jak mnie traktują. Oskarżono mnie o przynależność do *mudżahedinów*, jednak ja nie należę ani do tego, ani do jakiegokolwiek innego ruchu politycznego. Jedynym przestępstwem, jakie popełniłam, jest to, że jestem kochającą matką i chcę mieć kontakt z moimi dziećmi. Dwie moje córki mieszkają w obozie dla *mudżahedinów* Aszraf w Iraku. Odwiedziłam je w ubiegłym roku i od tego czasu utrzymywałam z nimi kontakt mailowy i telefoniczny. Pewnego dnia, wracając z kafejki internetowej, zobaczyłam przy naszym domu jakichś mężczyzn. Zapewne byli z Ministerstwa Wywiadu. Zadzwoiłam do męża i powiedziałam mu

o tym. Będąc w ukryciu na ulicy, obserwowaliśmy mężczyzn czyhających przy naszych drzwiach. Wiedzieliśmy, że musimy albo wszystko zostawić i tego samego dnia uciekać z kraju, albo zetknąć się z agentami i spróbować wszystko poukładać. Wybraliśmy to drugie. Przerzyli całe nasze mieszkanie, aresztowali nas z mężem i trzymają osobno. Aż do wczoraj przesłuchiowano mnie codziennie przez siedem, osiem godzin. Nie torturowali mnie, tylko bili po głowie i po twarzy – dotychczas okropnie boli mnie głowa. Mam stwardnienie rozsiane. Jestem zbyt słaba, by zajmować się polityką, zbyt słaba, by znieść tortury ponad to, co już przeszłam. Dlatego cały czas się trzęsę. Mój lekarz powiedział, że jeśli moja choroba nie będzie leczona, wkrótce zostanę sparaliżowana i oślepnę. Ale te nieludzkie potwory nie mają sumienia. Czasami myślałam, że nie dożyję do końca dnia. Próbowałam popełnić samobójstwo, ale jestem zbyt słaba nawet na to. Ochrona zapewniała, że skończę tu, w więzieniu, albo umierając z powodu mojej choroby, albo popełniając samobójstwo, ale na pewno już nie wyjdę na wolność”.

„Droga Fereszto – zapytałam, – dlaczego władze wymierzają ci tak straszną karę za wysyłanie maili do własnych dzieci?”

„Jeszcze jako studentka byłam działaczką polityczną i pisałam artykuły polityczne” – odpowiedziała Fereszta. „Chciałam zrobić coś dobrego dla mojego narodu i mojej kultury. Kiedy miałam dwadzieścia dwa lata, w trzy tygodnie po moim ślubie zaaresztowano mnie i skazano na pięć lat więzienia. Znalazłam się w więzieniu Gezel Hesar w mieście Karadż razem z innymi kobietami, należącymi do różnych ugrupowań, w tym do zrzeszenia studenckiego Daftar Tahkim Wahdat. Przez kilka miesięcy mój mąż nie wiedział, gdzie jestem, i myślał, że mnie zamordowano. W Karadż zawiązano nam oczy, rozebrano do naga i wtrącono do pustego, zimnego korytarza. Jedną po drugiej zabierano nas na przesłuchania i torturowano. Niektóre kobiety, zwłaszcza młode i ładne, były gwałcone, inne chłostano drutami, inne bito po głowie, aż traciły przytomność, a z nosa zaczynała im płynąć krew. Od tego czasu zaczęłam chorować na stwardnienie rozsiane. Mnie chłostano po stopach, tak że nie mogłam potem przez kilka dni ani chodzić, ani stać. Na głowę wylewano mi wiadra wrzątku. Niektóre z nas prowadzono z zawiązanymi oczami do celi egzekucyjnej, gdzie wisiały ciała straconych. Zmuszano nas, byśmy chodziły godzinami w tym pokoju, a kiedy natykałyśmy się na jakiegoś powieszzonego, strażnik wymieniał jego imię. Mój mąż w końcu dowiedział się, gdzie jestem, i przyszedł mnie odwiedzić. «Zapomnij o mnie» – powiedziałam mu, – «ułóż sobie życie na nowo». Po roku przeniesiono mnie do Ewin, gdzie spędziłam kolejne cztery lata. W tym czasie większość moich przyjaciół zakatowano na śmierć lub stracono. Kiedy wypuszczono mnie, wróciłam do męża”.

„Musisz mi wybaczyć, że tak dużo mówię” – powiedziała Fereszta. „Tak długo nie miałam z kim porozmawiać, nosiłam to wszystko w sobie. Czuję się tak,



jakbym miała eksplodować! Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ciebie, błagałam Boga, byś została przeniesiona do mojej celi, bo widziałam, jak uśmiechasz się pod przepaską”.

„Droga Fereszto, czy mogę się za ciebie pomodlić?” – zaproponowałam.

Fereszta się roześmiała i ten dźwięk bardzo nie pasował do jej makabrycznego wyglądu.

„Oczywiście! Dlaczego nie? Kocham chrześcijan”.

Usiadłam obok mojej nowej przyjaciółki i modliłam się za nią i jej rodzinę. Gdy skończyłam, Fereszta położyła głowę na moją pierś i przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu.

„Przypuszczam, że nie czujesz się szczęśliwa, iż znalazłaś się tutaj razem ze mną” – powiedziała Fereszta. „Ale ja jestem bardzo szczęśliwa, że Bóg ciebie do mnie przysłał”.

„Proszę, nie mów tak” – odparłam. „Gdybym przeszła przez to samo, co ty, byłabym teraz w o wiele gorszej formie”.

Po delikatnej zachęcie Fereszta zjadła trochę z podanego obiadu, a potem całą kolację. Po kolacji ochrona podała jej kilka tabletek nasennych.

„Muszę je brać z powodu mojego stanu zdrowia” – wytłumaczyła. „Muszę przeprosić, bo zasypiam wkrótce po tym, jak je wezmę”.

Zgodnie z tym, co powiedziała, zasnęła w ciągu pół godziny.

Czując powagę swojej roli, a także z powodu nasilającego się bólu głowy, nie mogłam zasnąć. Spróbowałam zrelaksować się, chodząc po celi, ale mogłam zrobić tylko dwa kroki. Chodzenie sprawiło, że poczułam się senna. Usiadłam i w ciągu długich godzin patrzyłam na białe ściany i myślałam o rozdzierającej serce niesprawiedliwości i śmierci, jaką mogły widzieć te ściany: tragedie podobne do życia Fereszty, morze przelanej niewinnie krwi, gorzkie losy kobiet podobnych do Zejnab, zniszczonych przez siły zła. W końcu wyczerpanie miłosierdzie ogarnęło mnie i zapadłam w płytki sen.

\*\*\*

Po śniadaniu następnego ranka nacisnęłam przycisk, wzywając ochronę, by zaprowadziła mnie do toalety. Strażniczka weszła, zawiązała mi oczy i poprowadziła wzdłuż korytarza. Dopiero w łazience mogłam zdjąć przepaskę. Moją uwagę przyciągnął odbłysek nad zlewem. Między zlewem a ścianą zobaczyłam zawieszony na rurze krzyż zrobiony z pokrywki od jogurtu.

Marcelina próbuje nawiązać kontakt!

Zrozumiałam, że skoro korzysta z tej samej łazienki, musi przebywać na tym samym piętrze. Moje serce nappełniło się radością. Schowałam znak do kieszeni i nałożyłam przepaskę. Nie mogłam się doczekać, kiedy opowiem o tym Fereszcie.

Po południu zrobiłam taki sam krzyż i umieściłam go w tym samym miejscu. Potem usłyszałam, jak ktoś z sąsiedniej celi wraca z toalety, głośno kaszając i szurając butami po podłodze, i wiedziałam, że to Marcelina daje mi do zrozumienia, że odebrała mój sygnał. Spróbowałam zapukać w ścianę i natychmiastowa odpowiedź potwierdziła, że Marcelina jest w sąsiedniej celi.

Wędrując następnym razem do toalety, nie mogłam się doczekać kolejnego sygnału, schowanego za zlewem. Tym razem znalazłam list wykonany z liter wydartych z gazety i przyklejonych do szmatki za pomocą pasty do zębów. Było napisane: „jak się masz z kim jesteś”.

Rozradowana, zastanawiałam się, jak odpowiedzieć. Jedynym drukiem w mojej celi był Koran Fereszty, którego nie śmiałybym niszczyć. Rozglądając się po ciasnej celi, zauważyłam w kącie na zlewie pastę do zębów, która wciąż była w kartonowym opakowaniu. Wyjęłam tubę z pastą, rozdarłam i wyprostowałam karton, po czym posmarowałam jego wewnętrzną powierzchnię cienką warstwą pasty. Po wyschnięciu tego „podkładu” wydrapałam na nim paznokciem moją odpowiedź: „Dobrze. Z Feresztą”. W czasie wizyty w toalecie zostawiłam ten list za zlewem.

Ten nasz „tajny, szpiegowski system” komunikacji funkcjonował przez cały czas, póki byłyśmy rozdzielone. Pisałyśmy sobie „liściki” na paście do zębów i wysyłałyśmy krzyże, gwiazdy i kwiatki, zrobione z pokrywek od jogurtu i pestek pomarańczy. Pewnego razu ochrona znalazła jeden z naszych listów, była zła i groziła nam, ale nie przerwałyśmy naszej korespondencji. Bóg chronił nas w każdej chwili.

\*\*\*

Marcelina &

Kiedy rozdzielono nas z Marią, długo zastanawiałam się, jak dowiedzieć, czy jest w pobliżu. Nie miałam ani papieru, ani przyborów do pisania, więc nie było mowy o liście. Rozmawiałam o tym z Munis i Mahtab i one zasugerowały jakiś symbol, zrozumiały dla Marii. Munis ostrzegła, że jeśli ochrona znajdzie go wcześniej niż Maria, obie będziemy ukarane, ale uznałam, że warto zaryzykować. Następnego ranka podczas śniadania zrobiłam mały krzyżyk z folii aluminiowej, zerwanej z kubka z jogurtem. Schowałam go potem w łazience. Moje serce napełniło się radością, kiedy Maria znalazła mój krzyżyk i zostawiła mi swój. Dowiedziałyśmy się, że Maria jest w celi z Feresztą, i Mahtab powiedziała, iż zna ją jako dobrą, miłą kobietę, z którą będzie jej się dobrze mieszkalo.

Całymi dniami żywo dyskutowałyśmy z Munis i Mahtab o wierze i religii.

Obie przestrzegały muzułmańskich tradycji, dotyczących postu i modlitwy, i próbowały mi je wytłumaczyć.

„Reżim podsuwa ludziom skrzywioną wersję islamu” – twierdziła Munis. „To, co wyprawia władza, nie ma nic wspólnego z prawdziwymi zasadami wiary”.

Te debaty pozwoliły mi odwrócić uwagę od moich dolegliwości: silnego bólu gardła, zapalenia dróg oddechowych, a także bólu pleców i głowy, który tygodniami dawał mi się we znaki. Wizyta w szpitalu w Oddziale 209 (nie był to żaden szpital, tylko pokój z łóżkiem) zakończyła się kolejną dawką antybiotyków. Tabletki nawet nie były w opakowaniu. „Lekarka” po prostu zgarnęła trochę tabletek z biurka i podała mi.

Parę dni później, kiedy Munis i Mahtab się modliły, zapytałam, dlaczego nakrywają się w czasie modlitwy:

„Skoro wierzycie, że Bóg jest waszym Stwórcą, czy nie wierzycie, że jest wam bliższy niż wasza własna skóra? Dlaczego chowacie się przed kimś, kto mieszka w waszym sercu?”

„To jest znak szacunku, który jest częścią naszej wiary” – wyjaśniła Munis. „Dla innych powodów nie musiałybyśmy tego robić”.

„Ale czy Bóg prosił was, byście to robiły?” – spytałam. „I czy prosił, byście przemawiały do Niego po arabsku? Czy Bóg nie zrozumie, jeśli zwrócicie się do Niego po persku? Czy naprawdę musicie padać przed Nim na twarz pięć razy dziennie? Czy nie możecie modlić się w dowolnej chwili, kiedy tego zapragniecie?”

Munis nie mogła odpowiedzieć na te pytania, dlatego ją zdenerwowały. Widząc jej irytację, przeprosiłam i zostawiłam te kwestie. Tego wieczoru Mahtab przysunęła się do mnie i powiedziała: „Twoja rozmowa z Munis dała mi wiele do myślenia. Masz absolutną rację i zastanawiam się, dlaczego nigdy wcześniej na to nie wpadłam. Modliłaś się za mnie do swojego Pana i ta modlitwa była inna: poczułam się po niej bardzo uspokojona. Rutynowe, obowiązkowe modlitwy, odmawiane w ramach rytuałów muzułmańskich, są jedynie moim przyzwyczajeniem i nie przynoszą żadnego pożytku. Chyba przestanę odprawiać modły *namaz* i zamiast tego będę modlić się razem z tobą”.

Mimo że zmiana zachowania Mahtab sprawiła Munis w zakłopotanie, Mahtab trzymała się swojego postanowienia. Codziennie modliła się razem ze mną, czasami nawet rezygnując z przerwy na rzecz modlitwy.

\*\*\*

Dni mijały i z czasem ochrona Oddziału 209 zaczęła się interesować chrześcijaństwem, podobnie jak niektóre ochroniarki w Oddziale 2. Pewnego razu jedna z ochroniarek zaskoczyła mnie, pytając ni z tego ni z owego: „Kim w końcu jest ten Jezus? Czy to jakiś nowy fałszywy przywódca, próbujący pociągnąć za sobą ludzi? Wygląda na to, że codziennie jest inny. Słyszałam niedawno, że pewien facet z odległej wioski utrzymywał, iż ma kontakt z duchami i zjawami, i przyciągnął uwagę wielkiej liczby ludzi. Dlaczego wy, młode dziewczyny, tracicie rozum i idziecie za głupotami podobnymi do tej? Jest to głupie, czyż nie? W każdym razie, kimkolwiek ten Jezus Chrystus jest, jest na pewno bardzo niebezpieczny, skoro doprowadził was do tego stanu”.

Wiedziałam, że jakiegokolwiek wyjaśnienie w jej przypadku będzie jak rzucanie grochem o ścianę, ale modliłam się, by Jezus otworzył serce tej kobiety na prawdę.

Fereszta codziennie poświęcała wiele godzin na czytanie Koranu i modlitwę z użyciem paciorków. Jej muzułmańskie rozumowanie Boga zamykało przed nią wszelką możliwość przyjęcia jakiegokolwiek nowej myśli na Jego temat. Odczuwała przy tym duchową pustkę. „Nasi przywódcy religijni całkowicie przekreślili islam” – mawiała. „Z tego powodu wiele osób porzuciło religię i utraciło wiarę”.

Już wcześniej długo rozmawiałyśmy o islamie i chrześcijaństwie i modliłam się za nią. Tym razem jednak postanowiłam przemilczeć to i pozostawić Bogu, by dotknął serca Fereszty tak, jak uważa za najlepsze. Następnego dnia zrobiłam z aluminiowej folii krzyżyk i dałam jej. Położyła go obok swoich tabletek. „Od teraz zawsze przed snem będę się modlić z tym krzyżykiem w rękach” – powiedziała. Zaczęła też żywo interesować się możliwością chrztu.

„Zanim przyjmiesz chrzest, musisz uwierzyć, że Jezus Chrystus jest Synem Bożym i Zbawicielem” – wytłumaczyłam.

Fereszta chłoneła każde słowo i chciała wiedzieć więcej. „Czy mogłabyś głośno zaśpiewać swoje hymny?” – poprosiła kiedyś. I to mówiła osoba, która na początku naszej znajomości uciszała mnie, bym nie ściągnęła na nas gniewu ochrony! „Słyszę, jak je recytujesz po cichu w czasie modlitwy, bardzo mi się podobają”.

Z radością nauczyłam ją pieśni *Chrystus blisko mnie, Zstąp, miłości Boża* i innych. Fereszta szybko się uczyła, po czym śpiewała razem ze mną. Było to dla nas doświadczenie bardzo budujące i podnoszące na duchu. Ale czasami nawet śpiew nie mógł złagodzić bólu w uchu, który dokuczał mi od czasu choroby. Nadal miałam problemy ze słuchem, poza tym nagle pojawiał się ból głowy i napady senności. Pewnego popołudnia poczułam się słabo, nie mogłam stać. Fereszta wezwała ochronę, by zaprowadziła mnie do szpitala. Nałożyłam chustę i przepaskę na oczy i poszłam za ochroniarką.

Po pobieżnym zbadaniu lekarka orzekła: „Masz uszkodzony bębenekuszny. Z czasem się zagoi. Głowa cię boli z powodu stresu. Dam ci leki”.

„Leki” okazały się zwyczajnymi środkami nasennymi – był to uniwersalny więzienny specyfik na wszystkie schorzenia. Po dwóch dniach „leczenia” balansowałam między mglistą półświadomością a głębokim snem. Pewnego ranka, kiedy ochrona przyniosła śniadanie, wstałam, by wziąć talerz i przewróciłam się do tyłu. Później Fereszta opowiadała, że tak głośno uderzyłam głową o ścianę, iż ochroniarka odstawiła tacę na podłogę i rzuciła się zobaczyć, czy nic mi się nie stało. Po tym zdarzeniu lekarka dała mi mocniejsze leki. Brałam je tylko jeden dzień, po czym powiedziałam ochronie, że więcej nie będę. Zgodzili się, ale kazali podpisać oświadczenie, że odmawiam leczenia.

Zasady wymagające ciszy w połączeniu z zawiązywaniem oczu poza całą rodziły mocne odczucie izolacji. Jedynymi „rozrywkami” w ciągu dnia były posiłki i wędrówki do toalety, do tego godzinny „spacer” w pomieszczeniu z otwartym niebem. Kontynuowałyśmy z Marceliną naszą konspiracyjną korespondencję, zostawiając sobie znaki za zlewem w toalecie, i pogłębiałyśmy przyjaźń z koleżankami w celi.

Zobaczyłam Marcelinę ponownie w dniu wizyt, jakieś dwa tygodnie po naszym przeniesieniu do Oddziału 209. Zawiązano nam oczy i wyprowadzono z celi osobno, po czym czekałyśmy na zewnątrz na minibus, którym dowożono do miejsca, gdzie odbywały się wizyty. Na dworze pozwolono nam zdjąć przepaski i zobaczyłyśmy, że stoimy w odległości paru metrów od siebie. Skinęłyśmy do siebie nawzajem, rozmawiając samymi oczami, ale jedna z ochroniarek zauważyła to i krzyknęła: „Wy dwie, żadnych rozmów!”.

Radość przepełniała mnie, kiedy patrzyłam na słońce i odczuwałam jego ciepło po dwóch tygodniach spędzonych w ciasnej celi. Co za wspaniałość! Procedura wyjścia z Oddziału 209, oczekiwania na minibus, a potem na wprowadzenie do budynku trwała godzinami. W końcu mogłyśmy spędzić piętnaście minut z naszymi siostrami. Usiadłyśmy w sąsiednich przedziałach, zobaczyłyśmy Elenę i Szirin po stronie odwiedzających. Siostry były oddzielone od nas szklaną ścianą. Widziałyśmy je z odległości kilku centymetrów, ale nie mogłyśmy ich dotknąć, a do rozmowy należało używać słuchawki telefonicznej. Obok stała ochrona i przysłuchiwała się naszej rozmowie.

\*\*\*

Marcelina &

Gdy Elena mnie zobaczyła, była w szoku z powodu mojego wyglądu. Po dwóch tygodniach w celi bez okien byłam blada jak zjawa. Jednocześnie byłam

czysta i dożywiona, a nawet udało mi się wyrównać brwi za pomocą kawałków nici. Wizyta trwała krótko, dlatego mówiłyśmy w wielkim pośpiechu. Niewiele powiedziałam jej o warunkach w Oddziale 209 – nie chciałam jej martwić. Natomiast podzieliłam się z nią niesamowitym wydarzeniem.

„Pewnego ranka, około godziny piątej, obudziłam się, gdy ktoś potrząsał mnie za nogi” – powiedziałam. „Miałam dziwne, silne odczucie, że to jest Duch Święty. Poczułam się bardzo szczęśliwa. Mahtab i Munis jeszcze spały, więc usiadłam na moim posłaniu i śpiewałam Bogu pieśni chwały, dziękując za pokój ducha, którym mnie obdarzył. Zanim one się obudziły, przygotowałam nakrycia do naszego śniadania, składającego się z gotowanych jajek na naszym softe (plastikowa taca wielkości gazety, której używałyśmy zamiast stołu). Dziewczyny były zdziwione i zapytały, dlaczego wstałam tak wcześnie. Odpowiedziałam: «Nie wiem. Po prostu czuję, że Duch Święty jest ze mną»”.

Oczy Eleny nabrały blasku. „Czy ty wiesz, jaki to był dzień?” – zawołała podekscytowana. „Pięćdziesiątnica!”

Byłam zdumiona. Czuję się szczęśliwa, że Bóg nie zapomniał o mnie i że w tym szczególnym dniu Duch Święty na nowo dał mi odczuć swoją obecność.

Po moim krótkim opowiadaniu zaczęła mówić Elena, przekazując mi ważne wiadomości.

Przede wszystkim nasz wierny i niestrudzony prawnik, pan Soltani, się nie poddał. Cały czas starał się dostać do więzienia Ewin, by uzyskać naszą pisemną zgodę na reprezentowanie nas w sądzie. Z powodu swojego oddania i poświęcenia został aresztowany i wtrącony do Ewin, trafił do Oddziału 209. Co za absurd! Za to, że walczył w obronie praw więźniów politycznych w Iranie, za to, że przeciwstawiał się fałszywym oskarżeniom i daleko idącym nadużyciom w stosunku do więźniów, musiał teraz podzielić ich los! Skazano go na dwadzieścia lat więzienia i zabroniono uprawiania zawodu prawnika. W listopadzie 2012 roku, kiedy powstawała ta książka, nadal był uwięziony.

Otrzymałyśmy jeszcze jedną ważną wiadomością. Okazało się, że wcale nie byliśmy odizolowanymi anonimowymi więźniarkami, jak nam się zdawało. Tysiące ludzi modliły się za nas, starając się o nasze zwolnienie. Pierwszym sygnałem, świadczącym o tym, była wzmianka pana Mosawata w czasie przesłuchania, kiedy powiedział, że nasze siostry udzieliły wywiadu dla Głosu Ameryki. Okazało się, że dzięki wysiłkom naszych przyjaciół i osób, których nawet nie znałyśmy, nasza sprawa dotarła do Amnesty International. 8 kwietnia 2009 roku ukazał się w prasie artykuł określający nas jako więźniarki sumienia, „aresztowane wyłącznie z powodu swojej wiary”.

Artykuł wspominał o naszej chorobie i zatłoczonych warunkach Oddziału 2 więzienia Ewin. Cytował artykuł 23. Konstytucji Iranu, który stanowi: „Zabronione jest dochodzenie, jaką wiarę wyznaje obywatel, i nikt nie może być

dyskryminowany lub pociągnięty do odpowiedzialności jedynie za wyznawanie określonej wiary<sup>[6]</sup> oraz artykuł 18.1 Międzynarodowej Konwencji Praw Cywilnych i Politycznych (do której Iran również przystąpił) stwierdzający: „Każdy powinien mieć prawo do wolności myślenia, sumienia i religii. To prawo powinno zawierać możliwość wyznawania lub przyjmowania religii lub wiary według własnego wyboru, w wolności, czy to indywidualnie, czy w grupie z innymi osobami, prywatnie czy publicznie, oraz do manifestowania swojej religii lub wiary w kulcie, praktykowaniu, zachowywaniu zasad i nauczaniu”<sup>[7]</sup>.

Dokument Amnesty International stwierdzał, że „ewangeliczni chrześcijanie (...) często są surowo traktowani przez władze. Nawróceni z islamu ryzykują, że zostaną aresztowani, prześladowani lub skazani na śmierć. Nawrócenie z islamu (apostazja) jest traktowane jako złamanie prawa muzułmańskiego, które domaga się śmierci apostaty, jeśli nie zgodzi się on powrócić do islamu. Kodeks Karny Iranu nie zawiera przepisów dotyczących apostazji, ale od sędziów się wymaga, by stosowali prawo islamu w sytuacjach, nieujętych w prawie karnym. Nowelizacja Kodeksu jest obecnie rozpatrywana [przez Parlament] i przewiduje karę śmierci dla osób uznanych za apostatów”<sup>[8]</sup>.

Amnesty International zachęcała do wysyłania listów do władz Iranu z żądaniem natychmiastowego i bezwarunkowego zwolnienia nas, podawała dane kontaktowe do dyrektora Kwatery Głównej ds. Praw Człowieka w Iranie, sędziego głównego oraz do ajatollaha Sajeda Alego Chamenei, najwyższego przywódcy Republiki Iranu.

Elam Ministries, organizacja z siedzibą w Londynie, która sponsorowała konferencję teologiczną w Turcji, gdzie po raz pierwszy spotkałam Marię, również napisała o naszej sprawie. Przed naszym aresztowaniem pracownicy tej organizacji zaopatrywali nas w egzemplarze Nowego Testamentu, które rozprowadzałyśmy. Teraz próbowali pomóc nam w odzyskaniu wolności.

Co więcej, setki przyjaciół i nieznajomych wysyłało nam do więzienia kartki i listy, by wesprzeć nas duchowo. Oczywiście, nam nie przekazano ani jednego listu czy kartki i nic nie wiedziałyśmy o ich istnieniu aż do tego spotkania z siostrami.

Świat obserwował, jak traktuje nas reżim, i to denerwowało władze. Bóg posyłał nam z odsieczą całe wojsko chrześcijan, a my nawet o tym nie wiedziałyśmy!

Elena była przekonana, że przeniesienie nas do Oddziału 209 oznacza rychłe zamknięcie naszej sprawy i uwolnienie. Po tym spotkaniu moja dusza fruwała z radości. Tyle wiadomości dodających sił! Tyle powodów do wdzięczności! Nic nie mogło zburzyć tej radości – ani zawiązywanie oczu, ani rozstanie z siostrą i Marią, ani powrót do mojej malutkiej, mrocznej celi.

<sup>[6]</sup> Tekst Konstytucji Islamskiej Republiki Iranu w angielskim tłumaczeniu jest dostępny na stronie <http://www.iranonline.com/iran/iran-info/government/constitution-3.html>.

<sup>[7]</sup> Polski tekst Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych (International Covenant on Civil and Political Rights) jest dostępny na stronie Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka [http://www.hfhrpol.waw.pl/pliki/Miedzynarodowy\\_Pakt\\_Praw\\_Obywatelskich\\_i\\_Politycznych.pdf](http://www.hfhrpol.waw.pl/pliki/Miedzynarodowy_Pakt_Praw_Obywatelskich_i_Politycznych.pdf).

<sup>[8]</sup> „Prisoners of Conscience/Medical concern,” Amnesty International, UA 95/09, Iran, April 8, 2009. [http://www.amnesty.org/fr/library/asset/MDE13/030/2009/fr/6878ab7e-f6de-4948-9a1b-92ad7e06ca3f/mde130302009\\_eng.pdf](http://www.amnesty.org/fr/library/asset/MDE13/030/2009/fr/6878ab7e-f6de-4948-9a1b-92ad7e06ca3f/mde130302009_eng.pdf).



## ROZDZIAŁ 14

„Straćcie nas!”

Marcelina &

W ciągu dwóch tygodni pobytu w Oddziale 209 nie przesłuchiowano nas ani razu. Ten stosunkowo spokojny okres zakończył się krótko po wizycie naszych sióstr, kiedy wezwano nas z Marią osobno na długie, intensywne przesłuchanie, trwające od sześciu do ośmiu godzin. Panowie Mosawat i Sedagat zadawali nam przeważnie te same pytania, jakie zadawali nam oni i inni już od miesiąca: „Kiedy nawróciłyście się na chrześcijaństwo? Z kim o tym rozmawiałyście? Czy miałyście miejsce nabożeństwa w waszym domu? Skąd brałyście Biblię? Kim są ludzie na tej liście? Kim są ludzie na tych zdjęciach? Jest nam tak przykro, że musicie się tutaj znajdować; czy traktują was dobrze? Czy macie jakieś skargi?”.

Gdy wprowadzono mnie do pokoju przesłuchań, pan Mosawat zaproponował, bym zdjęła przepaskę z oczu. „Nie, dziękuję” – odpowiedziałam. „Tak jest mi całkiem dobrze, wolę nie widzieć pańskiej twarzy”.

Wyraziłam swoje niezadowolenie z powodu tego, że po pierwszym przesłuchaniu i powrocie do Oddziału 2 zostałyśmy z Marią oddzielone od siebie. Dodałam jednak: „Muszę panu za tę dobroć podziękować, ponieważ stworzył mi pan możliwość rozmawiania o Jezusie Chrystusie z jeszcze większą liczbą ludzi”.

„Ależ ja nie kazałem umieszczać was na osobnych piętrach, mówiłem tylko o osobnych celach” – zaczął udawać pan Mosawat. „Musiała zajść jakaś pomyłka! Ci ludzie są tak głupi!”

Przez chwilę siedziałam cicho, po czym zaczęłam głośno bić brawa.

„Bardzo dobre przedstawienie! Dziękuję również za nie”.

„Pani Amirizade, pobyt w tym więzieniu będzie totalną ruiną dla pani młodego życia i piękna. Radzę wam przestać upierać się przy waszej wierze, napisać na nowo zeznania, odzyskać wolność i cieszyć się życiem”.

Pan Mosawat był najwyraźniej przyzwyczajony do tego, by podkreślać swoją wyższość, która pozwalała mu utrzymać więźniów w strachu i manipulować nimi, zmuszając do mówienia tego, co on chce.

„Bardzo dziękuję” – odpowiedziałam. „Właśnie czekałam, aż pan udzieli mi zezwolenia, bym cieszyła się życiem”.

Byłam zdeterminowana, by pokazać, że nie wierzę w jego kłamstwa i nie poddam się manipulacjom. Humor i sarkazm były dostępnymi środkami obrony i używałam ich w sposób pewny i zdecydowany.

Po kilku dniach przesłuchiowano mnie znowu – godzina po godzinie zadawano te same pytania. Ale było też kilka niespodzianek. Tym razem w pokoju znajdował się trzeci mężczyzna, którego nie znałam, a w powietrzu unosił się

zapach drogiej wody kolońskiej.

„Czy utrzymujecie stosunki z mężczyznami?” – zapytał pan Mosawat.

„Co pan ma na myśli, mówiąc «stosunki»? Jeśli chodzi o narzeczeństwo, to odpowiadam «nie»”.

„Chcecie powiedzieć, że nie macie żadnych kontaktów z żadnym mężczyzną? Nigdy nie chodziłyście z mężczyzną do kawiarni?”

„Przepraszam. Jestem kobietą, która mieszka samodzielnie od dziesięciu lat. Oczywiście, spotykałam się z różnymi mężczyznami i nawet mogłam spotykać z nimi w kawiarni w ramach moich relacji społecznych. Zadaje pan naprawdę głupie pytania”.

„Czy nie była pani nigdy zakochana?”

„To nie ma nic do rzeczy”.

„Macie rację, to nieważne. Po prostu byłem ciekaw”.

\*\*\*

Maria &

Kiedy nadeszła moja kolej, pan Mosawat zaproponował zdjęcie przepaski. „Ona mi nie przeszkadza” – odpowiedziałam. „Wolę nie widzieć pańskiej twarzy”.

Nie miałam pojęcia, że Marcelina odpowiedziała tak samo.

„Musicie zdjąć waszą przepaskę!” – powiedział inny głos w pokoju. To był pan Sedagat, urzędnik odpowiadający za Oddział 209. Rozwiązałam i zdjęłam przepaskę.

„Czy wiecie, że piszą o was w Internecie?” – zapytał pan Mosawat. „Kim się posługujecie, by informować o waszym aresztowaniu?”

„Nikim. Nic nie wiem o żadnych wpisach w Internecie”.

Mówiłam prawdę. Ta wiadomość była dla mnie zaskoczeniem.

„To ciekawe, że pani nic nie wie o tej stronie internetowej” – powiedział pan Mosawat. „To jest chrześcijańska strona. Dziewięćdziesiąt procent jej zawartości to kłamstwa. Po zalogowaniu do niej od razu widzi się zdjęcie wasze i waszej przyjaciółki”.

„A czego pan się spodziewał?” – odbiłam piłeczkę. „Że chrześcijańskie organizacje będą wychwalać was za nasze aresztowanie? To jest wasza wina. Nic dziwnego, że Kościół reaguje na tę sytuację i publikuje informacje o nas”.

„Nam nie przeszkadza, że ludzie czytają Biblię”.

„W takim razie, dlaczego usunięto ją ze wszystkich księgarni?”

„Kto jest obecnie pani pastorem?”

„Jezus Chrystus jest moim pastorem”.

Przesłuchujący wrócili do moich zeznań, spisanych w komisariacie policji,

gdzie pan Rasti notował zarówno pytania, jak i odpowiedzi. Gdy pokazano mi część tych notatek, mocno się przeciwstawiłam.

„Tu jest napisane, że policja znalazła 800 egzemplarzy Biblii i 30 000 płyt CD w moim mieszkaniu. Ponoć były zapakowane jako prezenty i jeździłam po całym Iranie, rozprowadzając je. Gdy pan Rasti powiedział, że nie muszę czytać zapisanych przez niego odpowiedzi, zapewniał: «Nie mam zamiaru tracić życia wiecznego, pisząc kłamstwa». Ten człowiek jest kłamcą. Nie przyznaję się do niczego, co on napisał”.

Pan Sedagat zbliżył się do mnie i pochylił się, stawiając jedną nogę na moim krześle. Ogromny zakrzywiony nos czynił jego złowrogą twarz jeszcze bardziej odpychającą.

„Niech pani na mnie popatrzy!” – rozkazał.

Spojrzałam w jego groźne, pełne nienawiści oczy.

„Jak pani myśli, co się wydarzy, jeśli będziemy zmuszeni was wypuścić?”

Milczałam.

„Mam nadzieję, że dobrze zna pan osoby o imieniu Haik i Dibadz. Mogła pani słyszeć, co się z nimi stało”.

Ci dwaj mężczyźni, przetrzymywani przez lata w więzieniu, zostali zamordowani w tajemniczych okolicznościach krótko po wyjściu na wolność.

„Pan mi grozi?”

„Nie grożę, tylko mówię, co może się wydarzyć później. Niech sobie pani nie myśli, że może spokojnie wrócić do domu, gdy was zwolnimy. W waszym mieszkaniu może zdarzyć się pożar. Może wam się przydarzyć wypadek drogowy. Myślicie, że dysponujemy tylko takimi środkami?”

„Rozumiem, co pan chce powiedzieć” – odpowiedziałam spokojnym głosem.

„Ale wierzę, że czas naszego narodzenia i śmierci jest w rękach samego tylko Boga. Wola Boga może być taka, że zginiemy w pożarze lub wypadku samochodowym. Ale dobrze jest, że pan powiedział mi o swoich zamiarach. Teraz, jeśli zostaniemy zamordowane po wyjściu z tego więzienia, nasi przyjaciele będą wiedzieć, że za to odpowiada pan”.

„Nie jesteście warte tego, by was zabijać, ryzykując karierę lub reputację!” – wybuchnął pan Sedagat. „Ale jest pełno fanatyków, gotowych przelać waszą krew w ramach *dżihadu*, i my nie możemy im przeszkodzić. Z muzułmańskiego punktu widzenia jesteście apostatkami. Fundamentalisci mają prawo przelać waszą krew i są ich usprawiedliwi”.

„W takim razie jestem szczęśliwa, że nie jestem muzułmanką. Wierzę w Jezusa Chrystusa, a jednym z Jego najważniejszych przykazań jest głoszenie Jego Ewangelii. To nie chrześcijańskie przesłanie powoduje zamęt i chaos w Iranie, tylko wasze ograniczenia i zakazy, a także wasze złe prawa. Gdyby każdy miał prawo poznawać, wyznawać i głosić każdą religię, do jakiej wzywa go własne

serce, Iran nie byłby w takim okropnym stanie, w jakim jest teraz, a ja nie siedziałabym tutaj, dręczona przez pana”.

Na twarzy pana Mosawata pojawił się szeroki nieszczerzy uśmiech.

„Pani Rostampur, w pewnym stopniu się z wami zgadzam. Wiara w Boga nie jest obowiązkowa. Ale mieszkamy w kraju, który akurat w tym czasie ma takie prawo. Nawet ja mogę nie zgadzać się z wszystkimi istniejącymi przepisami, ale muszę ich przestrzegać, inaczej skończyłbym w miejscu, w którym wy teraz jesteście. Czy nie lepiej byłoby pozostawić głoszenie chrześcijaństwa w tym kraju Kościołom? Po co pani się w to angażuje? Niech zainteresowani poznają chrześcijaństwo w kościołach”.

„W jakich?” – oburzyłam się.

Czułam, że moja twarz staje się gorąca.

„Zgromadzenia Boże – kontynuowałam – są zamknięte dla nowych członków. W całym Teheranie zostały ze dwa kościoły, gdzie mówi się po persku, i znajdują się one pod stałą obserwacją waszych służb bezpieczeństwa. Ciągłe grozicie im i nakazujecie, by nie pozwalały muzułmanom nawet wchodzić do środka – i teraz pan mi mówi, że Kościoły mogą głosić Ewangelię w tym mieście? Nawet wierni są dręczeni za chodzenie do kościoła, nie mówiąc już o możliwych gościach”.

„Gdzie pani została ochrzczona?” – przerwał mi pan Mosawat.

„W Centralnym Kościele, około pięciu lat temu”.

\*\*\*

Marcelina &

Po dwóch długich, intensywnych przesłuchaniach, które nastąpiły jedno po drugim, czułam się przygnębiona. Byłam psychicznie wyczerpana i miałam nadzieję, że Maria jakoś daje sobie radę z podobnym ciężarem. Izolacja w malutkich celach bez okien, milczące ochroniarki, ciągle zawiązywanie oczu i otoczenie innych więźniów, których nawet nie mogłam zobaczyć – to wszystko było nie do zniesienia. Wiedziałam, że Bóg jest ze mną, ale desperacko potrzebowałam znaków świadczących o Jego miłości i trosce. W chwilach słabości czułam się tak, jakby Bóg był gdzieś bardzo daleko. Od przesłuchujących dowiedziałam się, że jedna z naszych przyjaciółek, chrześcijanka, zapytana o nas, oświadczyła, że nas nie zna. Razem z córką regularnie przychodziła do naszego domowego kościoła i gorliwie uczyła się chrześcijańskich hymnów i modlitw. Oczywiście śledczy mogli kłamać, ale niektórych szczegółów nie znalazłby, gdyby nie rozmawiali z tą kobietą. Chorowała na serce, jej mąż był bardzo niezadowolony z jej nawrócenia. Nie winiłam jej za kłamstwo, które mogło ją uratować; ale mimo

to moje przygnębienie rosło.

Z drugiej strony bardzo dobrą wiadomością było to, że Mahtab, zapytana na przesłuchaniu, czy „dwie chrześcijanki” nie sprawiały jej kłopotów, odparła: „One nie tylko nie sprawiały kłopotu, ale cały czas pomagały mi i dodawały otuchy. Są o wiele lepsze od was, muzułmanów, którzy utrzymujecie, że jesteście prawdomówni i dobrzy. Wolałabym pozostawać z nimi niż z muzułmanami”.

Władze więzienne miały nadzieję, że Mahtab przekona mnie o błędach chrześcijaństwa i skłoni do powrotu na łono prawdziwej wiary muzułmańskiej. Zamiast tego wydarzyło się coś, czego tylko Bóg mógł dokonać: Mahtab nawróciła się i później została chrześcijanką.

Nigdy nie wychodziłyśmy z celi inaczej, jak tylko z zawiązanymi oczami, co wzmagало atmosferę opresji i poczucie izolacji w Oddziale 209. Inną rzeczą, trudną do zniesienia, były bezcielesne głosy innych więźniów, których nigdy nie widziałyśmy. Krzyczeli w agonii.

Pewnej nocy usłyszałam głos jakiegoś chłopca, błagającego o pomoc i wołającego: „Nie wytrzymam tutaj dłużej! Proszę! Proszę!”. Granice jego wytrzymałości zostały przekroczone. Zaczął walić w metalowe ściany swojej celi.

Po kilku minutach usłyszałam, jak ochroniarze przeszli korytarzem i otworzyli drzwi do celi chłopca. Usłyszałam dźwięki uderzeń pałką i krzyki chłopca. Czasami pałka nie trafiała w chłopca i uderzała w metalową ścianę, wydając odgłos podobny do strzału z armaty. Ochroniarze bili go, bili i bili, aż w końcu krzyki zamieniły się w ciche stękanie, od którego pękało mi serce. Potem nastąpiła cisza. Nigdy nie dowiedziałam się, kto to był, czy zabrano go, czy pozostał, czy zmarł, czy przeżył.

Inna kobieta w celi obok jęczała i płakała tak bardzo, że nawet pomyślałam, iż została celowo umieszczona w pobliżu, by przeszkadzała nam spać całą noc. Ochrona całkowicie ją ignorowała. To było dziwne, biorąc pod uwagę zasady dotyczące zachowania ciszy w Oddziale 209.

„Tak się boję! Tak się boję! Błagam, pomóżcie mi!” – płakała dzień w dzień. Błagała o tabletki nasenne, które jej podawano; ale jak tylko się budziła, znów zaczynała jęczeć i płakać. Położyłam dłonie na ścianie jak najbliżej tej kobiety i modliłam się o pokój ducha dla niej. Czasami na chwilę zamilkła, ale wkrótce płakała znowu.

W nocy przyśniło mi się, że ochrona wypuściła tę kobietę z celi. Miała twarz zjawy i chodziła tam i z powrotem po korytarzu. W moim śnie kobieta weszła do mojej celi i położyła głowę na moje kolana. Kiedy zaczęłam modlić się za nią, jej cierpienia i problemy zostały przerzucone na moje ramiona. Były tak ciężkie, że się przewróciłam. Ale kobieta odzyskała spokój. Zapłakała i powiedziała, że bardzo pragnęłaby wiedzieć, czy w celi obok są chrześcijanie.

Obudziłam się, drżąc z przejęcia, i opowiedziałam Mahtab i Munis o moim

śnie. Zrozumiałam go jako znak, że kobieta zostanie zwolniona. Kilka godzin później ochrona weszła do jej celi i usłyszałyśmy, jak mówiła: „Dziękuję! Bardzo dziękuję!”. Było jasne, że odzyskała wolność.

„Uważaj na to, co robisz, jeśli chcesz pozostać na wolności” – powiedział jeden ze strażników.

„Tak, tak, dziękuję!” – powtarzała w kółko kobieta. To było wspaniałe uczucie: moja modlitwa została wysłuchana nawet wtedy, gdy nie widziałam osoby, za którą się modłę.

\*\*\*

Minęło kilka dni od naszego przesłuchania. Ponownie zabrano nas z Marią do Biura Bezpieczeństwa numer 2 Trybunału Rewolucyjnego. Byłyśmy złączone kajdankami, zabroniono nam rozmawiać ze sobą. Czarny, nieoznakowany samochód wiozł nas ulicami Teheranu. Nie widziałyśmy miasta od czasu, gdy dwa miesiące temu przeniesiono nas do Ewin. Widok tylu ludzi, sklepów, światel i przestrzeni był zdumiewający. Miałam pragnienie zawołać: „Ludzie, słuchajcie mnie wszyscy! Spójrzcie na nas! Popatrzcie, jak wasz skorumpowany rząd przetrzymuje nas za kratami, nie mając nawet o co nas oskarżyć! Zobaczcie, jak ten reżim więzi młode matki i torturuje nastoletnie dziewczyny, byleby pozostać przy władzy!”.

Z drugiej strony było coś niesamowitego w bólu i cierpieniu, które towarzyszyły walce o prawdę w murach więzienia Ewin. Tego czegoś brakowało na ulicach miasta. Zewnętrzny świat wydawał się spłycony i pozbawiony życia w porównaniu z więziennym. Minęliśmy ulicę, która prowadziła do naszego domu. Wydawało się, że tamta rzeczywistość i tamte wypadki zdarzyły się dwadzieścia lat temu.

Przyjechałyśmy do sądu i weszłyśmy do biura pana Sobhaniego. Czytał coś i nawet nie podniósł oczu, kiedy weszłyśmy. Po chwili wyprostował się w fotelu.

„Robicie wokół siebie sporo hałasu” – zaczął. „Telewizja satelitarna nadaje o was na okrągło. Codziennie otrzymujecie setki listów i kartek pocztowych. Wszyscy oskarżają nas, że prześladujemy was ze względu na wiarę. Co oni nazywają «prześladowaniem za wiarę»?”

Im dłużej mówił, tym bardziej się irytował i podnosił głos.

„Przecież nas nic a nic nie obchodzi, w co ludzie wierzą!”

Według nas, to stwierdzenie sędziego Trybunału Rewolucyjnego Iranu kwalifikuje się do nagrody „Kłamstwo Stulecia”.

Pan Sobhani ze złością patrzył na nas z za swojego biurka.

„Myślicie pewnie, że cała ta publiczność powstrzyma nas przed spełnieniem naszych służbowych i religijnych obowiązków. Mogą sobie mówić, co chcą! Mnie

to nie interesuje. Jesteście kryminalistkami i ja wykonam mój obowiązek religijny”.

„Dlaczego w takim razie nasza sprawa nie zostanie pokazana w telewizji irańskiej?” – zapytałam. „Niech ludzie dowiedzą się, że to, co robimy, jest przestępstwem”.

Pan Sobhani nagle zmienił temat.

„Czy macie jakieś uwagi co do warunków pobytu w więzieniu?”

„Wyrażamy sprzeciw wobec warunków więziennych, a także wobec tego, że przetrzymujecie nas w zawieszeniu, bez postawienia zarzutów” – powiedziała Maria. „Protestujemy przeciwko temu, że nigdy nie widziałyśmy oficjalnego pisemnego oskarżenia pod naszym adresem”.

„Jesteście oskarżone o apostazję i obrazę świętej wiary islamu! Przyjmujecie to oskarżenie?”

„Nie!”

„Jesteście uznane za odstępczynię i należy się wam śmierć. Wciąż macie jakieś skargi?”

„Czy pan naprawdę wierzy w to, co mówi?” – przerwałam.

„Oczywiście, że tak”.

„No to prosimy okazać nam honor i stracić nas, jak tylko będziecie mogli”.

Nawet będąc w więzieniu nie pozwoliłam się zastraszyć. Zamiast lęku pogrożki pana Sobhaniego obudziły we mnie energiczny sprzeciw.

„Oczywiście, że to uczynię”.

Zezłoszczony sędzia Sobhani kazał nam podpisać ostateczne oświadczenie obronne. Wciąż nie miałyśmy pomocy prawnika. Musiałyśmy odpowiadać na zarzuty pisemnie i ustnie tak wiele razy, że straciłyśmy rachubę.

„Nie zmieniałam religii, ponieważ wcześniej nie miałam żadnej religii” – powiedziała Maria. „Odkryłam moją ścieżkę wiary w Jezusa Chrystusa i będę dzielić się moim doświadczeniem Jezusa z każdym, kto tylko o to zapyta”.

Zakończyłam moje pisemne oświadczenie przepowiednią: „Jeśli trybunał i sędziowie zignorują zasady sprawiedliwości i prawdy i wydadzą niesprawiedliwy wyrok, spadnie na nich gniew Boga, który pewnego dnia pochłonie ich w swoich płomieniach”.

W czasie naszej rozmowy z panem Sobhanim do pokoju wszedł inny mężczyzna. Był młodszy od sędziego i elegancko ubrany. Nazywał się Heidarifar; przekazano mu naszą sprawę, ponieważ władze były już mocno zaniepokojone z powodu publicznego zainteresowania naszą sprawą. Zbyt wiele oczu obserwowało nas, byśmy po prostu zniknęły lub padły ofiarą „tragicznego wypadku”. Nie odwołałyśmy naszych oświadczeń. Reżim stawał wobec wyzwania, by uzasadnić przed całym światem wysunięte przeciwko nam oskarżenia, i zaczynał rozumieć, że jest to niemożliwe.

\*\*\*

Maria &

W czasie naszego pobytu w więzieniu obecność Ducha Świętego była naszą opoką. Dawała nam pewność, że Bóg kocha nas, nigdy nas nie zostawi i ma jakiś cel w tym wszystkim, co się z nami dzieje. Jednak zdarzały się chwile, gdy byłam tak słaba i wyczerpana, że traciłam tę pewność.

Miałam taki czas, kiedy przez kilka dni nie odczuwałam obecności Boga. Samotność zakradała się do mojego serca i przerażała mnie. Ogarnęła mnie taka pustka, jakiej nie doznałam nigdy, będąc chrześcijanką – z jej powodu nie mogłam ani jeść, ani pić. Modliłam się, chodząc po mojej malutkiej celi i prosząc Pana, by dał jakiś widoczny znak swojej obecności. Kiedy Fereszta się obudziła, zaczęłam śpiewać hymny, a mój głos wypełnił cały korytarz. Fereszta przestraszyła się, że zaraz przyjdą ochroniarze. Ja również czekałam na nich, ale śpiewałam dalej. Śpiewałam bez przerwy kilka godzin. Koniec z milczeniem! Koniec z uleganiem nieludzkim zasadom! Śpiewałam z całych sił aż do zmierzchu.

W końcu wyczerpana położyłam się na środku celi i zamknęłam oczy. I oto się stało. Duch Boży ogarnął mnie, wypełnił i umocnił. Poczulałam, że On nigdy mnie nie opuszczał. Smutek i przygnębienie ulotniły się; byłam w pełni szczęśliwa.

„Dziwię się, że przez cały dzień nie przyszedł nikt z ochrony” – powiedziała Fereszta. „Twój głos musiał sięgać więzienia męskiego, a tamci ochroniarze powinni zgłosić zdarzenie ochronie części kobiecej”.

Fereszta również odczuwała obecność Boga.

W czasie kolacji ochroniarka, którą przezwaliśmy Zjawą, przyniosła nam jedzenie i powiedziała: „Mogłaś dziś robić, co chciałaś. Twój głos było słyhać aż na drugim końcu budynku”.

„Ależ ja nic nie robiłam” – odparłam. „Po prostu śpiewałam”.

Mimo, że Zjawa nie okazywała uczuć, zauważyłam, że jest jej smutno.

„Coś się stało?” – zapytałam. „Coś panią denerwuje?”

„Jestem zmęczona tą pracą w więzieniu” – przyznała się Zjawa. „Myślę, że nie pasuję do niej. Czy możesz się za mnie pomodlić?”

„Z wielką radością”.

Oto modliłam się za osobę, która trzymała mnie za kratami. Obecność Boga dawała mi poczucie bezpieczeństwa i chroniła mnie w falach najstraszniejszej nawałnicy, w najokropniejszym oddziale najbardziej przerażającego więzienia w jednym z najbardziej bezwzględnych krajów na świecie. Z pewnością nigdy nie czułam większego błogosławieństwa.



## ROZDZIAŁ 15

### *Lekcja wiary*

Marcelina &

Więcej o nasilającym się zainteresowaniu naszą sprawą dowiedziałyśmy się razem z Marią w czasie kolejnego piętnastominutowego spotkania z naszymi siostrami. Powiedziały, że jest o nas coraz głośniej w telewizji i Internecie. Wspólnoty chrześcijańskie i członkowie różnych organizacji z całego świata modlili się za nas. Zostałyśmy częścią duchowej rodziny całego świata. Niektóre relacje dotyczyły także przedstawicieli innych religii, np. bahaitów, którzy doznają okrutnych prześladowań w Iranie. Spotkałyśmy w więzieniu jedną bahaitkę, dobrą, miłą i otwartą kobietę, z którą szybko się zaprzyjaźniłyśmy.

Nasze siostry mówiły też o zbliżających się wyborach prezydenckich. W mediach roilo się od reportaży i prognoz. Polityk Mahmud Ahmadineżad był bardzo niepopularny. Wielu obywateli myślało, że przegra wybory z o wiele lepszymi kandydatami, jak Mehdi Karrubi, Mohsen Rezai, a zwłaszcza Mir-Hosejn Musawi. Nasze siostry nawet napisały listy do Musawiego i Karrubiego, prosząc w naszej sprawie. Według mediów Musawi, przywódca o otwartym umyśle, rzecznik reform, który był premierem w Iranie do roku 1989, kiedy to rozwiązano jego rząd, był niekwestionowanym faworytem. Gdyby wygrał wybory, miałybyśmy wielką szansę na zwolnienie.

Po kilku dniach nastąpił kolejny etap przesłuchań. Wzywano nas w różnych dniach, ale znowu miałyśmy podobne przeżycia. Pan Mosawat tłumaczył, że nasze aroganckie zachowanie wobec pana Sobhaniego w czasie ostatniej wizyty w Trybunale tylko rozzłościło sędziego i utrudniło rozstrzygnięcie naszej sprawy. Sąd nie tyle przejmował się teraz tym, w co wierzymy, ile tym, jak o tym mówimy. Z pewnością reżim gorączkowo poszukiwał sposobu, by pogrążyć nas, wyjść z twarzą z całej sytuacji.

Tym razem wszystkie znane już mi pytania zadał ponownie profesor teologii: kiedy zostałam chrześcijanką, dlaczego „porzuciłam” islam, czym się zajmowałam, jakich mam przyjaciół, gdzie jeździłam itd.

Opisałam mu doświadczenie, które przywiodło mnie do Chrystusa: „Pewnego dnia modliłam się, prosząc o mądrość i zrozumienie mojej wiary. Wtem zstąpił na mnie Duch Święty i zaczęłam się modlić słowami, których wcześniej nie znałam, ale rozumiałam, co mówię do Boga. Ujrzałam Jezusa tak blisko, że mogłam Go dotknąć. Czułam ogień na swoim czole, jak gdyby ktoś przypalił je rozżarzoną żelazną prętą. Modliłam się do czwartej nad ranem. Poznałam Boga przez Jezusa Chrystusa. Nigdy się Go nie zaprę, ponieważ oznaczałoby to zaparcie się mojego istnienia”.

W oczach pana Mosawata pojawiły się łzy. Jak tylko je poczuł, szybko otarł. Profesor przez godzinę opowiadał o krzywdach, jakie wyrządzali chrześcijanie w czasach wypraw krzyżowych.

„Co to za chrześcijaństwo, które dokonuje takich okropnych rzeczy?”

„Profesorze – odparłam, – nie mogę zakwestionować pana wiedzy historycznej. Ale wcale nie trzeba szukać w książkach historycznych, by zauważyć mnóstwo przykładów okropności, jakich dopuszczają się muzułmanie, jeśli tylko zechce pan o nich słuchać. Są również tu i teraz, w tym więzieniu. W celi ze mną jest nastoletnia dziewczyna Mahtab, która siedzi od kilku miesięcy za «zbrodnię» urodzenia się w rodzinie *mudżahedinów*. Spotkałam w tym więzieniu niezliczoną liczbę dziewcząt, torturowanych i bitych przez pana współpracowników. Czy może pan to nazwać inaczej niż okrucieństwem?”

„Nie wiem, o czym pani mówi” – odpowiedział profesor. „Przyszedłem tutaj tylko ze względu na panią i nic nie wiem o innych więźniach Oddziału 209”.

„Wystarczy się rozejrzeć”.

„W każdym razie przyszedłem tutaj, by powiedzieć pani, że upieranie się przy wierze chrześcijańskiej sprawi pani wiele kłopotów. Ludzie, których krewni i przyjaciele oddali życie dla chwały islamu, nie dopuszczą, by sprowadzała pani na manowce naszą młodzież. Jeśli pozwolimy, by każdy głosił swoje poglądy i opinie, nastąpi anarchia i wszystko runie. Myślę, że lepiej będzie, jeśli pani to wszystko przemyśli na nowo. Zrobiliśmy wszystko, by pani pomóc i jak najprędzej zamknąć pani sprawę, ale pani arogancja w sądzie stworzyła nowe problemy. Jeśli nadal będzie się tak pani zachowywać, nic nie będziemy mogli zrobić, by pani pomóc”.

„Wszyscy inni aresztowani – wtrącił pan Mosawat – w końcu zgadzali się na współpracę. Zmieniając swoje zdanie i sposób rozmawiania, zyskiwali wolność. Przestańcie się upierać. Chcemy was wypuścić, ale utrudniacie nam to”.

\*\*\*

Maria &

Kiedy nadeszła moja kolej na przesłuchanie, profesor zasugerował, że chyba nie do końca rozumiem, na czym polega chrześcijaństwo. Dał do zrozumienia, że nawróciłam się w tak młodym wieku, że niezbyt dobrze wiedziałam, co robię.

„Badania i studia dostarczą panu jedynie teoretycznej wiedzy” – odparłam. „Aby poznać Boga, potrzeba czegoś więcej. Ja doświadczyłam Jezusa Chrystusa. Żyłam z Nim. Dotykałam Go. Zapierając się Go, zaparłam się samej siebie. Tego właśnie pan nie rozumie. I tego pan nigdy nie dowie się ze swoich badań”.

„Mamy książki, które pomagają nam rozumieć Koran” – powiedział

profesor. „Mądry człowiek powinien rozumieć, że nie wolno mu odrzucać spełnionej religii”.

„Co może pan wymienić w islamie, co potwierdzałoby jego pełnię?” – zapytałam. „Wojny? Nadużycia władzy? Małżeństwa na jedną godzinę?”

„To wszystko jest konieczne” – przerwał mi profesor. „Bóg zesłał nam to wszystko, ponieważ obecnie tego potrzebujemy, by zapobiec chaosowi i korupcji. A czy w chrześcijaństwie jest coś, co ma większą pełnię, co przywiodło panią do porzucenia islamu?”

„Przede wszystkim Chrystus powiedział: «Ja jestem pierwszy i ostatni» (por. Ap 22,13). Przed Nim nie ma nikogo i nikogo nie ma po Nim. Pełnia Chrystusa jest oczywista w Jego miłości. Nawet najwięksi grzesznicy mogą doznać miłości Bożej przez Jezusa. On był doskonałym człowiekiem, który na krzyżu złożył swoje życie w ofierze za nasze grzechy. Płacąc cenę, której nigdy nie bylibyśmy w stanie zapłacić, dał nam bezcenny, święty dar wolności – wolności od grzechu i wolności od przepisów religijnych, których żaden śmiertelnik nie może doskonale wypełnić. Prawa religijne przynoszą potępienie i śmierć, a nie przebaczenie i wolność. Poznałam wspaniałą młodą kobietę o imieniu Zejnab. Stracono ją w zemście za to, że broniła swojego życia wobec brutalnego męża, którego musiała poślubić zgodnie z prawem religijnym. To samo prawo religijne nie dawało jej możliwości ucieczki. Niech pan porówna to z opowiadaniem, jak postąpił Jezus, kiedy usłyszał o kobiecie oskarżonej o cudzołóstwo i skazanej na śmierć przez ukamienowanie. Powiedział: «Kto z was nie ma grzechów, niech pierwszy rzuci kamień». Ani jeden kamień nie został rzucony. Dlatego wybieram Jezusa. On uczy, że kiedy nas uderzą w policzek, mamy nadstawić drugi. Każe nam być dobrymi w stosunku do naszych wrogów. Te słowa wywołują we mnie o wiele większy odzew niż muzułmańskie nawoływanie do zemsty. Wolę iść za Jezusem, nawet jeśli Jego religia jest niepełna”.

Profesor potrząsnął głową.

„Ja wolę Allaha, który decyduje o przebaczeniu lub zemście. Dlaczego mam być dobry dla moich nieprzyjaciół? O wiele bardziej pasuje mi Koran. Tak naprawdę, gdybym należał do pani rodziny, nie czekałbym na wyrok sądu, by wymierzyć karę, na którą pani zasługuje”.

„Jestem pewna, że zabiłby mnie pan własnoręcznie” – stwierdziłam. „Otrzymałby pan nagrodę za prowadzenie *dżihadu*”.

„Ma pani rację!”

Profesor zwrócił się do pana Mosawata: „Pamięta pan, jak ajatollah Chomeini powrócił do Iranu? Pamięta pan nasz entuzjazm i radość, że on przychodzi, by wybawić nas od cudzoziemskich ciemności? Czy może pan wyobrazić sobie, że dzieci tej wielkiej rewolucji pewnego dnia odwrócą się od islamu?”.

W jego oczach pojawiły się łzy wzruszenia.

„Jestem gotów oddać życie za imama i jego ideały!”

Znowu zwrócił się do mnie:

„Jezus był prorokiem Boga, a nie Jego synem. Również imam Husejn był zbawicielem. Dlaczego nie chce pani w niego wierzyć?”

„Jezus jest inny niż jakakolwiek postać Koranu” – wyjaśniłam. „Narodził się z Maryi Dziewicy i z Ducha Świętego. Nie miał żadnego grzechu. Powstał z martwych. Nikt nie zrobił tego, co zrobił On. Wszyscy inni prorocy byli śmiertelnymi, grzesznymi ludźmi i dlatego nie mogli nikogo zbawić”.

„Osobną rzeczą jest prywatna wiara w to wszystko” – rzekł profesor. „Ale dlaczego pani musi ewangelizować?”

„Jezus mówił, że jeśli ktoś potrafi czynić dobro, a nie czyni, grzeszy. Jednym z najważniejszych Jego przykazań jest to, żeby dawać o Nim świadectwo. Jestem przekonana, że każdy powinien dowiedzieć się prawdy o Jezusie Chrystusie i dokonać wyboru według tego, co podpowiada mu serce: przyjąć Chrystusa lub odrzucić”.

Profesor oponował:

„Koran uczy, że każdy może zostać muzułmaninem, ale muzułmanie nie mogą odwrócić się od swojej religii. Muzułmanin, który porzuca swoją religię, jest niewiernym”.

„Ale Koran też mówi, że religia nie jest przymusowa<sup>[9]</sup>” – odparłam. „Widzę, że pan pomija ten werset. Chrystus przyszedł, aby uwolnić świat od przekleństwa praw religijnych. Nikomu się nie uda dokładnie wypełnić tych praw, ponieważ ludzie są niedoskonalimi. Jezus wziął na siebie winy i uchybienia wszystkich, by uwolnić nas od konsekwencji tego, że nie potrafimy dokładnie przestrzegać prawa. A teraz islam usiłuje narzucić ludziom te prawa na nowo i w innej formie. Nie wydaje się panu, że to jest pozbawione sensu? Jezus powiedział, że jeśli nie otworzymy się na Królestwo Boże jak dzieci, to nigdy Go nie zrozumiemy. Prawda Pana objawiona jest tylko tym, którzy zaufają Mu jak dzieci i otworzą swoje serca dla Niego”.

„Zgadza się, zapłaciłyśmy wysoką cenę za naszą wiarę” – podsumowałam. „Ale zapłaciłyśmy ją z radością. Jezus sam powiedział: «Jeśli chcesz być Moim uczniem, musisz wziąć swój krzyż i iść za Mną» (por. Mt 16,24). On zapłacił wysoką cenę za swoją wierność Ojcu i oczekuje od nas tego samego. Warunki w więzieniu są trudne, ale to nic w porównaniu z ofiarą Jezusa. Tylko tyle możemy zrobić, by okazać naszą miłość i ufność względem Niego”.

Wtedy odezwał się pan Mosawat: „Dowiedywałem się na wasz temat i obserwowałem was obie. Nie zachowujecie się jak osoby, które przylgnęły do jakiejś sekty – nie przestrzegacie żadnych przepisów dietetycznych, nie macie specjalnych ubrań, nie używacie odmiennego języka. Wasza wiara płynie z głębi

i mocno przy niej trwacie. Szanuję waszą wiarę, ponieważ nie spotkałem nigdy ludzi podobnych do was. Musiałyście doświadczyć czegoś potężnego, skoro w ten sposób bronicie swojej wiary. Ale chcę prosić was, byście nie rozmawiały o tym z innymi. I nie rozdawajcie Biblii, bo to jest niezgodne z prawem”.

„Nie możemy rozdawać Biblii, bo zabraliście nam wszystkie egzemplarze” – przypomniałam mu. „Ale Bóg sprowadza swoją prawdę na świat na wiele sposobów. On nie jest zależny od dwóch dziewczyn, rozdających Nowy Testament na ulicy. Jeśli ktoś szczerze Go szuka, Bóg objawi mu prawdę. Do tego celu Bóg nie potrzebuje ani książek, ani mnie, ani Marceliny”.

„Pani Rostampur – powiedział pan Mosawat, – mamy nadzieję, że w przyszłym tygodniu wasza sprawa zostanie zamknięta i wrócicie do domu. Nie chcemy was przesładować. My tylko czekamy na wyniki wyborów, by uzyskać potwierdzenie nominacji sędziów. Jeśli wygra Musawi, wpłynie to pozytywnie na waszą sprawę. Tylko proszę, jeśli was znowu wezwą do sądu, zachowujcie milczenie i nawet się nie uśmiechajcie. Jeśli tam pomyślą, że jesteście szczęśliwe, potraktują was surowo”.

„Życzę pani sukcesów” – powiedział profesor. „Dużo myślałem o tym, dlaczego Bóg wybrał was dwie. W Teheranie mieszkają setki ludzi rozpowszechniających Biblię i głoszących chrześcijaństwo, ale nikt nie zyskał takiej popularności jak wy. Wszyscy o was rozmawiają. Zrobili z was bohaterki. Wasze zdjęcia są pokazywane w telewizji codziennie. Dlaczego to się nie wydarzyło wcześniej?”

„Znam odpowiedź na to pytanie” – odpowiedziałam. „Proszę o tym pomyśleć”.

„Pomyślę” – rzekł profesor wychodząc. „Powodzenia”.

„Ja również życzę panu powodzenia” – powiedziałam.

\*\*\*

Marcelina &

Po tych przesłuchaniach pan Mosawat powiedział, że to były już ostatnie. Każda z nas zareagowała w ten sam sposób: skoro tak, to nie ma powodu, by nas przetrzymywano osobno. Na naszą prośbę pozwolono mi opuścić celę, gdzie przebywały Munis i Mahtab, i przenieść się do celi Marii i Fereszty. W ciągu czterech lat naszej przyjaźni był to najdłuższy okres, kiedy się nie widziałyśmy.

Gdy stanęłam w drzwiach celi Marii, rzuciłyśmy się sobie w objęcia, płacząc z radości. „Dalej, dalej” – powiedziała ochroniarka niezadowolonym tonem. „Kończcie z tym i wejdźcie do środka”.

Oprócz przeniesienia prosiłyśmy o Biblię i telewizor. Otrzymałyśmy

telewizor, ale Biblii nam nie dali.

Już nie musiałyśmy chować kwiatków i krzyżyków, które dla siebie nawzajem robiłyśmy. Po wejściu do celi zobaczyłam przede wszystkim kolekcję krzyży i innych znaków, które zostawiałam dla Marii. Razem z Feresztą kontynuowałyśmy wytwarzanie tych „gadżetów”, ucząc się nawzajem technik robienia kwiatów do naszych zbiorów ze zużytych plastikowych kubeczków.

Te zajęcia pomagały nam jakoś skrócić powoli płynące godziny. Pomagała w tym również telewizja, mimo że nie miałyśmy kanałów satelitarnych i musiałyśmy oglądać tylko cenzurowane przez rząd programy propagandowe i zaaprobowane przez reżim audycje muzułmańskie. Oczywiście nie miałyśmy dostępu do jakiegokolwiek programu o sobie, o czym mówił profesor i nasze siostry. Chętnie dowiedziałybyśmy się, co telewizja mówi na nasz temat.

Ponieważ jedynymi ludźmi, jakich widziałyśmy, były ochroniarki, ich stosunek do nas miał ogromny wpływ na nasze samopoczucie. Niektóre z nich były życzliwe. Wyznawały, że nie lubią swojej pracy, ale nie mają żadnej innej możliwości zarobku. Niektóre pytały o chrześcijaństwo i prosiły, abyśmy się za nie modliły, co zawsze chętnie robiłyśmy. Inne z kolei były dla nas niemiłe. Czasami ich nieuprzejmość i nienawiść wobec nas pogarszały nam humor i wbrew sobie odczuwałyśmy złość.

Pewnego popołudnia przyszła ochroniarka, którą przezwałyśmy Maruda, i oznajmiła, że zabiera nas do telefonu, byśmy mogły zadzwonić. Nałożyłyśmy przepaski i poszłyśmy za nią. Na miejscu Maruda podała Marii numer do mojej siostry Eleny i powiedziała, że tylko na ten numer wolno jej zadzwonić. Kiedy Maria zaczęła protestować, że to pomyłka, ochroniarka nakrzyczała na nią; w końcu jednak pozwoliła jej wybrać właściwy numer do swojej siostry.

Gdy nadeszła moja kolej, ochroniarka zrobiła to samo: dała mi numer do naszego z Marią mieszkania i powiedziała, że nie wolno mi wybrać żadnego innego numeru.

„To jest numer do naszego mieszkania” – powiedziałam. „Tam nikogo nie ma”.

„Kłamiesz!” – wrzasnęła ochroniarka.

„Nie jestem kłamcą” – odparłam. „Siedzę tutaj za to, że mówię prawdę”.

Sprzeczką przerodziła się w głośną kłótnię, ale w końcu ochroniarka przyznała się do błędu i pozwoliła mi zadzwonić do mojej siostry. Jednak to zajście wywołało we mnie bardzo niemiłe odczucia. Po krótkiej rozmowie z Eleną musiałam przerwać i wrócić do celi. Tam próbowałam się odprężyć, ale serce mi biło jak szalone, moje plecy były jak w ogniu, cała się trzęsłam i zaczęłam się dusić, z trudem łapiąc powietrze. Maria i Fereszta wezwały ochroniarkę, która nagle wystraszyła się, że będzie miała problemy, gdyż to ona spowodowała atak choroby. Zabrali mnie do szpitala, gdzie dostałam zastrzyk i podano mi tlen. Dzięki

zastrzykowi przestałam się trząść, ale tlen pomógł mi tylko w niewielkim stopniu, ponieważ ze względów oszczędnościowych zawór był otwarty tylko częściowo.

\*\*\*

Kilka dni później, przed samym obiadem, Maria poszła do toalety, by umyć ręce. Zazwyczaj okna w korytarzu są zamknięte, ale tym razem jedno z nich było otwarte do wewnątrz i zagradzało przejście. Maria z zawiązanymi oczami mocno się uderzyła, przy czym róg ramy trafił jej w twarz w niewielkiej odległości od oka. Maria przewróciła się na podłogę. Ochroniarka, którą nazywaliśmy Zjawą, rzuciła się do niej, by zobaczyć, co się stało. „Musisz bardziej uważać na korytarzu!” – warknęła. „Powinnaś patrzeć przed siebie spod przepaski!”

Ta uwaga wprawiła mnie w stan furii. „Niesamowite!” – zawołałam. „Korytarz jest tak wąski, że dwie osoby się nie przecisną nawet przy zamkniętych oknach! A wy otwieracie okno i zawiązujecie nam oczy!”

Zjawa była tak zdenerwowana i zagubiona, że nie zauważyła, iż my z Feresztą wybiegłyśmy na hałas z naszej celi i po raz pierwszy byłyśmy na korytarzu bez przepasek na oczach.

We trzy pomogłyśmy Marii podnieść się i wrócić do celi. Jej policzek przy oku i warga zsiniały i spuchły. Po kilku minutach pół jej twarzy – to był jeden wielki siniec. Zjawa zaproponowała pójście do lekarza, ale Maria odmówiła. Zjawa była jedną z życzliwszych ochroniarek i Maria nie chciała, by miała z jej powodu problemy. Poza tym na podstawie niedawnych doświadczeń można było przypuszczać, że lekarz nie za wiele jej pomoże. Zamiast tego przyłożyłyśmy Marii lód do twarzy.

Napisałyśmy podanie do naczelnika więzienia z prośbą o możliwość powrotu do części publicznej Oddziału 2. Argumentowałyśmy, że po zakończeniu przesłuchań nie ma powodu, by przetrzymywać nas w Oddziale 209. Poza tym złożyłyśmy skargę na Marudę, a przy okazji na Żelazną Kobietę, która również była dla nas niedobra.

Jednak władze więzienia miały większe problemy niż nasze podanie. 12 czerwca 2009 roku odbyły się wybory prezydenckie, w których wielu obywateli głosowało na Musawiego. W ciągu całego dnia telewizja irańska podawała, że zliczanie głosów potwierdza prowadzenie w wyborach Ahmadineżada, powtarzając co chwila, że reżim bardzo dba o prawdę i dokładność w podliczaniu głosów. Pod koniec dnia minister spraw wewnętrznych ogłosił, że na urząd prezydenta został ponownie wybrany Ahmadineżad. Nawet ocenzurowane wiadomości jasno pokazywały, że ludzie nie ufają tym wynikom i będą protestować. Obaj panowie, Musawi i Karrubi, podważyli wiarygodność procedury wyborczej, oskarżając rząd o sfałszowanie wyników, i wzywali do ich zakwestionowania. Wzburzeni

obywatele wyszli na ulice i ich początkowo spokojny protest wkrótce przerodził się w gwałtowne zamieszki.

Kilka dni po tych wydarzeniach powiedziano nam, że opuszczamy Oddział 209. Nie wiemy, co było tego przyczyną: nasze podanie, presja zewnętrzna czy coś innego. Być może chodziło o to, że setki ludzi zatrzymanych w czasie zamieszek szybko zapełniły cele Oddziału 209. Wiedziałyśmy, że Bóg panuje nad całą sytuacją.

Nie byłyśmy pewne, czy zostaniemy zwolnione, czy po prostu wrócimy do naszej starej celi w Oddziale 2. Fereszta cieszyła się z nami, że opuszczamy to miejsce, ale było jej przykro, że zostanie sama. Nam też było smutno z nią się rozstawać.

W końcu ochrona zabrała nas na dwór i zaprowadziła do Oddziału 2. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy wychodziłyśmy na zewnątrz bez przepasek na oczach. Po drodze jedna z ochraniarek zapytała, czy jesteśmy więźniarkami politycznymi.

„Wychodzimy z Oddziału 209, ale nie jesteśmy polityczne” – powiedziała Maria. „Oskarżono nas o to, że jesteśmy chrześcijankami”.

„Naprawdę? Nie wiedziałam, że to jest przestępstwo”.

„Nawróciłyśmy się”.

Twarz ochraniarki skrzywiła się w grymasie dezaprobaty, jak gdyby zjadła kawałek cytryny.

„Wstyd! Nie mogliście popełnić jakiegoś lepszego przestępstwa?”

Przeszłyśmy kontrolę bezpieczeństwa i z powrotem przebrałyśmy się w swoje ubrania, porzucając workowate męskie łachy więzienne, które wyglądały na nas tak komicznie. Następnie pobiegłyśmy po schodach w górę, pragnąc zobaczyć twarze drogich przyjaciółek, które były oddzielone od nas murami, ale mocno tkwiły w naszych sercach i modlitwach. Trzydzieści osiem dni naszej nieobecności wydawały się dwa razy dłuższe niż całe życie.

[9] Werset 2:256 mówi: „Nie ma przymusu w religii!” (przyp. tłum. – cyt. za tłumaczeniem polskim Koranu J. Bielawskiego, PIW, Warszawa 1986). Należy on do tzw. wersetów zniesionych przez inne, stojące w opozycji do niego, koraniczne nakazy (przyp. red.).



## ROZDZIAŁ 16

### *Inna wolność*

Marcelina &

To był radosny powrót do domu. Jak tylko weszliśmy przez zakratowane drzwi Oddziału 2, spotkałyśmy na korytarzu Widę. Radośnie uściskała nas i ogłosiła wszystkim nasze przybycie. Przyjaciółki wybiegły, żeby nas powitać: Szirin, Silwa, Sepida, Tahera i inne utworzyły wokół nas ciasne kółko. Po izolacji Oddziału 209 powrót do publicznej części więzienia wydawał się prawie tak niesamowity, jak wyjście na wolność. Hałas i poczucie wspólnoty były wspaniałe.

„Wasze twarze są bardzo blade” – powiedział ktoś. „Wyglądacie na takie zmęczone!”

„Wasze twarze są jakby opuchnięte” – powiedział ktoś inny. „Bili was tam?”

„Nie” – zapewniałyśmy wszystkich. „Nikt nas nie bił. Zadawali nam tylko mnóstwo pytań”.

W ciągu pięciu i pół tygodnia naszej nieobecności na Oddziale zaszło wiele zmian. Panią Pari wypuszczono za kaucją. Naszą przyjaciółkę Arezę zwolniono. Przed wyjściem powiedziała Rozicie, że zwolnienie jest odpowiedzią na moją modlitwę za nią. Również nasza droga Merceda wyszła na wolność. Pewnego dnia osoba, która wniosła przeciw niej oskarżenie, wydawałoby się, niepodważalne, po prostu je wycofała. Merceda tańczyła i krzyczała z radości, a potem obiegła cały Oddział, opowiadając wszystkim, że wydarzył się cud, ponieważ modliłyśmy się do Jezusa. Jej koleżanka Setara i była kochanka Nazanin również zostały zwolnione. Martwiłyśmy się o nie, zastanawiając się, gdzie są i co robią, jak sobie radzą ze skaleczeniami na ciele i z jeszcze boleśniejszymi ranami na duszy. Znajdywałyśmy pocieszenie w tym, że Bóg na pewno o nie się troszczy.

Merceda desperacko pragnęła wyjść z więzienia na wolność. Wołała do Boga: „Dlaczego nie mogę wyjść z tej piekielnej dziury? Dlaczego mogę oglądać tylko kawałek nieba na podwórku? Czy będę jeszcze kiedykolwiek mogła zobaczyć całe niebo?”. To jest pragnienie wszystkich więźniów, którzy widząc tylko mały kwadratowy kawałek nieba, uświadamiają sobie, jak bardzo są odizolowani od reszty świata, i pragną zobaczyć całość.

Zawsze mówiłyśmy Mercedzie, że samo wyjście poza mury więzienia to jeszcze nie wszystko. Musi ona wyrwać się z niewoli uzależnienia od narkotyków. Teraz, gdy Bóg wybawił ją z pierwszego więzienia, modliłyśmy się o jej uwolnienie i z tego drugiego.

Przełożona Oddziału 2, pani Mahdżub, która powitała nas pierwszego dnia w Ewin, została przeniesiona do Oddziału 3, gdzie znajdowały się więźniarki z problemami psychiatrycznymi. Jej miejsce zajęła spokojna, ugodowa pani Gaderi

i większość naszych przyjaciółek uważała, że to zmiana na lepsze. Pani Imani, która zawsze klóciła się o telefon, została przeniesiona na inne miejsce. Ochrona uznała, że wywiera ona negatywny wpływ na towarzyszek i przenosiła ją raz w miesiącu. Teraz za telefony odpowiadała nasza przyjaciółka Rozita, która spędzała przy aparatach większość czasu, usiłując uciszyć kłótnie i bójkę o to, kto, kiedy i jak długo ma rozmawiać.

Wróciłyśmy na nasze stare prycze w celi numer 1. Tutaj dowiedziałyśmy się o osobach przybyłych w czasie naszej nieobecności. Niektórych aresztowano za związki z opozycją podczas wyborów, które wciąż wywoływały sporo kontrowersji. Owe „związki” polegały na tym, że ktoś na przykład otrzymał pocztą elektroniczną list od osoby lub organizacji popierającej Musawiego, co do którego były przekonane tysiące Irańczyków, iż to on w rzeczywistości wygrał wybory. Niektóre więźniarki ciężko przeżyły ponowny wybór Ahmadineżada, ponieważ wiązały duże nadzieje z nowym prezydentem, który mógłby dać im wolność.

Jedną z naszych nowych sąsiadek miała na imię Susan. Była to spokojna starsza kobieta, związana z *mudżahedinami*. Miała białe włosy i subtelne poczucie humoru. Jej przestępstwem była przynależność do *mudżahedinów* i ogłaszanie tego każdemu, kto tylko chciał ją słuchać. „Mówiłam o *mudżahedinach* wszędzie, gdzie szłam, i nie bałam się nikogo!” – powiedziała nam z dumą. „Nie mają prawa mnie powstrzymywać”. Reżim fałszywie oskarżył ją o to, że rozpowszechnia za pośrednictwem Internetu nielegalne informacje. Zmuszono ją do fałszywego przyznania się do winy, po czym skazano na osiem lat więzienia. Ta uprzejma starsza osoba spędziła pięćdziesiąt dni w pojedynczej celi, zanim trafiła do Oddziału 2.

Inną nowoprzybyłą była młoda, szczupła dziewczyna z mocno posiniaczoną twarzą. Razem ze swoim czternastoletnim bratem brała ona udział w demonstracji po wyborach. Kiedy policja rozproszyła protestujących i zaczęła bić jej brata, dziewczyna próbowała go ratować. Policjanci rzucili się na nią, skopali i pobili, a następnie aresztowali oboje. Ich ojciec złożył zażalenie na policję, ale sąd je odrzucił, nakazując dzieciom, by przeprosiły policjantów za to, że niesłusznie na nich się poskarżyły. Dzieci odmówiły i dziewczyna została skazana na karę więzienia.

„Mój ojciec powiedział sędziemu, że jak tylko wyjdę z więzienia, tego samego dnia zabierze mnie do kościoła i da ochrzcić” – opowiedziała nam dziewczyna. „Powiedział im: «Ten wasz islam jest obrzydliwy, służy wam jako usprawiedliwienie nieprawości i represji. Nie widzę żadnego sensu, by moja córka pozostawała muzułmanką nawet jeden dzień dłużej»”.

Sąd uznał, że dziewczyna powinna pozostać w więzieniu, dopóki nie przeprosi. Jest to typowe żądanie – inaczej każdy zobaczy, że policja niesłusznie ją aresztowała.

Ta sytuacja przypomniała mi dyskusję z Feresztą w Oddziale 209. Kiedy ona twierdziła, że działania reżimu nie mają nic wspólnego z prawdziwym islamem, nie zgodziłam się z nią: „Właśnie ten ich islam jest prawdziwym islamem, opisanym w Koranie. Tylko że większość ludzi nigdy nie czytała Koranu, ponieważ jest napisany po arabsku, a poza tym – ze strachu przed karą, jaka ich czeka, gdyby Koran przypadkowo spadł na ziemię lub gdyby dotknęliby go nieczystymi rękami, lub zakwestionowali jakieś jego zdanie. Islam robi, co może, by trzymać ludzi z dala od Boga, aby nikt nie mógł nawiązać z Nim relacji osobistych, bo takie relacje zagrażałyby władzy i wpływom przywódców religijnych. Oni wolą trzymać ludzi w ciemności i strachu przed religią, wtedy ludzie są od nich całkowicie zależni. Przesłancy rządzący Iranem czynią to w zgodzie z zasadami islamu”.

\*\*\*

Maria &

W ciągu kilku tygodni izolacji często myślałyśmy o dzieciach z naszego oddziału i teraz nie mogłyśmy się doczekać, kiedy wreszcie je zobaczymy. Rozpytywałam Rozitę o Alfim, synku Puny, który urodził się krótko po naszym pojawieniu się w Ewin. Po kilku minutach Rozita go do nas przyniosła. Jak bardzo się zmienił w tak krótkim czasie! Z radością uściskałyśmy go i poszłyśmy do pokoju, gdzie mieszkały matki z dziećmi. Kobiety ucieszyły się na nasz widok i bardzo chciały wiedzieć, gdzie byłyśmy i co z się nami działo. Pytania sypały się ze wszystkich stron. Szybko zauważyłyśmy, że brakuje Abubakra i jego mamy. Okazało się, że ukończył trzy latka i zabrano go matce, którą przeniesiono na dół do narkomanek. Jej cierpienie musiało być nie do zniesienia – o wiele gorsze niż samo bycie w więzieniu. Czy ona jeszcze kiedyś zobaczy swoje dziecko? Tego nie wiedział nikt. Dziecko było w rękach władz, które mogły zrobić zarówno chłopcu, jak i matce cokolwiek, nie tłumacząc się przed nikim.

Zawsze lubiłyśmy odwiedzać dzieci, zwłaszcza gdy przytłaczały nas myśli i rozmowy o problemach. Ta cela wydawała się oazą spokoju, odizolowaną od napiętej, ciężkiej atmosfery reszty Oddziału. Małeństwa nie rozumiały, że ponoszą bezlitosną karę za przestępstwa, których nie popełniły. Nikt nie zadawał im pytań: „Dlaczego was zatrzymano? Czy macie pieniądze na kaucję? Kiedy was zabiorą do sądu? Jak długi jest wasz wyrok?”. Jedynym ich przestępstwem było to, że są dziećmi kobiet, które znalazły się po niewłaściwej stronie prawa muzułmańskiego *szaria*. Żyły prawie bez zabawek i udogodnień, miały kiepskie jedzenie, złą obsługę medyczną, pozbawiono je słońca i świeżego powietrza. Nie widziały ani drzew, ani ptaków, ani kwiatów, które mogłyby rozbudzać ich ciekawość. Nie mogły pobiegać na bosaka po trawie ani poznać relacji rodzinnych; żyły otoczone

dorosłymi więźniarkami, które często traktowały je z pogardą, jeśli w ogóle zwracały na nie uwagę.

Kiedy znów odwiedziłyśmy Alfiego, ten leżał na łóżku swojej matki, a ona siedziała obok na podłodze i płakała. Usiadłam obok Puny i zapytałam, co się stało.

„Dzisiaj zadzwoniłam do mojej matki i dowiedziałam się, że sąd skazał mnie na dożywocie za morderstwo popełnione przez męża. Byłam tak zdenerwowana, że nie panowałam nad sobą. Położyłam Alfiego na pieluszce i wyszłam z pokoju. Kiedy wróciłam, zobaczyłam, że on spadł na podłogę. Rozzłoszczona na sędziów, zapomniałam, że mój synek jest zbyt mały, by o siebie zadbać. Zamiast go podnieść i przytulić, pobiłam go za to, że spadł z łóżka. Jest mi tak przykro!”

„Powinnaś mnie poprosić, bym się nim zaopiekowała” – powiedziałam ze wzburzeniem. „Mówiłam ci przecież: kiedy jesteś zmęczona, masz oddać mi Alfiego i znaleźć jakiś sposób na rozładowanie napięcia”. Alfi już doszedł do siebie, uśmiechał się do mnie i machał swoimi małymi pulchnymi rączkami.

Wróciłam do swojego pokoju, położyłam się i rozplakałam, myśląc o cierpieniu tego biednego chłopczyka. Czułam się bezradna wobec tak beznadziejnej, smutnej sytuacji. Często brałam na ręce Alfiego, by go ukołysać po kolacji, śpiewałam mu chrześcijańskie pieśni i modliłam się za niego. Puna się cieszyła, że zajmuję się jej dzieckiem, bo zaczęła romansować z kilkoma kobietami z dolnego piętra i wołała spędzać czas z nimi.

Wydawało się, że Puna rzeczywiście miała żal z powodu tego zajścia, jednak nie minęło za wiele czasu i znowu wybuchła. Pewnej nocy leżałyśmy już w łózkach, kiedy usłyszałyśmy płacz Alfiego. Po chwili do naszego pokoju weszła Rozita z chłopcem na rękach. Miała zaniepokojony wyraz twarzy. Puna uderzyła małego tak mocno, że widać było ślad jej ręki na policzku maleństwa. Uspokoiliłam go i ułożyłam spać. Rano zażądałam od Puny wyjaśnień.

„Mario, jestem w takim stresie, że nie wiem sama, co robię” – tłumaczyła się Puna. „Bóg mi w ogóle nie pomaga. Nikt na wolności nie chce zająć się moją sprawą. Jestem tak zmęczona! Co ja w ogóle robię w tym więzieniu z dzieckiem?”

„Droga Puno” – powiedziałam stanowczo, – „rozumiem twoją sytuację. Modliłam się z tobą i obiecałaś oddać swoje problemy Bogu. W rzeczywistości jednak twoje podejście się nie zmieniło. Musi zajść zmiana w twoim sercu, byś mogła zobaczyć obecność Boga w swoim życiu. Jeśli doznasz przebaczenia, Bóg pomoże ci, twoje problemy się rozwiążą. Twoja frustracja względem Boga wcale ci nie pomoże. Poza tym Bogu się nie podoba, jak ty traktujesz Alfiego. Musisz bardziej o niego dbać”.

Znowu modliłyśmy się razem. Nic więcej nie mogłam zrobić, tylko mieć nadzieję na lepsze i prosić Boga, by działał w sercu Puny.

\*\*\*

Marcelina &

Więźniarki zazwyczaj pojawiały się w Oddziale 2 z nielicznymi rzeczami, rzadko kiedy miały coś poza ubraniami i garścią środków do higieny osobistej. Zupełnie inaczej wyglądała sprawa w przypadku Tahmasebi. Została przeniesiona do Oddziału 2 z dolnego piętra z tak wielkim majątkiem, że ochrona wyznaczyła do jej wyłącznej dyspozycji trzy łóżka, na których miała to wszystko ułożyć. Zapewne miała jakieś znajomości na wysokim szczeblu, inaczej nie dostałaby tyle miejsca, podczas gdy inne musiały spać na podłodze.

Tahmasebi miała zaledwie trzydzieści lat, ale od trzynastu lat odbywała w więzieniu karę dożywocia za przemyt narkotyków. Była to umięśniona kobieta o męskim wyglądzie, a jej ręce wyglądały tak, jak ręce pracowników fizycznych. Pochodziła z Tebrizu, miasta znanego na całym świecie z ręcznie tkanych dywanów, miała silny akcent azerbejdżański. Tahmasebi pracowała w więziennym magazynie i brała sobie po trochu ze wszystkiego, co przewijało się przez jej miejsce pracy. Uwagę przyciągała kolekcja lalek, które ona układała na jednym z łóżek i troskliwie nakrywała satynowym prześcieradłem. I chociaż początkowo wszystkie miały jej za złe, że zajmuje tyle miejsca, wkrótce jednak uznano, że jej lalki, serwetki i dekoracje uczyniły celę nieco przyjaźniejszą. Tahmasebi miała też mnóstwo roślinek doniczkowych i przekształciła część celi w miły zielony ogródek.

Ciężko było nawiązać z nią kontakt, zwłaszcza na początku. Wstawała bardzo wcześnie, szła do pracy, gdzie spędzała cały dzień. Wracła wieczorem, robiła sobie herbatę i rozmawiała tylko z Rozitą i panią Gaderi. Osoby o długich wyrokach, takie jak Tahmasebi, domagały się specjalnego traktowania i trzymały tylko z sobą podobnymi. Po kilku dniach Rozita przedstawiła jej nas jako „uwięzione za wiarę”.

„Macie szczęście, że Bóg jest po waszej stronie” – stwierdziła Tahmasebi.

„Bóg jest również po twojej stronie” – odpowiedziałam.

„Nie myślę, kochanie. Bóg mnie w ogóle nie lubi”.

„Tahmasebi, Bóg kocha ciebie i nie zapomniał o tobie”.

Tahmasebi praktykowała codzienny rytuał modlitewny namaz, klęcząc na białym dywaniku i nakładając długi biały czador. Jednak mimo całego pozoru pobożności praktyki te były raczej rutyną, pozbawioną jakichkolwiek emocji i miłości do Boga.

Pewnego dnia, kiedy prałam ubrania, Tahmasebi podeszła porozmawiać.

„Wydaje mi się, że nie cenisz wolności” – zaczęła. „Dlaczego obstajesz przy tej swojej wierze, dając powód, by cię tutaj trzymali? Wystarczy powiedzieć to, co chcą usłyszeć sędziowie, i jesteś wolna. Gdybyś była na moim miejscu,

wiedziałybyś, jaka to wspaniała okazja! Siedzę od trzynastu lat i jedynym moim marzeniem każdego dnia i każdej nocy jest to, by wyjść na wolność. Ty możesz być wolna w każdej chwili, a upierasz się przy swoim”.

„Rozumiem twoje podejście” – powiedziałam. „Trzynaście lat to prawie połowa twojego życia. Masz pełne prawo czuć się zmęczona i pozbawiona nadziei. Jednak moje życie i życie Marii jest poświęcone Bogu. Dla nas wolność ma sens jedynie w kontekście relacji z Nim. Jeśli nie mogę żyć i postępować zgodnie z zasadami mojej wiary, to nie jestem wolna ani w więzieniu, ani poza więzieniem. Prawdziwa wolność polega na tym, że możesz wyznawać wiarę, którą wybierasz, i nie musisz jej chować w klatce lub ukrywać. Nawet tutaj jestem wolna, ponieważ reżim nie może mnie zmusić do zaparcia się mojej i przyjęcia jego wiary”.

Ta odpowiedź zmusiła Tahmasebi do myślenia.

„Nie rozumiem” – powiedziała. „Co to za wiara, która zabiera twoją wolność i zmusza cię do spędzania młodych lat tutaj, za kratami?”

„To jest czysta miłość” – wyjaśniłam. „Kiedy kochasz Boga, kiedy żyjesz z Nim i On staje się twoim światem, wówczas problemy tego świata stają się mało ważne. Jedyne, co ma znaczenie, to być z tą miłością – czyli z Bogiem – nawet w więzieniu. Uwięziono tylko nasze ciała, ale nie można uwięzić naszych dusz. Moja wiara i przekonania pozostają moimi. Póki jestem z Bogiem, pozostaję wolna”.

„Nadal nie rozumiem” – stwierdziła Tahmasebi. „Masz szczęście, że masz taką wiarę. Przynajmniej jesteś pewna, że Bóg cię kocha”.

„Wierzę, że Bóg kocha również ciebie, Tahmasebi. Bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić”.

Kilka dni później miałam sen. Rozdawałam więźniarkom ryby i Tahmasebi chciała otrzymać największą z nich. Nie byłam pewna, co ten sen oznacza, ale uznałam, że zapewne Tahmasebi czeka wielka niespodzianka. Podczas śniadania opowiedziałam jej o moim śnie i ogłosiłam wobec wszystkich, że sen oznacza zwolnienie Tahmasebi w ciągu sześciu miesięcy.

Więźniów co jakiś czas przenoszono z więzienia do więzienia i z celi do celi. Powiedziałam do Tahmasebi: „Ta cela jest ostatnim miejscem twojego uwięzienia, z niej wyjdiesz na wolność”.

Wszystkie były zdumione, słysząc tak pewne i niezwykle przepowiednie. „Doceniam twoją przyjaźń – powiedziała Tahmasebi, – ale już słyszałam podobne rzeczy wiele razy. Odsiaduję dożywocie i nie zostanę zwolniona”.

Rozita zwróciła się do Tahmasebi: „Ty lepiej uwierz Marcelinie. Mam pełne zaufanie do tego, co ona mówi o swoich snach i wierze. Już kilka razy zapowiadała zwolnienie więźniów i za każdym razem to się spełniło”. Po czym powiedziała do mnie: „Właściwie, czas najwyższy, byś miała sen na mój temat!”.

„Droga Rozito – odrzekłam, – nie jestem wróżką. Bóg objawia mi pewne

rzeczy i to nie są moje słowa, tylko Jego. Ja mogę jedynie modlić się za tych ludzi i za ciebie”.

„Ale dlaczego Bóg na twoje modlitwy odpowiada, a na nasze nie?”

„Bóg wysłuchuje modlitwy wiernych i zawsze odpowiada. Tyle że zgodnie z Jego planami, a nie z naszymi”.

Trzydzieści lat spędzonych za kratami wyrobiły w Tahmasebi siłę i sprawność, które pomagały jej przetrwać. Inne nie wytrzymały w tych warunkach, ich wola była złamana przez pogrozki i szantaż.

Kianusz była młodą kobietą, która zachowała na swoim komputerze kilka wiadomości krytykujących rząd po wyborach. Ona nie poszukiwała tych wiadomości i nawet nie wiedziała, skąd pochodzą. Ale służby bezpieczeństwa znalazły te materiały na twardym dysku jej komputera i oskarżyły ją o szerzenie w Internecie informacji o protestach powyborczych.

Po pojawieniu się w Ewin na początku tylko siedziała w kącie i płakała. Potem trochę się otworzyła, ale pozostawała bardzo cicha. Powiedziano jej, że jeśli chce wyjść na wolność, musi zeznać przed kamerą wideo, iż wysyłała krewnym i przyjaciółom e-maile, nawołując do brania udziału w protestach. Kianusz zrobiła, jak jej kazali, ale przyznała mi się, że tego żałuje.

„Po co zeznawałaś nieprawdę?” – zapytałam. „Na pewno zostanie to wykorzystane przeciwko tobie w przyszłości, a nawet teraz mogą cię nie wypuścić pomimo obietnicy”.

„Nie mogłam się przeciwstawić” – tłumaczyła zdenerwowana. „Wystraszyli mnie na śmierć. Mówili, że jeśli nie będę współpracować, pozostanę w więzieniu z długim wyrokiem. Musiałam powtórzyć to, co mi kazali”.

Zaczęłam się obawiać, że Kianusz „przyznała się” również do innych przestępstw, o których mi nie powiedziała. Niedawno wyszła za mąż i bała się, że mąż ją zostawi. Codziennie z nim rozmawiała przez telefon i po każdej rozmowie wracała z oczami zaczerwienionymi od płaczu. Gdy Kianusz usłyszała jedną z naszych rozmów o chrześcijaństwie, poprosiła nas o modlitwę w swojej intencji. „Wasze modlitwy mnie uspokajają” – powiedziała.

\*\*\*

Maria &

Rozmowy, które słyszała Kianusz, prowadziłam z panią Arab. Nasze łóżka stały obok siebie, więc czasami rozmawiałyśmy do późna w nocy. Poznałam panią Arab, zanim jeszcze trafiłyśmy z Marceliną do Oddziału 209. Była to niezwykle hojna kobieta, kupowała jedzenie dla najbiedniejszych więźniarek. Oprócz tego świetnie haftowała. Próbowałam odnowić naszą przyjaźń po powrocie z Oddziału

209, ale pani Arab jakby unikała nas.

Pewnego dnia poprosiłam ją, by nauczyła mnie kilku nowych wzorów haftu. Pokazując mi, jak to się robi, powiedziała: „Słyszałam, że razem z przyjaciółką dużo opowiadacie o Chrystusie. Widziałam, jak się modlicie za inne więźniarki i jak jesteście dla nich dobre, ale unikałam bliskiego kontaktu z wami”.

„Zauważyłyśmy to” – odpowiedziałam. „Uznałyśmy, że pani nienawidzi nas z powodu naszej wiary. Tutaj wiele osób uważa, że jesteśmy nieczyste i *nadžes* [nie wolno nas nawet dotykać], i odtrąca nas”.

„Nigdy nie miałam do was nienawiści” – tłumaczyła się pani Arab. „Odwrotnie, nawet zazdrościłam wam waszej wiary. Tak, słyszałam, że nie wolno was nawet dotykać, ponieważ odrzuciłyście islam, ale zawsze was broniłam i pytałam się tych, które was krytykują, czy one są pewne swojej własnej gorliwości. W moim odczuciu wy dwie macie większą wiarę niż te z nas, które uważają się za muzułmanki. Szczerze mówiąc, domyślałam się, że pewnego dnia zaczniecie ze mną rozmowę o Chrystusie, dlatego was unikałam. Bałam się, że wyrzecie na mnie poważny wpływ, i nie chciałam, by tak się stało”.

„Dlaczego?” – zapytałam zaskoczona. „Słyszałam, że pani jest gorliwą kobietą. Jeśli szczerze wierzy pani w słuszność drogi, którą pani wybrała, dlaczego miałyby się pani bać rozmowy ze mną?”

„Pochodzę ze środowiska całkowicie muzułmańskiego” – wyjaśniła pani Arab. „Nie mogę się od niego odwrócić. Ale szanuję również chrześcijan i uważam, że każdy powinien mieć wolność wyboru i praktykowania swojej wiary. Islam dla mnie ma szczególne znaczenie. Mimo to chciałam cię prosić o modlitwę za mnie i o rozwiązanie moich problemów. Myślę, że Bóg słyszy twój głos. Ale proszę, nie rozmawiaj ze mną o chrześcijaństwie. Nie chcę mieć rozterek”.

„Proszę się nie martwić” – powiedziałam z uśmiechem. „Jestem pewna, że jeśli Bóg wybrał panią i pragnie objawić pani swoją prawdę, może to uczynić i beze mnie. Jednakże, jeśli może pani stracić wiarę w islam, rozmawiając z kimś lub czytając Biblię, to wiara pani nie pochodzi chyba z przekonania, tylko ze strachu. O wiele lepiej byłoby bez niej się obejść”.

Spacerowałyśmy razem na podwórku i modliłam się za nią, a kiedy skończyłam, pani Arab płakała.

„Ja się boję, ponieważ czuję, że Chrystus chce do mnie przemówić” – przyznała. „Kilka lat temu porwano mojego syna i żądano wielomilionowego okupu. Mijały miesiące, a sytuacja wciąż wyglądała beznadziejnie. Pewnego deszczowego wieczoru przechodziłam obok jakiegoś budynku z otwartymi drzwiami, a w nich stał nieznajomy mężczyzna. Zapytał mnie: «Masz problem?». Odpowiedziałam, że jestem w desperacji, ale nie wiem, jak trzeba się modlić, by Bóg mnie wysłuchał. Ten budynek to był kościół. Mężczyzna powiedział: «Możesz prosić Chrystusa, by ci pomógł. On usłyszy twój głos. My też będziemy za ciebie



się modlić». Tego wieczoru obiecałam Chrystusowi, że jeśli mój syn zostanie uwolniony, będę co roku zapalać świece i wpłacać ofiarę na kościół, a syna będę na osobności nazywać Chrystusem. Trzy dni później porywacze zmniejszyli żadaną kwotę i syn odzyskał wolność. Dotrzymałam mojej obietnicy co do kościoła, ale nikomu nie mówiłam o tym. Kiedy usłyszałam, że wy z koleżanką jesteście tutaj z powodu wiary w Chrystusa, dreszcze przeszły mi po plecach. Dla mnie był to kolejny znak Jezusa”.

Nieco później pani Arab podeszła do mnie w czasie przerwy na podwórku.

„Przemyślałam wszystko i chcę, byś mi opowiedziała o Chrystusie. Kim On jest? Dlaczego muszę o Nim usłyszeć? Czego ode mnie chce?”

Podzieliłam się z panią Arab moim świadectwem i ustaliłyśmy, że codziennie będziemy się modlić za siebie nawzajem. Im bardziej pogłębiała się jej znajomość chrześcijaństwa, tym bardziej była zaniepokojona.

„Nie czuję się godna, by zbliżyć się do Chrystusa” – mówiła. „Popełniłam wiele grzechów. Boję się spotkać Jezusa”.

Pojmowanie Boga jako miłosiernego Ojca przebaczącego wszystkie nasze grzechy jest zupełnie obce dla wielu muzułmanów, których przez całe życie uczono, że Bóg jest Bogiem zemsty i kary. Z czasem modlitwy i dyskusje pomogły pani Arab to zrozumieć. Obiecała, że po wyjściu z więzienia zdobędzie Biblię. Myśl o przyszłym uczestnictwie w kościelnym nabożeństwie bardzo ją ekscytowała.

\*\*\*

Powyborcze protesty się nasilały i nasze więzienie zapelniali zatrzymani w liczbie większej niż zwykle. Aresztowań było mnóstwo, zwolnienia za kaucją zaś drastycznie zmalały. Kobiety były tak ściśnięte w celach, że w nocy praktycznie nie dało się poruszyć. Powietrze zrobiło się jeszcze cięższe, a zapach tak wielkiej liczby ciał w tak małym pomieszczeniu wywoływał mdłości. Wiele przybywających osób, zwłaszcza młodych, kierowano do naszego pokoju, ponieważ uważano, że potrafimy uspokoić nowych i złagodzić ich lęk. Kiedy inne więźniarki już nie chciały słuchać ich płaczu i odpowiadać na ich pytania, odsyłano je do „chrześcijańskich dziewczyn”. Lubiliśmy z Marceliną zajmować się nowymi, ponieważ przynosiły one świeże wiadomości z zewnątrz. W związku z nasileniem protestów pozbawiono nas telewizji i możliwości czytania gazet. Nawet rozmowy telefoniczne zostały ograniczone. Dlatego byliśmy spragnione nowych informacji.

Pewnej nocy po wyłączeniu światła do naszego pokoju wbiegła Szirin Alam Huli i oznajmiła, że przyprawiono dwie dziewczyny z Oddziału 209. Koniecznie chciały nas poznać. Poszłyśmy za nią przez ciemny korytarz do celi, gdzie na podłodze siedziały młode kobiety w muzułmańskich strojach, wymaganych

w czasie przejścia między Oddziałami. Wokół nich zebrała się gromadka więźniarek, zasypujących nowoprzybyłe pytania.

Przebiłyśmy się przez tłum i przedstawiłyśmy się. Dziewczyny podały swoje imiona: Maeda i Magda. Maeda natychmiast zapytała: „Jesteście chrześcijankami?”. Odpowiedziałyśmy twierdząco. „Fereszta dużo o was opowiadała”.

„Byłaś w celi z Feresztą w Oddziale 209?” – dopytywałam się podekscytowana. „Jak tam ona? Czy wciąż ma telewizor? Jak wygląda jej sprawa w sądzie?”

Byłam tak szczęśliwa usłyszeć coś nowego o mojej drogiej przyjaciółce, z którą przebywałyśmy w jednej celi, że zadawałam pytania, nie czekając na odpowiedzi.

Kiedy wreszcie dałam Maedzie możliwość zabrania głosu, ona uśmiechnęła się i powiedziała: „Tak, Fereszta mówiła, że siedziałyście w jednej celi. Bardzo martwiła się tym, że nie jesteście razem, i opowiadała o tobie przez całe dnie i noce. Tak, ona wciąż ma telewizor. Zanim trafiłam do niej, byłam w innej celi w Oddziale 209. Widziałam wasze napisy na ścianach – wasze imiona i o co jesteście oskarżone. Jak to zrobiłyście?”.

„Wydrapałyśmy je nakrywkami od jogurtu”.

Maeda ożywiła się jeszcze bardziej i kontynuowała opowiadanie. „Czy byliście też w areszcie Wozara? Razem z Magdą spędziłyśmy tam kilka dni i czytałyśmy na ścianach i nawet na suficie napisy: «Chrystus jest Zbawicielem» i «Bóg jest miłością». Dały one nam poczucie pokoju w tym strasznym czasie i zastanawiałyśmy się, kto to napisał”.

„Tak, to my” – powiedziała Marcelina. „Spędziłyśmy w Wozarze piętnaście dni”.

Maeda była bardzo zainteresowana chrześcijaństwem i zadawała mnóstwo pytań. Ona już wcześniej odwiedzała kościoły i odczuwała radość, słysząc modlitwy i śpiewy, mimo że nie rozumiała języka<sup>[10]</sup>. W końcu mogłyśmy się podzielić tym, czego doświadczyłyśmy w naszym życiu i jaką przeszłyśmy drogę wiary, i pomodlić się razem. Wkrótce Maeda i Magda zostały zwolnione.

Maeda stała się dla nas namacalnym przykładem Bożej miłości i mocy w sytuacjach, które wydają się beznadziejne. Gdybyśmy się nie znalazły w więzieniu, nie miałybyśmy możliwości pozostawienia napisów w Wozarze i Oddziale 209 w Ewin. Gdyby Maeda nie trafiła do więzienia, nigdy by ich nie zobaczyła i nie spotkała nas. To, co według miary tego świata jest porażką, okazało się wielkim zwycięstwem Chrystusa: Jego przesłanie głoszone pod samym nosem władz, które desperacko próbowały i próbują je powstrzymać.

<sup>[10]</sup> Prawdopodobnie chodzi o kościoły Ormian lub Asyryjczyków

mieszkających w Iranie, którzy posługują się w liturgii własnym językiem, niezrozumiałym dla Persów (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ 17

### *Świat patrzy*

Marcelina &

Rozmowa z Maedą uświadomiła nam, że Bóg prowadzi nas od tego, co *myślałyśmy, że powinniśmy robić*, ku temu, co On pragnął, byśmy robiły. Prowadziłyśmy dwa kościoły domowe i rozprowadziłyśmy 20 tysięcy egzemplarzy Nowego Testamentu w języku perskim, ewangelizując w ukryciu. Był to proces powolny. Teraz, w więzieniu, mogłyśmy otwarcie mówić o naszej wierze. Wcześniej poszukiwałyśmy kogoś, z kim można było porozmawiać o Jezusie Chrystusie. Teraz ludzie szukali nas: „Porozmawiaj z chrześcijankami!”. Cały system więziennictwa, który usiłował nas uciszyć, stał się naszym megafonem: nasze zatrzymanie, nasze świadectwo, nasze przesłanie wiary stało się słyszalne na całym świecie. Nasi prześladowcy pomagali nam dzielić się Ewangelią!

Sytuacja była niesamowita, a przy tym Bóg nie przestawał zadziwiać nas znowu i znowu. Gdy wróciłyśmy do Oddziału 2, stara plotkarka, którą nazywałyśmy Mamusią, została przeniesiona do tylnej części pokoju, dalej od wejścia, by nie robiła tyle zamieszania. Jednak to niewiele pomogło. Nadal rozpowiadała różne rzeczy o więźniarkach, szerzyła pogłoski i próbowała podburzać jednych przeciwko drugim. Wyglądało na to, że w ten sposób chciała poczuć się kimś ważnym.

Jednak popełniła błąd, wchodząc w konflikt z Tahmasebi, której dożywocie dawało status uprzywilejowany, i kobieta go odważnie broniła. Na naszym piętrze pojawiła się dziewczyna o imieniu Mahnaz, oskarżona o powiązania narkotykowe. Nie wiemy, dlaczego nie trafiła na dolne piętro, gdzie przebywały narkomanki. Zachęcona przez Mamusię, zaczęła zastraszać inne kobiety, jak to czynią narkomani w swoim środowisku.

Pewnego dnia Tahmasebi, która była bardzo wrażliwa na punkcie porządku i swoich prywatnych skarbów, zobaczyła Mahnaz wylegującą się na jej łóżku. Wybuchła kłótnia, która przerodziła się w bójkę na pięści. Słyszając wrzaski, wybiegłyśmy na korytarz i zobaczyłyśmy Tahmasebi, która jedną ręką trzymała Mahnaz za gardło, jak kot trzyma złapaną mysz, a drugą biła ją po twarzy. Była tak rozwścieczona i tak silna, że nikt z nas nie był w stanie jej powstrzymać. Kiedy wreszcie jej złość minęła, Tahmasebi puściła Mahnaz ze słowami: „Ani mi się waży tu rządzić! Jasne? Jeden krok poza czerwoną linię, a zabiorę się za ciebie”.

Tahmasebi wiedziała, że to Mamusia zachęcała Mahnaz do takiego zachowania. Stała więc przed Mamusią i ogłosiła: „Ostrzegam każdego, kto rozdmuchuje płomień takich konfliktów: koniec z tym! Natychmiast ma przestać. Nie będę patrzeć na wiek ani na termin odsiadki. Od teraz z podżegaczem będę

postępować w taki sam sposób”.

Pozostałe osoby w naszej celi zaczęły dyskutować, czy nie powinniśmy złożyć skargę bezpośrednio do pani Rezei, naczelniczki żeńskiego więzienia. Wiele z nas usiłowało przekonać Mamusię; wielokrotnie znosiłyśmy jej kłamstwa i pomówienia. Co więcej, widziałyśmy, jak pewnej nocy szła lekko i szybko przez korytarz – to jej „ledwo chodzę” było jednym wielkim udawaniem! Kolejnym sposobem zwrócenia na siebie uwagi. Podzieliłyśmy się pomysłem złożenia skargi z Rozitą i kilkoma innymi kobietami, które przyjęły go z entuzjazmem.

Kiedy Mamusia wyczuła, że coś zaczyna się dziać, pierwsza pobiegła do pani Rezei, by przedstawić swoją wersję wydarzeń w nadziei, iż naczelniczka natychmiast podejmie decyzję i nawet nie będzie chciała wysłuchać nas. Mimo to umówiłyśmy się z panią Rezeą. Więźniarki czekały kilka godzin przed drzwiami naczelniczki na spotkanie, które miało potrwać kilka minut. Kiedy nadeszła nasza kolej, weszłyśmy do przestronnego, wygodnego biura, ozdobionego dywanami i roślinami w doniczkach. Przed biurkiem stało kilka dużych, miękkich foteli.

Pani Rezea była wysoką, szczupłą osobą o spokojnym usposobieniu i przyjaznym wyrazie twarzy. Z doświadczenia wiedziałyśmy, że władze więzienia bardziej uważają na więźniów politycznych, ponieważ w ich przypadku informacje o traktowaniu w więzieniu rozchodziły się szybciej. Nasza stała obecność w telewizji i w Internecie powodowała, że zagrożenie dla władz było jeszcze większe.

Pani Rezea poprosiła, byśmy usiadły, udając, że nie wie, po co przychodzimy. Była bardzo dobrą aktorką.

Wyjaśniłam, że kobieta, którą nazywamy Mamusią, ciągle stwarza problemy i prowokuje kłótnie, burząc pokój w naszej celi. Obgaduje każdego i podburza jednych przeciw drugim. „Na pewno słyszała pani o bójce na pięści w naszym Oddziale, do której ona ostatnio doprowadziła” – powiedziałam.

„Ma też zwyczaj opowiadania nowoprzybyłym wszystkiego o wszystkich” – dodała Maria. „W sumie tym się nie przejmujemy, bo ona wszystkim rozpowiada, że jesteśmy tutaj z powodu naszej wiary. U nowych to wywołuje ciekawość, przychodzą do nas, by usłyszeć o Jezusie i o chrześcijaństwie”.

To była prawda. Wiedziałyśmy, że liczne osoby z ochrony nie lubiły tego, że rozmawiamy o Chrystusie, były na to wręcz przeczulone. Między sobą wiedziałyśmy, że irytująca na ogół Mamusia niechętnie pomagała nam w głoszeniu. Plotkując na nasz temat, informowała wszystkie nowoprzybyte kobiety o „chrześcijankach”, wzbudzając zainteresowanie i pragnienie, by dowiedzieć się więcej o naszej wierze.

Pani Rezea przez chwilę się zastanawiała.

„Macie absolutną rację co to tej starszej kobiety” – powiedziała. „Jest za stara, by zmienić swoje zachowanie. Jedyne rozwiązanie, jakie widzę, to

przeniesienie jej na inne miejsce. Załatwię to”.

Tego samego popołudnia przysłała ochroniarka i oznajmiła Mamusi: „Natychmiast przenosisz się do innej celi”.

Mamusia była oburzona.

„Nigdy w życiu!” – krzyknęła. „Kto to rozkazał?”

„Pani Rezea”.

Mamusia popędziła do biura naczelniczki, ale rozkaz nie został odwołany. Miała się przenieść do oddziału morderczyń.

W tej sytuacji Mamusia zmieniła taktykę: zwlekała z przeniesieniem, jak tylko mogła. Jednak ochrona się tym nie przejęła. Stał się cud – pod koniec dnia Mamusia odeszła na stałe. Nie mogłyśmy się wszystkie się nacieszyć! Nas z Marią zalano podziękowaniami za osiągnięcie tego, co się wydawało niemożliwe.

\*\*\*

Nasza koleżanka pani Arab powróciła z przepustki. To było normalne, że kobiety osadzone na krótko i mające rodziny, mogły wychodzić na przepustkę i odwiedzać bliskich. Mimo że pani Arab mocno broniła islamu, zaczęła coraz bardziej interesować się chrześcijaństwem od czasu, gdy jej syn odzyskał wolność po jej modlitwach do Jezusa. Opowiedziała, że sama siedzi w więzieniu, dlatego że jej były mąż, muzułmański fanatyk, którego zostawiła kilka lat temu, zazdrościł jej sukcesu w biznesie i próbował wykorzystać swoje koneksje, by trzymano ją za kratami, póki nie zgodzi się do niego wrócić.

Wkrótce po powrocie pani Arab do więzienia miałyśmy z nią długą nocną rozmowę na temat Jezusa. Następnego rana powiedziała, że widziała Go we śnie. Tego samego dnia po powrocie z zajęć w Centrum Kultury oznajmiła, że ma nam coś do powiedzenia, ale tą tajemnicą podzieli się po wyłączeniu świateł wieczorem.

Kiedy więc ochrona zamknęła cele na noc, pani Arab zawołała nas do siebie. Wyciągnęła spod poduszki książeczkę z cytatami biblijnymi. Ze łzami w oczach opowiedziała, że znalazła ją w stercie nieużywanych książek w bibliotece Centrum.

„Kiedy otworzyłam tę książkę, nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę!” – powiedziała. „Te słowa przemawiały do mnie. Czułam, że tak Bóg odpowiada na moje pytania dotyczące Jego Osoby”.

Było to kolejne zdumiewające przypomnienie, że Bóg ma własny sposób wpływania na wydarzenia. Pani Arab schowała książkę pod poduszką i czytała ją każdej nocy.

\*\*\*

Maria &

Byłyśmy więzione już od sześciu miesięcy, włączając w to dwa tygodnie w Wozarze i trzydzieści dni izolacji w Oddziale 209. Dotychczas nie spotkałyśmy się jeszcze z prawnikiem, który mógłby nas reprezentować w sądzie, i wciąż nie widziałyśmy pisemnego oskarżenia przeciwko nam. Musiałyśmy się pogodzić z faktem, że nic nie możemy zrobić, żeby odzyskać wolność. Aktywiści chrześcijańscy nawoływali rząd do naszego uwolnienia, wierni na całym świecie modlili się za nas i (jak później dowiedziałyśmy się) wpływowi ludzie działali za kulisami w naszej sprawie. Ale wszystko było w rękach Pana. Musiałyśmy zaufać, że następny krok należy do Niego. I zamiast przejmować się naszym zwolnieniem, skupiłyśmy się na przetrwaniu każdego kolejnego dnia i niesieniu pocieszenia i współczucia naszym współwięźniarkom.

Na zewnątrz nasza sprawa nabrała rozgłosu międzynarodowego – coraz większego. Dowiedziałyśmy się o tym na ostatnich przesłuchaniach. Nowoprzybyłe osoby rozpoznawały nas jako postaci z telewizji i Internetu. Niektóre witały nas jako gwiazdy. Nie przejmowałyśmy się tym; jednak pozytywnym dla nas było to, że nowe osoby szukały z nami kontaktu i zadawały pytania na temat naszej wiary. Trafiając do obcego środowiska, wystraszone i zdezorientowane, ciągnęły do nas, bo nasze twarze były im znane.

Jedną z kobiet przyprawiono w nocy, kiedy światła zostały już wyłączone. Wszystkie łóżka były zajęte, musiała więc znaleźć sobie miejsce na podłodze. Usłyszałyśmy jej płacz i słowa: „Nie mam nic wspólnego z tymi wszystkimi kryminalistkami!”. Potem znowu płakała i hałasowała irytująco, jak gdyby chciała zwrócić na siebie uwagę. Dałyśmy znak Rozicie, że chcemy porozmawiać z tą nową. Po otrzymaniu pozwolenia razem z Marceliną podeszłyśmy do niej i usiadłyśmy na podłodze w ciemnościach obok niej.

Wzięłam kobietę za rękę. Jej twarz była opuchnięta, zapewne ją pobito. W odpowiedzi ona ścisnęła moje ręce, mówiąc: „Tak się boję! Tracę rozsądek! Nie mogę spać. Trafiłam tu przez pomyłkę. Gdyby mój mąż mógł zapłacić kaucję, nie musiałabym spędzać nocy w towarzystwie więźniów. Boję się ich!”.

„Nie wszyscy więźniowie są kryminalistami” – powiedziałam miękko. „Tu mamy wielu więźniów politycznych lub aresztowanych z powodów finansowych. To są normalni ludzie. Nie musisz się ich bać”.

„Ty też jesteś polityczna?” – spytała kobieta. „Lubię cię”.

Roześmiałam się.

„Nie. Razem z przyjaciółką zostałyśmy uwięzione za naszą wiarę w Jezusa Chrystusa”.

Kobieta natychmiast się wyprostowała.

„To wy jesteście tymi dziewczynami z telewizji Głos Ameryki! Właśnie myślałam, że już gdzieś was widziałam. Razem z mężem oglądaliśmy wasze

twarze w Internecie każdego dnia. Nigdy nie myślałam, że mogę was spotkać! Nie przyszło mi do głowy, że mogą was trzymać razem z pospolitymi przestępcami. Wiecie, że jesteście znane?”

„Tak!” – odpowiedziałam, znowu się śmiejąc. „Coś o tym słyszałyśmy. To jak, czujesz się już lepiej? Gdybyś nie trafiła do więzienia, nie miałabyś możliwości spotkania z nami”.

Po chwili dodałam żartobliwie: „Widzisz, nie jest tak źle, że jesteś w więzieniu. Poznałaś słynne osobistości. Nie musisz się wstydzić, że znalazłaś się w więzieniu, i płakać z tego powodu. Tak naprawdę, jeśli nie przestaniesz płakać, starsze więźniarki się zdenerwują i przeniosą cię na dolne piętro, i wtedy będziesz spała z mordercami. Ten blok jest najlepszy w całym więzieniu, więc lepiej zachowaj ciszę”.

Kobieta przyłgnęła do mojej ręki jak dziecko.

„Zrób coś, bym się uspokoiła” – błagała. „Tak się boję!”

Pomodliłam się za nią i poprosiłam, by spróbowała zasnąć.

Przetrzymano ją zaledwie kilka dni. Przed wyjściem oznajmiła: „Jak tylko znajdzie się na wolności, opowiem każdemu, że osobiście was widziałam!”.

Kilka dni później razem z Szirin Alam Huli byłyśmy w celi numer 2, kiedy pewna nowa więźniarka usiadła przy nas na podłodze i zapytała podekscytowana: „Czy to wy jesteście tymi chrześcijankami, które mają być stracone?”. Roześmiałyśmy się i zapytałyśmy, skąd ona wie o nas i o tym, że mamy być stracone.

„Widziałam wasze zdjęcia w wiadomościach i na stronie internetowej radia Farda<sup>[11]</sup>. I oto tu jesteście takie, jak na tych zdjęciach: jedna z krótkimi włosami, druga z długimi. Słyszałam, że są tu dwie chrześcijańskie dziewczyny, i jak tylko was zobaczyłam, zrozumiałam, że jesteście tymi osobami z wiadomości”. Nagle jej głos się zmienił. „Słyszałam, że macie być stracone. Pomyślcie o tym. Wiara nie jest tego warta”. Na tę uwagę Szirin się zdenerwowała, ale postanowiłyśmy się nie wdawać w dyskusję.

Z przepustki wróciła do więzienia nasza stara znajoma, pani Pari. Przyniosła wiadomość, że jej córka wraz z całym kościołem domowym modli się za nas. Córka była szczęśliwa, że pani Pari poznała nas, i miała nadzieję, że zachęcimy jej matkę, by otworzyła serce na chrześcijaństwo.

„Myślę, że na któreś muzułmańskie święto zostaniecie ułaskawione” – stwierdziła pani Pari. „Wszędzie dookoła się słyszy, że musicie być zwolnione. Władzom będzie ciężko udowodnić waszą winę. Z drugiej strony, wypuszczając was, one stracą twarz. Będzie to oznaczało, że przyznają się do błędu. Dlatego raczej wystosują oficjalne ułaskawienie”.

Po obejrzeniu reportażu na nasz temat pani Pari przekonała się, że może nas traktować z większym szacunkiem.



\*\*\*

W najbardziej koszmarnych snach nie mogłam przyśnić, że będę obchodzić moje dwudzieste pierwsze urodziny w więzieniu. A jednak to się stało. Zabawa była wspaniała. Szirin Alam Huli uszyła dla mnie piękną torebkę; inne przyjaciółki wykonały prezenciki na warsztatach w Centrum Kultury lub kupiły jakiś drobiazg od innych więźniarek. Silwa i nasza przyjaciółka Mardżana zaśpiewały dla mnie, a Szirin nawet zatańczyła, czego nikt się po niej nie spodziewał, bo nigdy tego nie robiła. Siostra Marceliny przysłała dla mnie biżuterię, a moja siostra przekazała mi piękny krzyżyk do noszenia na szyi. Ponieważ dotychczas nie otrzymałyśmy pozwolenia na wizyty kontaktowe, te prezenty zostały przeschmuglowane przez krewnych naszych przyjaciół w więzieniu, którzy potajemnie dali je Rozicie w czasie wizyty kontaktowej.

Podczas naszego spotkania z naczelniczką powiedziałyśmy, że nie miałyśmy jeszcze wizyt kontaktowych, mimo że nam się należą. W końcu otrzymałyśmy pozwolenie.

Krzyżyk na mojej szyi zaczął przyciągać uwagę nowych więźniarek. Pewnego razu na spacerze grupa nowoprzybyłych dziewczyn zatrzymała mnie, pytając, czy jestem chrześcijanką.

„Tak, jestem. A dlaczego pytacie?”

„Zauważyłyśmy twój krzyżyk i pomyślałyśmy, że ty i twoja koleżanka musicie być tymi słynnymi chrześcijankami, o których wszyscy rozmawiają. Zgadza się?”

„Tak, zgadza się. Jak o nas dowiedziałyście się?”

Nie odpowiadając, dziewczyny zaprowadziły mnie do swoich koleżanek. Dziewczyn było dziesięć; miały na sobie ubrania, w których były na imprezie, gdzie zostały aresztowane za niewłaściwe z punktu widzenia prawa *szariatu* kontakty społeczne.

„Hej!” – zawołała jedna z dziewczyn do koleżanek. „To jest Maria, chrześcijanka, za którą modliłyśmy się w kościele. Możecie uwierzyć, że jest tu we własnej osobie?”

Dziewczyny otoczyły nas, witając mnie i ściskając. Usiadłyśmy, by porozmawiać.

„Większość z nas to chrześcijanki” – wyjaśniła dziewczyna. „Mieszkamy w Dubaju. Kilka miesięcy temu zostałyśmy ochrzczone, chodzimy do kościoła. Przyjechałyśmy tutaj na wakacje i zaproszono nas na imprezę, na której byli chłopcy i dziewczyny. Po godzinie nadeszła policja i aresztowała nas. Czekamy na rozstrzygnięcie, jak wysoką kaucję musimy wpłacić, ale nikt nie wie, że jesteśmy chrześcijankami. Proszę, nie mów nikomu” – dodała cicho.

To było coś wspaniałego – spotkać tak wiele dziewczyn, pełnych entuzjazmu z powodu swojej chrześcijańskiej wiary. Najbardziej martwiło ich to, że w ich telefonach komórkowych, skonfiskowanych przez policję, były zdjęcia z ich chrztu. Jeśli śledczy zobaczą zdjęcia, dziewczyny będą miały poważne kłopoty.

„Wśród nas są dwie, które nie są chrześcijankami. Porozmawiasz z nimi?” – zaproponowała dziewczyna.

Obie dziewczyny poznały mnie i zaczęły pytać o chrześcijaństwo. Nagle jedna z nich oznajmiła: „To, że spotkałyśmy ciebie tutaj, jest dla nas znakiem. Jest nam wstyd, bo w rzeczywistości jesteśmy chrześcijankami, ale boimy się do tego przyznać. W naszych sercach jeszcze wiele musi się zmienić”.

Mówiłam do nich, dodając otuchy całej grupie. Następnego dnia dziewczyny wpłaciły kaucję i wyszły na wolność. Kiedy żegnaliśmy się, jedna z nich powiedziała: „Wygląda na to, że jedynym powodem naszego tutaj pobytu było to, że miałyśmy spotkać ciebie”.

Już wcześniej nasze nazwiska pojawiały się w kilku oficjalnych raportach na temat brutalności rządu Iranu, wydanych przez Amnesty International, ONZ oraz Parlament Europejski. 8 sierpnia 2009 roku w naszej sprawie wystosowano petycję internetową. 14 sierpnia organizacja Jubilee Campaign USA<sup>[12]</sup> wystosowała oficjalne pismo do Grupy Roboczej ONZ d/s Bezpodstawnych Aresztowań, prosząc o pomoc w naszej sprawie. W piśmie tym wymieniona była deklaracja Unii Europejskiej z 25 maja<sup>[13]</sup>, która potępiając dyskryminację chrześcijan w Iranie, przytaczała jako przykład nasz przypadek.

Wiedziałyśmy, że irańscy sędziowie są o wiele łaskawsi, kiedy oskarżeni błagają o litość. Czują się wtedy ważni. Naszej starszej przyjaciółce Susan, skazanej na osiem lat więzienia, zmniejszono wyrok do jednego roku, dlatego że jej siostra przysłała do sądu i na kolanach błagała sędziego o pomoc. My z Marceliną doszłyśmy do zgodnego wniosku, że nigdy nie będziemy w ten sposób poniżać naszej wiary. Nie miałyśmy za co przeproszać lub prosić o przebaczenie. Bóg uhonorował naszą stanowczość, posyłając nam na pomoc cały świat.

<sup>[11]</sup> Radio Farda jest irańską sekcją radia Wolna Europa, nadającą w języku perskim.

<sup>[12]</sup> Organizacja non-profit, broniąca praw człowieka oraz wolności wyznania dla mniejszości etnicznych i religijnych w krajach takich, jak Pakistan, Iran, Egipt, Nigeria, Chiny, Korea Północna, tj. przede wszystkim muzułmańskich i komunistycznych (przyp. tłum. za: [www.jubileecampaign.org](http://www.jubileecampaign.org)).

<sup>[13]</sup> Chodzi o *Oświadczenie prezydencji wydane w imieniu Unii Europejskiej w sprawie naruszenia wolności religijnej w Iranie* z dn. 25 maja 2009 r. dostępne m.in. w języku angielskim na stronie [http://europa.eu/rapid/press-release\\_PESC-09-61\\_en.htm](http://europa.eu/rapid/press-release_PESC-09-61_en.htm).



## ROZDZIAŁ 18

### *W oczekiwaniu na wiadomość*

Marcelina &

Od czasu powyborczych protestów kraj pogrążył się w chaosie. Reszta świata nie miała pojęcia, jak bardzo rozzłoszczony jest naród Iranu tym oszustwem. Dziennikarzom zabroniono pokazywania tłumów na ulicach lub dokumentowania jakiegokolwiek sprzeciwu. Odważni obywatele nagrywali filmiki za pomocą telefonów komórkowych i przekazywali światu prawdę. Służby bezpieczeństwa starały się powstrzymać wybuchy społecznego niezadowolenia, odcinając komunikację wewnątrz kraju i narzucając jeszcze większą cenzurę w mediach.

W murach więzienia Ewin liczba osadzonych przekroczyła granice poziomu ekstremalnego i doszła do stanu niewyobrażalnego. Wiele kobiet nie miało ani łóżka, ani miejsca na przechowanie swoich rzeczy. Już nie mogłyśmy używać parapetów jako miejsca do składania rzeczy lub suszenia prania, ponieważ nowe więźniarki potrzebowały odrobiny wolnej przestrzeni. Koce pokryły całą podłogę; w nocy ciężko było się wyciągnąć. Duszność i odór tyłu ciał stały się nie do zniesienia. Słyszałyśmy, że setki zaaresztowanych na ulicach dziewczyn umieszczono na dolnym piętrze razem z narkomankami, a setki innych przetrzymywano w szkołach, bo nie było miejsc w więzieniach.

Zazwyczaj czytałyśmy codzienne gazety „Hajat-e Nou”<sup>[14]</sup> i „Etemad-e Melli”<sup>[15]</sup>, ale teraz zostały one zakazane. Jedynym źródłem informacji w czasie protestów (nie licząc nowoprzybyłych, od których więzienie pękało w szwach) była cenzurowana telewizja państwowa. Protesty sięgały takich rozmiarów, że nawet ona musiała pokazać przynajmniej ich część. Przez jakiś czas otrzymywałyśmy wiadomości przez telefon: przyjaciele będący na wolności mówili o setkach ludzi, zwłaszcza młodych, zamordowanych przez reżim. Jednak ukrócono wszystkie rozmowy telefoniczne i pozostałyśmy bez źródeł informacji.

Wielu więźniów oskarżonych o defraudacje i inne przestępstwa niezwiązane z przemocą oczekiwało, że po wyborach nowa administracja da im wolność. Pakowali się i czekali, aż drzwi więzienia otworzą się i wypuszczą ich. Zamiast tego wstrzymano rozpatrywanie wszystkich spraw. Nikt nie wychodził na wolność, żadna sprawa nie trafiała do sądu.

Nasze przyjaciółki Tahera i Kamila specjalizowały się w wyłuskiwaniu fragmentów i okrucich prawdy z dostępnych wiadomości. One jako pierwsze dowiedziały się, że obóz Aszraf w Iraku, gdzie mieszkali *mudżahedini* (wiele naszych współwięźniarek miało tam przyjaciół i krewnych), został zaatakowany przez wojska irackie. Wielu uchodźców zostało zabitych i rannych. Tahera, dobra starsza kobieta, poważnie chorująca na oczy, nie miała żadnych wieści na temat

swoich dzieci, przebywających w obozie Aszraf. Była pewna, że rządy Iranu i Iraku starały się odciągnąć uwagę świata od wewnętrznych demonstracji politycznych, mordując niewinnych ludzi.

Wkrótce Tahera dowiedziała się, że jej dzieci są bezpieczne, ale rząd Iraku zażądał, by uchodźcy opuścili kraj, inaczej zostaną przymusowo wysłane do Iranu. Niektórzy z nich, w tym siostra Tahery, rozpoczęli strajk głodowy w nadziei, że przyciągną uwagę ONZ lub innej organizacji międzynarodowej, która by im pomogła. Rząd irański zaczął twierdzić, że właśnie *mudżahedini* stoją za zamieszkami w Iranie. Planowano aresztowanie *mudżahedinów* i tych, którzy ich popierają; i choć nie było żadnych dowodów przeciwko nim, zamierzano skazać ich na tortury.

W miarę rozwoju tragicznych wydarzeń w obozie Aszraf Tahera dowiedziała się, że zostanie przeniesiona do innego więzienia, mającego jeszcze gorszą reputację niż Ewin. Ona składała apelację w sprawie wyroku, skazującego ją na pięć lat, i mimo że apelacja nie została jeszcze rozpatrzona, miała zostać przeniesiona. Lekarze ostrzegali, że Tahera wymaga stałego leczenia oczu, inaczej oślepnie. Przeniesienie było dla niej bardzo uciążliwe i bezzasadne.

Razem z Marią przyłączyłyśmy się do dużej grupy przyjaciółek Tahery, które poszły z zażaleniem do pani Rezei odnośnie jej przeniesienia. Nawet ogromna pani Soraja zeszła na dół, by wyrazić swoje poparcie dla Tahery. Lubiła ją, a poza tym nie chciała stracić okazji, by się poskarżyć pani Rezei. Naczelniczka zadzwoniła do innego więzienia, ale osoba odpowiedzialna akurat była na obiedzie. Wówczas zadzwoniła do swojego przełożonego, pana Sedagata, który powiedział, że nic nie wie o żadnym przeniesieniu Tahery. Tak więc, pomogłyśmy się jej spakować, uściskałyśmy i płakałyśmy, że możemy już się nigdy nie zobaczyć. Tego popołudnia przyjechali ochroniarze z innego więzienia z pisemnym nakazem przeniesienia i zabrali ją. Straciłyśmy dobrą i wierną przyjaciółkę, a dzieciaki z naszego Oddziału 2 straciły swoją zastępczą babcie, która ich bardzo kochała. Maleństwa tęskniły za nią, tak samo jak my.

\*\*\*

Przeciwwagą dla tego smutnego wydarzenia stawały się dobre wiadomości, które czasami otrzymywały niektóre nasze przyjaciółki. Pierwszą z nich była Tahmasebi, która odsiedziała trzynaście lat swojego dożywcia i uważała, że zwariowałam, kiedy przepowiedziałam jej zwolnienie w ciągu pół roku. Została wypuszczona na wolność! Gdy przysłała informacja o jej ułaskawieniu, nikt nie mógł w to uwierzyć, szczególnie ona. Przybiegła ze łzami do naszej celi. Wszystkie w Oddziale pamiętały o moim śnie i przepowiedni.

„Teraz możesz mieć pewność, że Bóg cię kocha” – powiedziałam.

„Czemuż to właśnie chrześcijańskie modlitwy i sny wyprowadzają więźniów na wolność?” – zapytała jedna kobieta.

„Nie chodzi o nas” – wyjaśniła Maria. „To jest zwycięstwo Pana. On tylko posługuje się nami, by realizować swoją wolę”.

Bóg pokazywał Tahmasebi prawdziwy cud w jej własnym życiu. Kobieta była przekonana, że jej zwolnienie jest niemożliwe, ale u Boga nie ma nic niemożliwego<sup>[16]</sup>.

Gdy więzień dowiaduje się, że wyjdzie na wolność, ostatnie dni w więzieniu są tak długie i bolesne, jak całe poprzednie lata. Dokumenty Tahmasebi miały nadejść z innego miasta, a w tym czasie poważnie zachorowała i znalazła się w szpitalu jej matka. Tahmasebi desperacko pragnęła zobaczyć matkę, zanim ta umrze. Po kilku dniach zwłoki władze więzienia zezwoliły jej na odwiedzinę matki w szpitalu w ramach przepustki, w towarzystwie straży więziennej. Tahmasebi była szczęśliwa i wyprawa dodała jej sił do dalszego znoszenia oczekiwania.

Kilka dni później matka Tahmasebi zmarła. Teraz kobieta miała nadzieję na zwolnienie przed pogrzebem, ale to również nie nastąpiło. Postanowiłyśmy z Marią odprawić nabożeństwo ku czci matki Tahmasebi w naszej celi. Wiele kobiet dziwiło się, że dwie chrześcijanki organizują nabożeństwo dla muzułmanki i czynią to szczerze.

Po śmierci matki Tahmasebi zaczęła się zastanawiać, co będzie robić po wyjściu z więzienia. Nie miała żadnego wykształcenia, żadnych pieniędzy, tylko kryminalną przeszłość. Spodziewała się, że jej bracia i siostry sprzedadzą własność matki i pieniądze podzielą między siebie, pomijając ją. Tahmasebi zawierała tymczasowe małżeństwo muzułmańskie z człowiekiem, który obiecał jej pomoc po wyjściu z więzienia, ale teraz on twierdził, że ma problemy finansowe i nie może jej wesprzeć. Poza tym miał żonę i dzieci, którzy nic nie wiedzieli o Tahmasebi.

Tahmasebi składała wniosek o pożyczkę w wysokości dwóch milionów tomanów (tysiąc dolarów) na rozpoczęcie własnego biznesu, ale jej odmówiono. Modliłyśmy się za nią i wiele z nas oddało jej swoje niewielkie sumy, by pomóc jej rozpocząć nowe życie. Pracując od lat w magazynie, zarabiała zaledwie osiem tysięcy tomanów miesięcznie (około czterech dolarów).

Gdy zbliżał się dzień zwolnienia, kobiety z naszego oddziału zorganizowały wielką zabawę ze śpiewem i tańcami. Mardżana zrobiła ciasto, wszystkie podpisałyśmy kartkę z życzeniami i dałyśmy Tahmasebi małe prezenty na pamiątkę.

I oto nadszedł ten wielki dzień. Tahmasebi została wezwana przez głośniki, by stawiała się w biurze w celu zwolnienia. Ustawiliśmy się w dwa szeregi, między którymi miała przejść, i obrzucałyśmy ją cukierkami i innymi drobnymi rzeczami, śpiewając i tańcząc z radości. Nieco wcześniej dałyśmy jej krzyżyk. Teraz powiedziała nam: „Będę przechowywać ten krzyżyk przez całe życie!”.

Odprowadziłyśmy ją do drzwi ze słowami ostatniej modlitwy o jej bezpieczeństwo i sukces. „Nie wiem, co mnie czeka” – przyznała. Następnie odwróciła się z uśmiechem i wyszła przez drzwi więzienia Ewin do świata, gdzie było błękitne niebo i świeże powietrze wolności.

\*\*\*

Krótko potem naszą drogą przyjaciółkę Silwę spotkało takie samo szczęście. Ona odsiedziała tylko jeden rok z trzech i nie liczyła na rychłe zwolnienie. A jednak pewnego razu wyszeptala mi, Marii i Szirin Alam Huli wiadomość, że wreszcie wyjdzie na wolność. Kilka godzin później została wezwana przez głośniki. Reżim darował jej wolność!

Wszystkie cieszyłyśmy się i płakałyśmy z radości. To był gorzko-słodki czas, gdyż tak samo mocno, jak pragnęłyśmy jej zwolnienia, było nam szkoda z nią się rozstać. Przez cały rok Silwa mieszkała z Szirin w jednej celi, dlatego dla nich rozstanie było szczególnie ciężkie. Razem śpiewałyśmy dla Silwy pieśń, a Soraja zgodnie z tradycją stłukła talerz w myśl pożegnalnego wiersza: „Idź, idź i nigdy tu nie wracaj!”.

Po wyjściu Silwy spędzałyśmy więcej czasu z Szirin, pomagając jej przeżyć rozstanie z najbliższą przyjaciółką. Imię Szirin również od czasu do czasu rozbrzmiewało w głośnikach, ale nie wróżyło to nic dobrego. Wszystkie jej przyjaciółki nienawidziły te chwile, kiedy ją wzywano, gdyż zawsze bałyśmy się, że będą to kolejne ciężkie przesłuchania. Czasami zabierano ją do Oddziału 209, gdzie ją przesłuchiowano jak nas, ale bito ją po to, by zdradziła nazwiska innych członków PIAK.

Mimo że Szirin przechodziła przez najgorsze tortury, o jakich kiedykolwiek słyszałyśmy (wieszano ją za nogi, chłostano po stopach, kopano w brzuch, aż zaczynała wymiotować krwią, bito całymi dniami do nieprzytomności), jej wola była mocna jak stal, a jej duma z kurdyjskiego dziedzictwa i lojalność wobec politycznego ruchu PIAK ani drgnęła.

Zachowanie Szirin powodowało, że z najmniejszego powodu miała problemy z ochroną. Pewnego razu zatkały się rury w toalecie i naprawa trwała trzy dni. Po zakończeniu prac ochrona kazała nam brać jakieś tabletki, które miały nas odkazić i sprawić, byśmy nie zachorowały w wyniku tej awarii. Ze względu na niekompetentną obsługę medyczną wiele z nas nie brało tych tabletek, bo nie wiedziałyśmy, co to za substancja. Każda udawała, że połyka, ale chowała tabletkę w rękę i później wyrzucała. Każda, ale oczywiście z wyjątkiem Szirin, która otwarcie odmówiła łykania nieznanymi środkami. Ochrona zameldowała naczelnice i pani Rezea wezwała ją do swojego biura.

Szirin miała za sobą długą listę przypadków złamania więziennych zasad.

Ten fakt w połączeniu z uznaniem jej za wroga Boga (co karane jest śmiercią) nadawał dodatkowej wagi każdemu kolejnemu zajściu. Ale Szirin się tym nie przejmowała. Była radykalną, upartą dziewczyną, która wierzyła, że niesprawiedliwość wobec narodu kurdyjskiego musi być otwarcie zwalczana. Nigdy nie brała pod uwagę żadnej innej metody. Ta bezkompromisowość stała w jaskrawym kontraście z jej wrażliwą osobowością i dobrym sercem.

Kiedy w Kurdystanie został zamordowany wysokiej rangi sędziego, przeprowadzono rozmowy ze wszystkimi więźniami kurdyjskimi, związanymi z PJAK, również z Szirin. Znowu ją pytano, czy jest gotowa wyrazić skruchę i rozpocząć współpracę z reżimem. Zamiast odpowiadać na pytanie, Szirin wygarnęła wszystko na temat tortur, którym ją poddawano, i zażądała, żeby ktoś poniósł za to odpowiedzialność. Nic nie mogło powstrzymać odważnej dziewczyny. Jej oczy były słabe, włosy wypadały z powodu niedożywienia; sprawiała wrażenie bezradnej i złamanej, ale nadal miała serce lwa.

Czasami rozmawialiśmy z nią o podobieństwach i różnicach między jej poświęceniem sprawie Kurdów a naszym poświęceniem dla Chrystusa. Podstawowa różnica polegała na tym, że walka Szirin była osobista, my natomiast pełniłyśmy wolę Boga. Nie wyrażałyśmy sprzeciwu wobec jej walki, ponieważ była ona czymś ważnym, ale krytykowałyśmy jej taktykę. Bolało nas, gdy widziałyśmy, jak dobra i pełna życia młoda kobieta składa tak wielką ofiarę w imię wolności kurdyjskiego narodu, a zwłaszcza kurdyjskich kobiet. Zachęcałyśmy Szirin, by walczyła o godność i wolność swojego narodu, ale nie dała się wciągnąć w politykę.

\*\*\*

Maria &

Od czasu do czasu do więzienia Ewin przybywała grupa wizytatorów. Przed takim wydarzeniem ochrona nerwowo krzyczała na nas, byśmy posprzątały w celach, pozdejmowały sznurki do suszenia prania, nałożyły zasłony na twarze i nic nie jadły, żeby jedzenie nie spadło na podłogę. Miałyśmy siedzieć cicho na podłodze, póki tłum wizytujących przechodził obok, patrząc na nas jak na eksponaty muzealne lub zwierzęta w zoo. Czasami byli to przedstawiciele rządu, czasami goście z zagranicy lub jacyś celebryci. Prowadzono ich zawsze do najnowszej i najczystszej części więzienia, w związku z czym rzadko która grupa trafiała do Oddziału 2. Zazwyczaj pokazywano im Centrum Kultury i Oddział 3. Mimo to musiałyśmy godzinami siedzieć na podłodze z zasłoniętymi twarzami, dopóki nie pojawiała się ochrona z krzykiem: „Koniec! Zdjąć zasłony!”. Na tym nasz udział w wizytacji się kończył.



Nowe więźniarki napływały do naszej celi nawet po tym, jak uznaliśmy, że już nie zmieści się tutaj ani jedna osoba więcej. Wśród nowych była Zari, kiedyś profesjonalna koszykarka, dziewczyna wielkiego wzrostu, zamknięta za nadużycie finansowe. Oczywiście natychmiast przezważyliśmy ją Małą Zari. Była to prosta, wrażliwa i wystraszona osoba. Dwa miesiące temu wyszła za mąż i bała się, że mąż się z nią rozwiedzie z powodu jej zatrzymania. Jego rodzice nic o tym nie wiedzieli i kobieta się obawiała, co będzie, gdy sprawa wyjdzie na jaw.

Inna nowa miała na imię Szahla. Ja, Marcelina i Szirin szybko się z nią zaprzyjaźniłyśmy. Szahla była zadziwiająco szczęśliwą osobą, zawsze mówiła jakieś wesołe, bezsensowne rzeczy i robiła kawały. Zabawnie naśladowała zachowania ochroniarek, maszerujących żołnierzy lub innych więźniarek. Nawet kiedy płakała, wyglądała zabawnie. Wylewała tak dużo łez, że musiała wycierać je ręcznikiem, bo chusteczka natychmiast była mokra.

Ciepło przyjełyśmy także panią Jadolahi, która twierdziła, że jest ważną osobistością jednej z rozgłośni telewizji satelitarnej. Mieszkała za granicą i została aresztowana, kiedy przyjechała odwiedzić Iran. Lubiła tańczyć i traktowała to zajęcie bardzo poważnie. Tańcząc zamykała oczy i wykonywała szerokie, płynne ruchy, czasami biegła kilka kroków i przyjmowała artystyczne pozycje z rękami wzniesionymi ku niebu lub owiniętymi dookoła ciała.

W czasie naszego pobytu w Ewin bardzo dużo kobiet i dziewcząt przewinęło się przez więzienie. Na każdą tu wymienioną przypadało o wiele więcej innych, o których również warto opowiedzieć światu. Mogłoby to się stać tematem jeszcze jednej książki, która opisywałaby ich życie, odwagę i ofiarę. Mamy nadzieję, że kiedyś będziemy miały możliwość napisania takiej książki, by je wszystkie uhonorować.

\*\*\*

Od pierwszych dni naszego uwięzienia obie miałyśmy poważne problemy ze zdrowiem. Marcelinę bolały plecy i gardło, miała chore nerki i zęby; mnie bolała głowa, ucho i brzuch. Byłyśmy niedożywione, brakowało nam ruchu i światła słonecznego. Lekarz nam nie pomagał, a czasami nawet powodował pogorszenie naszego stanu; poza tym każda wizyta w szpitalu była źródłem kolejnych problemów, gdyż uruchomiła potworną biurokrację i wymagała okropnie długiego oczekiwania. Właściwie każdego dnia w więzieniu byłyśmy chore lub coś nas bolało. Przez pewien czas Marcelina tak długo leżała w łóżku, że panie przezwały ją „Chora Święta”. Staraliśmy się nie przejmować schorzeniami, ale czasami cierpienie było tak wielkie, że musiałyśmy udać się do więziennego lekarza w nadziei, że przyniesie to jakąś ulgę.

Dla mnie szczególnie trudny czas nastał w świętym dla muzułmanów

miesiącu Ramadan, kiedy wierni poszczą codziennie od wschodu do zachodu słońca. Poranne nawoływanie do modlitwy zostało przesunięte ze zwykłej piątej godziny na trzecią trzydzieści rano, kiedy było jeszcze ciemno. Mała która z więźniarek przestrzegała postu, ale posiłki wydawano jedynie przed świtem i po zmierzchu. Cały czas unikałyśmy śmierdzącego, napakowanego chemią więziennego jedzenia i kupowałyśmy konserwy w puszkach, dżem i ser (który zostawialiśmy na śniadanie na następny dzień) w sklepiku. Konserwy zawsze były tak okropne, jak tylko mogą być sprzedawane w więzieniu.

Seksualna aktywność lesbijek w naszym więzieniu sięgała szczytu. Władze potajemnie popierały stosunki lesbijskie, gdyż ułatwiały one sprawowanie kontroli nad więźniarkami: można było nimi manipulować, grożąc kochankom rozłączeniem. Niektóre ochraniarki również miały stosunki lesbijskie z więźniarkami. Wydaje się, że miały na to nieoficjalne przyzwolenie, bo przecież ich zachowanie było stale widoczne przez kamery nadzoru wideo.

Stosunki lesbijskie i związane z nimi konflikty prawie codziennie prowadziły do bójek. Niektóre z nich były tak gwałtowne, że ochrona bała się wejść do celi i rozdzielić walczące kobiety. Kiedy któraś z matek lesbijek wdawała się w bójkę na pięści z wrzaskiem i wrywaniem włosów, jej dziecko było przerażone. Któraś z nas zawsze starała się zabrać dziecko w bezpieczne miejsce, póki bójka się nie skończy.

\*\*\*

Nie wyzdrowiałam całkowicie z okropnych bólów żołądka, jakie miałam w Oddziale 209, ani z zapalenia ucha. Bóle brzucha budziły mnie i nie dawały spać każdej nocy. Umówiłam się na wizytę u pani doktor Kaszani, szczupłej, nieuprzejmej kobiety, by zapytać, czy moja siostra nie mogłaby przynieść dla mnie jakichś witamin. Kiedy wizyta wreszcie doszła do skutku, lekarka bardziej się zajmowała papierami na swoim biurku niż mną.

„Co jest nie tak?” – zapytała krótko.

Gdy zaczęłam opowiadać o moich problemach, przerwała mi: „Proszę się streszczać!”.

Powiedziałam, że otrzymałam informację od naczelniczki, że mogłabym dostawać tu, w więzieniu, witaminy, jeśli pani doktor wyrazi zgodę.

Doktor Kaszani podniosła oczy.

„O co jest pani oskarżona? Jaki lekarz panią badał wcześniej?”

„Jestem w więzieniu z powodu mojej wiary chrześcijańskiej. Wcześniej badała mnie pani doktor Awesta i kilka innych z Oddziału 209”.

„Jest pani w więzieniu za chrześcijańską wiarę czy za konwersję z islamu?”

„Zostałam chrześcijanką jednaście lat temu”.

Doktor Kaszani zaczęła znowu oglądać papiery na biurku. W ogóle mnie nie zbadała i nawet nie dotknęła.

„Co do zapalenia błębenków – ono przejdzie” – powiedziała. „Nie możemy pani pomóc z żołądkiem, ponieważ nie mamy tu odpowiedniego wyposażenia. Kwestia witamin w więzieniu nie ma nic wspólnego z panią Rezeą. Decyduje lekarz. Pani stan nie jest na tyle poważny, by wymagał podawania witamin”.

Po czym krzyknęła przez otwarte drzwi: „Następny!”.

Nasze problemy zdrowotne najbardziej się nasiliły, kiedy dołączyła do nas osoba chora na świńską grypę. Zatłoczona cela, zła wentylacja, fatalne warunki sanitarne – wszystko to stwarzało doskonale warunki dla wirusów. Wkrótce pół Oddziału, włącznie z Marceliną, chorowało na świńską grypę. Dzień i noc w korytarzach słychać było kasłanie. Nikt z chorych nie otrzymał pomocy medycznej. Byłam wśród tych nielicznych, które czuły się na tyle dobrze, by choć trochę pomóc innym. Kupowałam mleko i prosiłam kogoś, kto pracował w kuchni, by je podgrzać, a potem roznosiłam chorym. Robiłam herbatę z miodem. Niektóre kobiety nie mogły nic jeść, więc moje napoje były dla nich jedynym „pokarmem”, który mogły przełknąć; nawet te, które zazwyczaj jadły więzienne posiłki, w czasie choroby nie były w stanie ich przyjmować. W końcu epidemia minęła. Na ile nam wiadomo, dzięki łasce Bożej, nikt nie zmarł.

\*\*\*

Tydzień ciągnął się za tygodniem, a my oczekiwałyśmy na jakieś wiadomości w naszej sprawie. Nasz prawnik, pan Soltani, kompetentny i oddany, z powodu obrony naszych praw sam siedział w więzieniu. Nie wiedziałyśmy, kiedy i czy w ogóle będziemy miały rozprawę. Wydawało się, że nikt nic nie wie i nikt za nic nie odpowiada. Docierały do nas sprzeczne informacje: z jednych wynikało, że nie złamałyśmy żadnego przepisu prawnego, a z innych, że powinnyśmy być potępione i stracone jako winne apostazji.

Prawo cywilne Iranu stwierdza, że religia jest sprawą wyboru obywatela i każdemu wolno otwarcie wyznawać i praktykować swoją wiarę. Jednak nawrócenie z islamu lub spowodowanie nawrócenia innego muzułmanina jest traktowane jako przestępstwo, karane śmiercią. Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że część Kodeksu Karnego, przewidująca karę śmierci dla apostatów, znajdowała się w tym momencie w fazie projektu niezatwierdzonego jeszcze oficjalnie przez Radę Stróżów – muzułmańską starszyznę, rządzącą krajem. Sędziom kazano kierować się ich własną znajomością *szariatu* w rozstrzyganiu spraw, nieujętych w Kodeksie Karnym. Jeśli sędzia uzna, że jesteśmy apostatkami, może skazać nas na śmierć, niezależnie od tego, czy prawo przewiduje dla nas taką karę, czy nie. Sędzia też mógł po prostu poczekać, aż poprawki do Kodeksu

zostaną zatwierdzone, i skazać nas na śmierć w majestacie prawa.

Musialiśmy się postarać o nowego prawnika i zdecydowałyśmy się na pana Agasio, znanego w całym Iranie. Nasze siostry spotkały się z nim, a my rozmawiałyśmy z nim przez telefon. Pan Agasi zgodził się zająć naszą sprawą, najpierw jednak musiał uzyskać na to naszą pisemną zgodę. Biedny pan Soltani nie był w stanie pokonać nawet tej trudności z powodu przeszkód, stwarzanych przez władze więzienia i sędziów.

Poszłyśmy z Marceliną do pracownicy socjalnej Ewin, by rozpytać, jak dokładnie wygląda procedura udzielenia zgody i kto musi być zaangażowany w jej realizację. Powiedziała, że każda z nas ma napisać upoważnienie, podpisać i przyłożyć odciski palców, następnie przekazać jej. Ona natomiast przekaze dokumenty panu Agasiemu w holu dla osób odwiedzających. Prawnik natomiast nie może z nami się spotkać, by odebrać upoważnienie, ponieważ nie posiada naszego upoważnienia. (Jak później dowiedziałyśmy się, Amerykanie nazywają taki stan *catch-22*.) Tak więc, nie było wiadomo, czy sąd pozwoli nam korzystać z usług prawnika. „Śledztwo” wciąż trwało i Ministerstwo Wywiadu wciąż nie wydało pozwolenia, by adwokat reprezentował nas w sądzie.

Mniej więcej w tym samym czasie po raz pierwszy skorzystałyśmy z możliwości wizyty kontaktowej z naszymi siostrami. Zazwyczaj taką możliwość mieli tylko więźniowie, utrzymujący dobre kontakty z władzami więzienia lub spędzający dużo czasu w Centrum Kultury. Jednak kierowniczka Centrum zabroniła nam wstępu do niego; ale prosiłyśmy panią Rezeę o możliwość wizyty kontaktowej i otrzymałyśmy pozwolenie.

To było coś niesamowitego! Poranek dłużył się bardziej niż kiedykolwiek. Nałożyłyśmy z Marceliną nasze zasłony na twarz i siedziałyśmy. Wreszcie wprowadzono nas do sali spotkań. Ci nieliczni, którym zezwolono na wizytę kontaktową, spotykali się ze swoimi bliskimi w innym miejscu, niż odbywały się zwykle wizyty. Był to duży pokój na dolnym piętrze, w którym znajdowały się stoły i krzesła. Ochrona robiła wszystko, by nas poniżyć i dodać sobie powagi naszym kosztem. Jedna z policjantek oznajmiła, że jeśli spróbujemy rozmawiać z kimś oprócz naszych odwiedzających, wizyta zostanie przerwana. niesprawiedliwie skrytykowała nasze *czadory*, byśmy pamiętały, jak ważna jest ona i jak mało ważne jesteśmy my.

Jednak to wszystko nie miało znaczenia, kiedy już mogłyśmy wejść do pomieszczenia i rzucić się w objęcia naszych sióstr. Mocno uściskałyśmy się i nie chciałyśmy ich puścić. „Bądź twarda!” – mówiłyśmy sobie. „Nie płacz!” Ale i tak wszystkie płakałyśmy ze szczęścia. Usiadłyśmy razem, we czwórkę, ale podeszła kolejna bardzo ważna ochroniarka i zakomunikowała, że możemy siedzieć tylko parami. Musialiśmy się więc rozdzielić: ja zostałam z Szirin, a Marcelina z Eleną się odsunęły. Siostry przekazały nam dobre wiadomości o tym, że nasze

upoważnienia dotarły do pana Agasiego, i wszystko wygląda jak najlepiej. Mamy się wkrótce spodziewać od niego sygnałów. Wiedząc, że taka wizyta jest możliwa raz w miesiącu w ciągu dziesięciu minut, gadałyśmy jak szalone.

Podszedł ochroniarz i stanął obok mnie i mojej siostry. Przez chwilę się przysłuchiwał, po czym spojrzał na Szirin i rzekł: „Gdyby pani siostra nie zrobiła nic złego, nie siedziałaby teraz w więzieniu”.

Szirin zamilkła i popatrzyła mu w oczy.

„Jestem dumna z mojej siostry!”

Ochroniarz ten początkowo był dla nas bardzo niemiły, ale z czasem zmienił swoje podejście. Teraz był nastawiony prawie przyjaźnie. Spojrzał na Szirin i powiedział do mnie: „No cóż, to nie było dla pani takie złe, że trafiła pani do więzienia. Jest pani znana! Parę dni temu widziałem panią w programie Głosu Ameryki; wtedy po raz pierwszy usłyszałem, o co panią oskarżają”. Pochylił się w naszym kierunku i dodał: „Mam nadzieję, że niedługo odzyska pani wolność. Do widzenia!”. I oddalił się szybkim krokiem.

Ilu jeszcze ochroniarzy i urzędników myślało podobnie, ale nie miało okazji i odwagi, by o tym powiedzieć? Jak wielu z nich całym sercem pragnie poznać Chrystusa teraz, gdy my piszemy te słowa? Boże, zachowaj ich bezpiecznie i wynagrodź ich pragnienie swoją obecnością w ich życiu...

<sup>[14]</sup> „Nowe życie” – gazeta o profilu reformatorskim, popierająca Mir-Hossejną Musawiego. Jak podaje Komitet Obrony Dziennikarzy (Committee to Protect Journalists, cpj.org), w grudniu 2009 roku irański Nadzór Prasowy cofnął licencję na wydawanie gazety z powodu „złamania przepisów”, przy czym nie podano, o jakie przepisy chodzi (przyp. tłum.).

<sup>[15]</sup> Była to gazeta reformistycznej Partii Zaufania Narodowego Iranu (Hezb-e Etemad-e Melli-je Iran) założonej przez Mehdiego Karrubiego; w sierpniu 2009 roku wydawanie gazety zostało wstrzymane przez władze za publikowanie „niezgodnych z prawem” i „przestępczych” materiałów. Na swoim blogu Mansur Arshama podaje listę ponad 100 dziennikarzy aresztowanych po wyborach 2009 roku; w marcu 2013 roku 40 z nich wciąż znajdowało się w więzieniu, a kilkunastu musiało opuścić kraj (przyp. tłum.).

<sup>[16]</sup> Zob. Łk 1,37 (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ 19

### Niepojęte

Marcelina &

Istniał jeszcze jeden rodzaj wizyt, o jakie można było ubiegać się u władz więzienia. Tak zwana wizyta *szaria* była przewidziana dla żon, które chciały spędzić czas z mężem. Po okazaniu aktu małżeństwa (również tymczasowego *sighe*), małżonkowie mogli spędzić dzień w osobnym, specjalnie do tego przeznaczonym budynku. Mała Zari, była koszykarka ogromnego wzrostu, okropnie tęskniła za mężem i bardzo się bała, że ją rzuci z powodu jej uwięzienia. Gdy dowiedziała się, że istnieje możliwość takiej wizyty, niezmiernie się ucieszyła. Miała nadzieję, że to jej ułatwi zniesienie rozłąki, a mąż nie będzie myślał o rozwodzie.

Niestety bardzo często wizyty prywatne były okazją do tego, by mąż krytykował więźniarkę lub ją szantażował. Nasim, z którą zaprzyjaźniłyśmy się, zanim jeszcze przeniesiono nas do Oddziału 209, a po powrocie umocniłyśmy nasze relacje jeszcze bardziej, miewała spotkania z mężem. To ona wytłumaczyła Małej Zari, jak to wszystko jest zorganizowane. Tego samego dnia, co Zari, Nasim również miała wizytę męża, po której wróciła zalana łzami. Zobaczyłyśmy ją siedzącą na korytarzu i płaczącą. Wiedziałyśmy, że siedzi za zabójstwo teściowej, ale nie znałyśmy szczegółów.

Podeszłyśmy do niej. Powiedziała przez łzy: „Wszyscy mówią mi: «Jesteś po prostu głupia. Czy nie widzisz, że mąż cię zdradza?»». Ale ja go kocham i zrobię dla niego wszystko, nawet jeśli jest najgorszym człowiekiem na świecie!”

„Droga Nasim – spytałam, – dlaczego tak mówią? Co takiego zrobił twój mąż?”

„To on jest mordercą – zabił własną matkę! Przyznałam się do winy, ponieważ on nie zniósłby więzienia. Obiecał, że nakłoni swoją rodzinę, by mi przebaczyli”.

„Jak to się mogło stać? Jak policja mogła nie dowiedzieć się prawdy?”

„Pewnego dnia mąż pokłócił się ze swoją matką. W złości chwycił za nóż kuchenny i zabił ją, po czym wybiegł z domu jak wariat. Policja przesłuchała nas oboje i torturami wymusiła zeznania. Mój mąż zawsze kłócił się z rodziną. Ponieważ miał złe stosunki z braćmi i siostrami, wiedział, że nigdy mu nie wybaczą, ale był przekonany, że mogą wybaczyć mi. Wzięłam więc wszystko na siebie. Teraz już od dwóch lat jestem w więzieniu. Ostatnio policja postanowiła zrewidować sprawę, ponieważ na podstawie mojego opisu sytuacji śledczy doszli do wniosku, że nie było mnie na miejscu zbrodni i że zabójcą jest mąż. Zmieniłam zeznania i oni wiedzą, że ja nie zabiłam. Od roku mąż nie odwiedzał mnie i nie

odbierał moich telefonów. Teraz, gdy jest podejrzewany, przychodzi do mnie co tydzień, mamy spotkania na osobności tak często, jak tylko jest to możliwe. Nie mogę powiedzieć, że to on jest sprawcą!”

Razem z Marią pomodliliśmy się za nią i od tego czasu starałyśmy się być przy niej, kiedy była samotna lub zdenerwowana. Coś, co się każdemu wydawało oczywiste, było dla niej zbyt trudne. Nie mogła zmusić siebie, by oskarżyć męża, przekonana, że to oznaczałoby dla niego pewną śmierć.

\*\*\*

Jak wiele kobiet w Ewin siedziało niesprawiedliwie! Słyszałyśmy niezliczoną liczbę historii kobiet, które próbowały się bronić, doprowadzone do skrajności przez bezlitosne prawo, dające mężowi nieograniczoną władzę nad żoną. Inne, podobnie jak Nasim, siedziały dlatego, że zagmatwana sytuacja rodzinna zmusiła je do poświęcenia własnej wolności dla ratowania przestępcy.

Nawet niektóre prawdziwe morderczynie nie powinny były się znaleźć w tym więzieniu. W każdym cywilizowanym kraju rozpoznano by, że są chore psychicznie, naprawdę nie wiedziały, co robią, i nie mogą ponosić odpowiedzialności za swoje czyny. W Iranie traktuje się je jak zwierzęta. Powinno się je umieścić tam, gdzie nikomu nie wyrządzą krzywdy, gdzie otrzymają fachową pomoc w swojej chorobie, gdzie nikt nie potępiłby je za zachowania, których nie są świadome. Ze wszystkich morderczyń, jakie spotkałyśmy w Ewin, jedna utkwiała mi w pamięci jak nikt inny.

Pewnego wieczoru usłyszałyśmy, że Soheila Gadiri zostaje przeniesiona do pojedynczej celi. Zgodnie z procedurą noc przed egzekucją więźniowie mają spędzać w osamotnieniu. Oczywiście do pojedynczej celi trafiało się też z innych powodów, ale gdy ktoś tam się znalazł, czekałyśmy w przerażeniu. Czasami któreś z przyjaciółek pozwalało odprowadzić oskarżoną, czasami nie. Czy wróci? Czy rano usłyszymy o jej śmierci?

Soheila była bardzo roztrzepaną kobietą, nosiła brudne łachmany. Wszyscy byli przekonani, że jest chora psychicznie. Przyjechała do Teheranu jako czternastolatka z mężczyzną, który obiecał się z nią ożenić, ale zostawił ją natychmiast po przybyciu do stolicy. Dziewczyna bała się wrócić do domu, więc została w Teheranie, żyjąc na ulicy i trudniąc się prostytutką. Jeden z jej klientów, siedemnastoletni chłopak, zaproponował, by z nim zamieszkała. Zgodziła się, ale wkrótce zaszła w ciążę i postanowiła wrócić na ulicę.

Policja aresztowała ją za włóczęgostwo i przekazała do centrum zdrowia ze względu na ciążę. Gdy urodziło się dzieciątko, Soheila czuła, że nie powinna dopuścić, by żyło ono w taki sam nędzny i niemoralny sposób, ale nie widziała sposobu, by zaoferować mu coś lepszego. Powiedziała pielęgniarkom, by trzymały

dziecko z dala od niej, bo ona może mu wyrządzić krzywdę. Na nieszczęście, one zignorowały ostrzeżenie.

Gdy jej dziecko ukończyło pięć dni, Soheila wpadła do biura centrum zdrowia. Jej ręce były po łokcie we krwi.

„Zobaczcie” – powiedziała bezbarwnym głosem. „Mówiłam, że nie powinniście go zostawiać ze mną”. Soheila otworzyła dłoń, w której trzymała malutkie serduszko swojego synka.

Ponieważ nie dało się odnaleźć ojca dziecka, który mógłby uznać, że Soheila ma pozostać przy życiu, sąd skazał ją na śmierć. Nie miała żadnej rodziny i nikt nie stanął w jej obronie. Niekiedy sąd wyznacza adwokata z urzędu, by udzielił pomocy ubogim oskarżonym, ale w przypadku Soheili tego nie zrobił. W końcu organizacja Milion Podpisów załatwiła dla niej prawnika, który znalazł ojca-narkomana. Ten udzielił Soheili przebaczenia. Jednakże kobieta miała tytuł mężczyzny, iż sąd orzekł niemożność ustalenia, czy on rzeczywiście jest ojcem dziecka.

Prawnik radził Soheili, by powiedziała, że jest chora psychicznie. Ona zamiast tego opowiadała w sądzie, jak mieszkała na ulicy od czternastego roku życia, jak wielu mężczyzn ją poniżało i jak pielęgniarki z centrum zdrowia nie posłuchały jej ostrzeżenia i nie zabrały jej dziecka.

„Nie jestem chora psychicznie” – oznajmiła. „Ale nie mogłam znieść myśli, że moje dziecko będzie przechodziło przez to wszystko, przez co ja przechodziłam, cierpiąc nędzę i ból, jakie ja musiałam znosić. Cieszyłam się, kiedy zakładano mi kajdanki i zabierano do więzienia, bo teraz przynajmniej będę miała dach nad głową i coś do jedzenia. Wolałabym się urodzić jako żółw, który zawsze ma dach nad głową i nie umiera z głodu. Na tym świecie nigdy nie miałam dachu nad głową. Nie miałam z czego żyć”.

Teraz Soheila została zabrana do pojedynczej celi. Następnego ranka dowiedziałyśmy się, że powieszono ją przed świtem. Koszmar jej życia się skończył. Miała 28 lat.

\*\*\*

Morderczynią, która nigdy nie żałowała popełnionej zbrodni, była Farah, niewysoka, dwudziestoletnia dziewczyna z okrągłą twarzą, dużymi ciemnymi oczami i pięknym uśmiechem.

„Zabiłam mojego męża” – powiedziała jak gdyby nigdy nic. „Nie żałuję tego. Jestem po prostu szczęśliwa, że on już nie chodzi po tym świecie”.

Mając piętnaście lat, Farah została zmuszona do wyjścia za mąż. Narzeczonym był kuzyn, zły człowiek, którego nikt nie lubił; poprzez ożenek chciano nakłonić go do opuszczenia domu rodziców. Po współżyciu seksualnym



zawsze bił Farah, pozostawiając rany i wybijając zęby. Ona znosiła to wszystko do czasu, kiedy mąż wpadł na pomysł sprzedania jej jako prostytutki jednemu ze swoich kumpli. Gdy jechali do tego koleżki, Farah wyskoczyła z samochodu, próbując uciec. Mąż zatrzymał auto, złapał ją i pobił do nieprzytomności, po czym zostawił leżącą na poboczu.

Farah opowiedziała matce, że jej mąż jest psychopatą i że ona musi się z nim rozwieść. „Kobiety muszą znosić zachowanie swoich mężów” – padła odpowiedź matki. „W każdym małżeństwie są konflikty, ale to nie usprawiedliwia rozwodu”.

Wtedy Farah udała się do swojej teściowej, która była jej ciocią, błagając o pomoc. „On mnie bije codziennie i w końcu zabije!” – ostrzegała.

Ciotka pomyślała, że po rozwodzie jej nieobliczalny i agresywny syn znowu wróci do domu. Nie chciała tego, dlatego powiedziała Farah, że przecież to młody i niedojrzały mężczyzna, który z czasem stanie się dobrym mężem.

Gdy mąż się dowiedział, że ona chce rozwodu, pobił ją mocniej niż kiedykolwiek; lecz gdy zaatakował ją następnym razem, Farah zabiła go nożem.

„Leżał w kuchni w kałuży krwi” – wspominała. „Ani przez chwilę nie żałowałam, że go zabiłam, ani nie bałam się konsekwencji”. Będąc w więzieniu, czekała, czy rodzina zgodzi się jej przebaczyć.

Kiedy skończyła opowiadanie, jej oczy były pełne łez.

„Myślisz, że jestem morderczynią?”

„Droga Farah, ja tak nie myślę” – powiedziała Maria, głaszcząc ją po ręce. „Próbowałaś się bronić. Jesteś silną dziewczyną, która potrafi się uśmiechać, mimo że była tak okropnie torturowana”.

Opowiedziałyśmy jej o Jezusie i o tym, jak On może jej pomóc w ciężkiej sytuacji. Jej historia była jedną z tych, które zmuszały nas do zadawania trudnych pytań, dotyczących Boga. Dlaczego taka miła, niewinna piętnastoletnia dziewczyna musiała tyle wycierpieć i w końcu popełnić morderstwo, ratując własne życie? Boża mądrość zawsze ma rację, na pewno przewyższa naszą mądrość, ale czasami nie jesteśmy w stanie jej pojąć.

\*\*\*

Maria &

Potok więźniów znowu przepływał przez Oddział 2 więzienia Ewin. Sądy wznowiły pracę: nawet pozornie beznadziejne sprawy, jak przypadek Tahmasebi, zostały rozwiązane, ale nasza stała w miejscu. Wiedziałyśmy, że społeczność międzynarodowa protestuje przeciwko naszemu uwięzieniu, a takie organizacje, jak Amnesty International i ONZ, domagają się wycofania wszelkich oskarżeń przeciwko nam. Wiedziałyśmy też, że irański reżim nie będzie chciał stracić

twarży, usprawiedliwiając nas, tym bardziej że w odróżnieniu od większości innych oskarżonych odmówiliśmy zmiany zeznań na takie, które uzasadniłyby działania policji i służb i stworzyły powody do naszego uwolnienia. Sytuacja była patowa i sąd nic nie robił w naszej sprawie już od kilku miesięcy.

Pewnego wieczoru, bez wcześniejszego uprzedzenia, w głośnikach zabrzmiały nasze nazwiska. Miałyśmy przygotować się na pójście do sądu następnego dnia. Szirin i inne przyjaciółki bały się, że zostaniemy skazane lub znowu przeniesione do Oddziału 209. Staraliśmy się z Marceliną je uspokoić i pocieszyć, mówiąc, że radujemy się, iż wreszcie coś w naszej sprawie ruszyło. Wciąż nie miałyśmy potwierdzenia, czy przyznano nam prawo do adwokata, więc stwierdziłyśmy, że będziemy musiały w sądzie bronić się same.

Następnego rana stawiliśmy się w biurze o szóstej rano, ubrane w długie *czadory* i głupie papcie, w których więźniarki mają pojawiać się w sądzie. Nie wolno było nakładać butów, ponieważ mógłby w nich ktoś schować kontrabandę, a poza tym chodzenie w ogromnych, pokraccznych papciach było poniżające. Czekałyśmy w małym, obskurnym pomieszczeniu wraz z innymi więźniami, którzy mieli tego dnia udać się do sądu. Wśród nich była osoba chora na świńską grypę, w bardzo złym stanie. W ciężkim powietrzu unosił się smród zeschniętych wymiocin, pozostałych po którymś z narkomanów, i dym papierosów.

Więźniowie nie szli do sądu wszyscy razem, w grupie. Zamiast tego ochroniarz zabierał pojedyncze osoby, przypinał do siebie kajdankami i wiózł przez miasto do sądu. My z Marceliną byłyśmy razem, gdyż nasze sprawy rozpatrywał jeden sędzia. Wcześniej zadzwoniłyśmy do sióstr, uprzedzając o naszej wizycie w sądzie, i kiedy nas prowadzono przez bramę więzienia, widziałyśmy, że czekają na nas, by jechać a naszym busiem.

Przywieziono nas do tego samego miejsca – Trybunału Rewolucyjnego, do biura numer 2, w którym rozpatrywano sprawy związane z bezpieczeństwem narodowym. Siedziałyśmy w kajdankach na ławce przed drzwiami, kiedy podszedł do nas człowiek z gęstym wąsem. Poznałyśmy go – widziałyśmy jego twarz na zdjęciach w gazetach.

„Pani Rostampur i pani Amirizade?”

„Tak, to my”.

„Nazywam się Agasi, jestem waszym nowym prawnikiem. Niestety nie mogliśmy się wcześniej zobaczyć, bo wciąż staram się o pozwolenie na odwiedzenie was w więzieniu. Dzisiaj prawdopodobnie usłyszycie tylko oskarżenie. Prawdziwe rozpatrywanie sprawy odbędzie się kiedy indziej. Wejdę do środka i porozmawiam najpierw z sędzią prywatnie”.

Pan Agasi wszedł do biura, a po kilku minutach pojawił się znowu.

„Dzisiaj nie będzie rozpatrzenia sprawy” – wyjaśnił. „Wezwano was, ponieważ pan Haddad, prokurator, chce z wami porozmawiać. Powiedziałem mu,

że będę was bronił i żądam pozwolenia na spotkanie z wami w więzieniu. Odpowiedział, że mam złożyć pisemne podanie, na co odparłem, że już to uczyniłem. Odrzekł, że mogę uzyskać pozwolenie na wizytę w więzieniu jutro. Kiedy wejdziecie do środka, upierajcie się przy tym, że potrzebujecie prawnika i że dałyście mi upoważnienie do reprezentowania was w sądzie”. Pan Agasi życzył nam powodzenia, pożegnał się i wyszedł.

Wkrótce zostaliśmy wezwane do biura z tabliczką na drzwiach „Prokurator”. To była ogromna sala. Podobnie jak w każdym innym pokoju w sądzie, gdzie bywaaliśmy, również tutaj ściany były wypełnione zdjęciami krwawych scen i walczących żołnierzy – męczenników<sup>[17]</sup> islamu. Nie było to zbyt przytulne miejsce dla dwóch irańskich dziewczyn, oskarżonych o pójście za Chrystusem. Atmosfera napawała paraliżującym strachem, oddychaliśmy z trudem.

Na podwyższeniu, które symbolizowało powagę władzy, stało biurko; siedział przy nim starszy pan. zaproponował, byśmy usiadły. Poznałyśmy pana Haddada; widziałyśmy go w telewizji. Miał długą siwą brodę i wąsy i przenikliwe oczy. Jak wszyscy urzędnicy rządowi, miał na czole okrągły ślad, odcisnięty przez glinianą tabliczkę w czasie długiej muzułmańskiej modlitwy. Obok niego na biurku leżały sterty spraw oznaczonych „Po zamieszkach”. Najwyraźniej każdy obywatel tego kraju został zatrzymany za udział w demonstracjach po tych haniebnych wyborach.

Pan Haddad zapytał, czy jesteśmy chrześcijankami. Odpowiedziałyśmy, że tak, jesteśmy.

„Ja też wierzę w Jezusa Chrystusa, ale nie jestem chrześcijaninem” – powiedział. „Czy będziecie nadal obstawać przy waszej wierze?”

Po naszej twierdzącej odpowiedzi kontynuował, wyraźnie zniecierpliwiony: „Chciałem z wami się dzisiaj spotkać, by ostrzec, że jeżeli będziecie się nadal upierać, czeka was okropna przyszłość. Dwóch prokuratorów wydało oświadczenie, że zasługujecie na karę śmierci, i obaj nalegają na egzekucję. Zmuszają mnie, bym zatwierdził tę decyzję i przesłał do sądu w celu uzyskania ostatecznego werdyktu. Niewiele mogę wam pomóc, ponieważ inni naciskają na mnie. Wystarczy, że napiszecie, iż zrzekacie się wiary w Chrystusa, i będę mógł uratować sytuację. W przeciwnym wypadku przekażę sprawę panu Salawatiemu do biura numer 15 i wtedy nie będę już mógł wam pomóc”.

Bez wahania obie odpowiedziałyśmy: „Nigdy nie zrzekniemy się naszej wiary”.

„Dlaczego jesteście tak pewne swojej racji?” – zapytał pan Haddad. „My, muzułmanie, również wierzymy w Jezusa, ale nie odrzucamy Mahometa i innych proroków. Nikt nie zmienia swojej religii w ten sposób”.

„Ja spotkałam Jezusa osobiście i Pan sam objawił mi swoją Prawdę” –

powiedziała Marcelina.

„Bóg nigdy nie mówi do ludzi!” – ryknął pan Haddad na całą salę.

„Czy nie wierzy pan, że Bóg ma władzę absolutną?”

„Wierzę, oczywiście”.

„W takim razie może On przemówić do kogo tylko zechce”.

„Tak, ale wy nie jesteście godne takiego daru! Bóg rozmawia tylko ze swoimi wybranymi prorokami!”

„To Bóg decyduje, kto zasługuje na ten przywilej, a nie pan”.

Pan Haddad zmienił taktykę.

„Wy, chrześcijanie, nie macie religijnych praw, które oddzielałyby zło od dobra. Możecie grzeszyć, kiedykolwiek zechcecie”.

„Tak, Jezus zniósł prawa *szariatu*, ale On nie pozwala nam grzeszyć, gdy tylko zechcemy. On mówi, że zbawienie przychodzi tylko przez wiarę w Niego. Wiara w Jezusa jednak nie oznacza łamania praw i obowiązków. Prowadzi nas Duch Pański”.

Pan Haddad potrząsnął głową.

„Nie mam zamiaru sprzeczać się o waszą wiarę. Ale w waszej teczce odnotowano, że głosiliście chrześcijaństwo, że w waszym mieszkaniu znaleziono dużą liczbę egzemplarzy Biblii i innej literatury religijnej. Uznano was za winne apostazji i skazano za głoszenie chrześcijaństwa. Pan Sobhani, główny prokurator, i pan Heidarifar, jego zastępca, uznali was za odstępczynię. Jeśli mój wyrok będzie inny, pozwą mnie”.

Przez moment czekał na odpowiedź, ale milczałyśmy.

„Cóż, możecie iść. Przemyślcie to i dajcie znać, kiedy znowu będziecie chciały ze mną się spotkać”.

Nagle zadzwonił jego telefon. Podniósł słuchawkę, rzucił okiem na stertę spraw przed sobą, a potem spojrzął na nas.

„Co mamy zrobić z tymi wszystkimi ludźmi?”

Znowu chwila słuchania.

„Teraz nie mogę się tym zająć!”

Kiedy wstałyśmy, by wyjść, powiedziałyśmy, że chcemy, żeby pan Agasi był naszym adwokatem, i możemy podpisać wszystkie wymagane formularze.

„A, tak” – powiedział niechętnie pan Haddad. „Są tu. Proszę podejść i podpisać. Ale nie wiem, po co ten kłopot, jeśli on i tak nic nie może zrobić”.

Podpisałyśmy i wyszłyśmy. Za drzwiami stał pan Heidarifar; nie mógł się doczekać, by dowiedzieć się, jak przebiegało nasze spotkanie. Minęłyśmy go, nie mówiąc ani słowa. Nasz ochroniarz już czekał, by odprowadzić nas do busa. Nie miałyśmy pojęcia, co się teraz wydarzy i kiedy. Byłyśmy zbyt zmęczone, by się tym przejmować. Wyczerpane wróciłyśmy do celi, gdzie wszystkie kobiety chciały wiedzieć, co się wydarzyło. Zdałyśmy krótką relację, padłyśmy na łóżka

i momentalnie zasnęliśmy.

<sup>[17]</sup> W odróżnieniu od chrześcijaństwa w islamie *szahid* – „męczennik” oznacza muzułmanina, który walczy w celu szerzenia swojej religii lub w jej obronie (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ 20

### *Bóg działa*

Marcelina &

Minęło zaledwie kilka dni od naszego spotkania z panem Haddadem, kiedy ponownie usłyszałyśmy w głośnikach nasze nazwiska. Nasz prawnik pan Agasi otrzymał pozwolenie na spotkanie z nami! Spędziłyśmy prawie sześć miesięcy w więzieniu, nie mając możliwości rozmowy z jakimkolwiek prawnikiem i nadal nie widziałyśmy sformułowanego przeciwko nam oskarżenia. Ochrona odprowadziła nas jakieś dwieście metrów przez podwórko do osobnego budynku, gdzie więźniowie spotykali się ze swoimi adwokatami.

Był to mały zatłoczony budynek, pełen żołnierzy i strażników chodzących tu i ówdzie, a także prawników czekających na przybycie swoich klientów. Znajdował się tutaj rząd kabin, w każdej z nich było biurko i cztery krzesła, a prawnika od więźnia oddzielało okno, przez które mogli rozmawiać. Uzbrojeni żołnierze przechadzali się od kabiny do kabiny. Nasza ochroniarka przekazała nas żołnierzowi ze słowami, że wróci po nas za pół godziny. Czas spotkania z panem Agasim był w rzeczywistości skrócony do piętnastu minut, a cała rozmowa miała być nagrywana.

Po usłyszeniu swoich nazwisk weszłyśmy do kabiny, gdzie czekał pan Agasi.

„Po kilkudniowej zabawie w kotka i myszkę pan Haddad w końcu dał mi możliwość spotkania się z wami, ale nadal nie mogłem zapoznać się z waszymi teczkami. Z tego powodu nie mam pojęcia o waszym pochodzeniu, okolicznościach aresztowania, dokonanych przesłuchaniach ani o tym, na jakim etapie jest całe postępowanie. Powiedziano mi, że będę mógł zapoznać się z dokumentami parę dni przed rozprawą i wtedy będę mógł przygotować obronę. Proszę więc powiedzieć dokładnie, co się wydarzyło? Czy były przesłuchania? W co dokładnie wierzycie?”

Wiedząc, jak mało mamy czasu, pokrótce opowiedziałyśmy panu Agasiemu o okolicznościach aresztowania, przeszukiwaniu naszego mieszkania, o różnych miejscach, gdzie nas przetrzymywano. Powiedziliśmy też o wierze chrześcijańskiej i o naszej działalności.

„Muszę wiedzieć, jakie jest wasze obecne stanowisko, by zgodnie z nim poprowadzić obronę” – stwierdził pan Agasi. „Co postanowiłyście? Czy nadal trzymacie się tego, że jesteście chrześcijankami? Czy nadal chcecie bronić swojej wiary?”

„Tak!” – odpowiedziałyśmy obie bez wahania. „Inaczej nie spędziłybyśmy sześciu miesięcy w więzieniu! Gdybyśmy miały wybrać kompromis,

uczyniłybyśmy to dawno temu. Z pewnością nie zmienimy zdania teraz. Będziemy bronić naszej wiary”.

Pan Agasi przez chwilę myślał, po czym powiedział: „Pan Haddad dał mi do zrozumienia, że jeśli będziecie przy tym obstawać w sądzie, nie ominie was surowa kara. W tym kraju apostazja z islamu i głoszenie chrześcijaństwa są karane śmiercią. Jedyńm sposobem, by uniknąć tego, jest odrzucenie oskarżenia i przyznanie się do błędu. Jeśli postanowicie pójść na to, pan Haddad chętnie z wami się spotka”.

„Gdybyśmy chciały zmienić zdanie, uczyniłybyśmy to pół roku temu i nie siedziałybyśmy tyle czasu w więzieniu!” – zaproponowałam. „Grożono nam śmiercią, ale to nie jest problem. Nie boimy się śmierci. Jedyne, czego się boimy, to życia bez wiary, bez naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa!”

Poczułam, jak wzbiera we mnie gniew na myśl o tym, że nasz prawnik żąda od nas czegoś takiego.

Pan Agasi kontynuował rozmowę.

„W islamie istnieje wybieg nazywany *takijja*, czyli kłamstwo usprawiedliwione przez okoliczności. Jeśli muzułmanin znajduje w niebezpieczeństwie, może skłamać, by ratować życie, ale w sercu zachować prawdziwą wiarę. Czy nie ma czegoś takiego w chrześcijaństwie?”

„Nie” – powiedziała Maria. „W chrześcijaństwie nic takiego, jak *takijja*, nie ma. A nawet gdyby było, nie wykorzystamy tego, by ratować siebie. Nigdy nie zaprzemy się swojej wiary, nawet dla uzyskania chwilowych korzyści”.

„W tej sytuacji kobiety mają więcej szans na ułaskawienie niż mężczyźni” – powiedział pan Agasi filozoficznie. „W islamie kobiety są traktowane bardziej pobłaźliwie, daje się im więcej czasu na rozważenie decyzji powrotu do religii, ponieważ według nauczania muzułmańskiego kobieta ma połowę rozumu posiadanego przez mężczyznę i zawsze istnieje większa szansa, że zejdzie na złą drogę. Zatem, zgodnie z nauką islamu, mężczyzna ma pełny mózg i dlatego nie daje mu się drugiej szansy. Musi zostać stracony natychmiast. Ja osobiście szanuję waszą religię i uważam, że wybór religii jest sprawą prywatną. Nikt nie powinien w to się wtrącać. Jednak według prawa tego kraju popełniłyście przestępstwo i musimy zrobić wszystko, co w naszych siłach, by was z tego wyciągnąć”.

Uzbrojony ochroniarz zza drzwi kabiny oznajmił, że mamy jeszcze pięć minut. W tym krótkim czasie pan Agasi zapytał nas o warunki w więzieniu, o osoby, z którymi przebywamy. Następnie razem poszliśmy do biura, by podpisać dokumenty, oficjalnie przekazujące panu Agasemu uprawnienia naszego adwokata. Na tym czas spotkania się wyczerpał.

Gdy pan Agasi wychodził, podeszła do niego młoda kobieta. Widziałyśmy ją wcześniej, rozmawiała z innymi prawnikami i więźniami. Spoglądała już kilka razy w naszą stronę. Po krótkiej rozmowie z Agasim zwróciła się do nas: „Czy pan

Agasi jest waszym adwokatem?”.

„Tak”.

„Czy możecie mi powiedzieć coś o waszym oskarżeniu? Czy jesteście więźniarkami politycznymi? Czy może zaaresztowano was w czasie ulicznych demonstracji?”

„Zatrzymano nas za to, że jesteśmy chrześcijankami”.

„A, to wy jesteście Marcelina i Maria! Od jak dawna przebywacie w więzieniu? Czy od początku mogliście korzystać z usług prawnika?”

„Jesteśmy za kratami od sześciu miesięcy, a dopiero dzisiaj po raz pierwszy mogliśmy porozmawiać z adwokatem”.

„Bardzo się cieszę, że mogłam was poznać osobiście. Zbieram najświeższe informacje o więźniach politycznych. Czy słyszałyście, że pan Heidarifar został odsunięty od wykonywanych obowiązków? To się stało dziś rano. Dowiedzieliśmy się o tym, będąc w Trybunale Rewolucyjnym”.

Heidarifar był prokuratorem, który żądał dla nas kary śmierci. Zapytałyśmy, dlaczego go odsunięto.

„Heidarifar, Sobhani i jeszcze jeden sędzia, Said Mortazawi, byli zamieszani w nielegalne aresztowania i uwięzienia protestujących. Niektórzy zeznali, że to oni odpowiadają za torturowanie i nawet morderstwa więźniów w areszcie Kahrizak. Wiadomość o ich odsunięciu była dla nas wielką radością”.

To było niezaprzeczone działanie Boga! Trzy osoby, które prowadziły naszą sprawę i które oskarżały nas o apostazję, żądając kary śmierci, zostały oskarżone o tortury i morderstwa i teraz same będą sądzone za zamkniętymi drzwiami. Ta dobra nowina była nieco zakłócona przez fakt, że wyznaczenie nowych sędziów potrwa, co pociągnie dalszą zwłokę w naszej sprawie. Nic nie mogliśmy zrobić, tylko czekać.

Cała ta historia była niczym innym, jak farsą zainicjowaną przez rząd. Ci trzej najprawdopodobniej nie byli bardziej winni niż cała reszta, ale reżim musiał obciążyć kogoś odpowiedzialnością, by odwrócić uwagę wszystkich od sfalszowanych wyborów, zamieszek oraz presji społeczności międzynarodowej, domagającej się naszego uwolnienia. Był to kolejny zdradziecki wybieg rządzących, mający na celu stłumienie sprawiedliwego niezadowolenia ludności i zachowania władzy w swoich rękach. Cała ta sytuacja była jaskrawym przypomnieniem, że nie tylko więźniowie są uwięzieni w Iranie. Każdy żyjący w tym kraju, rządzonego przez represyjny reżim, jest i pozostanie duchowym więźniem tak długo, póki władza trzyma wszystko w żelaznym uścisku.

\*\*\*

Razem z naszą najlepszą przyjaciółką Szirin Alam Huli ustaliłyśmy dla



siebie rozkład zajęć w ciągu dnia, by cały czas mieć jakieś zajęcie. Staraliśmy się nie myśleć o zbyt powolnym postępowaniu w naszej sprawie i nie martwić się tym, co może się wydarzyć. Wciąż budzono nas przed świtem wołaniem na modlitwę przez głośniki. Następnie rozbrzmiewała zgrzytająca, nieprzyjemna muzyka na pobudkę, byśmy wszyscy o szóstej trzydzieści wyszli na apel. Godzinę później serwowano nam śniadanie, jedyny więzienny posiłek, który byliśmy w stanie przełknąć. Kiedy potem większość więźniarek szła do Centrum Kultury, siadałyśmy na łózkach i haftowałyśmy. Początkowo nie pozwolono nam uczęszczać na zajęcia do Centrum, gdyż uznano nas za nieczyste apostatki, a potem, gdy pani Rezea załatwiła nam pozwolenie, nie chciałyśmy już tam chodzić. Następnie część dnia spędzałyśmy, czytając i ucząc się na pamięć poezji; zbierałyśmy się z przyjaciółkami, by recytować najbardziej ulubione wiersze i o nich rozmawiać. Irańczycy lubią poezję wszelkiego rodzaju: romantyczną, historyczną, humorystyczną, polityczną, protestacyjną – jakkolwiek. Bardzo lubiłyśmy słuchać wierszy i często podśmiewałyśmy się z kurdyjskiego akcentu Szirin, który w rzeczywistości brzmiał pięknie.

Po tym wszystkim wracałyśmy do siebie poczytać jakieś oficjalne gazety (znowu były dostępne), posłuchać radia i podyskutować o polityce z innymi kobietami, które były tym zainteresowane. Szirin zaczęła uczyć się angielskiego i pomagałyśmy jej. Nie znałyśmy angielskiego zbyt dobrze, ale nasza wiedza była wystarczająca dla jej poziomu.

Po Oddziale rozeszła się pogłoska, że przeniosą do nas kilka więźniarek politycznych z Oddziału 209. Pierwsze, co nam przyszło do głowy, to pytanie, czy wśród nich będzie nasza droga Fereszta. Poszłyśmy z Marią do sklepiku, by zakupić trochę jedzenia i łakoci dla nowoprzybyłych. Stanęłyśmy na dole przy wejściu, czekając na nie. Drzwi się otworzyły i ujrzałyśmy Mahtab, Feresztę i Setarę! Zapiszczałyśmy z radości i uściskałyśmy je. Była z nimi czwarta osoba, Arefa, cicha i skromna, ze smutnym wyrazem twarzy. Powitałyśmy ją również; powiedziałam jej, że będziemy świętować jej wyjście z okropnego Oddziału 209, choć jej nie znamy.

Nie zważając na to, że w naszej celi mieszkało już 35 osób, przekonaliśmy panią Gaderi, odpowiedzialną za nasz Oddział, by nowe zostały ulokowane u nas. Współwięźniarkom wytłumaczyłyśmy, że chciałybyśmy mieć te nasze przyjaciółki u siebie, że one powinny zamieszkać razem, a nie w różnych celach, jak to zwykle robiono z nowoprzybyłymi. Pomogłyśmy im wprowadzić się i zająć jak najmniej miejsca. Maria usiadła obok Fereszty i trzymała ją za rękę. Obie nie mogły uwierzyć, że znowu są razem.

Dowiedziałyśmy się, że Oddział 209 jest obecnie jeszcze gorszym miejscem niż był kiedykolwiek przedtem. Aresztowania po wyborach spowodowały, że do każdej małej celi, gdzie już trzy osoby stanowiły tłum, wtłoczono po cztery lub

nawet pięć. Nie podawano smacznych kebabów i innych dobrych potraw, tylko te same ohydne posiłki, co w całym Ewin. Wśród nowych więźniów znaleźli się znani politycy i osoby, które zajmowały wysokie stanowiska. Musieli teraz doznać tych samych niewygód, na które skazywali wcześniej innych.

Ruch w publicznej części więzienia również się wznowił; wielu nowych przybywało i odchodziło. Podjęliśmy się razem z Marią zadania przywitania nowych więźniarek, przedstawienia ich i wyjaśnienia im zasad i tradycji panujących w Oddziale. Dzięki temu miałyśmy okazję spędzić więcej czasu z Arefą, którą zatrzymano w czasie demonstracji za to, że ktoś z jej rodziny należał do *mudżahedinów*. Nikogo nie obchodziło, że ona sama nie należy. Arefa zainteresowała się naszą wiarą, zwłaszcza po tym, jak dowiedziała się, że nie chciałyśmy się jej rzec dla uzyskania wolności. Powiedziała, że jesteśmy niemądre i dodała: „Uważam to za skrajną głupotę, że wy dwie mogłyście mieć wolność, zapierając się swojej wiary i po prostu wychodząc z tego koszmarnego miejsca. Przecież mogłyście to powiedzieć, a potem dalej wyznawać swoją wiarę już na wolności zamiast marnować życie tutaj”.

Próbowałam ująć w słowa to, co czujemy: „Upieramy się przy naszej wierze nie dlatego, że jesteśmy uparte. Być może, nie rozumiesz tego, ponieważ nie przeżyłaś tego, co my. Żyjemy z Bogiem od wielu lat, również w trudnościach i samotności. Dla mnie jest On jedynym źródłem mocy. Jest dla mnie wszystkim. Nie można nas rozdzielić. Moje życie bez Niego nie ma żadnej wartości. Kocham Boga tak bardzo, że zapierając się Go, zaparłabym się swojego istnienia. Czy można się zaprzeczyć czegoś, co jest w każdej komórce mojego ciała? Wolę spędzić resztę mojego życia w więzieniu, jeśli to pomoże mi być blisko Boga. Wolę sama zginąć niż zabić w sobie Ducha Chrystusa. Doświadczamy tutaj walki, która wypróbuje naszą siłę i wiarę. Trwając w wierze, sprzeciwiamy się niesprawiedliwości i nierównemu traktowaniu. Nawet jeśli myślisz, że nasza wiara jest błędna, możesz zauważyć, że nie powinniśmy pozwalać innym, by narzucali nam swoje poglądy. Zresztą, co spowodowało, że sama wylądowałaś w więzieniu? Czyż nie dążenie do sprawiedliwości i protest przeciwko opresji? Czy nie obrona prawa do myślenia i mówienia czegoś, co jest zgodne z twoim własnym wyborem? Ten reżim wmawia ludziom, że tylko on wie najlepiej, co kto powinien myśleć i robić. Przesłanie jest następujące: «Zamknijcie się, nie protestujcie, róbcie, co wam każemy». Podobnie jak ty, walczyliśmy przeciwko tej samej opresji i cenzurze sumienia”.

„Zgadza się ze wszystkim, co mówisz” – odparła Arefa. „Ale na twoim miejscu wyrzekłabym się mojej religii, by móc wyjść na wolność i kontynuować walkę. Jesteś znacznie bardziej potrzebna na zewnątrz niż tutaj. Tylko że ja nie mam takiego wyboru i najwyraźniej nie zostanie mi przedstawiona tak łatwa możliwość. Ale ty ją masz”.

Jej punkt widzenia różnił się od naszego i walczyła o coś innego. Jej walka dotyczyła polityki i narodowości, a nie wiary; była to walka cielesna, a nie duchowa.

\*\*\*

Maria &

Moje problemy żołądkowe nagle bardzo się nasiliły. Budziłam się w środku nocy z bólu i godzinami nie mogłam zasnąć. Pewnego wieczoru po kolacji, którą zjadłam z Mardżaną i Szirin, myślałam, że mój żołądek wybuchnie.

Godzinę po tym, jak położyłam się spać, poczułam, że zbiera mi się na wymioty. Najpierw pomyślałam, że to moje zwykłe kłopoty żołądkowe, ale po chwili musiałam biec do toalety, gdzie długo wymiotowałam. Pewnie zaszkodził mi zjedzony na kolację tuńczyk z puszki, kupiony w więziennym sklepiku. Szirin i Marcelina pomogły mi wrócić do celi, bo byłam bardzo osłabiona i ledwo stałam. Położyły mnie na łóżku blisko drzwi, na wypadek, gdybym znowu musiała iść do toalety. Wymioty trwały przez całą noc, a ból był tak silny, iż myślałam, że umrę. Skurcze żołądka nie ustawały nawet wtedy, gdy był już całkowicie pusty. W końcu zupełnie wyczerpana usiadłam na podłodze w korytarzu, a Szirin nakryła mnie kocem. Ktoś wezwał ochronę i po kilku minutach przekonał ją, że trzeba zaprowadzić mnie do lekarza.

Marcelina chciała iść ze mną i wyklócała się o to z ochroniarką, a ja ledwo trzymałam się na nogach, oparta o ścianę. Ochroniarka zmusiła mnie do nałożenia *czadoru* i starannie schowała pod nim wszystkie moje włosy. Znacznie bardziej przejmowała się tym, by włosy nie wystawały spod *czadoru*, niż moim stanem zdrowia i wizytą u lekarza. Marcelina musiała zostać. Ochroniarka poszła schodami na dół w kierunku więziennego szpitala. Powoli szłam za nią, obawiając się, że mogę stracić przytomność na każdym z pięćdziesięciu schodów.

„Dalej, pospiesz się!” – warknęła ochroniarka. „Nie mogę czekać całą noc”.

Po zejściu na dół kazała mi zaczekać, póki zawoła lekarza. Usiadłam na podłodze i zamknęłam oczy. Za każdym razem, gdy je otwierałam, wszystko zaczynało płynąć wokół mnie.

„Przestań udawać chorą!” – rozkazała ochroniarka. „To nie jest nikomu potrzebne. I nie waż mi się tu rzygać”.

Byłam za słaba, by odpowiadać. Gdy poszłyśmy znowu, zaczęło mnie mdlić. Złapałam stojący na korytarzu kosz na śmieci i wymiotowałam do niego.

„No dobra” – powiedziała ochroniarka. „Wiem, że nie czujesz się dobrze. Postaraj się panować nad sobą i pospiesz się”.

Kiedy dotarliśmy do szpitala, lekarka rzuciła na mnie okiem i zapytała

ochroniarce, co się stało.

„Nie mogłyście poczekać z tym do rana?” – marudziła.

Lekarka ustawiła kroplówkę, postawiła śmietnik obok łóżka i wyszła. Wymiotowałam znowu. Kiedy płyn w kroplówce się skończył, pielęgniarka zabrała mnie do drugiego pokoju, większego i bardzo zimnego.

„Jeśli będziesz potrzebowała do toalety, możesz korzystać z tej w rogu” – powiedziała. „Ale bądź cicho, bo my chcemy spać”.

Gdy po jakimś czasie pielęgniarka przyszła wymienić kroplówkę, trzęsłam się z zimna i poprosiłam o koc. Więzienie znajdowało się na szczycie góry, nocami było w nim zimno nawet w lecie. Nie wiem dlaczego, ale przyszło mi na myśl, że pięć minut drogi stąd znajduje się nasze przytulne mieszkanie.

„Dziś nie mamy zapasowych koców” – rzuciła nieuprzejmie pielęgniarka. „Wszystkie są w praniu”. Ni z tego ni z owego dodała: „Po co było robić coś złego, by cię tu zamknęli?”. Nic nie odpowiedziałam.

Rano moja ręka była opuchnięta i bardzo bolała w miejscu, gdzie wetknięto igłę. Kroplówka była zupełnie pusta. Około dziesiątej weszła pielęgniarka i była zaskoczona, widząc mnie w łóżku.

„Kim jesteś? Co tu robisz?” – zawołała.

„Proszę, niech pani wyciągnie tę igłę mi z ręki, chciałabym wrócić do Oddziału” – powiedziałam. „Ręka mi zupełnie zdrętwiała, ja cała przemarzłam”.

Szirin Alam Huli i Marcelina czekały na mnie. Nie spały całą noc na wypadek, gdybym ich potrzebowała i gdyby mogły coś dla mnie zrobić. Wierne przyjaciółki zawsze są wielkim błogosławieństwem, ale w miejscu takim, jak więzienie Ewin, przyjaźń oznacza coś więcej. Tylko ona może dodać ludziom sił. Byłyśmy gotowe dać z siebie wszystko dla drugiej osoby.

Przez kilka kolejnych dni leżałam chora. Pewnego ranka usłyszałam w głośnikach nazwisko Szirin. Jak zwykle, był to wielki stres dla wszystkich jej przyjaciółek. Była przecież skazana na śmierć i czekała na ostateczną decyzję sądu, czy ułaskawią ją, czy nie. Za każdym razem, gdy wywoływano Szirin, bałyśmy się, czy nie zabiorą jej do pojedynczej celi, gdzie spędzi ostatnią noc przed egzekucją. Na myśl o tym Marcelina się rozplakała.

\*\*\*

Marcelina &

Jeszcze zanim nas z Marią przeniesiono do Oddziału 209, miałam sen o Szirin. Nikomu o nim nie mówiłam. W tym śnie Szirin siedziała na łóżku, a ja otrzymałam wiadomość: „Rząd zabije tę dziewczynę”. Nie mogłam powiedzieć o tym ani Szirin, ani komuś innemu. Desperacko pragnęłam, by to się nie stało, ale

czułam, że przekazana mi przez Pana wiadomość jest pewna.

Szirin zabrano na kolejne przesłuchania. Tym razem brał w nich udział również agent Ministerstwa Wywiadu. Powiedziano jej, że jeśli odpowie na pytania i zdradzi swoich przyjaciół, to jej wyrok zostanie złagodzony. Oskarżano ją o to, że poprzednio podała fałszywe informacje, i dlatego trzeba było znów przenieść ją do 209 i wznowić przesłuchania. Powrót do 209 po dwóch latach spędzonych w więzieniu był bardzo złym znakiem. Ale jeśli będzie „grzeczną dziewczynką”, to jej pomogą.

„Nie mam dla was żadnych informacji” – powiedziała Szirin z wysoko podniesioną głową. „Dalej, strąćcie mnie”.

Po tak długim pobycie w więzieniu i tylu przesłuchaniach Szirin wyczuwała, że jej sytuacja się zmieniła. W jakiś sposób czuła – podpowiadała jej to niejasna intuicja, której nawet nie mogła nazwać – że sąd podjął ostateczną decyzję o egzekucji i tylko miał jeszcze nadzieję na wyciągnięcie z niej jakichś informacji przed zamordowaniem. Martwiła się bardziej niż kiedykolwiek przedtem, a razem z nią martwiłyśmy się ja i Maria. Namawiałyśmy Szirin, by nie sprzeczała się z policją o byle co, tylko przemyślała swoją sytuację i trzymała się z dala od kłopotów.

Krótko po tym Szirin przyniosła nam swój notes. „Przeniosą mnie znowu do 209, dlatego chcę zostawić wam ten mój dziennik, byście dokonywały w nim wpisów. Jeśli wyjdziecie na wolność, zanim wrócę, zostawcie go u kogoś, by przekazano go mnie”. Oddała nam swoje książki i parę rzeczy, byśmy się nimi zaopiekowały, kiedy ją przeniosą. Dzień po dniu czekałyśmy, aż ją wywołają, ale to nie następowało.

Szirin mówiła, że nie boi się śmierci, to jednak nie chroniło jej od wzburzenia, kiedy słyszała wiadomości o nowych prześladowaniach Kurdów. Jednym z powodów ostatniego przesłuchania było zabójstwo pewnego sędziego. O zabójstwo podejrzewano Kurdów. Władze próbowały wyciągnąć ze wszystkich kurdyjskich więźniów jakieś informacje, które mogłyby być pomocne w tej sprawie.

Po kilku dniach usłyszałyśmy w wiadomościach, że stracono kilku Kurdów, wśród nich był dwudziestoletni chłopiec. Kiedy Szirin przyszła wieczorem do nas na herbatę, Maria zapytała, czy był jej znany. Szirin zaprzeczyła. Nie czuła się dobrze i wkrótce wyszła. Po pewnym czasie poszłyśmy zobaczyć, co się z nią dzieje. Światła były już wyłączone, kilka osób oglądało telewizor. Szirin siedziała na swoim łóżku i po ciemku coś szyła.

Maria powiedziała do niej: „Znałaś tego chłopca straconego dzisiaj, prawda?”.

Nie patrząc na nas, Szirin skinęła głową i się rozplakała. Rzuciła swoje szycie i wtuliła głowę w ramię Marii.

„Tak, znałam go. Miał zaledwie dwadzieścia lat...”

Nigdy nie widziałyśmy Szirin w takim stanie. Płakała tak mocno, jak gdyby cały jej ból, zbierany od lat, nagle chciał się wydobyć na zewnątrz w postaci łez. Nasza niezwyciężona kurdyjska bohaterka, która zniosła miesiące tortur i lata więzienia bez narzekań, nagle wydała się złamana i pokonana.

„Jeśli mnie zabiorą do 209, zmuszę ich, by mnie zabili” – mówiła przez łzy. „Jestem chora i zmęczona tą całą sytuacją. Widziałam tak wiele kochanych osób zamordowanych, tak wielu moich przyjaciół zginęło z rąk tego bezlitosnego reżimu, który nikomu nigdy nie współczuł, który zamordował nawet dwudziestoletniego chłopca. Proszę, módlcie się, by oni mnie stracili, nie jestem w stanie dłużej znosić tego życia w więzieniu”.

Nic nie mogli jej zrobić, co zmusiłoby ją przynajmniej do chwilowego zwątpienia. Teraz było widać, że mordując jej przyjaciół, reżim tylko wzmacniał jej opór.

Po długim płaczu Szirin się wreszcie uspokoiła, ale rozbolała ją głowa. W czasie przesłuchań bito ją po głowie tak długo, że później większość czasu miała bóle głowy, a czasami też płała się jej język i leciała krew z nosa. Wzięła tabletkę przeciwbólową, a Maria masowała jej skronie, by ukoić ból. Kiedy położyłyśmy się spać, modliłyśmy się w łózkach za naszą drogą przyjaciółkę. Nic nie mogłyśmy dla niej zrobić, tylko prosić Boga, by był przy niej, pocieszał ją i umacniał, niezależnie od tego, co ją spotka.

## ROZDZIAŁ 21

### *Koniec lata*

Maria &

Lato 2009 roku miało się ku końcowi. Stawało się coraz zimniej i więźniarki, które nie miały ciepłych ubrań, bardzo cierpiały, kiedy nas wszystkich spędzano na apel poranny. Większość kobiet wstawiała przed świtem, by odprawiać muzułmańskie modły, ale o szóstej trzydzieści wszystkie musiały wyjść na dwór, by się zgłosić podczas apelu.

Ogłoszono, że więźniowie mogą otrzymać od krewnych nowe ubrania. Nie pozwolono jednak na posiadanie bielizny lub płaszczy, które miały być konfiskowane. Prawdopodobnie chodziło o to, by więźniowie nie mieli gdzie chować broń lub kontrabandę.

Nie bacząc na te zasady, poprosiliśmy naszą przyjaciółkę Szamsi, by pomogła nam otrzymać jakieś ciepłe rzeczy od naszych sióstr. Kobieta ta była odpowiedzialna za celę numer 2 i przyjaźniła się z nami, mimo że na wolności była członkinią gangu; była znana ze swojej bezwzględności i większość więźniarek jej się bała. Później Szamsi przyznała się, że z początku nienawidziła nas za naszą wiarę, ale kiedy będąc blisko nas, zrozumiała, jacy są chrześcijanie, jej serce zmiękło. Teraz cieszyliśmy się z tego, że Szamsi należy do grona naszych przyjaciół. Ponieważ miała dobre układy z ochroną, paczki przychodzące do niej nigdy nie były sprawdzane. Zgodziła się na to, by nasze siostry włożyły do jej paczki ciepłe ubrania dla nas pod warunkiem, że ona też dostanie jakieś rzeczy na zimę. Zorganizowała też cały system sprzedaży i wymiany ubrań między więźniarkami i załatwiała co nieco dla osób, których nie było stać na ubrania. Przez cały tydzień cieszyliśmy się możliwością przymierzania nowych ubrań, prawiliśmy sobie komplementy i komentowaliśmy style i ich kombinacje. To była nasza wersja „szaleństwa jesiennych zakupów”.

Ciepłe ubrania dotarły we właściwym czasie. Właśnie wtedy władze wprowadziły idiotyczne zmiany w naszym rozkładzie dnia. Rzadko kiedy wiedziałyśmy, dlaczego administracja więzienia nagle zmienia zasady. Ogłaszano je nam jako fakt dokonany albo nawet wprowadzano bez ogłoszenia i musiałyśmy sobie radzić. Mogłyśmy się tylko domyślać powodów.

W obliczu protestów trwających na zewnątrz, zatrzymania niektórych sędziów i przepelnienia więzienia ochrona zaostrzyła reguły dotyczące wychodzenia na poranny apel. Wcześniej starsi i chorzy więźniowie mogli pozostać w celach. Marna obsługa medyczna i ciasnota pomieszczeń sprawiały, że zawsze kilka osób chorowało na grypę czy coś innego; w czasie apelu pozostawały one w łózkach. Soraja, ogromna kobieta, mająca do swojej dyspozycji całą celę

i osobny prysznic, w ogóle nigdy nie wychodziła na apel, bo chodzenie było dla niej ogromnym problemem. Ochrona wiedziała, że kobiety, które nie stawiały się na apel, pozostają w swoich celach; spędzanie wszystkich na zimne podwórze jedynie po to, by „odhaczyć” na liście, nie miało więc żadnego sensu. Teraz nagle zaczęto tego wymagać – być może tylko dla pokazania nieograniczonej władzy kierownictwa więziennego i stworzenia dodatkowych trudności i niewygód dla więźniów. Kto wie?

Ochrona wprowadziła ponadto nowy sposób budzenia: o szóstej trzydzieści włączano w głośnikach ogłuszającą muzykę i krzyczano: „Pobudka! Pobudka! Szybko wyskakiwać z łóżek na podwórko! Apel!”. Każdy, kto odważył się pozostać w celi, był pozbawiany przywilejów: takiej osobie nie pozwalano wejść do Centrum Kultury, odmawiano prawa do korzystania z telefonu, wstrzymywano wizyty lub wyjścia na przepustkę. Niektóre chore więźniarki trzęsły się z zimna, wychodząc z łóżka, nie mówiąc już o wyjściu na dwór. Było wśród nas kilka osób siedemdziesięcioletnich; one najbardziej cierpiały z powodu takiego traktowania. Dla Marceliny i innych osłabionych długą chorobą wyjście na zewnątrz oznaczało pogorszenie stanu zdrowia i niewątpliwie przedłużenie choroby.

Zazwyczaj musiałyśmy stać pod gołym niebem ponad godzinę. Następnie wszyscy, oprócz nas z Marceliną i kilku więźniów politycznych, musieli zwrócić się w stronę Mekki i recytować arabskie modlitwy *omaliadżib*. Czasami ochrona w ogóle nie sprawdzała obecności i zmuszała nas do stania na dworze, by nas poniżyć. Stosowano podstęp: straszono, że cały oddział zostanie ukarany (np. poprzez zakaz rozmów telefonicznych), jeśli ktoś zbyt długo będzie się zbierał lub odmówi wyjścia na zewnątrz. Ochrona miała nadzieję, że wrogość więźniów zwróci się ku starszym i chorym; tym samym uda się odciągnąć uwagę więźniów od rzeczywistych sprawców tych niedogodności. Dodatkowo miało to wprowadzić niezgodę, a nawet sprowokować bójki między więźniami.

Zła sytuacja stawała się jeszcze gorsza wtedy, gdy ochrona wypędzała nas na dwór po raz drugi, by przeszukać nasze rzeczy, pozostawione w celach, lub dokonać odkażania pomieszczeń. Marcelina i ja zawsze miałyśmy ze sobą nasze dzienniki, by ukryć je przed ochroniarzami; z kolei po rozpylaniu środków dezynfekujących musiałyśmy wszystko umyć z powodu przykrego zapachu.

Pewnego ranka dopiero wróciłyśmy z apelu przemarznięte do szpiku kości i zaczęłyśmy jeść śniadanie, kiedy rozkazano wszystkim znowu wychodzić na podwórze. Tam ogłoszono, że osoby uczęszczające na zajęcia w Centrum Kultury mogą tam się udać, zaś reszta ma pozostać do końca dnia na dworze. Były do tego zmuszone nawet chore i stare więźniarki.

Znaczna część kobiet udała się do Centrum, ale mimo to podwórko było pełne ludzi. Wyglądało jak ludny rynek, tyle że bardziej zatłoczone. Znajdowało się tutaj ponad sto pięćdziesiąt kobiet, ścisk był taki, że prawie nie można było się



poruszać. Nawet te, które miały na sobie coś ciepłego, szybko zmarzły; niektóre próbowały zawijać się w kartony, żeby choć trochę się ogrzać. Niektóre zaczęły tańczyć, by nie upadać na duchu i poprawić krążenie krwi, a to irytowało pozostałych. Zaczęły się wrzaski i przekleństwa.

Niektóre więźniarki zaczęły siadać lub kłaść się na ziemi, co dodatkowo zwiększyło zatłoczenie. Marcelinę jeszcze bardziej rozboleły plecy od stania i zimna; chłód spowodował też, że coraz mocniej bolało moje chore ucho. Soraja, chora na nerki, o czym wiedziało całe więzienie, zaczęła krzyczeć, że potrzebuje do toalety. Ochrona nie reagowała. Do jej wycia dołączyło kilka innych kobiet. Wreszcie po trzech lub czterech godzinach ochrona otworzyła drzwi i wszystkie rzuciłyśmy się do ciepłych pomieszczeń. Kobiety, które przebywały w tym czasie w Centrum Kultury, słyszały wycie i ucieszyły się, kiedy dowiedziały się, że wywalczyłyśmy w ten sposób tak niewielką rzecz – możliwość powrotu do celi. Ten akt nieposłuszeństwa był bardzo niezwykły i emocjonujący. Rozzłoszczone ochroniarce powiedziały, że nasze krzyki dochodziły nawet do męskiej części więzienia, i ochroniarze podniecali się seksualnie, słysząc nas. Stwierdziłyśmy, że muszą to być biedne i niedojrzałe osobniki, skoro podnieca ich dźwięk kobiecego głosu!

Poza tym że poczułyśmy się pewniejsze, nasz protest nic nie zmienił. Wkrótce rozniosła się wieść, że każdy musi spędzać dzień albo w Centrum Kultury, albo pod gołym niebem. Podejrzewałyśmy, że naczelnik więzienia Sedagat był w jakiś sposób zmuszony do tego, by zademonstrować, jak bardzo dobrze mają się więźniarki, jak się o nie troszczą władze, jak je edukują w Centrum Kultury, w którym zachowują się jak porządne muzułmańskie kobiety. Kiedy kamery pokazywały mnóstwo osób siedzących w celach i nieuczestniczących w zajęciach Centrum Kultury, pan Sedagat miał problemy. Jeśli natomiast w kamerach widać było Centrum pełne ludzi, a inne pomieszczenia puste, musiało to oznaczać, że wszystkie więźniarki są poddawane działaniom wychowawczym.

Ciekawe, że nie zostało to wprowadzone wiosną ani latem, kiedy było ciepło. Cała akcja zaczęła się, kiedy temperatura na dworze znacząco spadła. Centrum Kultury mogło pomieścić jakieś pięćdziesiąt osób i miejsca dla wszystkich absolutnie nie starczało. Na domiar złego zeszły się tam również narkomanki, które wcześniej nie przychodziły. Większość kobiet nie była zainteresowana żadną działalnością, oferowaną przez Centrum. Chciały tylko się ogrzać, dlatego spędzały czas, tańcząc i śpiewając. Przez to osoby, które chciały uczestniczyć w zajęciach, niewiele mogły zrobić w przepelnionym pomieszczeniu. Poza tym przebywanie wszystkich poza Oddziałem przez cały dzień pokrzyżowało nasze starannie ułożone plany korzystania z pryszniców, co miało ogromne znaczenie w warunkach, kiedy sto pięćdziesiąt kobiet korzystało z pięciu kabin prysznicowych.

\*\*\*

W Ewin praktycznie nie istniały żadne formy zorganizowanego protestu. W przeddzień egzekucji lub po ogłoszeniu w telewizji jakiejś ważnej informacji zawieszano rozmowy telefoniczne i zamykano nas w celach do czasu, aż się ochrona upewni, że nie mamy żadnego planu zbiorowej reakcji. Grożono nam przy tym srogimi karami: wielokrotnie słyszałyśmy historie o kobietach, uznanych za prowodyrki buntu, które zabierano do sąsiedniego budynku, skąd wracały opuchnięte, posiniaczone i krwawiące.

Od samego początku pobytu miałyśmy z Marceliną zakaz wstępu do Centrum Kultury, ale kiedy powiedziałyśmy o tym pani Rezei, naczelnicze kobiecej części więzienia, ona stwierdziła, że powinno się nas tam wpuszczać. Jednak na znak protestu przeciwko potraktowaniu nas przez przełożoną Centrum nigdy już do niego nie poszłyśmy. W obliczu nowych reguł podjęłyśmy decyzję, że nadal tam nie pójdziemy. Nie miałyśmy jednak zamiaru marznąć na zewnątrz, więc postanowiłyśmy nie wychodzić, nawet gdybyśmy miały być za to pobite.

Następnego ranka, kiedy wszystkim kazano iść na podwórze, jedynie my z Marceliną pozostałyśmy w łózkach. Ochrona przeszła, ale nie zajrzała do naszej celi i nas nie zauważyła. Po powrocie wszystkie chciały wiedzieć, jak nam się udało uniknąć przymusowego wyjścia na dwór. Wytłumaczyłyśmy, że po prostu nie poszłyśmy. Następnego dnia kilka innych osób postanowiło nie wychodzić, ale wobec pogroźek ze strony ochraniarek w końcu wyszły.

Wiedziałyśmy, iż wcześniej czy później ktoś doniesie pani Rezei, że pozwolono nam nie wychodzić na poranne apele bez żadnych konsekwencji. Uznałyśmy, że najlepiej będzie, jeśli uczynimy to same. Marcelina wciąż nie wstawała z powodu grypy i bólu w plecach, dlatego bez niej udałam się do naczelniczki. Czekałam w długiej kolejce a następnie pani Rezea zaprosiła mnie do środka.

„Razem z przyjaciółką nie chodzimy na poranne apele” – powiedziałam. „To dlatego, że Marcelina ma okropne bóle w plecach i jest chronicznie przeziębiona, ma objawy grypy, od wielu dni nie wstaje z łóżka. Jest pani świadoma tego, że szpital więzienny nie zapewnia żadnej pomocy lekarskiej. Co do mnie, ja też nie mogę stać godzinami na zimnym powietrzu ze względu na poważne zapalenie ucha. Wiele innych więźniarek cierpi na różne choroby i z tego powodu one nie mogą przebywać na dworze. Już raczej wolimy iść do pojedynczej celi niż znosić takie nieludzkie traktowanie!”

„Pani Rostampur, jestem zmartwiona z powodu nowych reguł tak samo, jak pani” – odrzekła pani Rezea. „Zgłosiłam już panu Sedagatowi mój sprzeciw, ale on nalega, by przestrzegano tych zasad. Ciężko jest wyegzekwować wykonanie tego

zarządzenia, dlatego zrobię wszystko, co w mojej mocy, by rozwiązać ten problem jak najszybciej. W tym czasie musicie panie wychodzić na apel razem z innymi, gdyż pan Sedagat nie dopuszcza żadnych wyjątków”.

„Pan Sedagat powinien raczej coś zrobić z beznadziejną opieką lekarską i podawaniem przeterminowanych leków” – odparłam. „Powinien też zwrócić uwagę na brak odpowiedniego żywienia w te zimne jesienne dni, zanim postanowi wprowadzić takie zasady dotyczące porannych apeli. Wszystkie w Oddziale 2 się rozchorowały”.

„Ta sytuacja też mi się nie podoba” – powiedziała pani Rezea. „Ale nie mamy wyjścia. To nie ja podejmuję decyzje”.

Stwierdziłam, że dalsza rozmowa nie ma sensu, więc podziękowałam naczelniczce i wróciłam do celi. Nazajutrz znowu pozostałyśmy z Marceliną w łózkach, kiedy inne kobiety poszły na apel. Tego samego dnia Szirin Alam Huli przyszła do naszego pokoju w czasie, kiedy powinna była być w Centrum Kultury. Pokłóciła się z kierownictwem Centrum, zgłaszając, że przy takiej liczbie osób w ogóle nic nie da się robić. Szirin powiedziała, że uczęszczanie do Centrum Kultury to strata czasu. Mimo że miała rację, dla władz więzienia był to kolejny przypadek jej nieposłuszeństwa. Biorąc pod uwagę jej wyrok i ostatnie przesłuchania, nie mogło to wróżyć nic dobrego.

My z Marceliną nie miałyśmy zamiaru organizowania jakiejś akcji protestacyjnej, nigdy nie zachęcałyśmy, by ktokolwiek poszedł za naszym przykładem. Większość więźniarek bała się ochrony i robiła wszystko, co im kazano. Więźniarki polityczne, takie jak Szirin, to co innego. Przeszły one przez tak wiele okropności, że ochrona nie mogła już ich zastraszyć. Jednak nawet urzędnicy pracujący w więzieniu zaczęli mówić, że zatłoczenie uniemożliwia pracę Centrum Kultury. Więźniarki musiały zaważać o swoje prawa.

Po tygodniu nowe reguły zostały zniesione. Powrócono do starych zasad, dopuszczających niestawienie się na apel osób chorych i starszych. Oczywiście nikt z administracji więzienia nie przyznał się, że tę zmianę wymusił nasz protest. Niezależnie od tego byłyśmy szczęśliwe, że stare zasady wróciły.

\*\*\*

Czasami odnosiły skutek inne drobne akty nieposłuszeństwa. Do naszego pokoju przypisano Reihanę z Oddziału 209. Wiele słyszałyśmy o niej w radiu i telewizji. Była to znana dziennikarka i blogerka, która popierała Karrubiego i byłego prezydenta Chatamiego. Po wyborach została za to zatrzymana, zarzucono jej również, że jest członkinią Ruchu Zielonych. Około pięćdziesięciu dni spędziła w Oddziale 209, gdzie ogłosiła strajk głodowy, nie przyjmując nic oprócz kilku daktyli dziennie i herbaty. Przeniesiono ją do nas w nadziei, że media

przyglądające się więźniom politycznym przestaną interesować się jej protestem w zatłoczonym więzieniu. Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, była blada i osłabiona po psychicznych i fizycznych torturach; niedożywienie dodatkowo pogarszało jej kiepski stan. W niczym nie przypominała zdrowej, energicznej osoby, pokazywanej w telewizji.

Wkrótce po przybyciu do nas Reihana została wezwana do pani Rezei. Naczelniczka oznajmiła jej, że strajk głodowy jest łamaniem prawa, i w związku z tym należy go natychmiast przerwać pod groźbą srożej kary. Reihana tymi pogróżkami się nie przejęła.

Po kilku dniach poznałyśmy ją bliżej.

„Wiele słyszałam o dwóch chrześcijankach i o waszym oporze” – powiedziała. „Czy wiecie, że po waszym aresztowaniu więźniom chrześcijańskim ułatwiono uzyskanie azylu?”

„Jaki to może mieć związek z nami?” – zdziwiła się Maria.

„Po tym, jak was aresztowano, rządy różnych państw są bardziej skłonne przyjmować azylantów chrześcijańskich. Teraz wiedzą, że większości chrześcijan w Iranie grożą prześladowania – jak tylko reżim irański o nich się dowiaduje, ich życie jest zagrożone”.

Nie miałyśmy pojęcia, że nasza sytuacja spowodowała takie zmiany. Dziękowałyśmy Bogu za Jego łaskę i dobroć. Reihana chciała napisać o naszym życiu i doświadczeniu chrześcijaństwa. Ze względu na to, że wciąż spędzałam większość czasu w łóżku, jej długie przesiadywanie obok mnie u nikogo nie wywoływało podejrzeń. Będąc dobrze wyszkoloną reporterką, zapisywała moje opowieści stenograficznie. Im więcej rozmawiałyśmy, tym bardziej Reihana interesowała się chrześcijaństwem. W końcu odłożyła ołówek i notes i poprosiła, byśmy porozmawiały o wierze. Okazało się, że zna pewnego księdza i jego krewnych w Londynie, których ja również znałam. To było niesamowite, że miałyśmy wspólnych znajomych gdzieś na drugim końcu świata!

„Skoro przyjaźnisz się z tym kaznodzieją, dziwię się, że nie chciałaś wcześniej dowiedzieć się o Chrystusie” – powiedziałam.

„Mam swoją własną wiarę” – odpowiedziała Reihana. „Ale nigdy nie słyszałam historii nawrócenia, podobnej do twojej. To jest bardzo ciekawe”.

„Tak wiele opowiedziałam ci o sobie” – stwierdziłam. „Teraz twoja kolej”.

Reihana opowiedziała, że studiowała dziennikarstwo i medioznawstwo, a także ukończyła w Anglii kurs związany z prawami człowieka. Działała w obronie praw człowieka, zwłaszcza praw kobiet. Publikowała artykuły w postępowej gazecie i w końcu władze się nią zainteresowały. Zaresztowano ją pod zarzutem udziału w nielegalnych demonstracjach, zakłócenia spokoju, siania antyrządowej propagandy, a nawet obrażania prezydenta. Ponieważ popierała wiernie Karrubiego, zmuszano ją do przyznania się, że była jego kochanką, by

sfabrykować oskarżenie przeciwko niemu i zniszczyć jego reputację.

Reihana chciała napisać pełny raport o traktowaniu kobiet w więzieniu, ujawniając nadużycia, korupcję i całe zło, z którego składa się irański system więziennictwa. Z pomocą kilku innych więźniarek wymieniłyśmy nazwiska każdej znanej nam osoby, opowiedziałyśmy, o co zostały oskarżone, kiedy aresztowane; podałyśmy wszystkie znane szczegóły ich historii. Reihana notowała informacje o fatalnej opiece medycznej, złym jedzeniu i wyuzdanym lesbijstwie, powszechnym w więzieniu, które przed zainstalowaniem kamer w celach prowadziło do gwałtów na nowych więźniarkach. Najbardziej drastycznym przypadkiem było zgwałcenie matki na oczach jej dziecka.

Reihana miała pewne plany, a ich realizację zamierzała rozpocząć od artykułu napisanego w formie listu do człowieka, który ją przesłuchiwał w Oddziale 209. Zatytułowała go „Doktor 209” i przeczytała nam z Marią. Był to ostry, sarkastyczny list, potępiający tego człowieka i ujawniający różne, dotyczące go szczegóły. Miała zamiar przekazać tekst przyjaciołom w czasie wizyty kontaktowej, by oni umieścili go w Internecie.

Nigdy nie dowiedziałyśmy się, czy list Reihany wy dostał się na zewnątrz. Kilka dni później miałyśmy z Marią tajemniczą wizytę, która rozpoczęła nowy rozdział w naszej historii. Bez żadnego związku z tym, co było, nasza sprawa nagle potoczyła się bardzo szybko, a niebezpieczeństwo niespodziewanie stanęło tuż obok.

## ROZDZIAŁ 22

### *Tajemnicza wizyta*

Maria &

Był dzień wizyt. Należała nam się tylko jedna wizyta kontaktowa w miesiącu, więc tym razem miało być zwykle widzenie z naszymi siostrami przez szybę, kiedy mogłyśmy rozmawiać przez telefon, a nasze rozmowy były nagrywane. Tym razem jednak Marcelina czuła się tak źle, że prosiła Elenę, by nie przychodziła na spotkanie, gdyż dla niej byłoby zbyt uciążliwym kilkugodzinne oczekiwanie na piętnastominutową rozmowę. Zatem Marcelina została w łóżku, a ja miałam się spotkać z moją siostrą.

Tym razem podróż do punktu wizyt (na którą składało się długie oczekiwanie na bus, jazda busem, kolejne oczekiwanie na spotkanie, jazda z powrotem i kolejne oczekiwanie na rewizję przed wpuszczeniem do Oddziału 2) trwała dłużej niż zwykle. Rozeszła się wiadomość, że w centrum wizyt nie ma prądu i trzeba będzie czekać, aż go z powrotem podłączą. Po długim zwlekaniu została podjęta decyzja, że wszystkim przybyłym – około trzydziestu więźniarkom – pozwolą na wizytę kontaktową. Co za niesamowita niespodzianka! Pobiełam po schodach na dół, by przywitać Szirin, i padłyśmy sobie w objęcia, dziękując Bogu za tę wspaniałą możliwość. Bez przerwy mówiłyśmy w ciągu tych piętnastu minut, po czym musiałyśmy się pożegnać.

Po powrocie do kobiecej części więzienia, stojąc w kolejce przed wpuszczeniem do Oddziału, oparłam się o ścianę, wyczerpana godzinami oczekiwań. Nagle drzwi się otworzyły i szybkim krokiem weszły dwie ochroniarki w towarzystwie dwóch mężczyzn. Widok niezapowiedzianych mężczyzn w kobiecym więzieniu był bardzo osobliwy. Ochrona natychmiast rozkazała więźniarkom zakryć włosy.

„Ci faceci zapewne są z Oddziału 209” – pomyślałam.

Jeden z mężczyzn, w średnim wieku i z okrągłą twarzą, spojrzał na mnie.

„Czy pani nazywa się Rostampur?”

„Tak”.

„Czy ma pani pojęcie, jak długo na panią czekamy?”

Byłam zbyt zdumiona, by coś odpowiedzieć.

„Te wszystkie listy, które przychodzą do pani, sprawiły nam mnóstwo kłopotów. Codziennie musimy otwierać i czytać listy na pani temat i na temat pani sprawy”.

„Musi pan czytać listy na mój temat?”

„Tak! Co najmniej czterdzieści lub pięćdziesiąt listów dziennie przychodzi do pani z całego świata!”

„Ale skoro są to listy do mnie, dlaczego musi pan je czytać? Stanowi to chyba kolejny przykład łamania praw człowieka w tym kraju, kiedy pan otwiera i czyta prywatną korespondencję innych ludzi”.

„Naprawdę pani oczekuje, że oddamy pani te listy, by pani miała kolejną zachętę do nieposłuszeństwa względem nas?”

„Nie musimy czytać tych listów na zachętę” – pomyślałam, a moje serce napęliło się radością. Świat obserwuje was! Mamy rodzinę wierzących, którzy nas kochają i troszczą się o nas. Nie jesteśmy same!

„Poza tym – dodał mężczyzna nieprzyjaznym tonem – nie możemy ich pani przekazać bez zgody sędziego. Jak długo pani jest w więzieniu?”

„Siedem miesięcy”.

„I wciąż jest pani chrześcijanką?”

„Tak, jestem chrześcijanką”.

„Co pani postanowiła? Pozostaje pani przy swojej decyzji czy zmieni pani zdanie?”

„Byłam już o to pytana na przesłuchaniach i nie mam nic do dodania do tego, co już wcześniej powiedziałam”.

Mężczyzna z okrągłą twarzą popatrzył na swojego kolegę: „Ona mówi, że już ją przesłuchiowano!”.

„Idziemy” – odpowiedział drugi mężczyzna. Obaj wyszli i na tym się skończyło.

W czasie tej rozmowy pozostałe więźniarki, oczekujące w kolejce, zachowywały absolutną ciszę. Jak tylko panowie wyszli, wszystkie naraz zaczęły mówić.

„Czy wiesz, kim oni są?” – zapytał mnie ktoś.

„Nie bardzo” – odpowiedziałam. „Kim?”

„To są pracownicy Sekcji Bezpieczeństwa przy Ministerstwie Wywiadu!”

Dla innych więźniarek było to prawdziwym wydarzeniem – VIP-y ze służb bezpieczeństwa odwiedziły znanego więźnia.

„No i co? Nie muszę się przed nimi tłumaczyć, kimkolwiek są” – starałam się z całych sił wyglądać na pewną siebie i niezależną. W sercu jednak chowałam obawy o to, co mogą zrobić nam z Marceliną. Słyszałyśmy, że Sekcja Bezpieczeństwa jest szczególnie okrutna. Czy mężczyźni przyszli po to, by nas bić lub torturować?

\*\*\*

Kiedy wróciłam do Oddziału 2, dowiedziałam się, że panowie już tu byli. Próbowali rozmawiać z Marceliną, ale ona leżała w łóżku z głową pod kocem. Przybysze kazali którejś z więźniarek, by pomogła Marcelinie wstać. Kiedy jedna

z naszych przyjaciółek zanurzyła głowę pod koc, obie z Marceliną ledwo powstrzymały się od śmiechu.

„Nie mogę wyjść. Źle się czuję. Próbuję zasnąć” – powiedziała Marcelina słabym głosem, dodając parę przekonujących kaszlnięć, by wzmocnić wrażenie.

„Słyszeliście panowie?” – zwróciła się do nich nasza koleżanka. „Ona nie czuje się dobrze i nie może z panami porozmawiać”.

Ostatecznie panowie musieli czekać dwie godziny, aż wrócę ze spotkania z siostrą. Nikt nie mógł sobie przypomnieć, nawet osoby najdłużej siedzące w Ewin, by kiedykolwiek urzędnicy czekali na więźnia dwie godziny. To zdarzenie nie miało precedensu.

Wyglądało na to, że w jakiś cudowny sposób reżim zaczął poważnie odczuwać problemy z powodu przetrzymywania nas w więzieniu. Nie mogli nas po prostu zabić zgodnie z początkowym planem – zbyt wiele oczu z całego świata patrzyło na naszą sprawę. Ale gdyby puścili nas wolno, nas, wciąż wyznających wiarę chrześcijańską, reżim straciłby twarz wobec fundamentalistów, którzy zapewniali mu utrzymanie się przy władzy. Punkt zwrotny był coraz bliżej...

\*\*\*

Następnego dnia po apelu i śniadaniu pani Mudżahed, jedna z nadzorujących nasz Oddział, kazała nam z Marceliną nałożyć czadory i niezwłocznie stawić się w biurze pani Rezei. Ponieważ Marcelina zbyt długo, według pani Mudżahed, się zbierała, poszłam sama, by rozładować napięcie. Czekają na mnie trzech mężczyzn – do tych wczorajszych dołączył starszy, siwy pan. Początkowo stwierdziłam, że przyszli mnie ukarać za moje wczorajsze zachowanie. Kiedy się przywitałam, odpowiedzieli wyglądając na zdziwionych.

„Panowie są z Działu Bezpieczeństwa naszego więzienia” – wyjaśniła pani Rezea. „Przyszli zobaczyć się z panią”.

Starszy pan z siwizną zapytał, jak się czuję.

„Dziękuję, dobrze”.

Odezwał się pan w średnim wieku z okrągłą twarzą: „To z nią rozmawialiśmy wczoraj. Powiedziała, że już ją przesłuchiwano”.

„Tak, to prawda” – potwierdził trzeci mężczyzna.

Miał około trzydziestu lat, nazywał się Ramezani.

„Ta kobieta wczoraj z nami się spierała”.

Weszła Marcelina i stanęła obok mnie. Panowie zaproponowali, abyśmy usiadły.

„Wczoraj pani nie czuła się najlepiej, nieprawdaż?” – zapytał Marcelinę pan Ramezani.

„Zgadza się. Choruję już od kilku miesięcy”.



Ramezani zwrócił się do pani Rezei, która wyraźnie zdenerwowana siedziała przy swoim biurku: „Czy więzienny lekarz nie obsługuje tych ludzi?”

„Oczywiście, że tak” – broniła się pani Rezea. „Wydaje się, że była w szpitalu kilka razy”.

„To dlaczego nie czuje się lepiej?”

Marcelina zabrała głos: „Dlatego, że w szpitalu wszystkim więźniom dają te same leki, niezależnie od tego, kto na co choruje. Leki te nikomu nie pomagają. Nie pozwolono nam otrzymywać odpowiednich leków z zewnątrz”.

Póki Marcelina z panem Ramezanim w ten sposób krytykowali więzienną obsługę medyczną, pozostali panowie wyszli. Po chwili milczenia Ramezani zaczął rozwlekłe przemówienie. Nie mogliśmy zrozumieć, o co mu chodzi. Widać było, że czuje się nieswojo przez to, że musi do nas mówić, że sam nie jest pewien tego, co chce powiedzieć. Jego twarz stawała się coraz bardziej blada, unikał naszych spojrzeń i patrzył w podłogę, a w końcu zaczął się jąkać jak nieśmiały chłopak, usiłujący prosić dziewczynę o rękę. Najwyraźniej gdzieś na kogoś wywierano poważny nacisk w związku z naszą sprawą i reżim bardziej niż kiedykolwiek pragnął nas się pozbyć, ale nie zamierzał oczyścić z zarzutów.

„Pewien człowiek miał o pani sen” – powiedział, kiwając w moim kierunku. „W tym czasie był on w więzieniu w innym mieście, ale opowiedział mi o tym. We śnie Jezus zachęcał go, by się z wami spotkał. Dlatego wczoraj przyszedłem zobaczyć się z wami”.

Popatrzył na Marcelinę.

„Niestety, pani nie zechciała ze mną wczoraj rozmawiać, ale mieliśmy uprzejmą pogawędkę z pani przyjaciółką. Powiedziałem jej, że więzienie Ewin otrzymuje codziennie dziesiątki listów dla was, a my musimy je czytać. Myślę, że otrzymujecie więcej listów niż biuro administracji. Stałyście się znane i wiele o was słyszałem”.

Po chwili niezręcznego milczenia kontynuował: „Powiedzmy, że nie mam nic przeciwko waszej wierze. W pewnym sensie również wierzę w Chrystusa. W Koranie jest mnóstwo wersetów potwierdzających to, w co wierzycie”.

Zaczął mówić ciszej: „Ale chyba nie powinniśmy tutaj o tym rozmawiać. Niech nikt nie dowie się, co powiedziałem o mojej wierze w Chrystusa – mógłbym przez to znaleźć się w niebezpieczeństwie”.

Pan Ramezani zadał nam kilka pytań na temat naszej wiary i krótko podzieliłyśmy się z nim naszym doświadczeniem Chrystusa.

„Moja wiara wygląda nieco inaczej niż innych muzułmanów” – zaznaczył. „Nie zgadzam się z tym, co oni robią. Gdybym powiedział przynajmniej słowo o tym, miałbym poważne problemy”.

Potem poprosił, żebyśmy przeczytały surę 90 Koranu i na następnym spotkaniu powiedziały mu, co o tym sądzimy.

„Ja rozumiem ten werset w taki sposób, że Jezus jest Zbawicielem” – powiedział<sup>[18]</sup>.

Obiecałyśmy z Marceliną, że się temu przyjrzymy.

„Ktoś prosił mnie, bym zapytał, jakie macie potrzeby” – wyjął pan Ramezani, znowu patrząc w podłogę. Po chwili podniósł oczy i dodał: „Mogę pomóc paniom w otrzymaniu z zewnątrz wszystkiego, czego potrzebujecie – leków, witamin, koców, ubrań. Tylko powiedzcie”.

Powiedziałyśmy, że od kilku miesięcy prosimy o witaminy. Podał nam numer telefonu.

„Przekażcie ten numer swoim krewnym” – powiedział. „Niech zadzwonią bezpośrednio do Działu Bezpieczeństwa i otrzymają pozwolenie na przekazanie wam witamin”.

Marcelina opowiedziała również o ohydnych jedzeniach, o złym stanie zdrowia wielu więźniarek z nią włącznie, o głupim apelu każdego rana. Co prawda, same przestałyśmy wychodzić na dwór, ale codziennie musiałyśmy o to walczyć i wysłuchiwać pogroźek, zresztą, tak samo jak każda z nas, która nie chciała wyjść.

„Jest mi przykro” – powiedział pan Ramezani z nutką szczerego żalu w głosie. „Jednak z tym nie mogę nic zrobić, póki nie otrzymacie zaświadczenia od lekarza, że jesteście chore. Zrobię, co mogę, by ochrona was nie ruszała, ale przede wszystkim musicie zdobyć to zaświadczenie”.

„Ale nikt nam nie da zaświadczenia!” – zawołała Marcelina. „Ani razu nas nawet nie zbadali. Z jakiej racji mieliby teraz wydać zaświadczenie? Nowe reguły tylko pogorszyły sytuację – beznadziejna opieka medyczna plus przymusowe wychodzenie na dwór na zimne powietrze każdego rana powoduje, że chorzy są jeszcze bardziej chorzy, zaś zdrowi mogą w każdej chwili coś złapać”.

„Dobrze znam te problemy” – przyznał pan Ramezani. „Niestety tu, w Ewin, istnieją swoje zasady. Likwidacja porannego apelu wymaga ingerencji wyższych władz. Zanim to nastąpi, porozmawiam z panią Rezeą o waszych potrzebach, a panie postaracie się o zaświadczenie od lekarza”.

Byłam zszokowana podejściem tego człowieka. Jak bardzo chciał pomóc! Kim on jest naprawdę? Kto go przysyła? Podziękowałyśmy mu za wizytę.

„Nie, nie. To był mój obowiązek” – wyjaśnił. „Kazano mi przyjść i porozmawiać z wami. Ja również wierzę w Jezusa Chrystusa. Był umęczony i ukrzyżowany. Ludzie, którzy was zamknęli w więzieniu, twierdzą, że tak nie jest, ale oni są w wielkim błędzie<sup>[19]</sup>. Jezus był biczowany, torturowany i ukrzyżowany, a potem powstał z martwych”.

Byłam w jeszcze większym szoku. Zaresztowano nas, dręczono, poniżano i przetrzymywano w więzieniu za to, że mówiłyśmy to samo, co ten urzędnik, którego wszyscy się bali i słuchali! Poprosiłam, by powiedział nam coś więcej o tym, co on wie na temat zmartwychwstania Chrystusa.

„Nie mogę mówić o tym tutaj. Nie wolno mi” – odpowiedział tonem ucinającym rozmowę. „Na zewnątrz tych murów będziemy mogli porozmawiać dłużej. Ale, proszę, nikomu nie mówcie, że rozmawialiśmy o Jezusie w ten sposób. To sprowadzi wielkie kłopoty na nas wszystkich”. Obiecałyśmy zachować dyskrecję. Na tym nasza zaskakująca rozmowa się skończyła i powróciłyśmy do Oddziału, gdzie czekały na nas zaniepokojone koleżanki.

W świetle wczorajszej wizyty to powtórne pojawienie się wysokiego urzędnika zostało uznane za niechybny znak, że zostaniemy ukarane. Powiedziałyśmy im, że wszystko jest w porządku, że władze po prostuchciały więcej się dowiedzieć o listach, które przychodzą do nas z całego świata. Nie wspomniałyśmy o szansie na otrzymanie witamin z obawy, że pojawią się niepotrzebne pytania i problemy. Niektóre kobiety w więzieniu i tak były zazdrosne o to, ile uwagi poświęca się nam w wiadomościach. Nie chciałyśmy im dawać kolejnych powodów do złości. Marcelina zadzwoniła do swojej siostry Eleny, opowiedziała o spotkaniu i przekazała numer telefonu, otrzymany od pana Ramezaniego.

\*\*\*

Marcelina &

Kilka dni później nasz nowy prawnik, pan Agasi, przybył do więzienia, by znowu z nami się spotkać. Powiedział, że niedługo odbędzie się w sądzie nasza rozprawa, wtedy wreszcie będziemy miały szansę wypowiedzieć się w swojej obronie. Zapytał, czy myślałyśmy o zmianie stanowiska, czy nie zechcemy złagodzić naszej nieugiętej postawy. Powiedziałyśmy jeszcze raz to, co powtarzałyśmy już wielokrotnie: nie ma tu o czym myśleć. Nigdy nie odwrócimy się od Chrystusa, nigdy nie zmienimy naszego świadectwa, nigdy nie zaprzemy się naszego Zbawiciela. Poprosiłyśmy, by prawnik przygotowywał obronę, mając to na uwadze.

Zapytałyśmy go, czy nie mógłby przynieść nam trochę witamin i odpowiednich leków. Wytłumaczył nam, że nie może tego zrobić i że musimy się zwrócić do więziennego lekarza lub do biura opieki medycznej. Jeśli nasza ziemską nadzieję na obronę prawną była pokładana w panu Agasim, nadzieja na ulgę w chorobach była w rękach nieznanego nam pana Ramezaniego.

W ciągu tygodnia zostałyśmy z Marią wezwane do biura więziennego. Poinformowano nas, że rozprawa odbędzie się w najbliższych dniach. Przyjaciółki zapewniały nas, że tym razem kaucja zostanie przyjęta i puszcza nas wolno. Inne mówiły, że ze względu na nagłośnienie sprawy zwolnią nas bez stawiania żadnych warunków.

Następnego ranka wstałyśmy wcześniej, by kilka godzin czekać na minibus, który miał odwieźć nas do sądu. Złączono nas kajdankami i wieziono przez całe miasto. Gdy tylko wyjechałyśmy za bramę więzienia, zobaczyłyśmy Elenę, Szirin i kilku przyjaciół, czekających na nas. Pokiwały do nas, wykrzykując słowa wsparcia, i pojechały za nami do sądu.

Ostatnim razem, gdy byłyśmy w Trybunale Rewolucyjnym, sędzia powiedział, że jeśli nie zmienimy zeznań, nasza sprawa zostanie przekazana do biura numer 15 do ostatecznego rozpatrzenia. Sędzia orzekający w tym biurze zajmował się też sprawą Szirin Alam Huli i był znany z tego, że wydawał tylko wyroki śmierci lub dożywocia. Nie znał innych kar. Jednak tym razem, wchodząc do budynku, zauważyłyśmy, że prowadzą nas do biura numer 26. „To jest pomyślna wieść” – zaznaczył pan Agasi. „Znam sędziego w biurze numer 26. Zajmował się sprawami rodzinnymi i jest bardzo miłym człowiekiem”.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami sali sądowej.

„Wejdę pierwszy” – powiedział pan Agasi. „Jak dotąd, nie miałem możliwości zapoznania się z waszą teczką. Wczoraj powiadomiono mnie, że dzisiaj jest rozprawa. Teraz mam piętnaście minut na przeczytanie akt i przygotowanie obrony. Gdy będę gotowy, zawołam was”.

Siedziałyśmy w więzieniu prawie osiem miesięcy. Grożono nam wyrokiem śmierci. Nastąpiła chwila, kiedy po raz pierwszy (a być może, ostatni) mogłyśmy stanąć przed sędzią w obecności naszego adwokata. I teraz on miał zaledwie piętnaście minut, by przygotować obronę.

Póki czekałyśmy, podeszły do nas Elena i Szirin. Nigdy wcześniej nie pozwolono im wejść do budynku, kiedy tam byłyśmy. Siostry dały nam trochę świeżego soku – smakował wyśmienicie! Miały jeszcze dla nas coś do jedzenia i trochę słodczy, ale nie pozwolono nam tego wziąć.

Po kilku minutach urzędnik otworzył drzwi i zawołał nas na salę rozpraw. Pożegnałyśmy się z siostrami i udałyśmy się przez wielką salę sądową do innej, nieco mniejszej. Na jej końcu stało podwyższenie z biurkiem, przy którym siedział sędzia. Za jego plecami wisiał wielki kolorowy wizerunek Wagi Sprawiedliwości. Sędzia miał na sobie szary garnitur, na twarzy miał trzydniowy zarost. Przed sędzią było miejsce dla obrońcy. Usiadłyśmy, a pan Agasi usiadł obok nas.

Patrząc na Wagę Sprawiedliwości, pomyślałam, że nasza wiara i nasze życie jest na szali. Wiedziałam jednak, że ręka Boga pokieruje wszystkim, co ma się wydarzyć.

<sup>[18]</sup> Chodzi o werset 3 tej sury zawierający aluzję do Boga-Ojca i Syna: „i na rodziciela, i na to, co on zrodził!” (przyp. red.).

<sup>[19]</sup> Pan Ramezani najwyraźniej miał na myśli muzułmańskie wierzenie, że Jezus nie wycierpiał ani męki, ani ukrzyżowania, zgodnie z nauczaniem Koranu

(sura *Kobiety* 4:157): „...powiedzieli: «Zabiliśmy Jezusa, syna Marii, posłańca Boga» – podczas gdy oni ani Go nie zabili, ani Go nie ukrzyżowali, tylko im się tak zdawało” (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ 23

### *Oskarżone i winne*

Marcelina &

Nasz adwokat przywitał jeszcze jednego sędziego. Był to mężczyzna w średnim wieku o siwych włosach i brodzie. Miał na sobie okulary, a na jego czole widniał typowy ślad po wielogodzinnych muzułmańskich modłach.

„Mamy szczęście – naszym sędzią jest pan Pirabbasi” – powiedział nam po cichu pan Agasi, wskazując na sędziego.

„Ostatnio jestem bardzo zajęty” – rzekł sędzia. „Ale pan Laridżani zadzwonił do mnie prosząc, bym się zajął waszą sprawą”.

To była niesamowita wiadomość! Laridżani zajmował naczelne stanowisko w całym sądownictwie. Nasz prawnik zapytał, dlaczego sam Laridżani ingerował w tę sprawę.

„Ważna osoba z ONZ zadzwoniła do niego z prośbą o jak najszybsze jej zakończenie”.

Z czasem dowiedziałyśmy się, kto zwrócił uwagę ONZ na naszą sprawę. Jednak nie będziemy nic pisać o tej osobie, by nie narażać jej na niebezpieczeństwo i zapewnić jej możliwość dalszego udzielania pomocy innym.

Sędzia przeniósł wzrok z pana Agasiego na Marię. Jego twarz nabrała surowości.

„Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że wasz upór daje naszym wrogom chwilową przewagę i możliwość prowadzenia działań przeciwko nam? Chyba nie wiecie, jacy ludzie wykorzystują was i waszą sprawę do uzyskania własnych korzyści?”.

Wiedziałyśmy, że przed ambasadą Iranu w Londynie odbyła się manifestacja protestu w naszej sprawie. Dodawało to nam odwagi i przypominało, że chrześcijanie na całym świecie modlą się za nas. Jednocześnie rozgłos komplikował sytuację irańskiego wymiaru sprawiedliwości. Reżim odczuwał niepokój, zdenerwowanie i frustrację z tego powodu. Miałyśmy ogromną nadzieję, że to zdenerwowanie nie przerodzi się w ostre działania.

Sędzia otworzył naszą teczkę i przez chwilę czytał w skupieniu, a kiedy podniósł oczy, żołądek mi się skurczył. Z twarzy pana Agasiego nie można było wyczytać, o czym teraz myśli.

Sędzia oznajmił: „Oskarżenie o propagandę przeciwko reżimowi i o obrazę naszych świętych wartości jest bezpodstawne. Na to nie ma żadnych istotnych dowodów”.

Pochylił się do przodu.

„Nie sądzę, byście obrażali jakąkolwiek inną religię lub wierzenia religijne.

Czy robiliście to?”

„Nie” – odpowiedziałyśmy.

„Nie” – wtórował pan Agasi.

Pan Pirabbasi wyprostował się, siedząc przy swoim biurku.

„Niniejszym zatem ogłaszam oczyszczenie was z zarzutów szerzenia propagandy przeciwko systemowi i obrażania naszych świętych wartości”.

Ni mniej ni więcej. Bez żadnego wysłuchania naszej obrony zostałyśmy oczyszczone z poważnych zarzutów – po miesiącach więzienia, poniżenia i patowej sytuacji prawnej. Następnie sędzia coś zanotował, a potem znowu spojrzął na nas.

„Teraz przechodzimy do oskarżenia o apostazję. To oskarżenie pozostaje w mocy. Jak wiecie, karą za to przestępstwo dla mężczyzn jest śmierć, a dla kobiet dożywocie w obozach pracy”.

Sędzia popatrzył na naszego adwokata.

„Mam nadzieję, że pan zapoznał pokrótce swoje klientki z tymi konsekwencjami”.

„Tak, uczyniłem to”.

Powtarzano nam wielokrotnie, że najwyższą karą, jaką możemy ponieść, jest śmierć. Znałyśmy wiele przypadków kobiet straconych w Iranie. Jednak w tej chwili po raz drugi usłyszałyśmy, że możemy uniknąć śmierci tylko dlatego, że jesteśmy kobietami.

Sędzia Pirabbasi znowu zwrócił się do nas: „Chcę zadać wam kilka pytań, każdej osobno. Pani Amirizade, czy jest pani chrześcijanką? Czy jest pani powołana, by iść za Jezusem? Proszę wyjaśnić, co pani przez to rozumie”.

Słyszając to pytanie, poczułam, jak fala chłodu przenika moje ciało od stóp do głów. Były to te same pytania, zadane w ten sam sposób, jak podczas ceremonii mojego chrztu w Turcji. Dzisiaj, 7 października, była czwarta rocznica tego wydarzenia, o czym przypominała mi Maria natychmiast po otrzymaniu informacji o dacie rozprawy.

Kiedy wybrałam Chrystusa, uważałam, że już jestem chrześcijanką i nie potrzebuję chrztu. Namawiali mnie do tego przyjaciele, gdyż zaświadczenie o chrzcie mogło w niektórych przypadkach ułatwić otrzymanie pozwoleń na podróż. Nie chciałam jednak używać mojej wiary w celu uzyskania korzyści. Nie chciałam wykorzystywać Boga – chciałam, by Bóg wykorzystywał mnie.

Co więcej, wcześniej miałam sen, w którym sam Jezus ochrzcił mnie w pięknym jeziorze. „Już nie należysz do tego świata” – powiedział Jezus. „Należysz do Mnie”. Myślałam wówczas, że „drugi” chrzest jest niepotrzebny, a nawet niewłaściwy.

Ale w czasie pobytu w Turcji, kiedy inni wierzący przyjmowali chrzest w morzu, Bóg przynaglił mnie, bym wzięła w tym udział. Nigdy nie chciałam być ochrzczona wewnątrz kościoła, wolałam ceremonię w otwartej przestrzeni, na łonie

przyrody, jak w moim śnie. W ten sposób, po siedmiu latach życia z Chrystusem, zostałam ochrzczona w wodach morza 7 października o godzinie siódmej po południu.

„Czy jest pani chrześcijanką? Czy jest pani powołana, by iść za Jezusem? Proszę wyjaśnić, co pani przez to rozumie”. Łatwo było odpowiedzieć „tak” na te pytania w czasie chrześcijańskiej uroczystości, pełnej nadziei i obietnic. Czułam jednak, że jest mi łatwo powiedzieć „tak” również tu i teraz, w tym muzułmańskim sądzie, mimo strachu, który mnie ogarniał. Świadomie wybieram pójście za Jezusem na śmierć lub do nowego życia. Sytuacja była krańcowo inna, ale obietnice wiary były jednakowo ważne w obu sytuacjach.

Odpowiadając sędziemu na postawione pytania, krótko opisałam moją wiarę w Chrystusa i moje relacje z Nim. „Uważam, że Jezus jest Synem Bożym i moim Zbawicielem” – podsumowałam swoją wypowiedź dokładnie tymi samymi słowami, jakich użyłam w czasie chrztu.

Sędzia był wyraźnie zaskoczony, słysząc takie mocne wyznania z ust więźniarki, której zwolnienie było już tak blisko. Zaczął zadawać pytania dotyczące mojej wiary i wkrótce rozpoczął się spór.

„Jestem chrześcijanką i pokładam ufność w Chrystusie!” – zadeklarowałam.

„Czyli nie wierzysz w islam?” – zapytał sędzia ze złością.

„Jezus powiedział: «Wykonało się». To oznacza, że po nim nie będzie już proroków”<sup>[20]</sup>.

Pana Agasiego przeraził taki obrót sprawy i wtrącił się do naszej rozmowy.

„Nie należy interpretować wiary tej kobiety w Chrystusa jako obrazy dla innej religii” – powiedział głośno, prawie krzycząc.

Sędzia zamilkł, ja też przestałam mówić.

„Panie Agasi, może pan przedstawić sądowi pańską obronę w sprawie oskarżenia o apostazję” – rzekł sędzia.

„Moje klientki respektują inne religie tak samo, jak respektują własną” – zaczął z nadzieją w głosie pan Agasi. „Głosząc chrześcijaństwo, nie chciały one odwrócić ludzi od wierzeń religijnych, które tamci wcześniej wyznawali. Wierzą one w Chrystusa tak samo, jak wierzą w niego inne religie”.

Oczywiście nie była to prawda. Pan Agasi z całych sił starał się uchylić stawiany nam zarzut apostazji, mimo że wielokrotnie mówiłyśmy mu, że trzymamy się wyznania wiary w Chrystusa jako jedyne Syna Bożego, który nie ma sobie równych wśród proroków czy innych postaci historycznych. Im dalej mówił, tym dalej odsuwał się od chrześcijańskiej prawdy, której trzymałyśmy się; przedstawiał przekonania religijne zupełnie nam obce.

Nie chciałam pozostawać w milczeniu, przerwałam więc mowę pana Agasiego, nie bacząc na możliwe konsekwencje.

„Panie sędzio, nasz adwokat jest w błędzie!”



Poczułam, jak oczy wszystkich obecnych na sali osób zwróciły się na mnie.

„Nie jesteśmy małymi dziećmi i nie potrzebujemy, by ktoś za nas mówił, co my myślimy. Jezus powiedział: «Daję wam Ducha Świętego i nie potrzebujecie nic więcej. Koniec». Nie wierzymy w Chrystusa tak, jak to czynią inne religie. Jezus jest początkiem i końcem, On jest wszystkim. Każdy pogląd negujący Jego doskonałą pełnię jest fałszywym poglądem. Jezus jest jedynym prawdziwym Zbawicielem świata. Nic nie zmusi nas do zaparcia się tej prawdy lub rozwodnienia jej. Wierzymy, że Pan jest naszym ostatecznym Wyzwolicielem i nie chcemy, by nas zwolniono z więzienia, jeśli miałyby to oznaczać odcięcie się od Chrystusa. Gdybyśmy chciały zdobyć wolność, zapierając się wiary, wyszłybyśmy na wolność kilka miesięcy temu. Jezus jest naszym Zbawicielem teraz i na wieki!”

Twarz pana Agasiego zrobiła się czerwona ze wzburzenia i frustracji. Był przekonany, że dokonuje bohaterskiego czynu, usiłując wyratować nas z dożywotniego więzienia, i oto kilkoma słowami sprowadziłam do zera wszystkie jego starania!

„Czyli nie zgadzacie się panie ze stanowiskiem obrony?”

„Nie zgadzamy się” – powiedziała Maria. „Musimy zmienić jego ostatnie zdania”.

„Dobrze” – powiedział pan Pirabbasi.

Jeśli wcześniej miał jakiegokolwiek wątpliwości co do naszej pozycji, w tym momencie wszystkie one przysły.

„Nie ma problemu, mogę je zmienić. Mogę napisać wszystko, co powiecie. Już wam powiedziałem, co was czeka, jeśli apostazja zostanie udowodniona. Zapiszę, co powiedziałyście: «Wierzymy w Jezusa Chrystusa!»”.

Twarz naszego adwokata nadal była czerwona.

„Panie Agasi – powiedział sędzia, – zapiszę wszystko, co te panie mówią, żebym zapisał. I zwracam się do nich: «Trzymajcie się swojej wiary». W końcu wszystko na tym świecie wymaga zapłacenia jakiejś ceny. Skoro dochodzą do takich wniosków i wierzą w to, co mówią, muszą zapłacić odpowiednio wysoką cenę”.

Wyszliśmy z Marią do przodu, by podpisać dokumenty oczyszczające nas z zarzutów politycznych i potwierdzające naszą wiarę w Jezusa Chrystusa. Kiedy wróciliśmy na miejsce, sędzia oznajmił: „Zanotowałem wszystko, o czym dzisiaj rozmawialiśmy. Oczyściłem was z oskarżeń o sprawy polityczne, wysuniętych przez Trybunał Rewolucyjny. Odnośnie oskarżenia o apostazję musi się wypowiedzieć inny sąd, przeznaczony do tego typu spraw”.

„A nie dałoby się rozpatrzyć tej sprawy również u pana w sądzie zamiast przekazywania jej innemu sędziemu?” – zapytał pan Agasi.

„Nie, nie sądzę by to było możliwe” – odparł pan Pirabbasi. „Może pan sprawdzić przepisy, ale jestem przekonany, że poprawnie rozstrzygnąłem kwestię

pierwszych zarzutów, ale nic nie mogę pomóc w kwestii pozostałych”.

Maria zapytała, czy możemy otrzymać listy, które przychodzą do nas. Ochrona twierdziła, że możemy je dostać tylko po uzyskaniu pozwolenia od sędziego. Ku naszemu zdziwieniu i radości sędzia się zgodził i obiecał, że wyda nakaz oddania nam tych listów. Pytałyśmy się również o nasze laptopy, dokumenty i inne rzeczy skonfiskowane w dniu aresztowania.

„Nie posiadamy tych rzeczy” – powiedział sędzia. „Zapewne wszystko jest przechowywane w komisariacie policji w Gisza, gdzie zostałyście zatrzymane, albo w biurze numer 2, które prowadziło waszą sprawę”.

Zawołał urzędnika i kazał mu sprawdzić, czy coś z naszych rzeczy jest w biurze numer 26. Urzędnik wyszedł i po chwili wrócił z dwoma egzemplarzami Biblii w rękach.

„To wszystko, co mamy tutaj” – stwierdził sędzia. „Ale proszę się nie martwić, wszystkie rzeczy zostaną zwrócone”.

„A co z pozostałymi egzemplarzami Biblii?” – zapytałam.

„Aha, no cóż, obawiam się, że nie wrócą do was. Te dwa zostały przekazane razem z teczką jako materiał dowodowy. Reszta z pewnością poszła na przemiał”.

„W takim razie – powiedziałam – skoro już ma pan te Biblie tutaj, może powinien pan je poczytać? Czytał pan Koran, może pan poczytać też Biblię”.

Pan Agasi podskoczył na równe nogi.

„Powoli, powoli, miła pani!” – zawołał. „Nie przestanie pani ewangelizować nawet tutaj?”

Wyprowadziłam go z równowagi – musiał znaleźć jakieś wyjście, a ja odcięłam mu wszystkie możliwości. Sędzia wyszedł z sali. Zostałyśmy same z naszym adwokatem.

\*\*\*

Maria &

Po wystąpieniu Marceliny pan Agasi był sfrustrowany, zmieszany i zły jednocześnie.

„Dlaczego pani musiała to zrobić?” – rzucił do niej. „Dopiero rozpocząłem obronę! Nie byłoby żadnego problemu, gdybyście tylko podpisały oświadczenie, które przygotowałem. Jesteście pierwszymi na świecie oskarżonymi, którzy odrzucili obronę wygłoszoną przez swojego adwokata! Zdobyłbym dla was wolność! No i co, że moje stanowisko nie było do końca dokładne? Przecież to były moje słowa, nie wasze”.

„Nie mogłyśmy tego podpisać” – powiedziałam stanowczo. „Przecież pan wie, że podpisując to oświadczenie, wyraziłybyśmy zgodę na wszystko, co jest

w nim zawarte”.

„Sędzia Pirabbasi jest moim przyjacielem” – przypomniał nam pan Agasi zmęczonym głosem. „Niedawno został przeniesiony do Trybunału Rewolucyjnego i odpowiada za sprawy polityczne. Miałem nadzieję, że dziś wasza sprawa zostanie zamknięta i sędzia, który orzeka w sprawach apostazji, jedynie zapozna się z wyrokiem usprawiedliwiającym. Niestety, teraz wasza sprawa zostanie przekazana do Działu Sprawiedliwości”.

Sędzia wrócił na salę, ale ku naszemu zdumieniu usiadł przy naszym stole i kazał urzędnikowi, by podał nam herbatę. Pozbierał myśli i wrócił, by poszukać rozwiązania. Pan Agasi znowu powiedział, że wolałby, by sprawa została zamknięta tutaj.

„W sprawach poważnych, które zazwyczaj kończą się wyrokiem śmierci lub dożywociem, Trybunał Rewolucyjny nie ma nic do powiedzenia” – wyjaśnił. „Takie sprawy trafiają do Działu Sprawiedliwości, gdzie zajmuje się nimi zespół trzech sędziów. Obawiam się, że nic nie mogę zrobić, by to zmienić”.

Sędzia łyknął herbaty.

„Gdy tak razem pijemy tu herbatę, przypomina mi się pewna pani ze Szwecji, którą gościłem i która też jest chrześcijanką. Chciałem jej udowodnić, że nie uważam chrześcijan za nieczystych, więc wziąłem jej na pół wypitą herbatę i dopiłem do końca. Wywarło to na niej ogromne wrażenie. Kocham chrześcijan i szanuję ich wiarę i poglądy. Jednak nie wolno wam robić niczego, co byłoby na rękę potęgom Zachodu”.

Sędzia znowu wyszedł i wkrótce wrócił z butelką w ręku. Zapytał o warunki w Ewin, szczególnie interesowała go opieka medyczna. Następnie przelał połowę zawartości butelki do mniejszej. Były to perfumy różane.

„Pewnie nie macie tam żadnych perfum. Weźcie to ode mnie jako prezent. Mam nadzieję, że przyda wam się również w celach higienicznych”.

Wymieniłyśmy z Marceliną spojrzenia pełne zdziwienia i uznania. Nie mogłyśmy powstrzymać śmiechu na myśl o przemyceniu butelki perfum przez kontrolę osobistą.

„Dziękujemy, ale nie myślę, by ochrona w więzieniu pozwoliła nam zabrać te perfumy do celi” – powiedziałam.

Sędzia zawołał urzędnika i poprosił o kartkę ze swoim oficjalnym nadrukiem. Napisał krótką notatkę, informującą, że perfumy są prezentem od sędziego Pirabbasiego i należy pozwolić wnieść je do więzienia. Zabrałyśmy ten list i perfumy i wyszłyśmy z sali. Na zewnątrz czekały na nas siostry. Pan Agasi wciąż narzekał, że nie podpisałyśmy jego oświadczenia.

„Dlaczego musiałyście powiedzieć, że się z tym nie zgadzacie?” – mamrotał.

Żołnierze, którzy nas eskortowali, kazali nam wychodzić. Szirin i Elena, żegnając się, podały nam kanapki. Po drodze do sali oczekiwań, gdzie miałyśmy

siedzieć, póki nie przyjedzie po nas minibus, zapytałam żołnierzy, czy nie możemy poczekać na dworze. Sala była okropnie brudna i śmierdziało w niej jak na wysypisku śmieci. Żołnierze się zgodzili. Nasze siostry zobaczyły, że wychodzimy na dwór, i udały się za nami, ale zanim do nas doszły, z okna budynku sądu wychyliła się kobieta i zaczęła krzyczeć do żołnierzy: „Co wy robicie na dworze? Dlaczego nie prowadzicie ich do sali oczekiwać?”.

Zmusiła nas do siedzenia w okropnym pomieszczeniu, gdzie muchy bzycały, latając dookoła plam po zeschniętych wymiocinach. Smród powodował, że samej zbierało mi się na wymioty, ale jakoś się opanowałam. Nasz apetyt się ulotnił i oddałyśmy kanapki innym więźniarkom czekającym na minibus. Połknęły je w jednej chwili, jak gdyby nie jadły nic od kilku dni.

\*\*\*

Marcelina &

Po półtorej godzinie czekania bus zabrał nas z powrotem do Ewin. Po drodze wracałam myślami do tego, co się akurat wydarzyło w sądzie.

Bóg poddał mnie próbie w rocznicę mojego chrztu. Kiedy zadawano mi te pytania po raz pierwszy, byłam wolna, szczęśliwa, otoczona przyjaciółmi. Teraz zagraża mi śmierć. Bóg się pyta: „Czy nadal jesteś chrześcijanką?”. Ścieżka do Chrystusa nie jest łatwa, jak On sam powiedział do swoich uczniów w Ewangelii Marka 8,34: „Jeśli kto chce iść za Mną, niech się wyrzeknie samego siebie, niech weźmie swój krzyż i niech Mnie naśladuje”.

Dzisiaj odnowiłam przyrzeczenia, które złożyłam Bogu tego dnia kilka lat temu. Obiecałam wziąć swój krzyż i iść za Chrystusem. Chcę umrzeć dla Boga. Chcę zawsze iść za Nim. Czasami Bóg dopuszcza trudne sytuacje i próby. To jest prawdziwa próba: „Kiedy jesteś pogrążona w strachu, czy nadal pozostaniesz wierna?”. Podjęłam w sądzie decyzję, że będę szła za Jezusem, nawet jeśli spowoduje to moją śmierć. On jest moim Oblubieńcem i pozostanę Mu wierna. Życie jest pozbawione sensu bez wierności Bogu. Cieszę się, że mogłam wyznać wiarę w takich warunkach.

Podczas kontroli osobistej pokazałyśmy ochronie list od sędziego i butelkę perfum. Ochrona osłupiała. „Sędzia okazał wam takie względy!” – zawołały ze zdumieniem ochroniarki. W jednej chwili ich stosunek do nas się zmienił; zaczęto traktować nas z respektem.

Cały Oddział 2 nie posiadał się z ciekawości, co się wydarzyło. Jedna z kobiet powiedziała: „Pewnie zaproponują wam kaucję”. Powiedziałyśmy z Marią, że teraz nie zgodzimy się na to. Reżim powinien nas przeprosić, bo aresztowano i przetrzymywano nas w więzieniu bez powodu. Jesteśmy niewinne i nasi

prześladowcy o tym wiedzą.

„Jeśli wam zaproponują kaucję, powinniście dziękować Bogu” – stwierdził głos z tłumu. „Jeśli sądzicie, że ten rząd kiedykolwiek was przeprosi, jesteście nienormalne”.

„Wierzymy w naszego Boga” – powiedziałam. „Jesteśmy pewne, że Bóg może okazać swoje zwycięstwo. My nic nie możemy zrobić, ale Bóg może okazać swoją moc”.

Kobiety były zdumione naszym opowiadaniem o tym, jak sędzia pił z nami herbatę i wręczył perfumy. Ktoś powiedział: „Teraz wiem, że oni was przeproszą!”. Wszyscy dookoła się roześmiali.

Nasze wypowiedzi przed sądem stały się sensacyjną wiadomością, choć nigdy nie dowiedziałyśmy się, jak nasze słowa do sędziego Pirabbasiego tak szybko przedostały się na zewnątrz.

\*\*\*

Maria &

Kilka dni później zostałyśmy z Marceliną wezwane do biura więziennego, gdzie dyżurowała ponura ochroniarka Izadi. Chodziła w okularach, miała pomarszczoną twarz, zawsze nosiła czarny *czador* i wyglądała jak zła czarownica. Zawsze obsypywała więźniów przekleństwami, zwłaszcza kiedy mówiła przez głośniki. Powiedziała nam, że znowu chce nas widzieć pan Ramezani. „Czy jesteście ślepe?” – warknęła, kiedy podeszłyśmy do drzwi biura. „Nie widzicie, że tam jest obcy mężczyzna? Poprawcie swoje *czadory*, jak należy!” Być może, jakieś pasemko naszych włosów nie było przykryte, ale raczej chodziło jej o to, by pokazać swoją władzę nad nami.

Pan Ramezani specjalnie nie przejmował się naszymi *czadorami*. Na ostry komentarz pani Izadi zareagował ironicznym uśmiechem. Podał nam witaminy i leki przekazane przez nasze siostry.

„Te rzeczy są przekazane dla tych dwóch więźniarek” – powiedział spokojnie, ale z mocą. „Sędzia wydał pozwolenie. Proszę dopilnować, by niczego im nie odebrano”.

Stosunek Izadi do nas uległ natychmiastowej, radykalnej zmianie. Nagle do niej dotarło, że odwiedził nas ktoś bardzo ważny, i zamieniła się w zupełnie inną osobę.

Pan Ramezani chciał porozmawiać z nami na osobności.

„Oczywiście” – powiedziała Izadi uprzejmym tonem, jakiego nigdy przedtem od niej nie słyszałyśmy. „Tu obok jest pokój, do którego mogą państwo wejść. Przyniosę państwu herbatę”.

Przyjęliśmy propozycję skorzystania z osobnego pokoju, ale odmówiliśmy herbaty. Izadi zostawiła nas samych z panem Ramezanim i ochroniarzem i zamknęła za sobą drzwi.

Usiedliśmy. Nasz gość zapytał: „Czy przeczytały panie ten werset z Koranu, o którym mówiłem?”

„Tak, ale nie rozumiałyśmy go” – powiedziała Marcelina. „Nie ma tam nic o Jezusie. Wydaje nam się, że większość wersetów dotyczących Jezusa znajduje się w surze *An-Nisa*<sup>[21]</sup>. Czy to miał pan na myśli?”

„Nie, podałem właściwy werset. Czy przyjrzały się mu panie dokładnie?”

„Mogłyśmy go przeczytać jedynie w tłumaczeniu na język perski” – powiedziałam. „Werset jest w języku arabskim, którego nie rozumiemy”.

Uważa się, że Koran zachowuje swoją cudowność tylko w oryginalnym brzmieniu arabskim. Prawdziwi muzułmanie powinni czytać go tylko po arabsku.

„Rozumiem” – powiedział pan Ramezani. „Powinnyście były skupić się na tekście arabskim, który ukazuje, że w tym miejscu Koran traktuje Jezusa nie tylko jako Syna Bożego, ale też jako Zbawiciela ludzkości<sup>[22]</sup>. Co gorsza, muzułmanie zniekształcili sens tego tekstu w perskim tłumaczeniu, więc po persku nie mogłyście wyłapać jego znaczenia”.

Nigdy wcześniej o tym nie słyszałam.

„Skąd pan to wie?” – zapytałam.

„Powiedział mi to człowiek, który prosił mnie, bym was odwiedził”.

„Co to za człowiek? Czy jest muzułmaninem? Dlaczego chce nam pomóc?”

Wzmianka o tej tajemniczej osobie nadawała wydarzeniom dziwny i tajemniczy kierunek.

„On nie jest muzułmaninem” – wyjaśnił pan Ramezani. „Tak naprawdę on nie wyznaje żadnej religii. On może nawiązać kontakt z każdym prorokiem i w jednym z jego snów Jezus powiedział mu, że ma do was się wybrać. Ja i on otrzymaliśmy rozkaz pomocy wam w waszej sytuacji. Ten człowiek twierdzi, że niebawem zostaniecie zwolnione, i wtedy on osobiście wam przekaże swoją wiadomość. Jesteśmy pewni, że wkrótce będziecie na wolności. Jak myślicie, kiedy Jezus powróci?”

Nagle zmieniając temat, pan Ramezani zostawił nas w niewiedzy, kim jest ten dziwny, tajemniczy człowiek.

„Nikt nie zna dokładnej daty tego wydarzenia” – odpowiedziała Marcelina. „Biblia stwierdza to jednoznacznie. Ja nie jestem wróżką, więc nie mogę znać daty”.

„Powrót Jezusa jest bardzo bliski” – powiedział pewnym tonem pan Ramezani, po czym podał kilka niejasnych stwierdzeń odnośnie dat i kalendarza. Kiedy poprosiłyśmy go, by to wytłumaczył, odparł: „Nie mogę teraz powiedzieć wszystkiego”.

Zadzwoił jego telefon komórkowy. Przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym powiedział do słuchawki: „Proszę zgadnąć, z kim właśnie rozmawiam! Z panią Rostampur i panią Amirizade”. Po rozmowie trwającej około minuty zwrócił się znowu do nas: „To bardzo interesujące. Właśnie dzwonił człowiek, który posłał mnie tutaj, bym zaniósł paniom tę wiadomość. On nie wiedział, że mamy spotkanie, ale zadzwonił, aby zapytać, jak się czujecie. Kiedy powiedziałem, że jesteśmy tu razem, bardzo się ucieszył i kazał was gorąco pozdrowić. Prosił przekazać, że niedługo zostaniecie zwolnione z więzienia. Te osiem miesięcy spędzonych tutaj były błogosławieństwem od Boga. Bóg chciał uchronić was od problemów, które na was czekały, gdybyście pozostały w tym czasie na wolności”.

Czy miał na myśli zamieszki po wyborach prezydenckich? Czy wówczas zostałybyśmy oskarżone o coś poważniejszego? Czy zamordowane? Czy wydarzyłoby się coś innego? Nie wiedziałyśmy, co myśleć.

„Teraz czas waszego uwięzienia minął i musicie wyjść na wolność” – kontynuował. „Człowiek ten mieszka na prowincji i w tej chwili jedzie do Teheranu, by się z wami spotkać”.

„Czy ma aż tak wielką pewność?” – zdziwiłam się.

„Niewątpliwie!”

Pan Ramezani powiedział do ochroniarza, który był cały czas z nami w pokoju, że nie wolno mu nikomu mówić o naszej rozmowie, by nie ściągnąć na siebie problemów.

„Proszę być pewnym, że nikomu nie powiem” – padła odpowiedź.

Nasz gość wyszedł na kilka minut z pokoju, by zobaczyć się z inną więźniarką, która usłyszała o jego przybyciu i przyszła się z nim spotkać. Ochroniarz, który został z nami, zapytał: „Czy to wy jesteście tymi chrześcijankami, do których przychodzą listy?”

„Tak, to my. A dużo przychodzi listów?” – zapytała Marcelina.

„Będzie tego pełen pokój – listów i pocztówek; codziennie przychodzi po kilkadziesiąt nowych. Kilku żołnierzy otwiera je i czyta, by potem zameldować władzom, co w nich jest napisane”.

„A co w nich jest?”

„Wiele listów napisano po angielsku i większość zawiera to samo. Piszą coś o owcach i pasterzu, zapewniają, że się za was modlą, zachęcają do trwania w wierze, podają jakieś wersety z Biblii itp. Niektórzy przysyłają jakieś rysunki”.

„Skoro i tak nam tego nie dają, może pan powinien je przeczytać i skorzystać z ich treści?” – zaproponowała Marcelina.

Gdy wrócił pan Ramezani, przypomniałam mu, że obiecał załatwić nam możliwość otrzymania naszych listów, jeśli sędzia wyrazi zgodę. Dodałam, że pan Pirabbasi taką zgodę wyraził.

„W takim razie powinien on wystosować pisemne zarządzenie do władz

więzienia. Sędzia doskonale wie, że w więzieniu słowa nic nie znaczą, wszystko musi być na piśmie i przekazane drogą oficjalną. Tak czy inaczej, myślę, że on sprawi, byście otrzymały listy po zwolnieniu. Jest ich zbyt dużo, a więźniom i tak nie wolno otrzymywać listów”.

W Oddziale 2 nasze spotkanie z panem Ramezanim zdobyło status wiadomości numer jeden. Niektóre koleżanki nawet zazdrościły, że ktoś ważny poświęca nam tyle uwagi, ale wszystkie bez wyjątku pragnęły się dowiedzieć, o czym rozmawialiśmy i co może się teraz wydarzyć. Schowałyśmy nasze witaminy i leki w pościeli. Później dowiedziałyśmy się, że nasz gość spotkał się jeszcze z kilkoma więźniarkami, by nie wzbudzać podejrzeń, przychodząc wyłącznie do nas.

Po tej wizycie w naszych głowach się kotłowało. Kim ten Ramezani naprawdę jest? Kim jest jego tajemniczy przyjaciel? Skąd mają taką pewność, że wkrótce wyjdziemy na wolność?

To wszystko wydało się jeszcze bardziej szokujące i zbijające z tropu, kiedy zostałyśmy znowu wezwane do biura przez chrypiące głośniki, by dowiedzieć się, że mamy wrócić w to koszarne miejsce, w którym nigdy już nie chciałyśmy się znaleźć.

<sup>[20]</sup> Marcelina najwyraźniej nie ma tu na myśli daru prorokowania, udzielanego przez Ducha Świętego, tylko mówi o prorokach jako osobach wyznaczanych przez Boga do ogłaszania objawionych prawd wiary. W rozumieniu islamu Abraham, Mojżesz, Jezus i Mahomet byli jedynie prorokami w tym właśnie znaczeniu (przyp. tłum.).

<sup>[21]</sup> *Kobiety* – jest to 4 sura (rozdział) Koranu (przyp. tłum.).

<sup>[22]</sup> Sura *Al-Balad* (*Miasto*) czyni niejasne aluzje do „rodziciela i tego, co on zrodził” (90:3), „udręki człowieka” (90:4) oraz „stromej drogi” polegającej na „uwolnieniu niewolnika i nakarmieniu sieroty w dniu głodu” (90:11-14). Tekst nie dostarcza żadnego kontekstu, który pomógłby zrozumieć, do kogo konkretnie odnoszą się te aluzje, niemniej oficjalne muzułmańskie komentarze wskazują na Adam bądź Abrahama jako „rodziciela” (przyp. tłum. i red.).



## ROZDZIAŁ 24

### *W oczekiwaniu na Pana*

Maria &

„Maria Rostampur! Marcelina Amirizade!” – nasze nazwiska zabrzmiały w głośnikach. Kiedy stawiłyśmy się w biurze, czekał na nas ochroniarz z Oddziału 209, by zawiązać nam oczy i zabrać znowu w to nędzne miejsce. Powrót więźniów do Oddziału 209 po rozprawie w Trybunale Rewolucyjnym był czymś niezwykłym. Fereszta powiedziała, że może to oznaczać albo wydłużenie wyroku, albo jego wykonanie.

Poszłyśmy z Marceliną do sąsiedniego budynku, spoglądając jak zwykle spod przepasek na buty ochroniarza, po czym czekałyśmy w korytarzu, stojąc twarzą do ściany. Słyszałyśmy zrozpaczony głos kobiety, która wołała: „Przysięgam na Boga, jestem niewinna! To jakaś pomyłka!”.

Mnie wprowadzono do pokoju, a Marcelina została w korytarzu.

Ochroniarz, który mnie wprowadził, wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Usłyszałam głos rozkazujący, bym zdjęła przepaskę. Przede mną przy dużym biurku siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, w szarym garniturze, miał tylko jedną rękę. Drugi był znacznie starszy od niego, jego włosy były białe od siwizny. Starszy zaproponował, bym usiadła. Zapytał, jak długo jestem w więzieniu.

„Ponad osiem miesięcy” – odpowiedziałam.

„Dlaczego pani przeszła na chrześcijaństwo? Nie wiedziała pani, że każdy, kto odwraca się od islamu, uważany jest za apostatę i karany śmiercią?”

„Spotkałam Jezusa Chrystusa. Historia mojego nawrócenia jest długa i opowiadałam ją tutaj wiele razy. Czy panowie chcą usłyszeć ją jeszcze raz?”

„Jesteście bardzo niepokornymi dziewczynami” – powiedział mężczyzna z siwymi włosami. „Gościliśmy was tutaj w 209 przez jakiś czas”.

Mój umysł rozpoznał w nim coś znajomego – ten głos! Przesłuchiwał mnie już wcześniej, ale po raz pierwszy mogłam go zobaczyć.

Wtedy odezwał się młodszy mężczyzna: „Pani Rostampur, nam nie przeszkadza, że pani z przyjaciółką jesteście chrześcijankami”.

Naprawdę? To jak należy wytłumaczyć wydarzenia z ostatnich ośmiu miesięcy?

„Każdy ma prawo do własnych przekonań. Wyborem pani jest chrześcijaństwo”.

To zabrzmiało tak, jak gdyby nawrócenie na chrześcijaństwo w Iranie było tak łatwe, jak kupienie bochenka chleba. Czyli co, aresztowali nas i trzymali w więzieniu dla zabawy, a nawrócenie z islamu na chrześcijaństwo nie jest karane śmiercią?

Mężczyzna najwyraźniej starał się złagodzić słodkimi słowami cały ten szum, który powstał wokół naszej sprawy. Ktoś naprawdę się przejął tym, co reżim z nami zrobił i jak przy tym wypadł!

„Co możemy dla was uczynić?” – zapytał.

Co oni mogą dla nas uczynić?! Jeśli poprosimy o cokolwiek, wyjdzie, że coś im zawdzięczamy – a oni desperacko pragną właśnie takiego obrotu sprawy.

„Dziękuję, nic mi od panów nie potrzeba”.

„Czy pani wie, kim jest ten człowiek?” – zapytał starszy mężczyzna.

„Nie wiem”.

„Ten pan nazywa się Dżafari Dolatabadi i jest naczelnym prokuratorem Teheranu. Przyszedł, by pani pomóc”.

Naczelną prokurator pofatygował się, by nam pomóc? Bardzo ciekawe!

„Jeśli pani czegoś potrzebuje, proszę tylko powiedzieć”.

Pan Dolatabadi uśmiechnął się i rzekł: „Mam władzę uwolnić panie lub nie. Jest pani pewna, że nie chce pani mojej pomocy w niczym? Mogę dać paniom wolność”.

„Szczerze dziękuję panu za dobroć” – odpowiedziałam. „Jednak moje zaufanie jest w Bogu i na Nim polegam. Wierzę, że jest wolą Pana, iż razem z Marceliną miałyśmy się znaleźć w więzieniu, i nasze uwolnienie również leży w Jego mocy. Nikt nie jest w stanie pokrzyżować Jego planów. Jasne, że nie podoba nam się w tym więzieniu i wołałybyśmy być na wolności, ale wolimy poczekać na decyzję Pana w tej sprawie”.

Zirytowała mnie postawa prokuratora Dolatabadiego i jego słowa, że on ma władzę dać nam wolność. Przypomniało mi to roszczenia Poncjusza Piłata, który uważał, że ma moc uratowania Jezusa.

Mężczyźni popatrzyli na siebie i się uśmiechnęli.

„Bardzo dobrze” – powiedział prokurator. „Zatem pani o nic mnie nie prosi. Przy okazji, była pani kiedyś w Rzymie?”

„Nie, nigdy nie byłam”.

„Dlaczego więc Watykan wstawia się w pani sprawie? O co tu chodzi?”

„Nie mam pojęcia. Siedzimy w więzieniu i nie mamy żadnych informacji o tym, co się dzieje na świecie. Uważam jednak za naturalne, że Watykan zainteresował się naszą sprawą, bo przecież wtrącono nas do więzienia, oskarżając o chrześcijaństwo i wiarę w Jezusa”. (Nigdy potem nie słyszałyśmy nic na temat ingerencji Watykanu.)

„W każdym razie – powiedział pan Dolatabadi – musiała pani wiedzieć, że w tym kraju nawrócenie na chrześcijaństwo i głoszenie go w sposób, w jaki panie to robiły, jest bardzo niebezpieczne i prowadzi do kary śmierci. Musicie uważać”.

Otworzyły się drzwi i weszła Marcelina. Kazano jej rozwiązać przepaskę na oczach i usiąść. Panowie zaproponowali nam słodycze i w ogóle traktowali nas jak

honorowych gości, a nie więźniów skazanych na śmierć. Wyglądało na to, że ingerencja Watykanu wywołała jeszcze większe zainteresowanie naszą sprawą na arenie międzynarodowej.

Pan Dolatabadi zadawał mnóstwo pytań na temat warunków w Ewin – jedzenie, opieka medyczna, ogólne samopoczucie – jak gdyby on, naczelny prokurator, nie wiedział, co się dzieje w więzieniach. Marcelina naładowała go informacjami o swojej chorobie i braku podstawowej opieki medycznej. Ja, z kolei, opowiedziałam o moim ostatnim zatruciu pokarmowym i beztrioskim potraktowaniu tego przez lekarzy.

„Jak oni mogli coś takiego zrobić?” – zawołał pan Dolatabadi.

Zacząłam opowiadać o okrutnej regule, zmuszającej wszystkich więźniów do wychodzenia na dwór na poranny apel niezależnie od stanu ich zdrowia. Prokurator wziął telefon i wybrał numer: „Pani Rezeo, mam tu w moim biurze panią Amirizade i panią Rostampur, które skarżą się na niektóre problemy tego więzienia”. W jego głosie brzmiała złość. „Proszę, by pani jak najszybciej to uporządkowała”.

Po tym pan Dolatabadi rozpoczął długi monolog, który zaczął od przedstawienia swojego przekonania, że każdy ma prawo wyznawać i praktykować dowolną religię, jaką chce. Następnie stwierdził, że nasze zachowanie przyciągnęło do chrześcijaństwa uwagę zbyt szerokich mas i zbyt dużo ludzi zaczęło o tym mówić. Doradził nam, byśmy nie narażały swojego młodego życia, broniąc wiary w tak nieugięty sposób. Pod przykrywką tych słów wyczuwałyśmy coś zupełnie innego. Jak każdy, kto do nas przemawiał ostatnio, usiłował on znaleźć wyjście z narastającego skandalu międzynarodowego i dlatego próbował przekonać nas, byśmy zmieniły nasze zeznania na temat tego, co nas spotkało. Miałyśmy zapomnieć złe traktowanie i bezlitosne przesłuchania, zignorować nieludzkie i niesprawiedliwe postępowanie wobec nas, uwierzyć, że działania pana Sobhaniego, Haddada, anonimowych przesłuchujących nas urzędników i wszystkich innych było wynikiem ich samowoli, a nie posłuszeństwa reżimowi. Miałyśmy uwierzyć same i przekonać cały świat, że to wszystko wydarzyło się wbrew intencji dobrego, współczującego i wspierającego ludzi reżimu irańskiego.

Dolatabadi skończył przemówienie, nam zawiązano oczy i odprowadzono z powrotem do Oddziału 2. Jak zwykle przyjaciółki otoczyły nas, chcąc usłyszeć, co się wydarzyło. Kiedy dowiedziały się, że rozmawiał z nami sam prokurator Dolatabadi, były przekonane, że to jest wstęp do naszego zwolnienia i ostatecznego zamknięcia sprawy. Zaczęłyśmy myśleć, że mają rację i że wkrótce wyjdziemy na wolność. Ta myśl przynosiła nam radość, ale i smutek z powodu zbliżającego się rozstania z Szirin, Mardżaną i innymi bliskimi przyjaciółkami. W nocy długo rozmawiałyśmy o naszych nadziejach, związanych z przyszłością, czując w jakiś sposób, że to może być nasza ostatnia noc, spędzona razem. Obiecałyśmy sobie

nawzajem, że pewnego dnia spotkamy się na wolności. Nie chciałyśmy się skupiać na smutnych sprawach, tylko wspominałyśmy wspólne radosne chwile.

\*\*\*

Po paru dniach ponownie zawiązano nam oczy i zaprowadzono do Oddziału 209, gdzie znowu spotkałyśmy się z panem Dolatabadim i jego siwowłosym kolegą.

„Wyraziłem zgodę na zwolnienie pań za kaucją do czasu końcowej rozprawy. Zostaniecie wypuszczone po wpłaceniu 200 mln tomanów (około 100 tysięcy dolarów) każda” – zaczął naczelny prokurator.

Już słyszałyśmy taką ofertę z ust sędziego Sobhaniego; wkrótce okazała się ona kłamstwem. Mimo to poczułyśmy przypływ nadziei.

„Nie mamy nikogo, kto pomógłby nam zebrać tyle pieniędzy” – powiedziała Marcelina. „Poza tym po spędzeniu prawie dziewięciu miesięcy za kratami chcemy widzieć rozwiązanie sprawy. Uważamy, że sprawa musi być doprowadzona do końca, a nie pozostawiona w zawieszeniu, kiedy my będziemy wypuszczone za kaucją, ale wciąż nieoczyszczone z zarzutów”.

„Właściwie nie musicie wpłacać kaucji” – powiedział starszy pan. „Wasze siostry mogą za was poręczyć. Mogę do nich zadzwonić nawet teraz, by się stawiły w sądzie w celu zarejestrowania się, i ich poręka będzie zastępować kaucję”.

„Wyraziłem zgodę na zwolnienie pań” – dodał pan Dolatabadi. „Proszę jednak nie udzielać żadnych wywiadów dla prasy”.

Powiedziałyśmy, że zadzwonimy do siostr i omówimy tę propozycję. Zawiązano nam oczy i wyprowadzono na korytarz, gdzie czekałyśmy, aż ochrona zabierze nas do naszego Oddziału. Nagle ktoś wcisnął nam do rąk pojemniczki z jedzeniem na wynos, w których były pieczone kurczaki z ryżem. Usłyszałyśmy głos starszego pana: „Proszę jeść. To dla was”.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu: „Przecież nie możemy jeść z zawiązanymi oczami!”. Pozwolono nam zabrać wspaniale pachnące posiłki ze sobą.

Na widok jedzenia w naszych rękach ochrona z Oddziału 2 była zdumiona. Wszyscy przyzwyczaili się widzieć osoby powracające z Oddziału 209 jako wykończone i załamane, a czasami posiniaczone i krwawiące. Ochrona nie chciała wpuścić nas z jedzeniem do Oddziału i zaprowadziła na kuchnię, byśmy tam zjadły. Smakowało niebiańsko! Było jednak tego tak dużo, a my tak dawno nie jadłyśmy normalnych pokarmów, że nie mogłyśmy zjeść wszystkiego. Zjadłyśmy więc zawartość jednego pojemnika, a drugi oddałyśmy więźniarkom, które były w pomieszczeniu.

Gdy zjadłyśmy i poszłyśmy do naszej celi, podeszła do nas Amiri,

ochroniarka, która tak źle się obchodziła ze mną tej nocy, kiedy się zatrulałam. Gorąco przepraszała za swoje zachowanie, a także za to, że zmuszała nas i innych do wychodzenia na podwórko na poranny apel. Krótco po tym przyszła do nas pani Rezea, również z przeprosinami. Jeden telefon pana Dolatabadiego przewrócił więzienny świat Ewin do góry nogami. Przynajmniej na chwilę.

\*\*\*

Marcelina &

Następnego dnia znowu usłyszałyśmy nasze nazwiska w głośnikach. Znowu wzywano nas do Oddziału 209. Teraz, zamiast obawiać się o nasze bezpieczeństwo, przyjaciółki były pewne, że to wezwanie jest kolejnym krokiem ku wolności. Parwana, więźniarka, która zarabiała drobne pieniądze, sprząając naszą celę, poprosiła nas o autografy, by mieć dowód, że siedziała w jednej celi z tak znanymi osobami. Powiedziałyśmy, że chętnie napiszemy coś, ale nie jesteśmy jeszcze za bardzo znane, i napisane słowa przeznaczamy tylko dla niej. Inne robiły sobie żarty: „Co będzie dzisiaj w jadłospisie na wynos?” albo: „Kto dzisiaj przyjdzie was przepraszać?”

Z zawiązanymi oczami przybyłyśmy do Oddziału 209, gdzie stałyśmy w korytarzu twarzą do ściany, zanim wprowadzono nas do pokoju. Znajomy głos powiedział, że mamy zdjąć przepaski. To był pan Mosawat, który wielokrotnie nas przesłuchiwał. Obok niego siedział milczący, dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku, z gęstymi węsami i kamiennym wyrazem twarzy.

„Zapraszam!” – powiedział pan Mosawat, jak gdyby odwiedzili go starzy przyjaciele. „Proszę siadać!”

Miał jakiś wypadek, bo jego szyja z boku była zaczerwieniona jak po oparzeniu, a jedna ręka zabandażowana.

„Słyszałem, że macie być zwolnione” – powiedział. „Walczyliśmy dziewięć miesięcy. Nie wiem, czy panie mi wierzycie, czy nie, ale ja i koledzy byliśmy mocno zaangażowani w sprawę i z całych sił staraliśmy się, by wypuszczono was na wolność. Te starania przynoszą teraz owoce”.

*Naprawdę?!*

„Nie myślcie tylko, że to presja międzynarodowa czy starania Kościoła spowodowały, iż wychodzicie na wolność. Na nieszczęście wasze zaarrestowanie zbiegło się ze świętami Nouruz, po których były wybory i całe to zamieszanie. Te wszystkie wydarzenia opóźniły decyzję w waszej sprawie. Ale mniejsza o to. Kiedy wychodzicie na wolność? Kto wpłaci za was kaucję lub będzie poręczycielem?”

„To jeszcze nie zostało ustalone” – powiedziała Maria. „Nasz prawnik się temu przygląda”.

„No cóż, wolą Boga będziecie wkrótce na wolności! Słyszałem od pana Dolatabadiego o waszym rychłym zwolnieniu. Poprosił mnie, bym porozmawiał z wami o niektórych rzeczach. Będzie lepiej, jeśli się o nich dowiecie, zanim wyjdziecie z więzienia. Musicie wiedzieć, że od tego momentu będziecie pod stałą obserwacją. Jeśli w przeszłości, jak same utrzymujecie, nie wiedziałyście, że głoszenie nauki Jezusa i jego prorocत्व jest w tym kraju nielegalne, to teraz wiecie o tym bardzo dobrze. Zatem lepiej nie róbcie nic, co mogłoby spowodować na was problemy lub «nieszczęśliwy wypadek». Nie kontaktujcie się z żadnymi organizacjami zagranicznymi. Nie bierzcie udziału w żadnym zgromadzeniu chrześcijańskim w waszym domu czy gdziekolwiek indziej. Również w imieniu systemu proszę o przebaczenie i mam nadzieję, że puścicie w niepamięć złe traktowanie, z jakim tu zetknęłyście się, i wróćcie do normalnego życia. I jeszcze jedno. Przepraszam, że nie odwiedzałem was w ostatnich miesiącach. Byłem chory”.

Ostatnie słowa dodał, jakby się usprawiedliwiając. Potem odchylił się na oparcie krzesła. „Teraz możecie powiedzieć, co chcecie. Nawet nas przeklinać”.

Odpowiedziałam panu Mosawatowi prostymi słowami: „Mogę tylko zacytować ostatnie słowa Jezusa, który powiedział: «Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią» (Łk 23,34)”.

Zawiązano nam oczy i wyprowadzono z pokoju. Usłyszałyśmy za sobą pełen ulgi głos pana Mosawata: „Teraz znacie drogę”.

Tego samego wieczoru zadzwonił do nas tajemniczy pan Ramezani. „Słyszałem, że spotykał się z paniami naczelną prokurator i że niedługo wyjdziecie na wolność”.

„Tak, zgodził się na porękę zamiast kaucji do czasu naszej rozprawy” – odpowiedziałam.

„Bogu niech będą dzięki! Przecież mówiłem, że wkrótce będziecie wolne. Dzwonię, by pogratulować i poprosić, by panie koniecznie do mnie zadzwoniły po wyjściu z więzienia. Muszę z wami się spotkać. Chcę, byście wiedziały, że bardzo się cieszę z waszego zwolnienia”.

Obiecałyśmy, że się z nim skontaktujemy.

Stojąca obok ochroniarka zapytała: „Czyli wychodzicie na wolność?”.

„Tak”.

„A o co byłyście oskarżone?”

„O wiarę w Chrystusa”.

„No to dzięki Bogu”.

Ona i jeszcze jedna ochroniarka patrzyły na nas ze zdziwieniem. Chyba był to pierwszy przypadek w ich życiu, kiedy naczelnik Działu Bezpieczeństwa

zadzwoił do więźniów, żeby pogratulować im wyjścia na wolność. A kiedy Maria powiedziała jednej z koleżanek, że dzwonił do nas pan Ramezani, ta zażartowała: „Teraz kolej na prezydenta Ahmadineżada, by odwiedził was w więzieniu!”.

\*\*\*

Póki rozgrywały się ostatnie akty naszej więziennej przygody, inne więźniarki otrzymywały w swoich sprawach złe i dobre wiadomości. Do biura numer 26 przekazano sprawę Reihany i zajął się nią sędzia Pirabbasi, który był dla nas tak miły. Sędzia zachęcił ją, by przerwała strajk głodowy i zaproponował coś do jedzenia na sali sądowej. Niedługo potem została zwolniona za kaucją i z radością powróciła do rodziny.

Nasza kochana przyjaciółka Mardżana bardzo smuciła się na myśl, że zostawimy ją samą. Ciągle miała zły humor i była niezwykle kłótniwa. Zapewniałam, że będziemy ją zawsze miały w sercu i pamiętały o niej w modlitwach. „Wyjście na wolność nie będzie oznaczało końca przyjaźni z tobą” – powiedziałam. „Nigdy cię nie zapomnimy. Obiecałaś, że się z nami skontaktujesz, jak wyjdiesz z więzienia. Bez względu na to, kiedy to nastąpi, będziemy na ciebie czekać, by świętować twoje zwolnienie”.

Ze względu na to, że w ciągu tych miesięcy mnóstwo osób przybyło i mnóstwo zostało zwolnionych, naszą najbliższą przyjaciółką była Szirin Alam Huli. Od czasu, kiedy wyszła na wolność jej koleżanka Silwa, my z Marią byłyśmy osobami, z którymi ona spędzała najwięcej czasu. Była tak delikatna i dobra, a musiała tak wiele wycierpieć! Wieść o śmierci przyjaciela stała się dla niej ciężkim ciosem, a teraz również my, jej najlepsze przyjaciółki, miałyśmy z nią się rozstać.

Ostatnią przeszkodą do pokonania było, jak się zdawało, znalezienie poręczyciela. Codziennie telefonicznie kontaktowałyśmy się z siostrami: chciałyśmy wiedzieć, jak stoją sprawy. Nasze siostry nie były zamożne, dlatego musiały znaleźć dwóch prosperujących biznesmenów, którzy mając pieniądze, mogli zostać poręczycielami. Nasze siostry znalazły takich ludzi i przyszły z nimi do pana Dolatabadiego, by załatwić formalności. Przyniosły mu bukiet kwiatów. Niestety akurat nie było go na miejscu i nic nie udało się załatwić. Gdy przyszły po raz drugi, sytuacja się powtórzyła. Jednak tym razem sekretarz prokuratora naczelnego skierował ich do pana Gotbiego, sędziego Trybunału Rewolucyjnego, który miał się zająć naszą sprawą.

Elena i Szirin stawily się przed sędzią Gotbim razem z biznesmenami, gotowymi za nas ręczyć. Sędzia jednak odmówił przyjęcia poręki, ponieważ nie znał tych biznesmenów; nie znałyśmy ich również my z Marią. Sędzia zażądał, aby zamiast poręki cała kwota została wpłacona do depozytu. Jako alternatywę

zapropował, żeby nasze poręczycielstwo podpisał nasz prawnik pan Agasi. Już go o to prosiłyśmy, ale on odmówił.

Wówczas sędzia zasugerował, że siostry same mogą być naszymi poręczycielkami. W tych okolicznościach zgodziły się one podjąć ryzyko, chociaż wiedziały, że w razie konieczności nie będą mogły spłacić kaucji. Kiedy weszły do innego pokoju, by złożyć podpisy i odciski palców, sędzia zapytał, czy one również są chrześcijankami. Powiedziały mu, że są.

„Oczywiście zdajecie sobie sprawę, że prawo religijne pozwala mi, bym w tej chwili rozciął was mieczem na pół” – ryknął sędzia, podnosząc głos. Jednak szybko się opanował i dodał: „Ale wolę zostawić tę decyzję prawu”.

Powiedział, że teraz wyśle list do więzienia Ewin z nakazem wypuszczenia nas. Nadal byłyśmy oskarżone o apostazję, ale przynajmniej mogłyśmy czekać na rozprawę na wolności. Jak dowiedziałyśmy się wcześniej, w irańskim sądownictwie często się zdarza tak, że więzień wychodzi za kaucją, ale nigdy nie zostaje oczyszczony z zarzutów, które wszakże nie zostały udowodnione przed sądem. W ten sposób oskarżony przez całe życie ma otwartą przeciwko sobie sprawę i może trafić za kraty pod dowolnym pretekstem.

Każdej nocy zastanawiałyśmy się, czy ona będzie naszą ostatnią nocą, spędzoną w więzieniu Ewin. Ostatnia noc w tej przepelnionej, śmierdzącej celi! Ostatnia noc na tych dwupiętrowych pryczach, na których leżymy, nie mogąc zasnąć, i patrzymy w sufit lub na śpiące koleżanki! Ostatnia noc po posiłkach z ohydnych więziennych dań i konserw! Ostatnia noc, kiedy jesteśmy zdane na beznadziejną, niekompetentną pomoc medyczną! Myślałyśmy też, czy to będzie ostatnia noc, kiedy jesteśmy razem z naszymi przyjaciółkami Szirin, Mardżaną, Setarą i Mahtab. Ostatnia noc pełnienia Bożej posługi za kratami!

Zawsze słyszałyśmy, że ostatnie dni przed zwolnieniem jest trudniej znieść niż cały poprzedni czas w więzieniu. Teraz doświadczałyśmy prawdziwości tego twierdzenia. Godziny i minuty dłużyły się. Do naszych zmartwień dochodziła jeszcze świadomość trudnego wyboru, dokonanego przez nasze siostry, oraz ryzyka podjętego przez nie ze względu na nas. I w całym tym oczekiwaniu na zwolnienie obecny był niewypowiedziany smutek na samą myśl, że tu zostaną bez nas nasze wspańskie przyjaciółki. Nigdy w życiu nie uda nam się zbudować tak głębokich i spełnionych relacji przyjaźni jak te, którymi nas Bóg pobłogosławił w tych wysokich, ponurych murach więzienia Ewin. Samo słowo „Ewin” nie było już dla nas obce, było nam bliskie jak własne imiona. To był nasz uniwersytet, w którym nauczyłyśmy się czegoś, czego nie nauczyłybyśmy się nigdzie indziej. To był nasz kościół, miejsce szczerzej, głębokiej wiary i zaufania Jezusowi Chrystusowi. Od kilku miesięcy to był nasz dom i nasza rodzina. Ewin stało się częścią naszego życia, w której zawarły się najgorsze dni, ale też i najlepsze.

\*\*\*



Maria &

Szirin Alam Huli starała się nie okazywać swoich emocji, zachowywała stoicką siłę aż do końca. Czasami tylko mówiła: „Będę za wami tęsknić”. Nic więcej. Późnym popołudniem wyszłyśmy we trzy na więzienne podwórko. Trzymałyśmy się za ręce. Powiedziałam do Szirin: „Chcę pomodlić się za ciebie”. Roześmiała się ze słowami: „No, to śmiało!”. Ale kiedy zaczęłam modlitwę, zrozumiałam, że nie dam rady powstrzymać łez. Nie chciałam się rozplakać, więc skróciłam modlitwę.

Było szaro i zimno, padał drobny deszcz. Tak samo, jak tysiące razy przedtem, Szirin popatrzyła na kwadratowy kawałek nieba, widoczny z więziennego podwórza. Nad nami przeleciało kilka ptaków; leciały nisko z powodu złej pogody. „Chciałabym być wolna jak te ptaki” – powiedziała w zamyśleniu. „Chciałabym być wolna. Ciekawe, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę całe niebo, a nie tylko jego kawałek ograniczony murami lub oknem więzienia”.

Rozejrzała się po podwórzu z jego smutnym pniem po wyciętym drzewie, mokrą ziemią, ponurymi znajomymi ścianami. „Jestem tak zmęczona tym miejscem” – powiedziała. „Myślę, że nie zniosę go ani minuty dłużej. Jak myślisz, Mario, kiedy będę wolna?”

„Nie wiem” – powiedziałam, zdziwiona i zmartwiona żalobnym tonem mojej przyjaciółki. „Ale mam nadzieję, że to się wydarzy wkrótce”.

„Nie zapomnijcie, co obiecałyśmy sobie nawzajem” – powiedziała Szirin, nagle bardziej ożywiona. „Przygotujecie naszą zieloną farmę, a kiedy wyjdę, przybędę tam do was”.

Bez końca rozmawiałyśmy o marzeniu Szirin, by zamieszkać na zielonej górze daleko stąd, w drewnianym domu otoczonym ciszą i pokojem. Czasami to wydawało się na tyle realne, że czułyśmy się tak, jak gdybyśmy stały na tej górze w przyjemnym wietrzyku, spokojne, szczęśliwe i wolne.

„Postaraj się ciągle być z nami w kontakcie, byśmy mniej tęskniły za tobą, zanim do nas dołączysz” – przypomniałam jej. Było mi ciężko mówić. Pragnęłam, by sprawa Szirin została rozstrzygnięta, zanim wyjdziemy. Tylko Bóg wie, kiedy będziemy mogły zobaczyć ją znowu.

Tego samego wieczoru nasze przyjaciółki zorganizowały zabawę pożegnalną. Kiedy zgaszono światła, razem śpiewałyśmy, a koleżanki dały nam na pamiątkę wiersze, listy i małe prezenciki. Arefa napisała wesoły list, w którym wspominała o tym, jak widząc nas po raz pierwszy, uznała, że jesteśmy głupie, skoro trzymamy się tej swojej wiary. Napisała: „Oby wszyscy na świecie byli tak

głupi, jak wy!”. Wszystkie starałyśmy się przykryć smutek śmiechem i żartami, mając postanowienie, by nie płakać. W gronie najbliższych przyjaciółek uradziłyśmy, by wymyśleć sobie tajne hasło, byśmy nigdy o sobie nie zapomniały. Oprócz nas z Marceliną do paczki należała Szirin, Arefa, Kamila, Mahtab, Setara, Susan i Mardzana. Byłyśmy bardzo różnymi osobami, pochodziłyśmy z różnych warstw społecznych i wyznawałyśmy różne religie. Ale na zawsze złączyła nas walka z niesprawiedliwością, która zniszczyła ciało i ducha irańskiego narodu.

Obiecałyśmy sobie, że pewnego dnia spotkamy się wszystkie w wolnym Iranie. Naszym największym pragnieniem i najgłębszym marzeniem było to, że Iran zrzuci łańcuchy, wypędzi złych przywódców i nasz naród wyzwoli się spod dyktatury i niesprawiedliwości.

Było już dobrze po północy, ale byłyśmy zbyt podekscytowane, by iść spać. Następnego dnia mogłyśmy się znaleźć już w innym świecie. Tylko Bóg mógł wiedzieć, czy nasza misja w celi numer 1 Oddziału 2 najstraszniejszego więzienia w Iranie jest zakończona.

## ROZDZIAŁ 25

*Nie to, czego się spodziewaliśmy*

Maria &

Nieprzyjemny dźwięk głośników wytrącił mnie z krótkiego i płytkiego snu. Rozkazano wszystkim, jak zwykle, wyjść na podwórze na apel. Była środa 18 listopada 2009 roku (według kalendarza irańskiego 27 dzień miesiąca aban 1388 roku). Tym razem wyszłyśmy z Marceliną na zewnątrz. O tej wczesnej godzinie powietrze było nieprzyjemnie zimne, a ranek mokry i szary. Pogoda była dołująca. Po zakończeniu apelu prawie wszystkie wróciłyśmy do łóżek, ale nie mogłam zasnąć.

Czułam tak silny niepokój, że wyszłam na podwórko, nie bacząc na zimno i deszcz. Zebrałam kilka listków i mały kamyk z chodnika na pamiątkę o miejscu, którego nigdy w życiu nie chciałabym znowu zobaczyć. Sama na podwórzu, zaczęłam się modlić za wszystkie nasze przyjaciółki. Przez godzinę wylewałam przed Bogiem swoje serce, mówiąc o miłości do nich, o obawach o przyszłość i o wszystkim tym, co przepełniało mój umysł.

Po śniadaniu zazwyczaj szło się do Centrum Kultury, ale tym razem nikt nie poszedł z obawy, że pod ich nieobecność możemy odejść. Ale ze względu na to, że więźniów nie zwalniano przed południem, zachęcałyśmy, by nasze towarzyszki udały się do swoich zajęć. Te, które pozostały, wydawały się bardziej spięte niż zwykle. Wybuchwały kłótnie z powodu telefonów czy jakichś nieprzemyślanych słów – były ostrzejsze niż zazwyczaj. Nawet osoby na ogół spokojne okazywały zdenerwowanie.

Poszłyśmy z Marceliną zobaczyć dzieciaki, zwłaszcza małego Alfiego. Będziemy za nim bardzo tęsknić. Próbowaliśmy się z nim bawić, ale był przeziębiony i nie miał nastroju do zabawy. Położyłam się z nim na jego łóżku i trochę go połaskotałam. Gdybyśmy tylko mogły zabrać go ze sobą! Zobaczyłby świat, gdzie jest świeże powietrze i zdrowe jedzenie, bezpieczeństwo i zielona trawa, po której można biegać bosą. Nigdy nie poznał tego świata. Co z nim będzie? Co się stanie z tymi wszystkimi ludźmi, których pokochałyśmy tak bardzo? Gdyby tylko mogli wyjść na wolność przed nami!

Nadeszło południe. Kobiety wróciły z Centrum Kultury, żeby zjeść obiad. Szirin Alam Huli przyszła do naszego pokoju, by zjeść razem z nami. „Jak się czujecie teraz, przed wyjściem na wolność?” – zapytała.

„Nie wiem” – powiedziałam. „Ale wiem, że będziemy za tobą tęsknić”.

Szirin kontynuowała: „Kiedy będziecie wolne, pobiegnijcie na naszą górę i krzyczcie z radości na całe gardło. Myślcie o wolności i nie martwcie się o mnie. Ja też będę wolna. Wtedy przyjdźcie do mnie, by mnie uczesać”.

„Dobrze, Szirin” – powiedziałam z uśmiechem. „Ale chciałabym, byśmy były razem. Obiecuj, że będziesz dbała o siebie i wyjdiesz stąd bardzo szybko”.

„Sama bym chciała stąd wyjść jak najszybciej” – roześmiała się Szirin. „Siedzę tu od dwóch lat i jestem tym naprawdę zmęczona”.

Nadeszła godzina pierwsza, potem druga po południu. Minuty się dłużyły jak wieczność. Czekałam na kogoś w korytarzu, kiedy z biura wybiegła rozpromieniona pani Alipur, wymachując kawałkiem papieru.

„Przyszedł dokument o waszym zwolnieniu!” – zawołała, rzucając mi się w ramiona.

Kilka minut później wywołano nasze imiona i cały Oddział 2 rzucił się z nami żegnać. Spakowałyśmy już wszystkie rzeczy. Przyjaciółki z całego Oddziału tłoczyły się w naszej celi, by nas uściskać i życzyć wszystkiego dobrego. Wiele kobiet płakało. Ktoś zaczął śpiewać *Jar-e dabestani-je man*, perską piosenkę ludową, którą wykonywał Mansur Tehrani, po czym stała się ona popularną pieśnią, śpiewaną podczas akcji protestu przeciwko islamskiemu reżimowi.

Następnie kobiety zaczęły śpiewać pieśń, która rozbrzmiewała przy każdym zwolnieniu kogoś z politycznych: „Idź, idź, i nigdy tu nie wracaj!”. Usłyszałam dźwięk stłuczonego na naszą cześć talerza.

Nic nam nie pozostawało, jak iść wzdłuż korytarza w kierunku wyjścia, ale ciężko było nam się do tego zmusić. Wyniosłyśmy rzeczy z celi na korytarz, wciąż ściskałyśmy i całowałyśmy wszystkich, kogo tylko mogłyśmy dosięgnąć. W końcu nie mogłyśmy powstrzymać łez.

Na końcu korytarza ochrona powiedziała, że dalej nikomu nie wolno iść. Po raz ostatni pożegnałyśmy się ze wszystkimi, najdłużej z Szirin. Widząc zapłakane twarze koleżanek, zaczęłyśmy się śmiać zamiast smuć. Oddałybyśmy wszystko, żeby móc zabrać ze sobą Szirin, kiedy robiłyśmy te ostatnie kroki ku wolności.

Szłyśmy, kiwając w stronę morza wyglądających za nami twarzy, póki nie zamknęły się drzwi. Przeszłyśmy przez kilka punktów kontrolnych, zanim znalazłyśmy się w pobliżu głównej bramy. Podpisałyśmy ostatni druk i zostawiłyśmy odciski palców.

Strażniczkę, która prowadziła nas do bramy, widziałyśmy wiele razy, ale rzadko z nią rozmawiałyśmy.

„Czy jesteście chrześcijankami?” – zapytała.

„Tak, jesteśmy”.

„Dużo o was słyszałam. Cieszę się, że was w końcu wypuścili”.

Rozejrzała się dookoła, czy nie ma nikogo w pobliżu.

„Czy mogę was prosić o przysługę?”

„Oczywiście. Co konkretnie?” – zapytałam.

„Słyszałam, że wasze modlitwy zawsze są wysłuchiwane. Mam problem w moim życiu. Czy możecie za mnie pomodlić się, proszę?”

„Oczywiście. Pomodlimy się do Jezusa, by problem pani został rozwiązany”.  
Żołnierz odprowadził nas do bramy, otworzył ją i wypuścił nas na zewnątrz.  
Byłyśmy wolne.

\*\*\*

Marcelina &

Pierwszymi osobami, które zobaczyłyśmy na wolności, były nasze siostry witające nas z rozpostartymi rękami. Trzymałyśmy je w objęciach tak, jak gdybyśmy nie miały już nigdy ich puścić, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Żołnierz kazał nam opuścić teren i nie hałasować. Zazwyczaj wychodzących z więzienia witają przyjaciele i rodzina, ale w naszym przypadku zadbano, by nie było żadnego publicznego powitania.

Nie mogłam uwierzyć, że możemy iść, gdzie tylko zechcemy. Jadąc do naszego mieszkania, gapiałam się na ruch uliczny wokół mnie i wcale nie czułam się tak, jak się spodziewałam. Miesiącami marzyłam o tej chwili, ale kiedy znalazłam się na wolności, coś było nie tak. Moje ciało było wolne, ale dusza i duch pozostawały razem z naszymi wspaniałymi przyjaciółkami, które nadal cierpią z powodu rażącej niesprawiedliwości w murach Ewin. Ta myśl nie pozwalała mi cieszyć się naszą nową sytuacją. Czułam się dziwnie obojętna wobec naszego wyzwolenia.

Nasze siostry posprzątały całe mieszkanie z wyjątkiem sypialni, by usunąć ślady bałaganu, jakiego narobili *basidzi* w dniu naszego aresztowania. Wciąż nie zwrócono naszych komputerów, książek i innych rzeczy. Z okien mieszkania mogłyśmy widzieć mury więzienia Ewin, jednak patrzyłyśmy na nie zupełnie inaczej niż przedtem. Wszystko wydawało się obce – widoki, pokoje, meble – wszystko było jakby nieznajome. Chodziłyśmy po mieszkaniu i rozglądałyśmy się tak, jak gdybyśmy nigdy w nim nie były.

Zajrzałyśmy do łazienki. Jak ogromna i nieskalanie czysta była nasza kabina prysznicowa! Żadnego tłumu, żadnego ograniczenia czasu korzystania, żadnego smrodu, żadnych obrzydliwych ścian.

Patrzyłyśmy na nasze meble, ubrania, obrazy na ścianach i sterty płyt CD z nagraniami muzycznymi, których *basidzi* nie skonfiskowali. Miałyśmy tyle rzeczy i nawet nie czułyśmy, że do nas należą. Posiadane dobra śmiały się z nas z każdej strony. Dwie dziewczyny, które kiedyś je kupiły i używały, odeszły; zamiast nich pojawiły się osoby o zupełnie innym spojrzeniu na świat. Nie mogłyśmy spocząć – wałęsałyśmy się z pokoju do pokoju, siadałyśmy na podłodze, zaczynałyśmy płakać lub zapadałyśmy w milczenie. Nigdy nie płakałyśmy w więzieniu z powodu nas samych, ale teraz zalewały nas łzy.

Nie wiadomo dlaczego nagle obie poczułyśmy z całą mocą, że nasze rzeczy zaczynają nas jakby dusić. Nasze mieszkanie zrobiło się niebezpiecznie ciasne i musiałyśmy wyrzucić wszystko, co nie dotyczyło już naszego życia i co mogłoby ściągnąć kłopoty na naszych chrześcijańskich przyjaciół. Rzuciłyśmy się do swoich pokoi i zaczęłyśmy zrywać ze ścian zdjęcia i plakaty, drzeć listy i papiery, wyrzucać zawartość szaf, zwalając wszystko w pokoju gościnnym. Po jakiejś godzinie siostry pomogły nam spakować wszystko do worków na śmieci i wyrzucić.

W pewien sposób sprawiło to, że poczułyśmy się lepiej. Elena i Szirin przygotowały kolację – świeżą, czystą i smaczną, składającą się z makaronu, dwóch rodzajów sosu, świeżych owoców i ciasteczek. Jadły razem z nami. Za każdym razem, gdy tylko zwalniałyśmy tempo, mówiły do nas: „Jedzcie! Jedzcie!”. Po posiłku bolały nas żołądki, które odzwyczyły się od normalnego pokarmu. O takich daniach marzyłyśmy miesiącami, ale teraz nie mogłyśmy myśleć o niczym innym niż tylko o naszych przyjaciółkach w Oddziale 2, które musiały zaśmiecać swoje żołądki ohydną papką. Kiedy któraś z nas wychodziła z więzienia, inne więźniarki brały jej numer telefonu, by pozostawać w kontakcie; gdy potem dzwoniły, pierwsze pytanie brzmiało: „Co jadłaś?”. Kolacja sprawiła, że zapragnęłyśmy, by ktoś zadzwonił. Sytuacja byłaby bardziej radosna, gdybyśmy miały na linii jedną z przyjaciółek, z którą mogłybyśmy razem świętować.

Tego wieczoru nie mogłyśmy się uspokoić. Tego nie spodziewałyśmy się. Budziły się w nas obawy, w głębi serca bałyśmy się czegoś, a przecież za kratami miałyśmy całkowitą pewność i pokój. Poprosiłyśmy, by siostry pojechały z nami na miasto. Wyglądało na to, że chcemy uciec z domu, w którym nas aresztowano i którego nie widziałyśmy od dziewięciu miesięcy. Ulice i tłumy wyglądały tak, jak kiedyś. Różnica polegała jednak na tym, że teraz, patrząc na ludzi, myślałyśmy o ogromnym ciężarze, który wisiał nad nimi, niezależnie od tego, czy byli tego świadomi; o bezlitosnej dyktaturze zbudowanej na krzywdzących prawach, która w mgnieniu oka mogła pozbawić kogokolwiek wolności lub nawet życia. Ktoś w tym momencie mógł ich śledzić, notując każdy ruch, podsłuchując rozmowy telefoniczne, przeglądając maile i szykując pułapki w razie najmniejszego podejrzenia.

Rozpaczliwie próbowałyśmy dać mieszkańcom Teheranu inną możliwość. Nie ostrzegałyśmy nikogo o niebezpieczeństwach islamu, nie krytkowałyśmy muzułmańskiego sposobu życia, jeśli ktoś go preferował, ale chciałyśmy tylko powiadomić ich, że istnieje inna możliwość i że oni mają prawo dokonać wyboru bez pogroźek i przymusu. Czy będziemy mogli jeszcze coś zrobić dla Teheranu? Tylko Bóg zna odpowiedź.

Wróciłyśmy do domu i położyłyśmy się spać, każda w swojej sypialni, na miękkich poduszkach i czystych prześcieradłach. Leżałam sama w ciemnościach,

a mój umysł wypełniały myśli o drogich przyjaciółkach, które zostały w więzieniu. Widziałam ich twarze, czułam zapach celi i jej ciasną, niezdrową atmosferę – jak bardzo mi tego brakowało! Płakałam, aż zasnęłam, ale we śnie dręczyły mnie koszmary, w których *basidzi* wdzierali się do naszego mieszkania.

\*\*\*

Poranek długo nie nadchodził. Od samego rana musiałyśmy iść do lekarza, by zacząć leczenie długiej listy chorób, nabytych lub pogłębionych w więzieniu: zapalenie ucha i wrzody Marii oraz moje plecy, nerki, ból głowy i chore zęby. Zostałyśmy zbadane i otrzymałyśmy leki, których odmawiano nam tak długo.

Nasze cielesne problemy były zidentyfikowane i leczone, w odróżnieniu od naszych serc i umysłów. Wprawdzie wyszłyśmy z więzienia, ale oskarżenie o apostazję nadal na nas ciążyło. Nie miałyśmy wątpliwości, że nas obserwują, że podsłuchują nasze rozmowy telefoniczne. Wychodząc na zewnątrz, zawsze zauważaliśmy agentów, którzy śledzili nas z daleka. Nasze zwolnienie było wielką nowiną dla całego świata. Byłyśmy na świeczniku i nasi przyjaciele nie chcieli się ujawniać przez kontakt z nami. My również bałyśmy się o bezpieczeństwo osób, które się z nami kontaktowały. Gdy spotykałyśmy starych przyjaciół, mimo ciepłego przywitania stresowałyśmy się, rozmawiając z nimi. Nie mieli pojęcia, przez co przeszłyśmy i jak ciężko jest nam teraz żyć tak, jak żyłyśmy poprzednio.

O wiele więcej czasu spędzałyśmy z naszymi nowymi przyjaciółkami – więźniarkami, które zostały zwolnione i które wciąż czekały na rozstrzygnięcie spraw za kratami Ewin. Jedną z pierwszych, którą odwiedziłyśmy, była Silwa Harotonian, która mieszkała teraz ze swoją matką. Ona dobrze rozumiała, co czujemy. Tak samo, jak my, musiała wyrzucić swoje stare ubrania i rzeczy. Ona też nadal czekała na rozprawę sądową, śledzona przez policję. Razem z matką były w areszcie domowym i nie mogły wyjechać z kraju.

Przed naszym zatrzymaniem w ciągu dwóch lat prowadziłyśmy razem z Marią dwa kościoły domowe i rozdawałyśmy Nowy Testament. Przez dziewięć miesięcy w Ewin codziennie wielbiłyśmy Jezusa i głosiliśmy Jego Ewangelię. Teraz nasza praca ewangelizacyjna utkwiała w martwym punkcie. Irańczycy, którzy chcieliby więcej dowiedzieć się o chrześcijaństwie, nie mieli odwagi kontaktować się z nami. Osoby niegdyś należące do naszych kościołów unikały nas. Czułyśmy się jak w kwarantannie lub jak trędowate. Rozumiałyśmy ich obawy i spędzałyśmy większość czasu w domu, by nie wzbudzać podejrzeń *basidzi* wobec naszych chrześcijańskich przyjaciół. Każdy kontakt z nami mógł dla nich być niebezpieczny. Jednak dobrą stroną było to (o czym słyszałyśmy), że w wielu przypadkach wiadomość o naszym zatrzymaniu i trwaniu w wierze przyprowadziła innych do Chrystusa. Kiedy ludzie dowiadawali się, że wolimy raczej umrzeć niż

zaprzec się wiary, chcieli też dowiedzieć się, dlaczego jest ona warta tak wielkiej ofiary. Zdarzało się, że osoby, z którymi rozmawialiśmy w przeszłości i które wówczas nie wykazały żadnego zainteresowania chrześcijaństwem, teraz gorliwie czytały Biblię i zadawały pytania na jej temat. Wysławialiśmy za to Boga.

Przykładowo, starsza właścicielka naszego mieszkania powiedziała mi: „Gdy dowiedziałam się, że jesteście w więzieniu i odmawiacie wyrzeczenia się waszej wiary, zapragnęłam dowiedzieć się, co takiego jest w chrześcijaństwie na tyle mocnego, że wolicie stracić życie niż odrzucić wiarę. Pomyślałam sobie, że gdyby Jezus nie był Prawdą, nie byłobyście w stanie stawiać oporu w tak trudnych warunkach. Bardzo mnie to zainteresowało, dlatego zdobyłam i zaczęłam czytać Biblię”.

Obiecałyśmy panu Ramezaniemu, że po wyjściu na wolność skontaktujemy się z nim. Chcieliśmy go zapytać o listy przysyłane do nas do więzienia, które miałyśmy otrzymać. Aby nie korzystać z naszych podsłuchiowanych telefonów, zadzwoniłyśmy do niego z budki telefonicznej w kilka tygodni po zwolnieniu. Ucieszył się bardzo i przyznał, że już myślał, iż nie zadzwonimy do niego, ponieważ zajmuje on wysokie stanowisko. Powiedział, że na jego prośbę sędzia zarządził przekazanie nam listów, ale władze więzienia wbrew temu zniszczyły je wszystkie. Były to tysiące listów.

Ku naszemu zdumieniu zaprosił nas do siebie do domu na obiad. Powiedział, że chce się spotkać z nami tajemniczy człowiek, który miał o nas sen, przepowiedział nasze rychłe zwolnienie i kazał mu odwiedzić nas w Ewin. Wahaliśmy się, czy iść do domu wysokiego urzędnika irańskiego więziennictwa, zwłaszcza że byliśmy cały czas pod obserwacją. Jednak pamiętałyśmy, że tajemniczy незнаjomy, który teraz chciał z nami się spotkać, widział we śnie Jezusa, który kazał mu nam pomóc. Byłyśmy tak ciekawe, że po prostu przyjęłyśmy zaproszenie pana Ramezaniego.

Najpierw zdziwiłyśmy się, jak skromny jest jego dom. Biurokraci trzymający władzę w Iranie żyją w ostentacyjnym luksusie, a jego dom był mały i niepozorny. Gospodarz, skromnie ubrany, przywitał nas w drzwiach i przedstawił swojej atrakcyjnej młodej żonie; poznałyśmy też dwoje jego dzieci. Pomagał żonie przygotowywać posiłek. Oto człowiek, na samo imię którego drżeli ochroniarze i urzędnicy więzienia Ewin, szykował dla nas obiad w swoim własnym domu! Tylko Bóg mógł sprawić coś równie fantastycznego. Jego zgrabna żona była bardzo miła i spokojna, miała piękny uśmiech. Po kilkuminutowej rozmowie z nią wywnioskowałyśmy, że jej mąż pomógł wielu niesprawiedliwie oskarżonym więźniom. Niepojęte było, jak mu się udawało to robić i zachować wysokie stanowisko.

Niedługo przybył też nasz dobroczyńca z prowincjonalnego miasteczka. Przyjechał do Teheranu jedynie po to, by zjeść z nami obiad. Zapytał nas o nasze



nawrócenie na chrześcijaństwo i uważnie wysłuchał naszych świadectw. Następnie podzielił się tym, w co wierzył sam i dodał, że spędził rok w więzieniu za to, że sprzeciwiał się islamowi. Powiedział, że spotyka się z ludźmi myślącymi podobnie i zaprosił nas do tego grona. Mimo że bardzo nam się podobała ta propozycja, postanowiliśmy jej nie przyjmować ze względu na bezpieczeństwo tych ludzi oraz na rodzinę i stanowisko pana Ramezaniego. Mężczyzna zachęcił nas, byśmy mocno trwały przy Jezusie.

Kiedy dawałyśmy świadectwo wiary, widziałyśmy, że pani Ramezani po cichu płacze. Nasza historia wywarła na niej mocne wrażenie. Poprosiła, abyśmy się za nią modliły, i obiecałyśmy to robić. Pan Ramezani i jego gość mówili, żebyśmy były z nimi w kontakcie, by się nawzajem wspierać i móc dzielić się myślami.

Po drodze do domu postanowiliśmy z Marią, że nie będziemy utrzymywać kontaktów z panem Ramezanim i jego przyjacielem. To byłoby dla nich zbyt duże ryzyko. To prawda, pan Ramezani jakoś sobie radził i trwał pomimo pomocy, jakiej udzielał innym, a jednak nie czułyśmy się spokojnie, myśląc o utrzymywaniu z nim kontaktu. Kilka tygodni później dowiedziałyśmy się, że przeniesiono go gdzieś na prowincję. Nie było możliwości, aby dowiedzieć się, czy to przeniesienie było powiązane z naszą wizytą.

Kiedy usłyszałyśmy, że wszystkie nasze listy zniszczono, zaczęłyśmy z całą determinacją walczyć o zwrot innych naszych rzeczy: laptopów, książek, dokumentów. Silwa, która już to miała za sobą, podpowiedziała, jak i co trzeba zrobić. Napisałyśmy podanie do Trybunału Rewolucyjnego i zaniósłszy je tam osobiście. Powiedziano nam, że nasz prawnik zostanie poinformowany, gdzie są nasze rzeczy i jak je odebrać, a on doradził, byśmy nie załatwiały tego na własną rękę, gdyż niektórzy sędziowie są bardzo niezadowoleni, że jesteśmy na wolności. Byłyśmy teraz osobistościami o światowej sławie, mówiło się o nas w wiadomościach. Nasza historia i niemożność kontrolowania jej przez reżim doprowadzały naszych przeciwników do furii.

W końcu pan Agasi dowiedział się w sądzie, że nasze rzeczy są w komisariacie policji. Udałyśmy się tam razem z nim; kazano nam zejść do piwnicy, gdzie starliśmy się z biurokratycznym trutniem o nazwisku Jazdi, odpowiedzialnym za magazyn. Kiedy nasz prawnik pokazał mu pismo z sądu, pan Jazdi wybuchł gniewem: „Kto wam kazał przyprowadzać tutaj prawnika? My nie obsługujemy prawników! Nie było żadnego powodu, miłe panie, by go tu sprowadzać!”.

Najprawdopodobniej obawiał się, że pan Agasi zna się na przepisach i nie pozwoli mu postąpić z nami tak, jak zapewne obchodził się z innymi więźniami usiłującymi odebrać swoją własność. W końcu się uspokoił i przekonałyśmy go, że nie przychodzimy, by sprawić mu kłopot, tylko by odebrać nasze rzeczy, zgodnie

z zaleceniem sądu. Zapytał, czy mamy listę rzeczy; podałyśmy ją.

„Poszukam tego i zadzwonię, kiedy będą gotowe do odbioru” – rzucił nieuprzejmym tonem. „Ale następnym razem przyjdźcie same. Nie przyprowadzajcie tu prawnika”.

Po kilku dniach pan Jazdi zadzwonił do nas z informacją, że możemy zabrać rzeczy. Tym razem pan Jazdi zachowywał się jak zupełnie inna osoba – był bardzo uprzejmy i życzliwy. Znalazł wszystko oprócz naszych dokumentów, po które miałyśmy przyjść w przyszłym tygodniu. Gdy czekałyśmy, zobaczyłyśmy przypadkowo urzędnika, który zamknął nas w areszcie tuż po naszym zatrzymaniu.

„Czy odsiedziałyście tyle czasu w więzieniu tylko za to, że wierzyście w Jezusa Chrystusa?” – zapytał.

„Tak jest” – potwierdziłam. „Powinien pan o tym wiedzieć, bo przecież praca pana polega na tym, by zamykać niewinnych obywateli tego kraju”.

„Jak wam się udało wyjść na wolność?” – pytał dalej, szczerze zaintrygowany.

Wytłumaczyłyśmy, że nasza sprawa wywołała zainteresowanie społeczności międzynarodowej, która wywarła nacisk na reżim, co doprowadziło do naszego zwolnienia. Wszystko było w rękach Boga i On posłużył się takim narzędziem, by wykonała się Jego wola.

„Nie macie pojęcia, co się tu w ogóle dzieje” – przyznał urzędnik. „Zamykają ludzi za posiadanie kilku płyt CD lub butelki whisky. Was też pewnie przetrzymywali za nic. Nie mogę doczekać się, kiedy zostawię tę pracę. Odbywam tutaj służbę zasadniczą. Panie teraz są sławne po tym wszystkim, co się wydarzyło”.

„O, tak” – zgodziła się Maria. „Pan Rasti ma wybitny talent zamykania swoich współobywateli bez podstaw. Ale w ten sposób on pomógł nam zanieść Dobrą Nowinę o Jezusie najbardziej potrzebującym: więźniom Ewin. Dzięki niemu usłyszało o nas mnóstwo ludzi, do których same nigdy byśmy nie dotarły”.

Młody urzędnik tylko potrząsnął głową i wyszedł. Cieszę się na myśl, że ta rozmowa mogła go poruszyć. Nas poruszyła na pewno.

## ROZDZIAŁ 26

### *Nadejdzie dzień*

Maria &

Podczas gdy czekałyśmy na rozstrzygnięcie sprawy, niektóre nasze więzienne przyjaciółki otrzymały wyroki. Jedne były łagodniejsze niż się spodziewano, inne surowsze. Tak czy inaczej, nie musiały już dłużej czekać w niepewności.

Setara została skazana na pięć lat więzienia, jej brat również. Kiedy dzwoniła, by nas o tym powiadomić, mówiła prawie z ulgą, śmiejąc się z radości na myśl o przyszłości. Była silną dziewczyną, potrafiła stawić czoła trudnościom więzienia, widząc perspektywę zwolnienia. Arefa, zatrzymana w czasie zamieszek powyborczych, kiedy jej kuzyn został pobity, dostała cztery lata więzienia. Była załamana, kiedy dzwoniła do nas, żeby o tym opowiedzieć. Nie mogła uwierzyć, że będzie siedziała za kratami cztery lata, odbywając karę za jeden dzień protestu. Sędzia uzasadniał, że to z powodu jej *intencji* dalszego uszkodzenia reżimowi, ale ona była przekonana, że chodzi o jej krewnego *mudżahedina*. Jej adwokat złożył już apelację; a my z Marceliną starałyśmy się podtrzymać ją na duchu nadzieją, że wyrok zostanie złagodzony. Niestety w najlepszym razie zmniejszą czas odsiadki o rok, a przecież nawet trzy lata więzienia byłyby niewspółmierną i niesprawiedliwą karą.

Jedna z najlepszych wiadomości dotyczyła Fereszty, która cierpiała na stwardnienie rozsiane i której groziło dożywocie lub kara śmierci. Z powodu stanu zdrowia dostała wyrok dwóch lat więzienia. Jej mąż nieustannie próbował przekonać sędziego, by wziął pod uwagę jej chorobę, i w końcu to przyniosło owoce; a ponieważ już od roku przebywała w więzieniu, pozostawał jej tylko jeden rok.

Mahtab, Susan i Rozita zostały zwolnione, ale nie oczyszczone z zarzutów. Wieść o ich wyjściu była najlepszą ze wszystkiego, co usłyszałam po naszym własnym wyjściu z Ewin. Odwiedziłyśmy każdą z nich i utwierdziłyśmy się w przekonaniu, że nikt nie może zrozumieć nas tak dobrze, jak ludzie, którzy przeszli przez podobne doświadczenie. Mahtab opowiedziała, że co tydzień razem z przyszłym teściem jeździ odwiedzać swojego narzeczonego, który wciąż siedzi w więzieniu w innym mieście. Ich miłość trwała i jej wizyty były dla niego ogromnym wsparciem.

Susan wróciła do dwóch swoich córek. Borykała się z depresją, ale jak zawsze pozostawała zdecydowana, by zwalczać reżim, jak tylko się da. Zachęcałyśmy ją, by skupiła się na wychowaniu dzieci i zadbała o dobrą edukację dla nich.

Rozita nie wyobrażała sobie większej radości niż ta, jakiej doznała, wracając do swoich trzech synów, a oni cieszyli się, że znowu są z mamą. Było wspaniale widzieć ich rodzinne szczęście, choć leżał na nim cień – jej sprawa nie została rozstrzygnięta do końca.

\*\*\*

Codziennie myślałyśmy o naszych przyjaciółkach, pozostających w Ewin. Dzwoniły do nas, by podzielić się nowościami, a my starałyśmy się podtrzymać je na duchu. Najmniejszy prezent czy znak uwagi niezmiernie więcej znaczy w więzieniu niż na wolności. Pamiętałyśmy, jak cieszyłyśmy się z otrzymania nowych ubrań, więc postanowiłyśmy przekazać coś naszym przyjaciółkom z okazji Nouruz, irańskiego Nowego Roku.

Minęło już kilka miesięcy od chwili naszego zwolnienia. Przed świętami Nowego Roku udałyśmy się z Marceliną do sklepu i nakupiłyśmy pełną torbę odzieży. Oddałyśmy wszystko krewnym naszych przyjaciółek, by przekazali to do więzienia w naszym imieniu. Jak miło było potem odbierać telefony jeden po drugim, kiedy przyjaciółki dzwoniły, dziękując za prezenty i pamięć. Nadchodzący Nouruz wyznaczał pełny rok od momentu naszego zatrzymania – obchodziłyśmy te święta natychmiast po przybyciu do Ewin.

Czas mijał, a nasze obawy co do losu Szirin Alam Huli narastały. Zadzwoiła i powiedziała, że znowu przesłuchiowano ją w Oddziale 209. Tym razem było dwóch przesłuchujących. Oznajmili, że jeśli poda im listę przyjaciół, oni się zastanowią nad zmianą wyroku kary śmierci. Kiedy odmówiła, zaczęli naciskać, podkreślając, że jest ona całkowicie od nich zależna i ma do wyboru współpracę albo śmierć. Kazali jej nagrać na wideo oświadczenie, które miało być pokazane w telewizji, ale również odmówiła. Wtedy powiedzieli: „To było nasze ostatnie spotkanie. Nie jesteś już nam potrzebna”. Te słowa ją bardzo przestraszyły.

Stres związany z przesłuchaniem nasilił problemy zdrowotne Szirin. Bóle głowy i krwawienie z nosa były coraz częstsze, a wzrok nagle pogorszył się tak, że już nie była w stanie haftować. Powiedziałyśmy, że powinna iść do lekarza, ale okazało się, że już zgłaszała potrzebę nowych okularów, ale została zignorowana.

Później Szirin zadzwoniła jeszcze raz i powiedziała, że jej brat Esa dowiedział się o zmianie jej wyroku na dożywocie.

„Nie zniosę tego” – powiedziała wyjątkowo załamany tonem. „Już wolalabym umrzeć. Wszystkie więźniarki polityczne zostały przeniesione do celi numer 6. Ciągłe gadają o polityce. Nie mam już cierpliwości, by tego słuchać. Te rozmowy są bezużyteczne i bardzo męczące”.

Jej wytrzymałość dosięgła kresu.

Szirin napisała list do swoich katów i sędziów i jakimś cudem trafił on do

Internetu. Mocne słowa tego listu wznieciły protesty na całym świecie, dając jej słaby cień nadziei. Wspierałyśmy ją, mówiąc, że według nas sędziowie powinni złagodzić jej wyrok.

„Myślę, że niedługo będę wolna” – powiedziała nam pewnego razu. „Kiedy o tym mówiłam dziewczynom, śmiały się. Ale na pewno nie zostaną tutaj na zawsze”.

Zmiana kary śmierci dla Szirin na dożywocie oraz szeroki odzew z całego świata na jej list obudził w nas nadzieję, że z czasem również i ten wyrok zostanie skrócony. Właśnie wtedy zadzwonił do nas Esa i powiedział słowa, które mieczem przeszły nasze serca. Był tak przejęty i rozbity, że ledwo mógł mówić.

„Pomóżcie mi, proszę, pomóżcie!” – błagał znowu i znowu. „Nie mam nikogo więcej! Jestem zniszczony! Na Boga, pomóżcie mi!”

„O co chodzi? Co się stało?”

„Oni zaraz stracą Szirin!”

„Co ty mówisz? Mówiła nam, że sam powiedziałeś o zmianie wyroku śmierci na dożywocie!”

„Ale takiej zmiany nie było... Nie miałem serca, by powiedzieć jej prawdę. Oszukiwałem ją”.

Uznałyśmy z Marceliną, że musimy spotkać się z Esą i wysłuchać całej prawdy. Chcąc uniknąć podsłuchów, zabrałyśmy go, przejeżdżając przez plac Haft-e-Tir, a potem rozmawialiśmy w samochodzie, jeżdżąc po mieście.

„Sędzia Salawati zatwierdził wyrok w sądzie apelacyjnym” – mówił przerażony. „Pisemna kopia tej decyzji zostanie wysłana do Ewin i Szirin otrzyma ją za parę dni”.

Sędzia Salawati, nazywany „sędzią mordercą”, był znany z częstego zasądzania więźniów na śmierć. Wyglądał odpowiednio do tego przezwiska ze swoimi gęstymi czarnymi brwiami, wielką kwadratową twarzą i grymasem, wywołującym przerażenie.

Co robić? Spotkałyśmy się z Silwą i kilkoma innymi osobami, by opracować plan działań. Jedna z nas napisała list do pana Dolatabadiego, naczelnego prokuratora, który odwiedził nas pod koniec naszego pobytu w więzieniu. Udawała, że jest matką Szirin i błagała go o litość. Wiedziałyśmy, że sędziowie to lubią. Przygotowałyśmy krótki życiorys Szirin z uwzględnieniem faktów związanych z jej pobytem w więzieniu, by rozesłać to do organizacji broniących praw człowieka. Ktoś inny uruchomił blog na jej temat, by przyciągnąć uwagę ludzi i zdobyć poparcie. Ostateczne rozpatrzenie apelacji miało nastąpić za miesiąc i tylko tyle czasu dano nam na ratowanie życia naszej najlepszej przyjaciółki.

Esa opowiedział siostrze o naszych działaniach. Kiedy po raz pierwszy rozmawiałyśmy z nią po tym, jak dowiedziała się prawdy o swoim wyroku, nie mogłyśmy prawie nic z siebie wydusić. Początkowo nie wiedziałyśmy, co

powiedzieć, a Szirin była bardzo zła na brata, że ją okłamał. W końcu zaczęliśmy sobie żartować na temat tego, że Szirin niedługo przejdzie „na tamtą stronę”.

„Obiecuj, że jak już tam będziesz, skontaktujesz się ze mną i opowiesz, jak tam jest” – mówiłam, próbując ukryć łzy.

„Na pewno” – odpowiedziała. „Będę przychodzić straszyć ciebie każdej nocy. Jak tylko moja dusza opuści ciało, nawiedzę wasz dom, bo jest przecież blisko więzienia Ewin. Przecież wiesz, jak bardzo chciałam zawsze zobaczyć, gdzie mieszkacie, i teraz będę miała taką możliwość”.

Mówiliśmy o rzeczach ostatecznych, ale starałyśmy się zrobić z tego zabawę.

„Obiecujcie, że po mojej śmierci będziecie czekały przed bramą więzienia, aż wyniosą moje zwłoki” – mówiła Szirin. „Jeśli to zrobicie, zdradzę wam wielki sekret”.

„Będziemy tam pierwsze” – zapewniałam.

Potem rozmawiałyśmy regularnie, informując ją na bieżąco o naszych próbach ratowania jej. Sugerowałyśmy, by napisała list o tym, jak ją torturowano i ładowano narkotykami, a nagranie wideo jej „zeznań” było stekiem kłamstw. Błagałyśmy, by się zwróciła o pomoc do Jezusa, który może dokonać cudu i uratować jej życie. Ta myśl wywołała w niej radość i obiecała się pomodlić. Modliłyśmy się też razem przez telefon. Nie było wątpliwości, że całym sercem kochała Jezusa, choć nigdy o tym nie mówiła. Cieszyła się, że wielu chrześcijan modli się za nią. Prosiłyśmy nasze przyjaciółki, które były z Szirin w więzieniu, by opiekowały się nią i pocieszały za każdym razem, kiedy tego potrzebuje.

\*\*\*

Marcelina &

Po świętach Nouruz otrzymałyśmy wiadomość, że rozpatrzenie naszej sprawy o apostazję odbędzie się 13 kwietnia 2010 roku o godzinie dziewiątej rano. Ku naszemu zdziwieniu zająć się tym miał sąd prowincji. Nigdy w nim nie byliśmy, ale właśnie tam zapadało najwięcej ciężkich wyroków, w tym śmierci.

Wiedziałyśmy z Marią, że istnieje prawdopodobieństwo, iż zostaniemy z powrotem wsadzone do więzienia. Przekazałyśmy naszym przyjaciółkom w Ewin, że być może niedługo do nich dołączymy. Na wszelki wypadek spakowałyśmy walizki, które zabrałyśmy do sądu.

W wyznaczonym dniu stanęłyśmy przed sądem. Zostawiłyśmy bagaż w samochodzie i weszłyśmy do ogromnego budynku z labiryntem niekończących się korytarzy, pełnych strażników. Wreszcie znalazłyśmy właściwe biuro i usiadłyśmy w oczekiwaniu na pana Agasiego. Po kilku minutach wszedł, utykając

na jedną nogę. Coś bolało go tak mocno, że prawie nie mógł chodzić. Powiedziałyśmy, że w samochodzie mamy przygotowane walizki, i wszyscy wybuchliśmy śmiechem. Napięcie zostało rozładowane. Pan Agasi ostrzegł, że wszędzie tu są kamery, więc lepiej nie wyglądać na zadowolonych i uśmiechniętych. Był pewien, że sędzia zwlekał z rozpatrzeniem naszej sprawy częściowo dlatego, iż nie okazywałyśmy żadnego lęku przed nim. Opowiedział nam, że dzisiaj staniemy przed pięcioosobowym kolegium sędziowskim, które podejmie ostateczną decyzję w związku z oskarżeniem o apostazję.

Przez godzinę czekałyśmy, aż zostaniemy zawołane. Kiedy w końcu weszłyśmy do ogromnej sali sądowej, pełnej pustych krzeseł, z wrażenia zabrakło nam tchu. Prosto przed nami wznosił się na podwyższeniu długi stół, a środkowe krzesło, stojące przy nim, było wyższe niż pozostałe. Na tym wysokim krześle zasiadał główny sędzia, mężczyzna w średnim wieku o siwych włosach i brodzie. Po obu stronach od niego usiedli inni sędziowie, młodszy wiekiem. Przed nimi przy biurku siedziała kobieta z zasłoniętą twarzą. W kącie było jeszcze dwóch mężczyzn. Instynktownie chciałyśmy zająć miejsca na środku sali, ale pan Agasi zaprowadził nas do stołu ustawionego bezpośrednio przed sędziami. Byłyśmy z Marią przyzwyczajone do tego, by ratować się śmiechem, ale tym razem panowałyśmy nad sobą, choć z wielkim trudem. Na nasze uprzejme powitanie sędziowski stół odpowiedział grobowym milczeniem. Usiadłyśmy razem z panem Agasim.

Przez dziesięć minut nie padło ani jedno słowo. Trudno powiedzieć, czy w tym czasie sędzia czytał coś, co leżało przed nim na stole, czy też po prostu gapił się na nas z góry. A może w ogóle spał. Myślałyśmy, że jeśli każdy sędzia zada nam nawet po kilka pytań, rozprawa musi trwać kilka godzin. W końcu sędzia zaintonował modlitwę do Allaha i kazał przeczytać listę stawianych nam zarzutów. Kobieta z zasłoniętą twarzą wstała i na głos odczytała oskarżenie. Było to długie pismo zawierające zarzuty apostazji, głoszenia chrześcijaństwa oraz posiadania Biblii i nielegalnych płyt CD. Oskarżając nas o apostazję, podkreślono, że zgodnie z prawem islamu sąd powinien zastosować „najwyższy wymiar kary za promowanie chrześcijaństwa”. Wszyscy obecni wiedzieli, że chodzi o karę śmierci.

Sędzia popatrzył na nas.

„Pani Rostampur, przyjmuje pani oskarżenie?”

„Nie”.

„Pani Amirizade, przyjmuje pani oskarżenie?”

„Nie”.

„Panie Agasi, proszę napisać postulaty obrony i przekazać je sądowi”.

Patrzyłyśmy, jak nasz adwokat pisze słowa, od których będzie zależała nasza przyszłość. Tym razem miał on lepszy pomysł niż rozwadnianie prawdy i degradowanie naszej chrześcijańskiej wiary w jakikolwiek sposób. Napisał, że

nigdy nie obrażyliśmy islamu ani czyichkolwiek wierzeń religijnych. Napisał, że egzemplarze Biblii i płyty CD są naszą własnością i że nigdy nie podejmowałyśmy żadnych działań przeciwko rządowi.

Póki pan Agasi pisał, jeden z sędziów przesunął stertę papierów.

„Pani Rostampur?” – zwrócił się do mnie.

„Tak?”

„Mam do pani kilka pytań”.

Ale zanim zdążył powiedzieć coś więcej, główny sędzia ostro go osadził: „Zadasz swoje pytania później!”.

„Dobrze” – odpowiedział sędzia. „Chciałem tylko zaspokoić ciekawość”.

Odezwął się inny sędzia pomocniczy. Wyglądał na rozłoszczonego, a jego głos pasował do wyglądu: „Ja też mam parę pytań!”.

Pan Agasi wstał i podał głównemu sędziemu napisaną przez siebie obronę. Ten jedynie zerknął na przedłożony dokument i zwrócił się do nas: „Czy każda z was akceptuje obronę przedłożoną przez waszego adwokata?”.

Odrzekliśmy, że akceptujemy.

Nagle wtrącił się sędzia o złym wyglądzie: „Niech adwokat przynajmniej przeczyta swoją obronę, byśmy wszyscy mogli usłyszeć”.

Czterem sędziom pomocniczym miny najwyraźniej skwaśniały. Przyszli uzbrojeni w cały arsenał pytań, ale ponad wszelką wątpliwość sędzia główny nie miał zamiaru dopuszczenia ich do głosu. Zawołał nas bliżej. Pochylając się do przodu, powiedział: „Proszę podpisać to oświadczenie i potwierdzenie, że byliście w sądzie, i możecie iść do domu”. Nie było żadnych dokumentów oczyszczających nas z zarzutów, tylko papier potwierdzający, że byliśmy obecne na rozprawie.

Jeden z młodszych sędziów, gotowy wybuchnąć z gniewu, warknął: „Nie myślcie, że za każdym razem pójdzie wam tak łatwo. Tym razem pozwalamy wam uniknąć haka. Ale kiedy pojawicie się tutaj ponownie, z pewnością otrzymacie wyrok śmierci”.

Kiedy złożyłyśmy podpisy, sędzia główny oznajmił, że nasz prawnik zostanie powiadomiony o końcowej decyzji w naszej sprawie. Po wyjściu z sali pan Agasi nie mógł ukryć swojej radości. Pomyślałam, że gdyby nie chora noga, skakałby po korytarzu.

„To oznacza, że zostaniecie oczyszczone z zarzutu” – orzekł. „Ten sędzia zrobił niesamowitą rzecz. W końcu wasza sprawa zostanie zamknięta i będziecie naprawdę wolne. Nigdy nie myślałem, że pójdzie aż tak łatwo”.

Po raz pierwszy od momentu naszego zatrzymania czułyśmy się naprawdę wolne. Wprawdzie nadal nie miałyśmy oficjalnej decyzji, ale nasz adwokat był pewien, że więcej nie będziemy wzywane do sądu. Niewymowny ciężar spadł nam z serca.

\*\*\*



Po wielu przemyśleniach, dyskusjach i modlitwach podjęliśmy decyzję, że wyjedziemy z Iranu, jak tylko zostaną uregulowane sprawy sądowe. Wprawdzie fizycznie wyszliśmy z więzienia Ewin, ale wciąż byliśmy uwięzieni przez reżim, który obserwował każdy nasz ruch i w każdej chwili mógł znowu nas uwięzić. Na nas mogły już nie ciążyć żadne zarzuty, ale *basidzi* zawsze byli w pobliżu. Chrześcijanie i osoby zainteresowane chrześcijaństwem były narażone na niebezpieczeństwo z powodu samej tylko rozmowy z nami, nie mówiąc już o wizycie lub zaplanowanym spotkaniu. Niektórzy nasi przyjaciele, napotkani na ulicy, z powodu lęku udawali, że nas nie znają. Oni też byli uwięzieni w Iranie, tak jak my. Znał nas cały kraj, więc potajemna ewangelizacja starym sposobem była niemożliwa. Gdyby ekstremiści religijni zabrali się za nas, reżim prawdopodobnie wynagrodziłby ich za nasze zabójstwo.

Po tych wszystkich wydarzeniach wiedziałyśmy ponadto, że jeśli damy policji najmniejszy nawet pretekst do zaareztowania nas, niebezpieczeństwo będzie groziło nam również od strony sędziów. Iran jest naszym domem i naszą ojczyzną, ale jeśli mamy wybierać między naszą wiarą a ojczyzną, to wybieramy Chrystusa.

Znajdowałyśmy się tak naprawdę w areszcie domowym (mimo że tego tak nie nazwano oficjalnie) aż do czasu, kiedy nasza sprawa zostanie definitywnie zamknięta. W tej sytuacji nie mogłyśmy opuścić Iranu, nawet gdyby pojawiła się taka możliwość, ponieważ władze natychmiast ogłosiłyby, że nasza „ucieczka” jest dowodem naszej winy: „Widzieliście? Przecież mówiliśmy, że te chrześcijanki coś knuły!”.

Prawomocne oczyszczenie nas z zarzutów oznaczało zwycięstwo Chrystusa i porażkę reżimu. Chciałyśmy, by sędziowie ukorzyli się przed społecznością międzynarodową, wycofując oficjalnie haniebną wyrok śmierci dla ludzi, których winą jest twarde trzymanie się swoich zasad. Teraz byliśmy oficjalnie oczyszczone ze stawianych nam zarzutów, więc nadszedł czas wyjazdu.

Nasze przyjaciółki z Ewin dzwoniły, aby dowiedzieć się o tym, i cieszyły się razem z nami. Nadal podejmowałyśmy starania w sprawie Szirin Alam Huli. Miałyśmy wielką nadzieję, że zostanie zwolniona, zanim wyjedziemy. Już cztery grupy aktywistów upubliczniało informacje na jej temat, wywierając nacisk na sąd, by okazał dla niej współczucie i miłosierdzie.

\*\*\*

Pewnego dnia podczas śniadania zadzwonił telefon Marceliny. Słuchała, nie mówiąc ani słowa – zresztą nie musiała nic mówić; jej twarz przekazała mi

straszliwą wiadomość: dziś przed świtem została stracona Szirin Alam Huli. Susan powiedziała, że słyszała o tym od kobiet, powiązanych z *mudżahedinami*.

To niemożliwe!!! Nawet brutalne potwory irańskiego „wymiaru sprawiedliwości” nie powinny dokonać egzekucji bez ostatecznego rozkazu sądu!

Marcelina zaczęła szukać dodatkowych informacji w Internecie, a ja w tym czasie zadzwoniłam po taksówkę. Kiedy przyjechałam do Ewin, przed bramą nie było nikogo oprócz zwykłych dwóch ochroniarzy. Poszłam do pobliskiej kafejki internetowej, by poszukać wiadomości w sieci, ale nic nie mogłam znaleźć na temat Szirin. W tym czasie zadzwoniła Marcelina.

„To prawda. Szirin nie żyje”.

Barbarzyński reżim zabijał ją już wiele razy. Teraz wreszcie, dzięki łasce Bożej, spoczęła w pokoju. Miała 28 lat.

Wróciłam do bramy Ewin, gdzie spotkałam Marcelinę oraz brata Szirin i kilku przyjaciół. Nie musieliśmy nic mówić – nasze oczy wyrażały wszystko. Wszyscy płakali. Płakaliśmy tak długo, aż skończyły się nam łzy. Wtedy usiedliśmy na krawężniku w oczekiwaniu, kiedy wydadzą ciało naszej przyjaciółki.

W końcu udało się nam poskładać z wyrwykowych wiadomości obraz jej ostatnich godzin. Wyglądało na to, że ona wiedziała, co ma się wydarzyć. W sobotę wieczorem wzięła prysznic i nałożyła nowe ubrania, które przekazałyśmy jej na Nowy Rok. Wszyscy mówili, że wyglądała piękniej i radośniej niż zawsze. Odwiedziła więźniarki w celi numer 2. Śmiała się, popijając herbatę, kiedy przyszła po nią ochrona. Drzwi za nią się zatrzasnęły. Ostatnią noc Szirin spędziła w pojedynczej celi. Nikt z przyjaciół nie wiedział, że ma się dokonać egzekucja. Nikt nie miał możliwości pożegnania się z nią. Pozostawała sama na sam ze swoimi myślami aż do świtu, kiedy na jej szyi zaciśnięto pętlę. Kto miał odwagę wybić taboret spod nóg tej cichej, miłej dziewczyny o artystycznym usposobieniu? Kto mógł z zimnym sercem zaglądać w jej czyste oczy, kiedy zgasł w nich blask życia?

Szirin była jedną z pięciorga Kurdów, powieszonych 9 maja 2010 roku. Wszyscy byli skazani za przynależność do PKK – Partii Pracujących Kurdystanu, która walczy o utworzenie kurdyjskiego państwa z części Iranu, Iraku i Turcji. W ostatnich chwilach, od momentu zdjęcia przepasek z oczu, śpiewali oni kurdyjską pieśń, póki pętla nie przerwała śpiewu.

Czekałyśmy na jej ciało w nadziei ponownego ujżenia jej pięknej twarzy. Obiecałyśmy jej, że tu będziemy. W końcu jej brat dowiedział się, że zwłoki wszystkich straconych Kurdów już przeniesiono na cmentarz. Musiałyśmy udać się tam, by zobaczyć ciało Szirin, ale tutaj mogłyśmy odebrać jej rzeczy. Marcelina weszła do budynku, by je zabrać.

W jednej z toreb na samym wierzchu leżała niebieska bluzka, którą często nosiła razem z łańcuszkiem otrzymanym od nas. Wyjmując jej ubrania, ze łzami przytulałyśmy je, jak gdyby to była Szirin. Kto mógł przypuszczać, że tak niedługo

po tym, jak widziałyśmy ją po raz ostatni, będziemy tutaj już po jej śmierci? Wspominałyśmy rozmaite sytuacje, w których miała na sobie te ubrania, prawie słyszałyśmy jej głos i widziałyśmy jej twarz. Rzeczy wciąż przechowywały jej zapach. To już było ponad nasze siły...

*Boże, dlaczego? Dlaczego jest na tym świecie tak wiele niesprawiedliwości? Jak możesz milczeć wobec tak wielkiego zła? Ile jeszcze odważnych dziewcząt musi zginąć z rąk tego okrutnego, złego, tchórzliwego systemu?*

Bóg widzi całe zło, które jedni ludzie wyrządzają innym, i jest Mu bardzo smutno. My z naszego ziemskiego punktu widzenia czasami nie możemy zobaczyć szczegółów doskonałego Bożego planu. Ale On kocha Szirin. On zniósł tyle samo, a nawet jeszcze więcej cierpienia, by dać jej przebaczenie.

Na cmentarzu ochroniarz powiedział, że owszem, ciała są tutaj, ale nikomu nie wolno ich zobaczyć bez pisemnej zgody sądu. Było już za późno, żeby starać się o taką zgodę, więc poszliśmy do domu. Nasze mieszkanie świeciło pustkami od czasu, jak wyrzuciłyśmy tak wiele naszych rzeczy. Teraz wyglądało smutnie i samotnie. Żadna z nas nie mogła zasnąć i całą noc przesiedziałyśmy na podłodze pokoju gościnnego, tuląc się i płacząc.

Rano znowu wróciłyśmy do bramy więzienia Ewin, gdzie zebrał się wielki tłum. Rozeszła się wieść, że władze odmówiły wydania ciała kogokolwiek z pięciorga straconych Kurdów. Grupa studentów zaczęła pisać petycję. Ludzie szybko nas rozpoznali i wszyscy dziękowali nam za przybycie. Ochrona przed więzieniem również odnotowała, że jesteśmy.

Okolo południa pojawili się krewni jednego ze straconych i opowiedzieli, że sąd odmawia wydania ciał z obawy przed zamieszkami. Zamiast tego dano im specjalne karteczki i powiedziano, że mając je, będą mogli odebrać zwłoki na cmentarzu, kiedy niebezpieczeństwo protestów minie.

Jedną z ofiar był Farzad Kamangar, znany i szanowany kurdyjski nauczyciel. Złożyłyśmy kondolencje jego matce i siostrze.

„Nie płaczcie” – powiedziały nam. „Farzad i inni nie umarli. Są zawsze żywi i jesteśmy z nich dumne. Może utraciliśmy ich, ale w zamian mamy was. Siostry i bracia Farzada i Szirin żyją”.

Adwokat straconych Kurdów wcześniej sam siedział w więzieniu. Teraz stał przed tłumem i ze łzami w oczach mówił, że sąd ma powiadomić go, kiedy będzie można odebrać ciała, a on przekaże informację wszystkim zainteresowanym.

Spędziłyśmy z Marceliną kolejną bezsenność w naszym mieszkaniu. W Ewin w dniu egzekucji odcięto telefony, dlatego jak tylko pojawiła się możliwość, nasze przyjaciółki zaczęły dzwonić. Były w szoku i bólu. Wiadomość o śmierci Szirin przeraziła je jeszcze bardziej niż nas. Nie mogłyśmy nawet rozmawiać, po prostu płakałyśmy na obu końcach linii przez całe piętnaście minut

dozwolonego czasu rozmowy telefonicznej. O losach Szirin Oddział 2 dowiedział się, kiedy rano po egzekucji przysłała ochroniarka i powiedziała głosem bez wyrazu: „Ona nie żyje”. Nic więcej.

Następnego dnia zadzwonił do nas pan Agasi. Powiedział, że wprawdzie nie posiada żadnego pisemnego potwierdzenia, ale w sądzie go poinformowano, że zwolniono nas z zarzutów i nasza sprawa jest zamknięta. Było to śmiechu warte, gdyż wiele razy mówiono nam, że w irańskim sądownictwie nic nie jest ważne, póki nie ma tego na piśmie. Okazało się, że trzech sędziów podpisało akceptację, a dwóch wyjechało na wakacje. Ostatecznie nigdy nie otrzymałyśmy pisemnego potwierdzenia naszego oczyszczenia z zarzutów.

Nigdy nie zobaczyłyśmy też ciała Szirin. Straceni Kurdowie zostali potajemnie pochowani w nieoznaczonej mogile zbiorowej; w ten sposób władze chciały zapobiec protestom lub innym działaniom krewnych. Z Ewin został przemycony dziennik Szirin i przekazano go nam. Zrobiłyśmy sobie kopię i oddałyśmy przyjaciółom, którzy mieli przekazać go Esie.

\*\*\*

22 maja 2010 roku, mniej niż w dwa tygodnie po śmierci Szirin, opuściliśmy Iran. Nie wiedziałyśmy, kiedy i czy w ogóle tu wrócimy. Samolot lecący do Turcji wzbijał się w poranne niebo i na dole widziałyśmy światła Teheranu. Obiecałyśmy przyjaciółkom w Ewin, że pomachamy im z samolotu, przelatując nad więzieniem. Przed nami była niepewna przyszłość, ale musiałyśmy zostawić naszą ojczyznę i wspomnienia z całego życia.

Tam, na dole, większość ludzi jeszcze spała – nasze cierpiące przyjaciółki w zatłoczonych celach Ewin, nasi chrześcijańscy bracia i siostry w swoich domach oraz wielu ludzi w całym kraju, którzy nas wspierali. Pokładałyśmy naszą nadzieję tylko w Bogu i Jego miłosierdziu dla naszego cierpiącego i prześladowanego narodu. Niemożliwe, by ten okrutny reżim trwał zawsze. Nadejdzie dzień, kiedy Bóg podniesie nasz kraj z upadku i da mu „olejek radości zamiast żałoby, płaszcz chwały zamiast przygnębienia” (Iz 61,3). Modlimy się, by Bóg wykorzystał nas obie do realizacji swojego planu, by spełniło się to marzenie.

## *Posłowie*

Pierwszym naszym przystankiem była Turcja. Myślałyśmy o emigracji do USA, ale żeby tam się dostać, musiałyśmy złożyć aplikację w przedstawicielstwie ONZ w Turcji. Prawie rok mieszkaliśmy w Antalyi, jeżdżąc tam i z powrotem do Ankary, gdzie mieściło się biuro ONZ. W tym czasie spisywałyśmy wspomnienia, które stanowią podstawę tej książki. Było nam ciężko przywoływać w pamięci i na nowo przeżywać wszystkie smutne wydarzenia, ale byliśmy przekonane, że mamy obowiązek opowiedzieć światu tę historię ze względu na wszystkich pozostających w Iranie.

Przeszłyśmy przez wiele intensywnych przesłuchań, przeprowadzonych najpierw przez władze tureckie, a potem przez przedstawicieli ONZ. Niektórzy powątpiewali w prawdziwość naszej historii, mimo że wszystko można było znaleźć w Internecie. Wątpiono, czy jesteśmy chrześcijankami, czy byłyśmy aresztowane i czy władze Iranu odwołały swoje oskarżenia przeciwko nam.

Turecka policja była dla nas bardzo surowa, ale o wiele trudniej szło nam z urzędnikami ONZ. Początkowo z ramienia ONZ rozmowy z nami prowadzili obywatele Turcji, pracujący w tej instytucji. Byli oni bardzo zdenerwowani tym, że „przeszłyśmy na chrześcijaństwo” z islamu. Mimo że mogli „wygooglować” nasze nazwiska i przekonać się, przez co przeszłyśmy, mówili, że wszystko zmyślamy, że nie ma żadnych dokumentów potwierdzających nasze słowa. Następnie rozmawiałyśmy z amerykańskimi przedstawicielami ONZ w Istambule, którzy również stwarzali problemy. Któryś z nich powiedział Marcelinie, że ona nie może być chrześcijanką, gdyż jej zaświadczenie o chrzcie zostało wystawione nie przez Kościół, a tylko przez organizację misyjną.

W odpowiednim czasie, przewidzianym przez Boga, otrzymałyśmy wizy i wyruszyłyśmy do Atlanty. Tutaj nawiązałyśmy dobre kontakty z World Relief i zaczęłyśmy nowe życie. Czujemy się tak, jakbyśmy wylądowały na innej planecie. Słabo znałyśmy angielski i wszystko w życiu codziennym wydawało nam się dziwnym. Od razu zaczęłyśmy szukać sposobu wydania książki o wszystkim, co nam się przytrafiło. Chciałyśmy opowiedzieć światu o naszym uwięzieniu w Iranie, ale jeszcze bardziej pragnęłyśmy opowiedzieć o całym irańskim narodzie, uwięzionym przez reżim.

W czasie, gdy ta książka jest przygotowywana do druku, obie kończymy college. Nie możemy się doczekać, kiedy podzielimy się ze wszystkimi naszą historią i zostaniemy częścią American dream!

Przeglądając nasze notatki i zbierając dodatkowe informacje, uświadomiłyśmy sobie, że każdy przypadek prześladowań na świecie jest inny i nie

ma jednego rozwiązania dla wszystkich. Wciąż nie wiemy wszystkiego o kulisach naszego zwolnienia. Wiemy tylko, że nastąpiła chwiejna równowaga między naciskiem społecznym a prywatnymi ustaleniami i że tylko Bóg mógł to osiągnąć.

Gdyby pięć lat temu ktoś powiedział nam, że spędzimy ponad dziewięć miesięcy w irańskim więzieniu, zastraszane śmiercią, że staniemy się przez to znane na całym świecie, a potem wyjedziemy do Atlanty w USA (stan Georgia) i napiszemy książkę (po angielsku!), stwierdziłybyśmy, że zwariował. Jednak nie miałyśmy pojęcia, jakie plany ma Bóg względem nas. Nie zważając na cały ból, jakiego doświadczyłyśmy na tej drodze, nie zamieniłybyśmy jej na nic innego. Dla nas było zaszczytem służyć Chrystusowi w ten sposób, brać swój krzyż i wiernie iść za Nim wszędzie tam, gdzie On nas prowadzi. I jest dla nas zaszczytem również to, że możemy się podzielić tym wszystkim z Wami.

## *Jak powstała ta książka*

**Marziyeh (Marcelina) Amirizadeh i Maryam (Maria) Rostampour** to odważne młode kobiety. Po wyjściu z więzienia najłatwiej i najnaturalniej dla nich byłoby rozpocząć nowe życie w spokojnym, bezpiecznym miejscu z dala od spraw publicznych. Zamiast tego zaczęły spisywać swoje wspomnienia, pragnąc podzielić się z innymi tym, czego doświadczyły.

Porzucając ojczysty Iran, najpierw udały się do Turcji, by ubiegać się o prawo pobytu w USA. Pomimo długiej i trudnej procedury aplikacyjnej nie odstąpiły od swego marzenia wyjazdu do Ameryki, przekonane, że Bóg wykorzysta ich doświadczenia i przeżycia ku dobremu.

Przez osiem miesięcy pisały one, starając się przypomnieć o każdej zaprzyjaźnionej osobie, o każdym przesłuchaniu, każdym doświadczeniu i każdym ważnym wydarzeniu ich więziennych przeżyć. Powrót do przeżytych okropności – przerażającej niesprawiedliwości i nadużyć systemu, tortur i egzekucji kobiet, które były ich wspaniałymi przyjaciółkami – był bardzo bolesny. Czasami pisały ze łzami, czasami nie mogły kontynuować, ale wciąż szły do przodu, kierując się odpowiedzialnością wobec tych, którzy tam zostali, oraz w nadziei, że kiedyś w jakiś sposób będą mogły podzielić się tym wszystkim ze światem. Pomimo wszelkich trudności spisały odręcznie 1900 stron wspomnień o swojej pracy ewangelizacyjnej oraz czasie spędzonym w więzieniu Ewin.

Gdy spotkałem Marię i Marcelinę po raz pierwszy, byłem pod wrażeniem tego, jak wielkie i intensywne jest ich poczucie powołania. Czują się wręcz *zmuszone*, by opowiedzieć o mocy Boga w swoim życiu oraz o niesprawiedliwości, jakiej doznały z rąk irańskiego reżimu. Niestrudzenie starały się o dokładność w przekazaniu każdego szczegółu opowiadania, by każde zdanie miało cel i sens.

We troje zmagaliśmy się z tłumaczeniem, próbując wyartykułować myśli i emocje, które są wyzwaniem nawet w ich ojczystym języku perskim. A przecież usiłowaliśmy przekazać to po angielsku, w języku o zupełnie innym alfabecie, odmiennej strukturze gramatycznej i całkowicie obcym kontekście kulturowym. Podobno nie da się przetłumaczyć angielskiego wyrażenia *let's touch base* na język, w którym nie są znane zasady baseballu, lub wytłumaczyć, dlaczego po angielsku mówi się, że najpierw „ścinały drzewo w dół” (*chop down*), by potem „pociąć je w górę” (*chop up*).

Użytkownik języka angielskiego nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie pułapki są w jego języku, póki nie spróbuje wytłumaczyć obcokrajowcowi, dlaczego jedno wyrazy odbiera jako bezbarwne, a inne, oznaczające to samo, jako pełne kolorytu. Poza tym w amerykańskim chrześcijaństwie są głęboko zakorzenione

i respektowane przekonania o różnicach w wyznaniach chrześcijańskich, które praktycznie nie są znane w Iranie. Dla ludzi będących prześladowaną mniejszością, dla których każde doświadczenie chrześcijaństwa jest błogosławieństwem, podkreślanie różnic denominacyjnych wydaje się dziwne i zbijające z tropu. Na domiar wszystkiego tłumaczenie z perskiego na angielski było robione w Londynie, co oznaczało konieczność wprowadzenia licznych modyfikacji dla czytelników amerykańskich, dla których np. wyraz *lift* oznacza raczej podwiezienie kogoś, a nie windę. A poza tym istnieją myśli i uczucia, dla których żądane słowa w żadnym języku nie są odpowiednie. Są tak głębokie, wewnętrzne i nagłe, że prawie niemożliwe do opisanie. Ale takiego zadania podjęliśmy się. I w ciągu tych wszystkich miesięcy wspólnej pracy te odważne młode kobiety nigdy nie obniżyły poprzeczki, nigdy nie pozwoliły na zanik entuzjazmu i nigdy nie zrezygnowały z dokładności przekazu, mimo że musiały wyszukiwać setki wyrazów w swoim angielsko-perskim słowniku na iPadzie, a potem ręcznie wypisywać definicje, by lepiej je zapamiętać.

Od początku do końca proces pisania i edycji tej książki na podstawie notatek Marii i Marceliny trwał prawie cały rok. Więcej czasu zajęło opowiadanie tej historii niż jej przeżycie. Dla mnie każde słowo było zaszczytem, a każdy dzień pracy – radością. Marcelina i Maria, które są utalentowanymi pisarkami, zostały moimi przyjaciółkami. Ich doświadczenie zmieniło moje życie. Mam nadzieję, że dzięki łasce Bożej wykonaliśmy naszą pracę na tyle dobrze, że zmieni ona również Twoje życie.

*John Perry, Nashville*



## *Podziękowania*

Ta książka jest cudem. Nie ma innego wytłumaczenia jej powstania. Inaczej w jaki sposób mogłyby ją napisać dwie Iranki wciąż uczące się angielskiego w ciągu trzech lat po przybyciu do USA?

Takie możliwości daje tylko Bóg. Dlatego dziękujemy naszemu Zbawicielowi Jezusowi Chrystusowi, który przeprowadził nas bezpiecznie przez wszystkie trudności, dał nam wolność w Ameryce i możliwość opowiedzenia świata naszej historii i historii wielu irańskich kobiet. Bóg postawił na naszej drodze ludzi, dzięki którym ta książka mogła powstać.

Przede wszystkim był to Calvin Edwards, który został naszym dobrym przyjacielem i reprezentantem. On prowadził nas krok po kroku przez wiele decyzji, które doprowadziły do realizacji tego projektu.

Dziękujemy również Janowi Longowi Harrisowi i jego wspinałemu zespołowi wydawniczemu Tyndale Momentum: redaktorce naczelnej Sarze Atkinson, managerowi głównemu Sharonowi Leavittowi i redaktorowi projektu Dave'owi Lindstedtowi.

Specjalne podziękowania należą się naszemu współpracownikowi Johnowi Perry'emu, który tak cierpliwie pracował z nami, by pięknie przekazać naszą skomplikowaną i pełną emocji historię w obcym dla nas języku. Bogu niech będą dzięki za tych ludzi, którzy pomogli nam zrealizować marzenie – podzielić się z Wami naszą wiarą i naszymi przeżyciami.

## *O Autorach*

**Marziyeh (Marcelina) Amirizadeh i Maryam (Maria) Rostampour** urodziły się w rodzinach muzułmańskich w Iranie – Maria w mieście Kermanszah, a Marcelina w Rafsandżan. Spotkały się na kursach teologii chrześcijańskiej w Turcji w roku 2005 i zauważyły, że wybrały Chrystusa mniej więcej w tym samym czasie sześć lat wcześniej. Postanowiły połączyć siły i wróciły do Iranu, angażując się w misję ewangelizacyjną. W ciągu następnych dwóch lat rozdały 20 tysięcy egzemplarzy Nowego Testamentu w Teheranie i innych miastach. Prowadziły w swoim mieszkaniu dwa kościoły domowe – jeden dla młodzieży, drugi dla prostytutek. Swoją posługę poszerzyły o wyprawy misyjne do Indii, Korei Południowej i Turcji.

W marcu 2009 roku Maria i Marcelina zostały aresztowane w Teheranie za głoszenie chrześcijaństwa (za co w Iranie grozi kara śmierci) i spędziły 259 dni w słynnym więzieniu Ewin. Oficjalnie oskarżono je o apostazję, działalność antyrządową i bluźnierstwo; za karę miały być powieszane. Wielu ludzi na całym świecie modliło się za nie i na rząd Iranu wywierany był nacisk międzynarodowy ze strony Amnesty International, ONZ oraz Watykanu.

W końcu Maria i Marcelina zostały zwolnione z więzienia i oczyszczone ze wszystkich stawianych zarzutów. Uznały, że zaszczytem był dla nich ich niewielki udział w cierpieniach Chrystusa, kiedy były więzione ze względu na Jego imię. Po wyjściu na wolność wyemigrowały do USA i teraz mieszkają w pobliżu miasta Atlanta.

*John Perry* jest autorem lub współautorem ponad 30 książek, między innymi: *Lady of Arlington*, biografii Mary Custis (małżonki Roberta E. Lee) nominowanej do nagrody Lincolna, oraz noweli *Letters to God (Listy do Boga)*, która została bestsellerem gazety „New York Times”. Wśród jego ostatnich prac jest napisana wspólnie z Lindą Barrick książka *Miracle for Jen (Cud dla Jen)*, wydana przez wydawnictwo Tyndale House Publishers. John Perry mieszka w Nashville.

